

*May McGoldrick*

*Obietnica*

# 1

*Londyn, Anglia, lipiec 1760*

Ręka błądząca nerwowo po stole trąciła kałamarz. Młoda kobieta pochyliła się gwałtownie, ale nie zdążyła go złapać. Atrament rozlał się po blacie i poplamił jej spódnicę.

- Do licha! - syknęła Rebeka Neville, wycierając czarny płyn zużytym papierem. Nagłe pojawienie się służącej w drzwiach przyprawiło ją o jeszcze większe zdenerwowanie. - A, Lizzy. Wróciłaś.

- Sir Charles chce panią widzieć. Natychmiast. Nie jest w nastroju do czekania. - W tym momencie dziewczyna zauważyła szkodę. - Jeśli mogę doradzić, lepiej niech panienka zejdzie na dół, zanim pan naprawdę wpadnie w gniew. Raczej nie chciałaby pani, żeby tu przyszedł. Ja posprzątam.

Odsunęła nauczycielkę i zajęła się rozlanym atramentem. Rebeka przez chwilę patrzyła na szmatkę, którą Lizzy wcisnęła jej do ręki.

- Czy... lady Hartington wróciła?

Służąca nadal wycierała stół, ale po jej młodej twarzy przebiegł współczujący uśmiech.

- Pani pojechała do opery godzinę temu. Nie sądzę, żeby szybko wróciła.

Rebecce nie udało się wytrzeć plamy z dłoni.

- Powinam zajrzeć do dzieci. Mała Sara nie czuła się dobrze w czasie lekcji czytania.

- Jest z nimi Maggie. Zresztą to jej praca. - Lizzy wyprostowała się i spojrzała młodej nauczycielce w oczy. -

Nie ma sensu zwlekać. Lepiej niech pani idzie i ma to już za sobą. On i tak prędzej czy później dopnie swego.

Mieć to już za sobą! Mieć to już za sobą! Słowa pokojówki dudniły w jej głowie.

Musiała zejść do biblioteki sir Charlesa. Sama. Podczas gdy jego żona wyszła z domu na cały wieczór, a dzieci spały w swoich sypialniach na piętrze.

Wstrząsnął nią gwałtowny dreszcz. Wsunęła drżące ręce w fałdy spódnicy i ruszyła do drzwi.

- Najpierw muszę doprowadzić się do porządku.

- On nie zauważy płam. Nie obejdzie go, w co pani jest ubrana. - W tonie Lizzy brzmiała pewność.

Rebeka wybiegła z pokoju z piekącymi łzami w oczach.

W korytarzu prowadzącym do głównej części domu natknęła się na kamerdynera.

- Sir Charles czeka, panienko.

Nie potrafiła zmusić się do spojrzenia w twarz staremu słudze. Utkwiła oczy w jego ciemnym surducie i rozpaczliwie próbowała nad sobą zapanować. Od dwóch tygodni, odkąd sir Charles Hartington wrócił z kontynentu, czuła na sobie jego wzrok. Kilka razy wchodził do pokoju, w którym uczyła jego dzieci, pochylał się nad nią, ocierał. Jego zamiary były oczywiste.

Dlaczego się łudziła, że da jej spokój, że w domu pełnym ludzi jest bezpieczna? Przynajmniej do czasu, kiedy dostanie wiadomość od pani Stockdale. Listownie poprosiła swoją dawną nauczycielkę, żeby zaczęła dla niej szukać nowej posady. Ale chociaż między Londynem a Oxfordem kursował wóz pocztowy, odpowiedź jeszcze nie nadeszła.

- Powinna pani do niego iść.

Rebeka podniosła oczy na kamerdynera.

- Nie mogę. Chyba zaczekam w swoim pokoju, aż wróci lady Hartington.

Surowa twarz mężczyzny jeszcze bardziej sposepniała.

- Sir Charles nie będzie zadowolony. On jest panem tego domu. Rozsądek nakazuje go słuchać.

- Zatrudniła mnie lady Hartington. Dzieci są już w łóżkach, na dziś moja praca się skończyła.

- Jeśli panienka nie pójdzie do biblioteki, sir Charles na pewno sam do pani przyjdzie. Nie wolno lekceważyć jego poleceń. Od lat służę u tej rodziny i kilka razy byłem świadkiem jego gniewu... - Nie musiał kończyć zdania.

Rebecce zaschło w gardle. Oparła się dłonią o ścianę. Minęła dłuższa chwila, zanim doszła do siebie. Gdy w końcu przemówiła, jej głos zabrzmiał pewniej, niż się spodziewała.

- Nie pójdę do niego, Robercie. Wrócę do swojego pokoju i spakuję rzeczy. Rezygnuję z tej posady.

Przez twarz kamerdynera przemknął wyraz niedowierzania. Potem sługa ukłonił się z szacunkiem i odsunął z drogi, lecz jego aprobata dodała jej otuchy tylko do następnej myśli.

Odchodzę, ale dokąd?

W jej umyśle zapanował chaos. Miała niewiele rzeczy do spakowania, lecz nie wiedziała, gdzie się podzieje w środku nocy, sama, bez powozu i opieki... Ogarnął ją paraliżujący strach.

Tylko jednego była pewna. Nie zostanie w tym domu ani sekundy dłużej, niż to konieczne.

Jak sięgnąć pamięcią, mieszkała w Akademii dla Dziewcząt pani Stockdale w Oxfordzie. Dopiero miesiąc temu, w wieku osiemnastu lat, opuściła szkołę, nie spędziwszy nawet jednej nocy w obcym miejscu. Do czasu, gdy przyjechała do londyńskiej rezydencji sir Charlesa Hartingtona, zajmowała skromny pokój na drugim piętrze budynku szkolnego.

Nie miała żadnej rodziny, a ze słów pani Stockdale wynikało, że pewna londyńska firma prawnicza dwa razy w roku przysyła pieniądze na jej edukację i utrzymanie. Dorastając, wyobrażała sobie, że stolica jest pełna bogatych, anonimowych dobroczyńców.

Zdjęła płaszcz z wieszaka i mimo ciepłej letniej nocy

szczelnie się nim otuliła. Następnie otworzyła portmonetkę i szybko przeliczyła pieniądze. Trzy funty, pięć szylingów i parę miedziaków. To na czarną godzinę, uprzedziła pani Stockdale, kiedy Rebeka wyjeżdżała, żeby objąć nową posadę. Bilet do Londynu, kosztujący cztery funty i osiem szylingów, kupiła pracodawczyni, lady Harrington, a dziesięć funtów pensji rocznie plus mieszkanie i wyżywienie w zupełności miało wystarczyć na jej potrzeby. Dyrektorka szkoły nie ostrzegła jej jednak, że duże niebezpieczeństwo dla młodej dziewczyny stanowią tacy mężczyźni jak sir Charles Hartington.

Przez otwarte okno wpadł do sypialni wyjątkowo ciepły wiatr, ale Rebeka nadal czuła w sobie chłód.

Schowała portmonetkę do torby podróżnej, rozejrzała się po małym, schludnym pokoiku, do którego wprowadziła się, pełna nadziei i planów, zaledwie przed miesiącem.

Większość dziewcząt, które uczęszczały do oksfordzkiej szkoły pani Stockdale, wróciła latem do swoich zamożnych rodzin. Gdy Rebeka patrzyła, jak odjeżdżają ich powozy, po raz kolejny uświadomiła sobie, że jest jedyną uczennicą, która nie ma dokąd pojechać. Poza murami akademii nie czekała jej żadna przyszłość. Trzeba oddać dyrektorce szkoły, że nawet słowem nie napomknęła o szukaniu pracy, ale panna Neville już dawno zrozumiała, że sama musi o siebie zadbać. Nie mogła do końca życia liczyć na hojność tajemniczego dobroczyńcy.

Odgłos kroków dobiegający z korytarza wyrwał ją z zadumy. Chwyciła torbę i ruszyła do drzwi. Dwie pokojówki popatrzyły na nią ze zdziwieniem, kiedy obok nich przemknęła. Oddalając się, słyszała, jak szepczą za jej plecami.

Choć serce jej łomotało, nogi miała ciężkie jak ołów. Idąc po schodach, zastanawiała się, co robić. Gospoda przy Butchers Row. Sklep z ubraniami na Monmouth Street. Dom sir Rogera de Coverely na St. James Square, gdzie podobno zawsze potrzebowali służących.

Znajdzie pracę, jakkolwiek, niekoniecznie jako nauczy-

cielka. Najpierw poszuka noclegu, a rano zapuka kolejno do tych miejsc, które właśnie przyszły jej do głowy. Na pewno jest ich dużo więcej. Wszystko będzie dobrze, byle tylko dotrzeć do rana. Zaledwie kilka kroków dzieliło ją od frontowych drzwi, gdy usłyszała męski głos:

- Nie uwierzyłem, kiedy Robert powiedział mi o pani bezczelności. Stój!

Zatrzymała się przerażona i odwróciła powoli, ściskając w ręce torbę.

- Nie chciałam pana obrazić, sir. Ja tylko poinformowałam, że opuszczam pański dom.

- Po nocy? Kiedy na ulicach grasują bandy młodych złoczyńców? Napadną panią i obrabują. Albo zrobią coś dużo, dużo gorszego. - Zbliżył się do niej tak bardzo, że w jego oddechu poczuła brandy i cygara. Mówił cichym głosem. - Co ze mnie byłby za dżentelmen, panno Neville? Myśli pani, że pozwolę tak rozkoszalnemu stworzeniu wyjść z domu bez opieki?

- Nie proszę o opiekę, sir. - Próbowała się odsunąć, ale mężczyzna złapał ją za ramię, udaremniając ucieczkę. - Niech pan pozwoli mi odejść.

- Nie, póki nie dotrzemy do sedna pani lekkomyślnej decyzji, panno Neville.

Zaczął ją ciągnąć w stronę biblioteki, ale wyszarpnęła rękę.

- Nie, sir! Proszę natychmiast mnie puścić.

Bładniebieskie oczy mężczyzny zapłonęły gniewem, na twarz wystąpiły czerwone plamy. Rebeka cofnęła się o krok, trzymając przed sobą torbę podróżną.

- Co tam pani ma?

- Moje... rzeczy - bąknęła zaskoczona.

- Nie sądzę. - Baronet chwycił ją za łokieć i pociągnął do biblioteki. W tym momencie w holu pojawiła się służąca. - Hej, ty! Zawołaj Roberta i pozostałych. Niech przeszukają dom i sprawdzą, czy nie brakuje sreber, zastawy albo biżuterii mojej żony. Tak, najpierw sprawdźcie biżuterię!

Wepchnął nauczycielkę do pokoju, zatrzęsął drzwiami i z wyrazem satysfakcji na twarzy przekręcił klucz w zamku. Rebeka puściła torbę, którą oboje trzymali, i zaczęła się czołgać pod najdalszą ścianę. Gdy dotknęła plecami półki na książki, rozejrzała się w poszukiwaniu drogi ucieczki. Na próżno.

- Zapewniam, że nie wzięłam niczego, co należy do pana albo pańskiej żony, sir.

- Droga panno Neville, jest pani nie tylko młoda i piękna, ale również naiwna.

- Więc dlaczego mnie pan nie wypuści?

Hartington zaśmiał się, rzucił torbę na podłogę i zdjął surdut.

- Nic z tego, moja droga. Dziewczęta takie jak pani muszą otrzymać lekcję życia. I tak masz szczęście, skarbie, że to ja cię wyedukuję.

Bliska paniki zaczęła się czołgać za duże mahoniowe biurko. Do jej oczu napłynęły łzy, gdy zobaczyła, że sir Charles rozpiną guziki kamizelki.

- Dlaczego ja? Może pan mieć każdą! Proszę pomyśleć o żonie! Błagam!

Baronet uśmiechnął się obłeśnie i wolno ruszył przez pokój niczym skradający się drapieżnik.

- Chcę właśnie ciebie, ślicznotko. Ze względu na pochodzenie łakomy z ciebie kasek.

Gdy zbliżył się do biurka, Rebeka zatarasowała mu drogę krzesłem.

- Myli się pan! Jestem nikim.

- To prawda, że nie masz tytułu ani majątku, ale jeśli chodzi o twój rodowód... - Potrząsnął głową. - Nie, moja droga, nie jesteś nikim.

Rebeka zadrżała gwałtownie, gdy rozpiął spodnie. Jego twarz wyglądała jak maska.

- Proszę do mnie nie podchodzić, sir Charlesie. Błagam! Myli się pan co do mojego pochodzenia.

Hartington zatrzymał się i przez chwilę mierzył ją wzrokiem ponad biurkiem.

- Na pewno nie. Pani sekret wyszedł na jaw, panno Neville. Szczerze mówiąc, nie miałem trudności z odkryciem, kim pani jest naprawdę. I pomyśleć, córka słynnej aktorki Jenny Greene pod moim dachem! Muszę przyznać, że dobra z niej matka, skoro tak długo chroniła swoje dziecko przed skutkami własnej reputacji. I to tak blisko Londynu.

Rebeka nie rozumiała, o czym mówi sir Charles. Miała zamęt w głowie. Mogła myśleć tylko o ucieczce. Zrobiła jeszcze kilka kroków w tył, aż trafiła plecami na marmurową półkę biegnącą nad kominkiem.

- Ale ja domyślałem się od pierwszej chwili, kiedy panią ujrzałem. Te same chmurne niebieskie oczy, te same złoto-rude włosy, barwy zachodzącego słońca. - Przesunął wzrokiem po jej ciele. - Wiedziałem.

Rebeka zmartwiała. Hartington był od niej dużo większy i silniejszy. Stał między nią a drzwiami.

- Jako chłopiec przesiadywałem na galerii teatru w Haymarket i podziwiałem twoją matkę. Z zazdrością patrzyłem na fircyków, którzy płacili dodatkowo, żeby po spektaklu złożyć wizytę słynnej Jenny. Marzyłem o niej, żałowałem, że to nie ja rozkoszuję się jej wdziękami.

Podszedł bardzo blisko. Na widok jego obnażonej męskości Rebeka wstrzymała oddech i czym prędzej odwróciła wzrok. Hartington rozwiązał wstążki jej słomkowego kapelusza, rzucił go na podłogę i ujął w palce kosmyk jej włosów. Zaczął się nim bawić, pożerając ją oczami.

- Pełne usta, które aż się proszą o pocałunek. - Jego spojrzenie przesunęło się niżej, głos zmienił w ochrypły szept. - Piersi stworzone po to, żeby je ssać.

Rebeka krzyknęła, kiedy sięgnął pod jej płaszcz, objął ją w talii i brutalnie przyciągnął do siebie.

- W końcu jednak nacieszyłem się twoją matką, wiesz. Wziąłem ją w zeszłym tygodniu po przedstawieniu w Covent Garden Theatre. Trochę dżinu i bez trudu nakłoniłem ją do mówienia o tobie... Musiałem ją mieć, przez wzgląd



na dawne czasy. Ale również po to, żebym mógł porównać matkę z córką.

Gdy próbował ją pocałować, Rebeka odwróciła głowę i z całej siły pchnęła go w pierś, ale nie zdołała uwolnić się z jego objęć. Hartington się roześmiał.

- Była chętna i łatwa. Nie tak podniecająca jak ty, kiedy się opierasz. Oczywiście nie jest już taką piękną jak kiedyś. - Ścisnął jej piersi, a Rebeka mogła jedynie się modlić i tłumić szloch. - Wiedziałem, że będziesz lepsza. Dużo lepsza.

Kiedy sięgnął do guzików jej płaszcza, spojrzała na niego przerażona. Jego twarz miała zwierzęcy wyraz.

- Ile? - Nie poznała własnego głosu; zabrzmiał jak kłanianie. - Zapłacił pan mojej matce, a ile ja dostanę?

Oprzytomniał w jednej chwili i wykrzywił usta w brzydkim grymasie.

- Dziwka... zupełnie jak matka.

- Ile? - warknęła. - Nie zrezygnuję z posady, zostanę w pańskim domu i... będzie pan mógł wykorzystywać mnie do woli.

Sir Charles błysnął zębami w wilczym uśmiechu i zabrał dłoń z jej dekoltu.

- Jaka jest twoja cena?

Odsunęła się o pół kroku, ale Hartington nadal trzymał ją za ramię.

- Pana żona zatrudniła mnie za dziesięć funtów rocznie. Niech będzie dwadzieścia.

Bładoniebieskie oczy zmierzyły ją podejrzliwie.

- I zrobisz wszystko, co ci każę?

Rebeka przełknęła ślinę.

- Wszystko.

- Jesteś dziewicą?

Opuściła wzrok i pokiwała głową.

- Tak.

Przez długą chwilę czekała w napięciu na jego reakcję i odetchnęła z ulgą, kiedy puścił jej rękę i powiedział:

- To może się okazać całkiem zabawne. - Cofnął się i otaksował ją wzrokiem, trzymając dłonie na biodrach. - Dobrze. Zapłacę różnicę, ale moja żona nie dowie się o naszej umowie. - Rebeka kiwnęła głową. - W takim razie rozbierz się... bardzo powoli. A kiedy skończysz, połóż się na biurku.

Rebeka zerknęła na mebel, potem na sir Charlesa... i czym prędzej przeniosła spojrzenie na kominek.

- Jak pan sobie życzy - odparła i schyliła się po słomkowy kapelusz.

Teraz w jej ruchach nie było wahania. Chwyliła pogrzebacz, zacisnęła pałce na uchwycie, odwróciła się błyskawicznie i żelaznym prętem zdzieliła w głowę sir Charlesa Hartingtona.

## 2

Rzuciła pogrzebacz i zakryła usta, tłumiąc okrzyk przerażenia. Zabiła człowieka! Sir Charles leżał twarzą do podłogi, z jego głowy ciekła czerwona strużka i wsiąkała w dywan, tworząc coraz większą plamę. Rebeka w pośpiechu ruszyła do drzwi, ale potknęła się o bezwładną nogę Hartingtona i z impetem upadła obok niego. Zerwała się natychmiast i gwałtownie wciągnęła powietrze na widok lepkiej cieczy pokrywającej jej dłoń. Przeniosła wzrok z własnych rąk na nieruchome ciało.

Zabiła człowieka!

- Nie! - powiedziała zduszonym szeptem, wycierając dłoń o spódnice. - Nie!

Palce jej drżały, gdy przekręcała klucz w zamku. Ze strachem obejrzała się przez ramię, ale zobaczyła jedynie przyprośzone siwizną włosy, posklejane krwią.

- Panno Neville...

Uniosła zażawione oczy i zobaczyła kamerdynera schodzącego po schodach. Tuż za nim podążała Lizzy.

- O, Boże! Co pani zrobiła?

Nie zdążyła nic odpowiedzieć, bo w drzwiach biblioteki stanęła inna pokojówka.

- Krew! - wrzasnęła. - Morderstwo!

Rebeka zakryła uszy i potrząsnęła głową, idąc chwiejnie do wyjścia. Gardło miała ściśnięte, oddech urywany. Gdy poczuła, że sięgają po nią jakieś ręce, rzuciła się do ucieczki. Słyszała za sobą krzyki. Nie zatrzymała się, tylko popędziła do frontowych drzwi i otworzyła je, zanim ją dopadli.

Na ulicy, w żółtych kręgach światła lamp, dostrzegła

ludzkie postaci. Za nią rozbrzmiewały pomieszane głosy. Popędziła przed siebie co sił w nogach. Znajdowała się niecałą przecnicę dalej, gdy buchnęła jeszcze większa wrzawa, połączona z ciężkim tupotem.

Gdy skręciła za róg, spadła z wysokiego krawężnika prosto na jezdnię. Szybko odzyskała równowagę i chciała pobiec do ciemnego parku, który zauważyła po drugiej stronie ulicy, ale w tym momencie do jej uszu dotarło dudnienie końskich kopyt. Obejrzała się i zamarła. Nie mogła się poruszyć ani zaczerpnąć oddechu. Oszołomiona partryła na rozpędzony powóz.

Więc taki będzie jej koniec. Nie zawiśnie na szubienicy, tylko zostanie stratowana na śmierć w czasie ucieczki.

- Z drogi! Z drogi, głupia kobieto!

Widziała, że woźnica walczy z zaprzęgiem, ale nadal stała jak wmurowana. W ostatniej chwili pojazd skręcił w lewo, a Rebeka poczuła, że jakaś ręka wyciąga ją niemal spod kół.

W następnej chwili stwierdziła, że siedzi na ziemi. Przechodnie spoglądali na nią nie oskarżycielsko, lecz z wyraźną troską i zdziwieniem. Karoca zatrzymała się kilka metrów dalej. Stangret próbował ruszyć z miejsca, pokrzykując na konie. Z małego okienka wyglądała pobladła młoda kobieta. Gdy ich oczy się spotkały, Rebeka dostrzegła w nich desperację taką samą jak u siebie. Dźwignęła się z jezdni i podbiegła do powozu.

- Proszę mi pomóc! - zawołała. - Niech mnie pani zabierze, błagam!

Kątem oka zobaczyła, że zza rogu wypada gromada ludzi.

- Morderczyni! Zatrzymać tę kobietę!

Powóz już się toczył, kiedy ujrzała, że drzwi się otwierają. Na ten widok odzyskała siły, dogoniła karocę i wskoczyła do środka. Stangret trzasnął z bata, pojazd ruszył z szarpnięciem i po chwili pędził ulicą, zostawiając daleko z tyłu rozwrzeszczany tłum.

Pasażerka zaciągnęła zasłonki i w środku zrobiło się ciemno. Gdy po dłuższej chwili Rebeka ochłonęła, a jej

oczy przywykły do mroku, zobaczyła, że siedząca naprzeciwko niej wybawicielka trzyma na kolanach mały tobołek.

- Jestem niewinna! - zapewniła pospiesznie. - Nazywam się Rebeka Neville. Do zeszłego miesiąca mieszkałam w Akademii pani Stockdale w Oxfordzie.

Kobieta przyglądała się jej w milczeniu. Była młoda, niewiele starsza od Rebeki. Jej ubranie świadczyło o zamożności, ale na bladej, ściągniętej twarzy malowały się strach i rozpacz.

- Lady Hartington zatrudniła mnie jako nauczycielkę trójki swoich dzieci. Niedługo potem wrócił z podróży jej mąż. - Ścisnęło ją w gardle. Rękawem otarła łzy z twarzy. - Próbowałam... rzucił się na mnie, kiedy jego żony nie było w domu. Uderzyłam go w głowę pogrzebaczem. Zabiłam go i teraz mnie ścigają. Ale on chciał... usiłował... Ja...

Nie mogła mówić dalej. Schowała twarz w dłoniach i zgięła się w pół, przytłoczona własnym nieszczęściem. Po chwili poczuła w dłoni delikatną chusteczkę. Przyjęła ją z wdzięcznością i osuszyła oczy.

- Przepraszam. Nie powinnam pani mieszać...

- Ma pani rodzinę? - Głos był łagodny, ale słaby, jakby jego właścicielka bardzo cierpiała.

- Nie. - Bezradnie potrząsnęła głową. - Nie mam do kogo pójść. Przez całe życie mówiono mi, że jestem sierotą.

- Nieważne, co ten człowiek zrobił. Tak czy inaczej panią powieszają.

Rebeka opuściła wzrok. Plamy krwi zmieszane z atramentem, który wcześniej rozlała, tworzyły groteskowe ślady na jej rękach i sukni, kontrastując z białą chusteczką.

- Ja zachowałamby się tak samo, nawet zdając sobie sprawę z konsekwencji - oświadczyła nieznajoma.

W tym momencie z zawiniątka spoczywającego na jej kolanach dobiegło kwilenie. Rebeka wytrzeszczyła oczy, gdy kobieta rozchyliła płaszcz i odsłoniła niemowlę otulone kocykiem.

- Obudził się. - Na twarzy wybawicielki malowała się czułość.

- Jaki maleńki! - wyszeptała Rebeka, pochylając się nad dzieckiem.

- Urodził się dziś rano.

- Pani jest jego matką?

Kobieta uśmiechnęła się słabo.

- Tak. Nazywam się Elizabeth Wakefield.

Nagle powóz szarpnął i kobieta skrzywiła się z bólu. Rebeka położyła rękę na jej kolanie.

- Źle się pani czuje. Za wcześnie pani wstała po urodzeniu dziecka.

- Jestem dostatecznie silna, żeby zająć się moim synem. - Pani Wakefield musnęła dłonią pomarszczone czołko. - Dałam mu na imię James.

Na usta Rebeki cisnęło się wiele pytań, na przykład, gdzie jest jej mąż i dlaczego podróżuje sama, o tej porze, z niemowlęciem? Pohamowała się jednak, widząc jej przejmujący smutek i miłość, z jaką patrzyła na synka.

Odchyliła się na oparcie siedzenia i zaczęła rozmyślać o swojej niewesołej sytuacji, o tym, że wkrótce ją złapią i powieszą za zabicie sir Charlesa Hartingtona. Odruchowo dotknęła szyi.

Następnie przeniosła spojrzenie na Elizabeth i dziecko. Przez chwilę się zastanawiała, czy jej matka kiedykolwiek tuliła ją z taką czułością i...

Potrząsnęła głową i odwróciła wzrok. Za późno na takie rozmyślanie, skarciła się w duchu, czując ściskanie w krtani.

Pani Stockdale wciąż przypominała jej, że młoda dziewczyna powinna nie tylko doskonalić umysł, ale przede wszystkim dbać o swoją cnotę, dostrzegać różnicę między dobrem a złem, pamiętać o własnej słabości. Częściej niż innym uczennicom powtarzała jej, że musi zachowywać się skromnie i ukrywać swoje powaby, zwłaszcza niesforne loki o płomiennym kolorze. Nawet na chwilę nie wolno jej zboczyć z wąskiej ścieżki przyzwoitości i odpowiedzialności.

Teraz ostrzeżenia i rady dyrektorki szkoły nabrały sen-

su. Jej troska wynikała z przypuszczeń co do pochodzenia panny Neville. Ciekawe, co by rzekła dawna mentorka, gdyby się dowiedziała o jej dzisiejszym uczynku, pomyślała Rebeka z lekką goryczą.

W tym momencie serce podeszło jej do gardła, bo powóz nagle się zatrzymał. Chwilę później, gdy dotarł do niej ostry zapach ryb i zgniłej wody, domyśliła się, że są blisko Tamizy.

- To chyba koniec podróży?

- Czeka tu na mnie łódź - powiedziała pani Wakefield, a dostrzegłszy jej pytające spojrzenie, wyjaśniła: - W Dartmouth James i ja wsiądziemy na statek odpływający do Ameryki... - Rebeka wstrzymała oddech. - Jestem zdana tylko na siebie, a nie czuję się dobrze. Chciałabym, żeby popłynęła pani z nami.

Po policzku Rebeki wpatrzonej w anielską twarz wybacielki stoczyła się łza.

### 3

*Filadelfia, Pensylwania, kwiecień 1770*

- Nie możemy przyjąć głuchego chłopca do naszej szkoły. Po prostu nie możemy.

Niewiele brakowało, żeby Rebeka zerwała się z krzesła. Pohamowała się jednak i tylko z rozdrażnieniem spojrzała na dyrektora Przyjaznej Szkoły.

- Jamey nie jest głuchy, panie Morgan, tylko gorzej słyszy na jedno ucho. Mężczyzna poprawił okulary na nosie i zerknął w papiery rozłożone na biurku.

- Kazałem dwóm moim nauczycielom spędzić trochę czasu z pani synem, najpierw razem, potem każdy z osobna. Obaj zgodnie stwierdzili, że chłopiec nic nie słyszy, a w dodatku prawie nie potrafi mówić.

- Ma dopiero dziewięć lat. Kiedy go tu przyprowadziłam, był zdenerwowany.

Dyrektor potrząsnął głową.

- Pan Hopkinson widział go w zeszłym tygodniu biegającego po nabrzeżu z jakimiś urwisami. Pani syn nawet nie odpowiedział na jego pozdrowienie.

- A ilu pan zna dziewięciolatków, którzy w trakcie najlepszej zabawy wdawaliby się w rozmowę z dorosłym?

- Więc pani syn poza wszystkim jest również łobuziakiem?  
Rebeka sapnęła z irytacją.

- Jamey nie jest łobuziakiem, tylko bardzo bystrym i żywym chłopcem, który wykazuje duże zdolności do nauki. Proszę na to spojrzeć, sir. - Położyła na biurku zeszyty, które do tej pory trzymała na kolanach. - Oto próbki je-



go pisma. Umie również czytać i liczyć. Radzi sobie równie dobrze jak wielu pańskich podopiecznych.

Pan Morgan szybko przekartkował zeszyty.

- Proszę mi teraz powiedzieć, dyrektorze, jak mogłabym nauczyć go tych wszystkich rzeczy, gdyby był głuchy.

- Pani Ford, jest pani utalentowaną nauczycielką. W ciągu ostatnich kilku lat wielu z naszych wychowanków bardzo skorzystało na tym, że to właśnie pani się nimi zajmowała. Rodzice również bardzo panią chwalą za sposób postępowania z ich dziećmi. Lecz jeśli chodzi o pani syna... jeśli chodzi o Jameya, lepiej, żeby pani kontynuowała to, co pani zaczęła. Może łącząca was więź pomoże przewyciężyć upośledzenie chłopca. On słucha tylko pani.

- Ja już niewiele mogę go nauczyć, a wyłącznie od jego wiedzy i umiejętności zależy, jak daleko zajdzie w życiu.

- Sądząc po tym, co zobaczyłem, syn, dzięki pani wysiłkom, już teraz umie więcej, niż potrzeba robotnikowi albo rzemieślnikowi.

- Nie, panie Morgan! Nie pozwolę, by Jamey myślał, że może zostać jedynie robotnikiem albo rzemieślnikiem. - Rebeka z trudem nad sobą panowała. - Choć jest głuchy na jedno ucho i ma niesprawną rękę, wychowam go na człowieka, który osiągnie, co tylko zechce. Jeśli postanowi zostać lekarzem, zostanie nim. Jeśli zapragnie być prawnikiem albo urzędnikiem, postaram się, żeby nic mu w tym nie przeszkodziło. Zadbam o to, żeby Jamey wykorzystał wszelkie możliwości dostępne dla chłopca mieszkającego w Pensylwanii.

- Pani determinacja jest godna podziwu, pani Ford.

Rebeka spiorunowała dyrektora wzrokiem i zsunęła się na brzeg krzesła.

- Nie po podziw tutaj przyszłam, lecz po zrozumienie i otwartość, którymi szczyci się pan i pańska szkoła. Chcę zapewnić mojemu synowi jak najlepsze wykształcenie.

Morgan poczerwieniał na twarzy i opuścił wzrok na swoje splecione dłonie.

- Przykro mi, pani Ford. Starannie rozważyliśmy pani

prośbę, ale niestety jest nas tylko trzech, a mamy ponad stu uczniów. Po prostu nie możemy zająć się kimś takim, jak pani syn.

Rebeka przez długą chwilę patrzyła na łysiejącego mężczyznę, po czym wstała raptownie.

- Do widzenia, sir.

Gdy wyszła na ulicę Główną, popołudniowe słońce zabarwiło na złoto iglicę kościoła, ale ona nawet nie zwróciła uwagi na ten widok. W jednej ręce ściskając zeszyty Jameya, w drugiej torebkę, ruszyła przez tłum, który wcale się nie zmniejszył mimo obiadowej pory.

- Dzień dobry, pani Ford.

Odwrociła się i z roztargnieniem skinęła głową. Są inne szkoły, rozmyślała, maszerując dalej. Na przykład w Germantown. Ale jak codziennie wozić tam Jameya?

- Ładny dzień, pani Ford.

- Istotnie, pani Bradford.

Poszła wymuszony uśmiech tęgiej kobiecie i wydłużyła krok. Trudno, przeprowadza się, skoro to jedyny sposób, żeby Jamey mógł pójść do szkoły. Była gotowa na wszystko. Nowy Jork, Boston. Pojedzie dokądkolwiek. A jeśli chodzi o pracę, w innych miastach też znajdzie się dla niej jakaś posada.

Zignorowała okrzyki ulicznych sprzedawców, którzy zachwalali swoje towary, i skręciła w Truskawkową. Ledwo do niej docierały przekleństwa woźniców, jadących zatłoczoną i brudną Główną.

Mieszkała z Jameyem w Filadelfii już od dziesięciu laty. Ludzie ją znali, szanowali. Zawsze miała pracę: nauczanie, szycie czy też pomoc w piekarni, kiedy pani Parker musiała zająć się chorym mężem.

Szła wzdłuż solidnych ceglanych budynków, pod szyldami sklepów tekstylnych, warsztatów szewskich, szklarzy i rzeźników. Tak, pracy tutaj nie brakowało, ale jeśli będzie musiała się przenieść, cóż, znajdzie ją również w in-

nym mieście... albo w innej kolonii. Tam, gdzie trafi się szkoła, w której przymkną oko na słabości Jameya i potraktują go jak każdego innego chłopca.

Omijając kałuże i błoto, weszła w zaułek i skierowała kroki w stronę domu z czerwonej cegły, w którym na dole mieściła się piekarnia pani Parker, a nad mieszkaniem wciąż powiększającej się rodziny Butlerów Rebeka zajmowała z Jameyem dwa małe pokoiki pod dziurawym dachem.

Skinęła głową Annie Howie, chudej i zezowatej posługaczce z gospody Pod Martwym Lisem, która właśnie wyszła z piekarni z koszem chleba.

- O, pani Ford! Jakiś dżentelmen pytał o panią po południu.

Rebeka zatrzymała się z ręką na klamce drzwi wejściowych.

- Dziękuję, Annie. Czy ten dżentelmen szuka nauczycielki dla swoich dzieci?

- Nic o tym nie wspomniał, proszę pani. Ale chyba nie. Przyjechał do miasta dwa dni temu i zamierza u nas zostać jeszcze co najmniej kilka. Proszę sobie wyobrazić, że zażądał dla siebie osobnego pokoju.

- Dziękuję, Annie.

- Jest prawnikiem... Z Anglii.

Rebeka odwróciła się powoli. Jej żołądek zmienił się w supeł.

- I o kogo pytał?

- O panią. O matkę chłopca z okaleczoną dłońią. Szczerze mówiąc, od razu pomyślałam, że Jamey coś zbroił. Na pani miejscu od czasu do czasu wytargałabym go za uszy, tak na wszelki wypadek. Sama nieraz widziałam go na nabrzeżu, pani Ford. To jeszcze dzieciak, ale pani nawet nie wie, co on tam wyprawia. Straszy tą swoją ręką szykowne dziewczęta wysiadające ze statków, a potem ucieka z tymi diabłami wcielonymi, które pod panią mieszkają. - Kobieta zerknęła znacząco na okna Butlerów.

Rebeka poczuła pewną ulgę.

- Dziękuję, że mi to wszystko powiedziałaś, Annie. Zaraz sobie z nim porozmawiam.

- Jeśli obchodzi panią moje zdanie, to przydałoby się zdzielić go mocną wierzbową witką przez grzbiet. Gdyby żył pani mąż...

- Dobrze, zajmę się tym. Dziękuję.

Nie czekając na dalsze rady, szybko zamknęła za sobą drzwi i ruszyła w górę po wąskich schodach.

Nie dowiedziała się od Annie niczego nowego. Tej wiosny Jamey trochę się rozpuścił, ale ona była tak zapracowana, że niewiele czasu zostawało jej na pilnowanie i karcenie syna. Nie żeby miała serce go karcić. Ostatecznie potrzebował nieco swobody.

I to był kolejny powód, dla którego musiała znaleźć mu szkołę, gdzie można by właściwie spożytkować jego energię, pokierować jego narastającym buntem.

Tak jak się spodziewała, drzwi sąsiadów były otwarte. Ciężarna Molly Butler, wesoła kobieta o różowych policzkach, siedziała na ławie przy kominku i mieszała zupę gotującą się w garnku zawieszonym nad paleniskiem. W kącie pokoju, w małym łóżku, spały kilkunastomiesięczne bliźniaczki. Gospodyni przywołała ją serdecznym gestem, zmierzyła wzrokiem i powiedziała:

- Nie musisz nic mówić. Wszystko widać po twojej twarzy.

Rebeka położyła teczkę z zeszytami na stole i podeszła do jednego z frontowych okien.

- To nie jedyna szkoła na świecie. Są inne.

- Ale nie dla Jameya, choć wiesz, że go kocham jak własnego syna.

Rebeka pominęła uwagę milczeniem. Nie miała ochoty się spierać.

- Widzę, że usilnie myślisz.

- Znasz mnie, Molly. Zawsze myślę.

Gospodyni ukroiła pajdę chleba, który leżał na małym stoliku, i bez pytania podsunęła ją gościowi razem ze słókiem dżemu jabłkowego.

- Jesteś blada, kochanie. Założę się, że nie jadłaś obiadu. I śniadania pewnie też nie.

Rebeka usiadła na ławie obok przyjaciółki.

- Jamey jeszcze nie wrócił?

- Nie martw się o niego. Posłałam z nim Tommy'ego i George'a. Ze starszym bratem te dwa urwisy nie wpakują się w kłopoty.

Thomas, najstarszy z czwórki dzieci Butlerów, miał dwanaście lat i wydawał się całkiem rozsądny jak na swój wiek. Od czasu do czasu towarzyszył ojcu, kiedy ten w poniedziałki i czwartki woził pasażerów do Trenton, na prom kursujący do Nowego Jorku. George natomiast był równie niesforny jak jego rówieśnik Jamey.

- Nadal uważam, że powinnaś rozważyć radę pana Butlera, żeby Jamey zaczął zarabiać na utrzymanie, pracując u kowala albo...

Rebeka potrząsnęła głową.

- Nie mogę. Napiszę do dyrektora szkoły w Germantown. Jest szansa, że go tam przyjmą.

- Pan Butler mówi, że mają dwustu uczniów i nawet jeśli okażą więcej zrozumienia dla sytuacji Jameya...

- Muszę próbować, Molly.

- Właśnie ty, matka, która się denerwuje, gdy syn znika jej z oczu na parę godzin? Jak wytrzymasz, kiedy znajdziesz się wśród obcych w Germantown? A co gorsza, jak sobie pozwolisz na taki wydatek?

Rebeka ugryzła kęs chleba. Nie potrafiła wyznać Molly, że jest gotowa się przeprowadzić. Mieszkały w tym samym domu od prawie dziesięciu lat i bardzo się przyjaźniły. Wiele razy zasiadała z Butlerami do kolacji. Od nich dużo się nauczyła o wychowywaniu dzieci. Spędzili wspólnie niejedne święta i zawsze czekały na nią i na syna jakieś prezenty, zupełnie jakby stanowili rodzinę. A kiedy Jamey w dzieciństwie miewał gorączki, sąsiadka razem z nią czuwała przy jego łóżku. Gdy z kolei ona urodziła bliźniaczki, Rebeka na dwa tygodnie zabrała do siebie Tommy'ego i George'a.

John Butler sporo czasu przebywał poza domem, więc obie kobiety połączyła bliska zażyłość, która przez lata jeszcze się umocniła. Butlerowie stali się dla Rebeki i Jameya najbliższymi osobami na świecie. Lecz teraz, zmęczona i przygnębiona, nie miała ochoty rozmawiać o swoich planach.

- Nie wyglądasz dobrze - stwierdziła Molly. - Lepiej idź na górę i zdrzemnij się przed popołudniowymi lekcjami. Przyślę ci gulaszu, jak będzie gotowy.

Rebeka potrząsnęła głową.

- Wszystko w porządku. Naprawdę.

W tym momencie z ulicy dobiegły krzyki, więc zerwała się z ławy i podeszła do okna. Na dole stali Tommy i George.

- Jamey już wrócił? - zawołał starszy brat, kiedy ją zobaczył.

- Myślałam, że jest z wami.

- Był, ale na rogu Głównej i Portowej zatrzymał nas jakiś elegancki pan i powiedział, że chce zamienić słowo z Jameyem - wyjaśnił George.

- Chyba nie zostawiliście go samego z obcym? - krzyknęła Molly, budząc dziewczynki.

- Nie - pospiesznie zapewnił Tommy. - Ale nie słyszeliśmy, co mówi ten goguś, bo stali kilka kroków od nas. Potem przejechało kilka wozów, a kiedy nas minęły, zobaczyliśmy, że Jamey odpycha tego człowieka i ucieka. Jeszcze nie widziałem, żeby biegł tak szybko... no, chyba że wtedy, gdy pociągnęliśmy za dzwon na wieży kościoła i omal nie zostaliśmy złapani...

- Co zrobiliście? - krzyknęła matka.

Rebeka cofnęła się od okna, robiąc jej miejsce. Działo się coś niedobrego. Annie wspomniała o prawniku, który o nią wypytywał. W rzeczywistości nieznanemu chodziło o Jameya.

Bez słowa popędziła do schodów. Jej syn siedział skulony na najniższym stopniu.

- Jamey! - zawołała, kucając obok niego. Ujęła w dłonie

jego buzię i przyjrzała mu się uważnie w nikłym świetle klatki schodowej. - Co się stało? W oczach chłopca lśniły łzy. Wytarł je rękawem. Nim Rebeka zdążyła powtórzyć pytanie, objął ją mocno i ukrył twarz na jej kolanach.

- Nie pozwól, żeby mnie zabrali, mamó. Proszę, nie od dawaj mnie.

- Nigdy tego nie zrobię. - Uniosła jego brodę, aż na nią spojrział. - Słyszysz? Obiecuję, że nikomu nie pozwolę cię zabrać!

Przytuliła go do piersi i ukołysała. Po policzkach chłopca stoczyły się łzy. W tym momencie na podeście zjawiła się Molly.

- Chwała Bogu, że wrócił. Wygarbuję skórę moim dwóm urwisom... Co mu jest?

Rebeka potrząsnęła głową.

- Wszystko w porządku. Powiedz im, że Jamey już jest.

Wzięła syna za rękę i zaprowadziła go do mieszkania. Po chwili Molly przyniosła im chleb i słoik dżemu, ale chłopiec podziękował za jedzenie i uciekł do sypialni.

- Coś się wydarzyło - szepnęła Rebeka do przyjaciółki i ruszyła za Jameyem.

Leżał zwinięty w kłębek na łóżku i ścisnął jej stary szal.

- Powiesz mi, co się stało? - Gdy z uporem milczał, ujęła go pod brodę, odwróciła do siebie jego twarz i spojrzała mu w oczy. - Chodzi o tego mężczyznę, który zatrzymał cię na ulicy?

Oczy chłopca znowu zwilgotniały.

- Czego chciał? - spytała Rebeka łagodniejszym tonem. - Co ci powiedział?

Zmierziła jasne włosy syna, odgarnęła z jego czoła parę kosmyków, wyjęła chusteczkę z rękawa i otarła mu łzy.

- Wiedział, kim jestem... ale nazwał mnie James.

- Co jeszcze, kochanie?

- Złapał mnie za ramię i obejrzał moją dłoń.

- Cii! - szepnęła Rebeka, gdy chłopiec się rozpłakał.

Nie pierwszy raz zetknął się z ludźmi, którzy patrzyli

na niego jak na dziwadło. Ona w każdej z tych sytuacji brała go w obronę i staczała bitwę przeciwko ignorancji, ale nie pamiętała, żeby Jamey kiedykolwiek zareagował tak mocno jak teraz.

- Kocham cię, mamo. Obiecuję, że będę dobry. - Jego słowa przerywała czkawka. - Już nigdy nie będę udawał, że cię nie słyszę. Jeśli znowu zabierzesz mnie do Przyjanej Szkoły, damę słowo, że tym razem będę grzeczny. Odpowiem na wszystkie ich pytania, i w ogóle. Tylko mnie nie odsyłaj.

- Ja też cię kocham. Nigdzie nie pojedziesz beze mnie, ale muszę wiedzieć, co ci naopowiadał ten człowiek.

Zanim Jamey zdążył otworzyć usta, w drzwiach stanęła Molly. Rebeka spojrzała na nią pytająco.

- Ktoś chce się z tobą zobaczyć.

- Zapytaj go o nazwisko i odpraw.

Przyjaciółka potrząsnęła głową i bez słowa wskazała na drzwi.

Rebekę przeszył strach równie silny i paraliżujący jak przed laty w bibliotece Hartingtonów. Pogłaskała Jameya po głowie i zmusiła się do wstania. Starannie zamknęła za sobą sypialnię i ruszyła do drzwi prowadzących na klatkę schodową. Wzięła głęboki oddech i otworzyła je zdecydowanym ruchem.

- Jestem sir Oliver Birch z londyńskiej korporacji prawniczej Middle Temple. Przybywam w imieniu hrabiego Stanmore.

- Co mogę dla pana zrobić, panie Birch?

- Mam zabrać Jamesa Samuela Wakefielda, przyszłego hrabiego Stanmore, do Anglii.

Rebeka przez chwilę mierzyła go wzrokiem, po czym z całej siły zatrzaskała drzwi.



## 4

### *Londyn*

Patrząc, jak kochanek naciąga białą jedwabną koszulę na szerokie ramiona, Louisa Nisdale odęła usta w charakterystycznym grymasie i przeciągnęła się jak kotka w zmiętej pościeli ogromnego łoża.

Czuła się rozleniwiona i zaspokojona, ale znajomy widok Stanmore'a opuszczającego jej dom zaraz po tym, jak się kochali, zawsze przyprawiał ją o niezadowolenie. Jak zwykle doznała rozczarowania, ale starannie je ukryła i zrobiła wszystko, żeby wyglądać łagodnie i kusząco.

Nie miała nic przeciwko temu, żeby go błagać o zostanie, ale nie zamierzała ulec impulsowi. Była na to za sprytna. Nie chciała znaleźć się na długiej liście jego porzuconych kochanek. Całe trzy lata swojego żalosnego małżeństwa i pierwsze dwa lata wdowieństwa poświęciła na baczne, ale dyskretne obserwowanie Samuela Wakefielda. Hrabia Stanmore otwarcie gardził kobietami mdlejącymi na jego widok i odnosił się z wyższością wobec mężczyzn o równej mu pozycji, zwłaszcza wobec tych, którzy próbowali wciągać go w ulubione zajęcia nierobów z wyższych sfer: picie, hazard i rozpustę. Najwyraźniej uważał, że te rozrywki są poniżej jego godności.

Nie, lord Stanmore bardzo poważnie traktował swoją działalność polityczną. Dawny bohater wojny siedmioletniej został szanowanym członkiem Izby Lordów, zachowywał się jak prawdziwy arystokrata i był wielce dumny ze swoich przodków, którzy służyli królom od czasów Williama Zdobywcy.

Co ważniejsze, cechowała go hojność dla przyjaciół. Tę zaletę Louisa szczególnie w nim ceniła ze względu na swoje zamiłowanie do hazardu i rozrzutności.

To jest jak najlepsza gra, pomyślała. I świadectwo jej zręczności, ponieważ mijał już miesiąc rozkoszy, a żadne oznaki nie zapowiadały końca romansu.

Podniesiona na duchu tymi myślami przesunęła się na brzeg łóżka. Miała stąd dobry widok na lustro, w którym odbijała się przystojna twarz hrabiego wiążącego fular przy blasku świecy. Gdy kochanek powiódł wzrokiem po jej nagich plecach i pośladkach, ogarnęło ją miłe ciepło. Podparła się na łokciu, odsłaniając piersi.

- Jeśli chodzi o zaproszenie lady Mornington na piątek... - Louisa wolno zgarnęła jedną ręką długie blond włosy i opadła na poduszki, po czym niedbale skopała przykrycie z nóg. Oczy Stanmore'a śledziły ją w lustrze. - Mógłbyś przyjść do mnie o szóstej trzydziści? Wolałabym pojechać tam z tobą i...

- Już odpowiedziałem odmownie na zaproszenie lady Mornington.

- Ale ona jest moją dobrą znajomą. Będzie bardzo rozczarowana, jeśli się nie zjawimy.

Stanmore odsunął się od lustra i sięgnął po kamizelkę.

- Mówię o swoich planach. Ty oczywiście możesz pójść, jeśli chcesz.

- Nie rozumiem, co masz przeciwko tej miłej kobiecie. To piąte zaproszenie, które odrzucasz w tym miesiącu.

- Nawet gdyby było pięćdziesiąte, i tak bym go nie przyjął. Nie interesują mnie domy gry ani sam hazard.

- Ale ona nie tylko grę w karty oferuje swoim gościom. Jest szanowaną...

- Nie idę.

Louisa usłyszała subtelną, ledwo dostrzegalną zmianę w tonie kochanka. Stanmore nie podniósł głosu, ale wyrażnie zabrzmiała w nim niebezpieczna nuta.

- Jak sobie życzysz - rzuciła bez urazy, z wdziękiem wstała z łóżka i podeszła do niego wolno.

Wiedziała, że potrzebuje zaledwie chwili, żeby hrabia znowu skupił wzrok na jej ciele i docenił jego wdzięki. Lecz Stanmore wyglądał na nieobecnego duchem, wręcz obojętnego, co zaniepokoiło ją bardziej, niż była gotowa się przyznać. Miała jednak duszę hazardzisty, więc zdjęła z poręczy krzesła cienki szlafrok z najczystszonego jedwabiu i otuliła się nim szczelnie.

- Po prawdzie wpadłam na lepszy pomysł. - Musnęła kark kochanka, przytuliła się, otarła o niego lubieżnie. Szlafrok się rozchylił i Louisę przeszył dreszcz, gdy jej miękka skóra dotknęła szorstkiego materiału surduta, gdy poczuła mocne uda w obcisłych spodniach. - Ty i ja... sobotni wieczór... spacer po ogrodach Ranelagh. Kiedy będziemy przechodzić obok stolików, przy których towarzystwo będzie siedzieć przy herbacie, możesz mi szeptać do ucha brzydkie rzeczy, opowiadać, co chciałbyś ze mną robić. Ja z kolei...

- Nie, chyba nie.

Odsunął ją delikatnie, ale zdecydowanie i ruszył do drzwi. Louisa błyskawicznym gestem chwyciła go za rękaw.

- Nie musimy nigdzie iść - rzuciła pospiesznie, starając się zapanować nad paniką. - Możemy tutaj...

- Wyjeżdżam na kilka dni do Hertfordshire. Zobaczymy się w przyszłym tygodniu.

Przez chwilę patrzyła na niego bez słowa. Gdy nachylił się i pocałował ją w czoło, omal nie krzyknęła, żeby wzięła ją ze sobą. Miała jednak dość rozsądku, by w porę ugryźć się w język. Objęła go za szyję i podała mu usta do pocałunku.

Stanmore uwolnił się z jej ramion i sięgnął do klamki. Louisa poczuła, że krew napływa jej do twarzy,

- Rozumiem. Jesteś niezadowolony, bo masz dość czekania. To już kilka miesięcy, tak?

Hrabia znieruchomiał i obejrzał się powoli. W głębi jego czarnych oczu dostrzegła ogniki i zwiertżyła niebezpieczeństwo. Posunęła się za daleko, ale już nie mogła się wycofać.

- Co trwa kilka miesięcy?

Jego głos był cichy i lodowaty. Louisa otuliła się szlafrokiem.

- Słyszałam... różne rzeczy. - Nie wytrzymała jego spojrzenia. Opuściła wzrok i zaczęła bawić się paskiem. - Ja tylko chciałam ci powiedzieć, że rozumiem i że zawsze możesz na mnie liczyć.

Posłała mu uśmiech. Miała nadzieję, że przekonujący.

- Co dokładnie słyszałaś?

Louisa roztarła ramiona, bo nagle zrobiło się jej chłodno. Stanmore czekał na odpowiedź.

- Wciąż docierają do mnie różne plotki. Podobno wysłałaś kogoś do kolonii... żeby odzyskać syna. Wszyscy o tym mówią. Wiesz, jak ludzie potrafią gadać. To pewnie będzie dla ciebie trudne po dziesięciu latach... oczywiście jeśli Elizabeth również zdecyduje się wrócić...

Słowa zamarły jej na wargach, gdy w oczach kochanka pojawił się wyraz, jakiego nigdy u niego nie widziała. Jego twarz wyglądała teraz jak wyciosana z granitu. Louisa bezwiednie cofnęła się o krok.

- Ja tylko... martwię się o ciebie.

- Martwisz się? - Ledwo dostrzegalnie pokręcił głową i mówił dalej zimnym, spokojnym tonem: - Czerpiemy nawzajem przyjemność ze swojego towarzystwa, ale nie sądz, że łączy nas coś więcej. Nie pomyśl się co do charakteru naszego związku. - Odwrócił się i szarpnięciem otworzył drzwi. - A na przyszłość nie wtrącaj się do moich spraw. Nigdy!

Louisa Nisdale oparła się o krawędź łóżka i przez długą chwilę patrzyła na zamknięte drzwi. Tę potyczkę przegrała, ale jeszcze nie poniosła ostatecznej klęski.

O, nie. Latami obmyślała swoją strategię i nie zamierzała z niej zrezygnować. Nawet gdyby zdobycie lorda Stanmore wymagało wielu bitew, z tej kampanii się nie wycofa.

Ani teraz. Ani nigdy.

## *Filadelfia*

Wściekłość i gniew, niczym dwie istoty o żelaznych pazurach, szarpały wnętrzości Rebeki, kiedy się odwróciła i spojrzała na zaskoczoną przyjaciółkę. Rozległo się następne pukanie.

- Odpraw go, Molly! Niech zostawi nas w spokoju. Powiedz mu... - Gorące łzy stoczyły się po jej policzkach, gardło ścisnęło na widok przerażonego Jameya, który w tym momencie wyjrzał z sypialni. - Powiedz mu, że się pomylił.

Kolejne pukanie, bardziej natarczywe.

- O co tu chodzi, kochanie? - zapytała Molly.

Rebeka potrząsnęła głową i ruszyła w stronę syna.

- Odeślij go, proszę.

- No, dobrze. Zrobię, co się da.

Jamey otoczył ją rękami w talii i ścisnął mocno niczym stalowymi obręczami. Rebeka wciągnęła go szybko do sypialni i zamknęła drzwi.

- To był ten sam człowiek. Ten, który mnie zatrzymał na ulicy i zadawał pytania. On mnie zabierze. Sam mi to powiedział. Ale ty mu nie pozwolisz, prawda, mamo?

- Nie pozwolę, skarbie. Nikt mi cię nie zabierze.

- Obiecuj, że mnie nie oddasz.

Rebeka uklękła przed synem i spojrzała mu w oczy.

- Obiecuję. Nikomu. Jesteśmy rodziną.

2 niebieskich oczu chłopca wylały się łzy, ale kiedy Rebeka chciała porwać go w objęcia, zacisnęła palce na jej ramionach i przeszył ją wzrokiem.

- Obiecuj, że mnie obronisz i zatrzymasz!

Rebeka miała wrażenie, że ostre szpony rozrywają jej serce, ale opanowała się i skinęła głową.

- Obiecuję, kochanie.

Chłopiec przytulił się do niej, pełen zaufania, które nieopatrnie w nim zaszczepiła. Nie, skarciła się natychmiast. Nie jest źle, kiedy dziecko ufa własnej matce, a Jamey był jej synem. Elizabeth sama włożyła noworodka w jej ramio-

na i wymogła na niej obietnicę, że będzie go kochała jak własnego. Był jej synem, bo wychowała go od maleńkości. Należał do niej od dnia, kiedy stanęła przy relingu statku i patrzyła, jak szarozielone wody Atlantyku przyjmują ciało jego matki.

Ręka jej drżała, kiedy głaskała włosy i plecy Jameya, pocieszała go jak przez ostatnich dziesięć lat. Był jej synem i nigdy nikogo nie kochała bardziej niż jego.

Przerażała ją myśl, że mogłaby go stracić.

Została przy nim i mówiła kojące słowa, aż zabrakło mu łez. Chłopiec siedział obok niej na łóżku, opierając głowę o jej ramię, i stopniowo się uspokajał. Tulił do siebie stary szal, oczy mu się zamykały. Rebeka go obejmowała, a dotkliwy smutek ścisnął jej krtań.

Molly zaglądała do nich kilka razy. Najpierw szepnęła, że odesłała uczniów, którzy przyszli na popołudniowe lekcje, kiedy indziej cicho zaproponowała obiad, ale przyjaciółka tylko potrząsnęła głową.

Poczuła ulgę, kiedy nastał wieczór. Była wdzięczna, że syn nie zadawał pytań innych niż te, na które mogła mu odpowiedzieć.

Jakiś czas później, kiedy Jamey zasnął, położyła go delikatnie i przykryła, a następnie stanęła nad nim i przez długą chwilę go obserwowała. Gdy nad miastem zapadła noc, jej duszę również ogarnęła ciemność. Rozpacz i strach.

W pewnym momencie usłyszała ciężkie kroki Molly na schodach.

- Wyglądasz jak trup dwa razy pogrzebany i wykopany - stwierdziła przyjaciółka na jej widok.

Rebeka za bardzo cierpiała, żeby się uśmiechnąć. Przycisnęła palce do zapuchniętych szparek, które kiedyś były jej oczami. Następnie podeszła do okna i zamknęła je przed demonami, które się za nim czaiły. Oparła czoło o chłodną szybę i próbowała odpędzić wielką żalność zalewającą jej serce.

- Przyniosłam wam kolację. Posłałam Tommy'ego do pani Parker. Nie ma to jak świeży rogalik...

- Och, Molly! - wybuchnęła Rebeka, odwracając się od okna. - Co mam zrobić?

Mimo wielkiego brzucha przyjaciółka wzięła ją w objęcia i utuliła. Minęła dłuższa chwila, zanim Rebeka odsunęła się i pozwoliła zaprowadzić do ławy. Usiadły na niej obie.

Tyle rzeczy domagało się wyjaśnienia. Dziesięć lat okłamywała tę kobietę, która przyjęła Jameya i ją jak członków rodziny. Wprawdzie dezaprobata przyjaciółki nie była teraz jej największym zmartwieniem, ale mimo to nie wiedziała, od czego zacząć.

- Wiem, że Jamey nie jest twoim synem, kochanie.

Rebeka gwałtownie podniosła głowę i ze zdziwieniem spojrzała na Molly.

- Domyśliłam się prawdy, kiedy tamtego lata przyjechałaś z Nowego Jorku wozem pana Butlera. Widziałam, że trzymasz malca jak najdelikatniejszą porcelanę, a nie jak dziecko z krwi i kości. Bardziej obchodziło cię to, żeby się nim właściwie zajmować, niż twój własny los i wszystkie nieznanne rzeczy w obcym mieście. Od razu zrozumiałam, że go nie urodziłaś.

- Ale nic nie powiedziałaś! Pozwoliłaś mi kłamać przez cały czas.

- A kim ja jestem, żeby się wtrącać i niepokoić kobietę, która dba o biedne dziecko? - Molly uśmiechnęła się i odgarnęła kosmyk z twarzy przyjaciółki. - Widziałam, jak bardzo go kochasz, nie zważasz na jego zniekształconą rączkę, nie przeszkadzają ci jego wrzaski, dostatecznie głośne, żeby obudzić umarłego. - Potrząsnęła głową i uściśnęła jej dłoń. - Byłaś dla niego dobrą matką. Lepszą niż niejedna rodzona. Jesteś najciężej pracującą kobietą, jaką znam, Rebeko Ford... czy jak tam się nazywasz. Byłaś i jesteś najlepszą przyjaciółką, jaką można mieć, błogosławieństwem dla całej mojej rodziny. Parę razy musiałam sięgnąć po wałek do ciasta, żeby nie stała ci się krzywda, choć nie zamierzałam ci tego mówić.

- Wałek do ciasta?

- Tak, mój pan Butler omal nie dostał nim po swoim zakutym łbie, ale sam sobie na to zasłużył. Ma duszę swata, wiesz.

- Pan Butler? - Rebeka uśmiechnęła się mimo woli.

- Właśnie on, kochanie. Wciąż powtarzał, jaka to szkoda, że młoda dziewczyna tak ciężko pracuje na utrzymanie. Sądził, że jesteś wdową, więc nie powinno być kłopotu ze znalezieniem ci dobrego męża. Mogłaś sobie opowiadać te wszystkie historie o nieżyjącym panu Fordzie, ale ja czułam, że jesteś... niewinna, jeśli chodzi o mężczyzn. Ciekawe, jak byś w noc poślubną wyjaśniła ten drobiazg, mając dziecko, które uchodzi za twoje?

Rebeka oblała się rumieńcem.

- Wiesz, że nie poświęciłam ani minuty na szukanie męża... i nigdy tego nie zrobię.

- Dokładnie to samo mówiłam panu Butlerowi. A nawet gdybyś szukała, to nie znam żadnego mężczyzny godnego ciebie. Mężczyzny, który dorównywałby ci wykształceniem, rozumem czy obyciem. Zresztą sama dobrze wiesz.

Rebeka puściła rękę Molly i wstała.

- Mam teraz poważniejsze kłopoty niż szukanie męża. - Zerknęła z niepokojem na zamknięte drzwi sypialni. - Ten prawnik... Co ci powiedział?

- Zamierzałam wyrzucić go na ulicę, ale okazał się dżentelmenem. Nigdy nie słyszałam, żeby Anglik za coś przeproszał, a ten gość był dla mnie uprzejmy jak dla samej królowej. Wierzę, że szczerze żałuje tego, jak cię w pierwszej chwili potraktował. - Molly zmarszczyła brwi. - Tak czy inaczej on mówi poważnie, kochanie.

Rebeka spojrzała na nią błagalnie.

- Co zamierza?

Przyjaciółka milczała przez chwilę, wyraźnie zatroskana.

- Zabrać Jameya do Anglii. Twierdzi, że chce sprawę załatwić po cichu i w sposób, jak się wyraził: „uzgodniony wspólnie przez zainteresowane strony”. Od razu widać, że



prawnik. Zatrzymał się w gospodzie Pod Martwym Lisem. Masz po niego przysłać, kiedy będziesz gotowa do rozmowy. To rzeczywiście prawda? Że Jamey jest synem hrabiego, i tak dalej?

Rebeka poczuła pieczenie w oczach.

- Nie wiem, znałam tylko jego matkę - odparła, podchodząc do okna. - Nazywała się Elizabeth Wakefield. Umarła na statku płynącym do Ameryki. Była młoda i piękna.

- Co robiła na tym statku sama? Bez męża?

Rebeka potrząsnęła głową.

- Tego mi nie powiedziała. Odniosłam jednak wrażenie, że od niego uciekła. Jamey miał *zaledwie* jeden dzień, kiedy ją poznałam. Pani Wakefield była bardzo słaba, lecz zabroniła mi pójść po pomoc, póki nie znajdziemy się daleko na morzu. W końcu zemdląca. Całe szczęście, że na pokładzie był lekarz. Sprowadziłam go, ale już nic nie mógł zrobić. Elizabeth oddała mi Jameya i umarła.

Ujrzała w szybie obraz, który wrył się jej w pamięć: szary świt, białe grzywy fal na wzburzonem morzu, kwilący noworodek w ramionach, ciało jego matki owinięte w całun.

Pamiętała również smak soli w ustach i swój wielki smutek, kiedy obserwowała, jak dwaj marynarze uroczyście opuszczają zmarłą za burtę. Mając za sobą straszne przeżycie, a przed sobą niepewną przyszłość, przez chwilę myślała o tym, żeby sprzeniewierzyć się danej obietnicy i rzucić w morską otchłań.

Ale wtedy dziecko nagle przestało płakać i spojrzało na nią ciemnoniebieskimi oczkami. Osierocone i przeraźliwie bezradne. Jeszcze nikt tak bardzo nie potrzebował Rebeki Neville, nie był od niej całkowicie uzależniony. Aż do tamtej chwili.

- Wychowując dzieci, dajemy im kawałek swojego serca - dobiegł z tyłu łagodny głos Molly. - A one go zabierają, gdy dorastają i odchodzą z domu. To boli, kochanie, nieważne, ile mają lat. Boli zawsze, kiedy odchodzą.

Rebeka patrzyła na własne odbicie w szybie, łzy spływa-

ły po jej bladej twarzy, usta drżały. *Zakryła* je ręką, żeby zdusić szloch.

- Odkąd cię znam, pragnęłaś dla Jameya wszystkiego, co najlepsze. Walczyłaś, żeby znaleźć dla niego szkołę, zapewnić mu los lepszy niż robotnika, w pocie czoła zarabiającego na życie. Nie rozumiesz, kochanie? Dobry Bóg próbuje ci pomóc!

Rebeka nie odwróciła się do przyjaciółki, tylko potrząsnęła głową.

- Ten prawnik mówi, że twój Jamey jest synem hrabiego... Nie kupca, nie rzemieślnika, nawet nie urzędnika, lecz samego para. Przy całej miłości, którą masz dla tego chłopca, jak możesz mu odmówić takiej przyszłości?

Rebeka przycisnęła dłonie do skroni. Nagle rozboleła ją głowa. Tymczasem Molly podeszła i dotknęła jej ramienia.

- Tyle musiał znosić z powodu swojej ręki i głuchoty, a teraz chcesz pozbawić go wielkiej szansy, dziewczyno?

Była samolubna. Chciała go mieć dla siebie. Pragnęła opiekować się nim do końca życia. Słowa Molly skruszyły jej mur obronny, roztrzaskały serce na kawałki.

- Wiem, że nie wolno mi pozbawiać go tego, co mu się należy! - krzyknęła, odwracając się od okna. - Ale nie mogę też tak po prostu powierzyć Jameya temu hrabiemu. A jeśli jest złym człowiekiem? Ostatecznie żona od niego uciekła. Jeśli jego zamiary wobec syna nie są takie szlachetne, jak chcemy wierzyć?

- W takim razie lord Stanmore wydal dużo pieniędzy, żeby skrzywdzić biednego chłopca. - Molly przekrzywiła głowę. - To nie ma sensu, kochanie.

- Przecież nie znasz tych ludzi! - wybuchnęła Rebeka. - Nigdy nie oddam Jameya człowiekowi, którego nie znam. Wysoka pozycja niekoniecznie wiąże się z honorem. Wiem, że najbardziej uprzywilejowani potrafią być najpodlejsi. - Zaczęła spacerować po pokoju. - Ten lord Stanmore nawet nie wie, że z jego synem jest coś nie w porządku. A jeśli Jamey tam pojedzie i nie spodoba się hrabiemu?

Pomyśl, jak będzie cierpieć, gdy wyślę go do ojca, którego w życiu nie widział, i zostanie przez niego odtrącony. Nie mogę pozwolić...

- Więc jedź razem z Jameyem - przerwała jej Molly. - Popłynij z nim do Anglii i sama się upewnij, że nic mu nie grozi.

- Ja... - Rebecce raptem zapało dech, jakby wokół jej szyi zacisnęła się pętla.

- Ten prawnik wygląda na rozsądnego człowieka - ciągnęła przyjaciółka. - Jeśli mu powiesz o swoich wątpliwościach, na pewno zapłaci za twoją podróż. Poza tym wydaje mi się, że pan Butler ma co nieco odłożone na czarną godzinę.

Rebeka opadła na ławę. Widziała siebie wybiegającą z londyńskiego domu sir Charlesa Hartingtona, czuła na rękach gęstą, ciepłą krew. Odruchowo wytarła je o suknię.

- To jedyny sposób, żebyś była zadowolona, kochanie. - Molly usiadła obok niej na ławie. - Nie masz tu nic, czego nie mogłabyś zostawić na pół roku... albo nawet na rok. Jeśli chcesz, popilnujemy twojego mieszkania i rzeczy.

Rebeka oparła łokcie na kolanach i ukryła twarz w dłoniach. Teraz miała przed oczami tylko zapłakaną twarz Jameya.

„Nie oddawaj mnie, mamó. Obiecuj, że mnie zatrzymasz”.

- To jest najlepsze wyjście, Rebeko. Po prostu musisz sama zawieźć Jameya ojcu.

## 5

### *Londyn*

Gdy w klubie przy Marylebone Street rozeszła się wieść o pojedynku, bywalcy czym prędzej opuścili salę treningową i pobiegli na galerię, bynajmniej nie z troski o własne bezpieczeństwo. Po kilku minutach utworzyły się frakcje, rozległy okrzyki zagrzewające faworytów do boju, postawiono pierwsze zakłady. Stawki nierzadko sięgały kilku tysięcy funtów, ponieważ obaj walczący mieli za sobą imponujące doświadczenie wojskowe.

- Pięć statków! - rzucił przez zęby wyższy mężczyzna, robiąc wypad.

- Obiecałem tylko jeden - przypomniał Nathaniel, parując cios.

Ryk widzów zagłuszał ich słowa.

- A co za różnica? Praca będzie taka sama.

Wśród szczęku stali z ostrzy posypały się iskry.

- Jeden można uznać za przypadek. - Tym razem zaatakował Nathaniel i szybko zapędził przeciwnika w drugi koniec sali. - Zniszczenie pięciu wezmą za otwartą wojnę.

Przewaga okazała się tylko chwilowa, bo wyższy szermierz wykonał zręczny unik, a następnie sam przypuścił szarżę ku wielkiej ucieście gapiów.

- Wojna zostałaby wypowiedziana dopiero wtedy... gdybyśmy całą ich flotę... choć jest potężna... puścili z dymem. Ale skoro już o tym wspomniałeś...

Teraz z kolei sir Nathaniel Yorke, inspektor mary-

narki królewskiej, cofał się pod naporem przeciwnika.

- Dziwię się, że jeszcze tego nie spróbowałeś, draniu.

Postawny arystokrata atakował bez wytchnienia.

- To barbarzyństwo rujnować ludzkie życie dla kilku sztuk złota.

- Wszyscy znają twoje poglądy.

- Jest już w parlamencie sporo osób, które mnie popierają. Wkrótce ustawa zakáže tego niecnego procederu.

Nathaniel przystąpił do kontrataku, ale rywal nie ustąpił pola i nagle obaj znaleźli się twarzą w twarz. Rozdziały ich tylko skrzyżowane szable.

- A jak parlament zareaguje na konfiskatę pięciu nowych statków? - wysapał Yorke.

- Niech reaguje, jak chce, ale ja nadal będę tępił tych przeklętych handlarzy niewolników, aż w końcu żadna stocznia w Anglii nie przyjmie od nich zlecenia, choćby nie wiadomo ile płacili.

Inspektor błyskawicznym ruchem pchnął w dół broń oponenta, przytrzymał ją i zapytał ściszoneg głosem:

- Nie boisz się konsekwencji? A jeśli prawda wyjdzie na jaw? Wiesz, że ja też potępiam niewolnictwo, ale co będzie, jeśli twoje nazwisko zostanie powiązane z kampanią terroru, która już tak dużo kosztowała handlarzy żywym towarem? Masz wiele do stracenia!

- Nie mam nic do stracenia.

Szabla Yorke'a nagle poszybowała w górę i z donośnym brzękiem upadła na podłogę, a ostrze broni przeciwnika dotknęło jego piersi. Galeria eksplodowała wiwatami.

- Pięć nowych statków, Nathanielu! Skonfiskowanych przez moich ludzi i zakotwiczonych pod Gravesend. Będą tam stały o świcie w następnym piątek.

- Serce mi się kroi na myśl o zniszczeniu tylu pięknych brytyjskich okrętów. - Yorke odepchnął szablę rywala dłonią w rękawiczce i otarł pot z twarzy. - Ale cóż, to wszystko w słusznej sprawie. Poza tym naszej flocie niewątpliwie przydadzą się ćwiczenia w strzelaniu do celu!

Jego decyzję nagrodziło przyjacielskie klepięcie w ramię.

- Jesteś dobrym człowiekiem, Nathanielu, mimo słabości do ciosów poniżej pasa.

- A ty, Stanmore, masz serce! - Yorke z krzywym uśmiechem wziął szablę od służącego. - Czy to nie byłoby szokiem dla licznego grona kobiet, które twierdzą, że jesteś go pozbawiony?

### *Filadelfia*

Rebeka zadrżała i szczerzej otuliła się szalem, choć wieczór wcale nie był chłodny.

Drzwi gospody Pod Martwym Lisem stały otworem, na błotnistą ulicę wylewały się tony skrzypiec i chóralne śpiewy. Salę zapełniali podróżni oraz miejscowi robotnicy. Wszyscy zgodnie wymachiwali kufłami piwa i szklanicami cydru do rytmu starej pieśni. W pewnym momencie z kuchni wyszła Annie i ruszyła między stolikami, zręcznie balansując talerzami z gulaszem baraniną.

Szyld przedstawiający lisa osaczonego pod drzewem przez dwa ogary lekko kołysał się na wietrze. Rebeka spojrzała na malunek, wzięła głęboki oddech i powoli ruszyła po schodkach.

- Pani Ford! - zawołała na jej widok żona szynkarza. - Wszystko w porządku? Molly zaczęła rodzić?

Nellie Fox, niegdyś akuszerka, była nadal od czasu do czasu wzywana przez okolicznych mieszkańców.

- Nie, jeszcze nie przyszedł jej czas - odparła Rebeka. - Muszę się zobaczyć z tym dżentelmenem z Anglii. Powiedziano mi, że się tu zatrzymał. Sir Oliver... Oliver Birch.

Kobieta uśmiechnęła się szeroko.

- Tak, jest u nas i dobrze płaci. Niedawno udał się do swojego pokoju. Nie wiedziałam, że pani go zna.

- Nic nas nie łączy. Po prostu mamy pewną sprawę do omówienia. - Odsunęła się na bok, przepuszczając dwóch nowych gości. Obaj mężczyźni ukłonili się jej z szacun-

kiem. - Czy to nie będzie za duży kłopot, jeśli pośle pani kogoś na górę, by zawiadomił tego dżentelmena, że na niego czekam?

- Ależ skąd, pani Ford.

Nellie Fox natychmiast przywołała jednego z posługaczy i wydała mu stosowne polecenie.

Rebeka jej podziękowała i usiadła na brzegu ławy stojącej tuż przy wejściu. Wolała nie myśleć o czekającym ją spotkaniu, bo bała się, że straci odwagę i ucieknie.

W głębi sali, obok spiżarni urządzonej we wnęce, stał Efraim Fox. Przez drewniane kraty sięgające sufitu Rebeka widziała beczki ułożone pod ścianą i wędzone mięso wiszące na hakach. Właściciel gospody nalewał cydr z dużej dzbanki do kilku kubków i zerkał na skrzypka, który wesoło przygrywał zebrany.

Rebeka rzadko zachodziła do gospody, jedynie z okazji sąsiedzkich spotkań, które od czasu do czasu tu się odbywały. Ale tak długo mieszkała w pobliżu, że znała właściciela, jego żonę oraz paru bywalców na tyle dobrze, żeby czuć się bezpiecznie. Tymczasem skrzypek skończył melodię, otarł twarz rękawem i usiadł przy stole, gdzie Annie postawiła mu kolację.

Rebeka przećwiczyła sobie wcześniej, co powie prawnikowi, ale kiedy zobaczyła wysokiego starszego mężczyznę wchodzącego do sali, ogarnął ją paniczny strach.

- Pani Ford, jestem wdzięczny, że przybyła pani tak szybko.

Rebeka wstała i ukłoniła się z lekkim wahaniem. Wcześniej, w nikłym świetle klatki schodowej swojego domu, nie widziała go dokładnie. Dopiero teraz mu się przyjrzała. Sir Oliver Birch okazał się młodszy, niż sądziła, i miał szare oczy o łagodnym, przyjaznym spojrzeniu. Gestem pokazał, żeby usiadła, a sam zajął krzesło naprzeciwko niej.

- Mam nadzieję, że przyjmie pani moje szczerze przeprosiny za najście. Powinienem był najpierw wysłać list. - Zrobił pauzę, a kiedy skinęła głową, ciągnął dalej: - Dostałem od lorda Stanmore pełnomocnictwo do działania w jego

imieniu i zamierzam wykonać zadanie, które jego lordowska mość mi powierzył. Od razu przekażę pani od niego wyrazy wdzięczności za to, jak pani dbała o jego syna. Przedstawię pani również jego plany wobec Jamesa oraz pozwolę sobie wspomnieć o nagrodzie, której może pani oczekiwać za...

- Muszę coś wyjaśnić, sir Oliverze. Za to, co robiłam dla Jameya przez ostatnie lata, nie oczekuję żadnej nagrody ponad tą, którą już dostałam. - Rebeka z trudem panowała nad emocjami. - Pokochałam go jak własnego syna i jestem jedyną matką, jaką znał. Nic nie jest w stanie zastąpić radości, jaką wniósł do mojego życia. - Prawnik patrzył na nią z zamyśloną miną. - A jeśli chodzi o oczekiwania pańskiego klienta, powiem wprost, że jeszcze nie dostałam żadnego dowodu na to, że Jamey jest synem hrabiego Stanmore.

- Chętnie dostarczę stosowne dokumenty, jeśli pani sobie tego życzy.

- Później, jeśli można. Po prawdzie nie widzę powodu, dla którego ktoś miałby występować z tego rodzaju roszczeniami, gdyby były bezpodstawne.

Umilkła, gdy do ich stolika zbliżyła się Annie i zaproponowała coś do picia. Rebeka podziękowała, Birch wyraził chęć na piwo.

- Proszę mówić dalej - rzekł po chwili, najwyraźniej zadowolony z obrotu rozmowy. - Przyznam, że opuszczając Anglię, żywiłem poważne obawy co do mieszkańców kolonii. Nawet pani nie przypuszcza, jak się ucieszyłem, kiedy poznałem taką osobę jak pani.

- W każdym razie zastanawia mnie... - W tym momencie Annie przyniosła kufel i postawiła go przed prawnikiem. - Może mnie pan oświeci, dlaczego upłynęło prawie dziesięć lat, zanim hrabia Stanmore rozpoczął starania o odzyskanie syna?

- Jego lordowska mość nie wiedział o śmierci żony, bo inaczej, zapewniam panią, wcześniej posłałby po Jamesa. A czy teraz ja mogę zadać pewne pytanie, pani Ford? Dla-



czego przez dziesięć lat nie oddała mu pani syna, choć pani wiedziała, że zmarłą pasażerką była żona lorda Stanmore?

Rebeka poczuła, że twarz jej plonie.

- Nie wiedziałam o istnieniu lorda Stanmore. I niestety nie miałam okazji poznać jego żony.

Prawnik przeszył ją wzrokiem.

- Więc jak została pani opiekunką jej dziecka?

- Ja... - Rebeka wsunęła dłonie w fałdy spódnicy, żeby ukryć ich drżenie. Łagodność do tej pory malującą się w szarych oczach Bircha zastąpił badawczy wyraz. - Na tamtym statku płynęła moja krewniaczka. O ile wiem, matce Jameya nikt nie towarzyszył, nawet służąca. Jak pan zapewne rozumie, nikt nie przypuszczał, że samotnie podróżująca kobieta może być żoną hrabiego. Kiedy zachorowała na morzu i umarła, nie miał kto zająć się dzieckiem.

- Rozumiem. - Sir Oliver sięgnął po kufel. - A mogę zapytać, czy była pani już mężatką, kiedy powierzono pani Jamesa?

- Byłam zaręczona. Wiedziałam, że wkrótce wyjdę za mąż.

- I nie bała się pani odpowiedzialności?

- Oczywiście, że nie! Pan Ford i ja z radością przyjęliśmy malca. To smutne, że mój drogi mąż zmarł wkrótce po naszym ślubie.

- Samotnie wychowała pani dziecko! I ani razu nie przyszło pani do głowy spróbować odnaleźć jego rodzinę? Na przykład napisać list do kapitana statku...

- Jak już wspomniałam, ta kobieta podróżowała samotnie. - Tym razem Rebeka nie starała się ukryć gniewu. - Kapitan wiedział jedynie, że na jego statek wsiadła pewna dama z nowo narodzonym dzieckiem. Proszę postawić się na moim miejscu i odpowiedzieć sobie na pytanie: jaki mąż pozwoliłby żonie uciec z noworodkiem?

- Zakłada pani oczywiście, że ona uciekła.

- Tak. A jeśli nie uciekła, dlaczego mąż czekał dziesięć lat, żeby zainteresować się losem jej i syna?

Prawnika najwyraźniej zbiła z tropu jej bezpośredniość.

- Niestety nie mogę zaspokoić pani ciekawości w tym względzie.

- Więc na tym skończymy naszą rozmowę, sir Oliverze. Otwarciem przyznaję, że nie urodziłam Jameya, ale nie pozwolę obcemu człowiekowi zabrać go do nieznanego ojca, choćby nowe życie niosło mu nie wiadomo jakie korzyści.

Z godnością wstała od stolika. Birch również się zerwał i gestem pokazał jej ławę.

- Proszę usiąść, pani Ford. - Mówił spokojnym, pojednawczym tonem. - Ostatnią rzeczą, jakiej bym sobie życzył, jest zniechęcenie pani do mnie jeszcze bardziej, niż to zrobiłem po południu. Wyjaśnię tyle, ile mogę. I proszę wybaczyć, że zmuszałem panią do tłumaczenia się z tego, co pani zrobiła czy nie zrobiła wiele lat temu. - Jego oczy znowu złagodniały. - Widziałem Jamesa. Wiem o jego... jeśli mogę być bezpośredni, fizycznej ułomności. Może to z mojej strony zbyt duża śmiałość, ale muszę stwierdzić, że wspaniale go pani wychowała.

Rebeka usiadła na skraju ławy. Czuła, że twarz jej płonie. Całe ciało miała napięte jak struna. Czekała.

- Szukanie po całym świecie kobiety i dziecka nie jest łatwym zadaniem, pani Ford. Do niedawna hrabia Stanmore nie wiedział, dokąd uciekła jego żona. W chwili narodzin Jamesa nie było go w kraju.

Na razie jego słowa nie rozwiały obaw Rebeki.

- Powiem pani coś, czego normalnie bym nie wyjawiał, pani Ford, ale w tych okolicznościach... - Birch ściszył głos. - Londyńscy plotkarze mieli doskonałą zabawę po jej zniknięciu. Rozsiewali pogłoskę, że Elizabeth uciekła z... kochankiem. Trudno oczekiwać, żeby jakkolwiek mąż szybko do siebie doszedł po takim skandalu.

W tym momencie skrzypek znowu zaczął grać, ratując Rebekę przed zdradzeniem się. Omal nie wzięła w obronę lady Stanmore, choć wiedziała, że bezpieczniej dla niej jest milczeć.

- Zauważył pan dzisiaj drobną ułomność mojego syna. Czy jego lordowska mość również o niej wie?

- Owszem. Poinformowano go o deformacji rączki dziecka, gdy tylko wrócił do domu.

- A czy wie, że James... słabo słyszy?

W oczach prawnika po raz pierwszy odmalowało się zaskoczenie.

- Ale dziś po południu... wydawał się całkiem...

- Jamey wszystko rozumie, kiedy patrzy mówiącemu na usta. Sądzę, że jest całkiem głuchy na prawe ucho i trochę słyszy na lewe. - Milczenie sir Olivera wzbudziło w niej niepokój. - Czy teraz przysięgnie pan, że pański klient okaże tyle wyrozumiałości, żeby pogodzić się z ułomnościami chłopca i uznać go za syna?

Kiedy Birch się odezwał, jego twarz wyrażała szacunek.

- Mogę panią zapewnić, pani Ford, że hrabia Stanmore jest bardzo honorowym człowiekiem, szanowanym i aktywnym członkiem Izby Lordów. W całej Anglii słynie z uczciwości i szlachetności. Znam go osobiście od ponad dwudziestu lat i rękę za niego głową. Zapewniam, że bardzo dobrze pani postąpi, odsyłając chłopca do Anglii, do jego ojca.

Gdy skończył mówić, Rebeka poczuła się, jakby wolno uchodziło z niej życie. Głos rozsądku z całą mocą podpowiadała: lepiej będzie mu w Anglii, dostanie tytuł, majątek i pozycję. Ale nie chciała być rozsądna. Pragnęła zatrzymać syna. W przypływie rozpaczmyślała nawet przez chwilę, żeby uciec z gospody, wziąć Jameya i pojechać na zachód z grupą osadników, ukryć się na końcu świata.

- Moje zapewnienia mogą się pani wydawać gołosłowne. - Prawnik odsunął kufel i splótł dłonie. - Wiedząc teraz o wszystkich ułomnościach Jamesa, naprawdę rozumiem pani troskę, jak chłopiec poradzi sobie w czasie podróży. Wyczuwam również, że martwi panią, jak pani wychowanek przystosuje się do nowego życia w domu swojego ojca.

Rebeka pokiwała głową, odpędzając od siebie myśl, jaka będzie samotna i nieszczęśliwa, kiedy Jamey wyjedzie.

- Droga pani Ford, pozwolę sobie złożyć propozycję, która być może ułatwi sytuację obu stronom. Gdyby wszystko

poszło zgodnie z planem i bez oporów rozstałaby się pani z Jamesem, zatrudniłbym kogoś, żeby towarzyszył nam w podróży. Sam jestem zdeklarowanym kawalerem i nie mam doświadczenia w postępowaniu z dziećmi. Teraz jednak proponuję, żeby to pani popłynęła z nami do Anglii. - Dostrzegłszy jej konsternację, Birch dodał pospiesznie: - Naturalnie jako honorowy gość hrabiego Stanmore... i mój.

Rebekę nagle ogarnął taki sam strach jak wtedy, gdy Molly wpadła na identyczny pomysł.

- To jedyne sensowne rozwiązanie. I nie musi się pani o nic martwić. Ktoś będzie tutaj doglądał pani spraw w czasie pani nieobecności. Wszystkim się zajmę.

Rebeka nie odezwała się słowem, tylko ścisnęła rękami pulsujące skronie.

- Rozumiem pani obawy i wątpliwości. Są w pełni uzasadnione. - Oliver Birch mówił łagodnym tonem. - Choć pani mnie nie zna, proszę mi zaufać i uwierzyć, że ta podróż okaże się bardzo korzystna dla pani i dla Jamesa. Sama się pani przekona, czy chłopiec trafi pod dobrą opiekę.

Rebeka przełknęła ślinę i wstała powoli.

- Proszę mi obiecać, że przynajmniej rozważy pani moją propozycję. - Sir Oliver również podniósł się z krzesła.

- Nie muszę jej rozważać, sir - wykrztusiła Rebeka. - Nie mam innego wyboru, jak wam towarzyszyć.

## 6

Sir Nicholas Spencer rzucił płaszcz lokajowi i spojrzął na swoje odbicie w lustrze. Zignorował świeże skaleczenie nad prawą brwią i ciemniejszy siniak na wydatnej kości policzkowej, natomiast skupił uwagę na fularze. Po chwili cofnął się zadowolony, przekrzywił głowę i wygładził kłapy nowego surduta. Wysoki, kościsty kamerdyner czekał cierpliwie dwa kroki z tyłu. Wreszcie gość się odwrócił.

- Dzień dobry, Philipie - powiedział. - Dobrze się bawiliście z twoim panem w Solgrave?

- Tak, sir. Lord Stanmore jest w bibliotece.

Nicholas ruszył za starym sługą.

- Czy jego lordowska mość chorował, kiedy byliście w Hertfordshire?

- Nie, sir - odparł kamerdyner, kręcąc głową.

Razem weszli na marmurowe schody, które wspólnie z drugimi, identycznymi, oplatały niczym ramionami ogromny hol.

- Więc może spadł z konia? Zwichnął sobie kostkę?

- Nie, sir - rzekł Philip niezmiennym tonem.

- Hm. Kupił nowego żrebaka?

- Nie, sir.

- Więc musi chodzić o piękną kobietę. No mów, człowieku.

- Nie, sir.

- W takim razie rozpusta! Ten twój pan ścichapek w sekrecie zgromadził na wsi cały harem, prawda?

- Nie, sir.

- A może twój brat Daniel w końcu spalił Solgrave?

- Nie, sir.

Nicholas zatrzymał się na podeście i spojrzął na kamienną twarz sługi.

- Powiedz mi, Philipie, czy kiedykolwiek się uśmiechasz?

- Nie, sir.

Spencer odwrócił się bez słowa i wkroczył do biblioteki przez masywne, misternie zdobione podwoje. Na widok przyjaciela siedzącego za wielkim, biurkiem, ustawionym pod oknem, oświadczył bez powitania:

- Twój kamerdyner jest najbardziej irytującym ponurakiem, jakiego w życiu spotkałem.

Samuel Wakefield podniósł wzrok znad korespondencji i uśmiechnął się do gościa.

- Masz rację! Philip to Philip. Ale nie sądz, że zdołasz go zmienić.

- Słyszę ton wyzwania - stwierdził Nicholas i wskazał głową na drzwi. - Twój majordomus zna mnie od dwudziestu lat. Nie sądzisz, że mógłby mi powiedzieć „dzień dobry”? Lub „jaki przyjemny dzień, sir?” Albo „skąd się wzięła ta brzydka szrama na pańskim czole, sir Nicholasie?” Kłopot z obecnymi czasami polega na tym, że nikt nie zadaje właściwych pytań!

- Jaka ładna szrama, Nicholasie. Kto ci ją zrobił tym razem? - Stanmore odsunął listy i rozparł się na krześle. - Zresztą mniejsza o to. I tak nie znam twoich kompanów. Lepiej powiedz, co cię do mnie sprowadza?

Zamiast odpowiedzieć przyjaciel wziął z biurka egzemplarz „Morning Chronicle” i pokazał artykuł na pierwszej stronie.

- Oto dowód na słuszność mojego spostrzeżenia. Wyobraź sobie, że ten szmatławiec całą zasługę za zatopienie tych pięciu nowych statków przypisuje Johnowi Wesleyowi. Kiedy to było...?

- W zeszły piątek.

- Właśnie. Czy pytają, jak temu maniakowi religijnemu udało się podprowadzić statki niewolnicze prosto pod działa królewskiej marynarki?

- A pytają?

- Nie.

- Cóż, Wesley głośno protestuje przeciwko handlowi żywym towarem.

- Nie w mówisz mi jednak, że modlitwy i dobre intencje wystarczyły, by ukraść nowo zbudowane statki, zanim zdążyły wyruszyć na południe i rozpocząć swój diabelski proceder. - Spencer zmierzył przyjaciela wzrokiem. - Ta-ka sztuczka wymaga drobiazgowego planowania, finezji... i pieniędzy.

- Przyznaję ci rację... w kwestii stawiania właściwych pytań, ale teraz opowiedz o ranie, z którą wyglądasz tak przy- stojnie. Gdzie ją odniosłeś?

Nicholas rzucił gazetę na biurko.

- Jeśli już koniecznie musisz wiedzieć, to w Wimbledo- nie. Te cholerne wiejskie jarmarki nie są już takie jak kie- dyś. Ale zanim zrobisz mi wykład, pozwolę sobie zauważyć, że byłem niewinną postronną osobą... póki nie wepchnięto mnie na ring. Potem już musiałem się bronić.

- Wepchnięto? Ha! Jeszcze nie spotkałem człowieka, który byłby w stanie do czegokolwiek zmusić Nicholasa Spencera, czy to mężczyzny, czy kobiety.

- Skoro już jesteśmy przy tym temacie... - Spencer usiadł na krześle naprzeciwko gospodarza. - Mam nadzieję, że nie szastałeś pieniędzmi w St. Albans.

- Do czego zmierzasz?

- Dobrze, powiem prosto z mostu. W czasie twojej nie- obecności w Londynie twoja ostatnia kochanka była bar- dzo nieszczęśliwa. Po mieście krąży plotka - nie żebym jej słu- chał - że w zeszłym tygodniu wspomniana dama pocie- szała się, wydając ogromne sumy w różnych przybytkach hazardu... większe niż zwykle.

- Louisa i ja zawarliśmy umowę, że nie finansuję jej roz- rywek.

- Mów, co chcesz, ale uważaj, przyjacielu. Ta syrena jest mocno zdesperowana.

- Czy to wszystko, co masz do roboty, Nicholasie? Roznosić plotki?

- Ależ skąd! Prawdę mówiąc, mój kalendarz jest pełny. Na przykład dzisiaj będę bardzo zajęty trenowaniem mojej nowej pary wspaniałych siwków, zanim udam się na wieczór do lady Mornington. Potem zrobię wszystko, by zasłużyć na opinię człowieka światowego i lekkoducha, tracąc pieniądze u White'a albo Brooksa. Jeszcze nie zdecydowałem, gdzie. Ponadto muszę oczywiście spędzić wymaganą godzinę w ogrodach. Co dzisiaj radzisz, Stanmore: Vauxhall czy Ranelagh? Pozostaje jeszcze sport... - Nicholas urwał raptownie i zmierzył przyjaciela wzrokiem. - Coś cię dręczy? Domyślam się, że źródłem twojego zatroskania nie jest zamiłowanie lady Nisdale do hazardu?

Hrabia wstał zza biurka i podszedł do dużego okna wychodzącego na Berkeley Square.

- Hulaszczy tryb życia nie przytępił twojej spostrzegawczości, Nicholasie.

- Mniejsza o moje życie, Stanmore. Za długo cię znam. Powiedz, o co chodzi.

- Dostałem wieść o Elizabeth. - Spencer wyprostował się na krześle. - Oliver Birch przysłał mi list z Nowego Jorku. Udało mu się ją wytropić.

- Więc Elizabeth przez wszystkie te lata mieszkała w koloniach?

Wakefield odwrócił się gwałtownie.

- Umarła w czasie podróży, dziesięć lat temu.

Nicholas powstrzymał się od wyrazów współczucia.

- Birch odkrył, którym statkiem płynęła.

- A co z chłopcem?

- Przeżył.

Na twarzy hrabiego nie widać było szczęścia. Spencer nie dostrzegł również nawet śladu ulgi, choć można by jej oczekiwać po człowieku, który właśnie się dowiedział, że jego zaginiony syn prawdopodobnie żyje.

- Na koniec Oliver napisał, że wybiera się do Pensylwa-



nii. Kiedy ostatnio widziano chłopca, znajdował się pod opieką kobiety, która towarzyszyła Elizabeth w czasie podróży. Ta pasażerka podobno wybierała się do Filadelfii.

- Birch już wie, kto to jest? - Nicholas nie spuszczał oczu z przyjaciela, który odszedł od okna i zbliżył się do dużego kominka, zajmującego jedną ścianę pokoju. - O ile pamiętam, Elizabeth nie wzięła ze sobą żadnej służącej ani nikogo z rodziny czy z kręgu przyjaciół. Nie kontaktowała się z nikim w noc, kiedy zniknęła.

Samuel Wakefield spojrzął na portret ojca, wiszący nad kominkiem.

- Dobrze pamiętasz - stwierdził po dłuższej chwili milczenia. - Nie wiem, kim jest ta kobieta.

Nicholas podążył za jego wzrokiem.

- Więc jaki masz plan?

- Poczekam na następną wiadomość od Olivera, a tymczasem każę przygotować zawiadomienia o śmierci Elizabeth.

- Oczywiście.

Spencer wstał i podszedł do przyjaciela.

- Wiesz, że teraz staniesz się pożądaną zdobyczą?

- Nie dam się usidlić.

- Tak czy inaczej będziesz wyzwaniem dla wszystkich kobiet szukających męża.

- Niech idą do diabła.

- Oburzająca postawa jak na para. - Nicholas z dezaprobatą potrząsnął głową. - Musisz pamiętać, czego od ciebie oczekiwał staruszek. Tytuł i majątek przejąłeś. Na szacunek sobie zasłużyłeś. Piękną żonę miałeś i z pewnością kiedyś znajdziesz następną. Lecz najważniejszy jest syn, dziedzic, prawda?

- Tak - burknął Stanmore. - Ale syn i dziedzic też już jest. Oliver Birch wkrótce przywiezie go do Anglii.

## 7

Słońce grzało mu twarz, nozdrza wypełniała ostra woń smoły, morza i dymu. Słuchając odgłosów, które dobiegały z bristolskiego portu, Stanmore pomyślał z goryczą, że te zapachy chlubnej przeszłości - Anglii Drake'a, Raleigha, Hudsona i Smitha - są typowe również dla niezbyt chwalebnej teraźniejszości.

Z okien pokojów, które Birch wynajął dla nich w gospodzie przy Broad Quay, widać było ruchliwą brukowaną ulicę i nabrzeże pełne ciężkich sań transportowych, załadowanych workami tytoniu, cukru i bawełny. W ogromnym basenie portowym kotwiczyły niezliczone statki. Gęsty las masztów ciągnął się jak okiem sięgnąć.

Przed żaglowcem cumującym na wprost gospody siedzieli skuci łańcuchami Afrykanie, niewolnicy przeznaczeni do pracy na karaibskich plantacjach cukru. Jak zwykle poruszony tym widokiem Stanmore przysięgł sobie w duchu, że nigdy nie zrezygnuje z walki z barbarzyńskim handlem.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Oliver Birch.

- Przepraszam, że kazałem panu czekać, ale ich nie zastałem. Jest piękny dzień, więc pani Ford pewnie zabrała Jamesa na spacer. Zostawiłem jej wiadomość, żeby tutaj przyszła, gdy tylko wróci.

Lord Stanmore znowu wyjrzał na nabrzeże.

W oddali, za mołem zastawionym skrzyniami madery, biegał wokół kobiety w szarym płaszczu rozczochrany urwis w znoszonych niebieskich spodniach i czerwonej ka-

mizelce. Zachowywał się z beztrąską i swobodą dziecka z niższych klas. Hrabia zmarszczył brwi. Jemu nigdy nie pozwalano bawić się w taki sposób. W pewnym momencie chłopiec rzucił się ku matce, a ta złapała go w rozpostarte ramiona. Oboje się przewrócili i wybuchnęli radosnym śmiechem. Stanmore obserwował ich z dezaprobatą.

- Nie jest taka, jak pan się spodziewa.

Wakefield nie odwrócił się do prawnika, tylko wyciągnął szyję, bo akurat kilkoro przechodniów zasłoniło mu tę dwójkę.

- A kogo się spodziewam twoim zdaniem?

- To oczywiście, milordzie. Osoby, którą można kupić. Nie chcę pana urazić, ale myli się pan, sądząc, że pani Ford przyjechała do Anglii, bo w Filadelfii nie zaproponowałem dostatecznego wynagrodzenia za jej usługi.

- Zobaczmy, jak bardzo się myślę, Oliverze.

Gdy ludzie zasłaniający widok poszli dalej, hrabia znowu ujrzał tamtych dwoje. Kobieta kucała przed malcem. Kaptur płaszcza w zamieszaniu zsunął się z jej głowy i w blasku słońca zalśniły złoto-rude włosy. Nieznajoma była zwrócona do niego plecami, ale Stanmore widział jej ręce obejmujące twarz syna. Przypuszczał, że go karci, lecz czułość widoczna w jej gestach świadczyła o czymś innym. Potem syn otoczył ramionami szyję matki i przez chwilę trwał w jej objęciach. Mimo że nie kryli się z okazywaniem uczuć, hrabia poczuł się nieswojo, jakby naruszył czyjąś prywatność. Czym prędzej odwrócił wzrok.

Birch patrzył na niego ze zmarszczonym czołem.

- Na litość boską, mów, o czym myślisz, Oliverze! Wyglądasz, jakby prowadzono cię na szubienicę.

- Na statku miałem przyjemność spędzić trochę czasu w towarzystwie pani Ford, milordzie, i powiem panu, że choć jest wdową samotnie wychowującą dziecko, udaje się jej zachować godność, spokój i wdzięk. Mimo skromnego ubioru może się poszczycić nienagannymi manierami. Wiele razy byłem świadkiem, jak jej dobroć i bezpreten-

sjonalność zyskiwały sobie aprobatę innych pasażerów. Nie jest prostaczką, milordzie, i bez świadomych starań ze swojej strony budzi w ludziach szacunek.

- Do rzeczy, Birch.

- Już powiedziałem, milordzie, że tej kobiety po prostu nie można kupić. - W głosie sir Olivera brzmiało przekonanie. - Pani Ford przez dziesięć lat była Jamesowi matką i muszę powiedzieć, że jej uczucie dla niego... cóż, rzadko spotyka się takie osoby w naszych sferach.

Coraz bardziej zirytowany Stanmore zaczął spacerować po pokoju. Ze stojaka znajdującego się przy niewielkim kominku wziął pogrzebacz.

- Zachęcam, żeby pan wysłuchał jej rad, nim ją pan odprawi. W trakcie podróży dowiedziałem się od niej wielu...

- Zdaje się, że spędziliście ze sobą dużo czasu.

Na szyję prawnika wypełzł rumieniec.

- Nie jest tak, jak pan myśli, milordzie, ale rzeczywiście dość często rozmawialiśmy. To całkiem normalne, że panią Ford interesowała przyszłość Jamesa: gdzie będzie mieszkał, ile czasu poświęci mu wasza lordowska mość. Ma zdecydowane poglądy w pewnych kwestiach... - Birch umilkł pod wpływem spojrzenia hrabiego.

- Stwierdzam, że mówisz jak człowiek zadurzony, Oliverze. - Stanmore machnął ręką, gdy prawnik chciał zaprotestować. - Nie zrozum mnie źle. Wiesz, że jestem ostatnim człowiekiem, który mieszałby się do cudzych spraw.

- Błędnie pan sobie tłumaczy powody, dla których wstawiam się za panią Ford, milordzie. Głównym przedmiotem naszych rozmów było dobro pańskiego syna i...

Ciche pukanie przerwało dalsze wyjaśnienia prawnika. Na znak hrabiego sir Oliver poszedł otworzyć drzwi. Trzymając rękę na klamce, obejrzał się jeszcze i powiedział:

- Płaci mi pan za doradzenie, milordzie, radzę więc, żeby pan wysłuchał uważnie tej kobiety.

Stojąc na korytarzu przed pokojem hrabiego, Rebeka próbowała się uspokoić. Wesoła irlandzka służąca, która pomogła umyć Jameya i przebrać go w najlepsze ubranie, przypominała jej Molly Butler, a i chłopiec najwyraźniej czuł się dobrze w jej towarzystwie. Był gotowy na spotkanie z ojcem.

Sama nawet nie zdjęła płaszcza, bo sir Oliver zostawił wiadomość, że jego lordowska mość chce najpierw z nią porozmawiać.

Gdy uniosła rękę do drzwi, obleciał ją strach. Bóg wie, że zamierzała wyznać Jameyowi prawdę o jego pochodzeniu, ale nie udało się jej znaleźć właściwego sposobu, teraz na nabrzeżu i wcześniej na statku. W rzeczywistości nie potrafiła przeciąć łączącej ich więzi. Nie mogła zostawić go samego i bezbronego... póki ktoś inny nie zajmie jej miejsca.

Modliła się w duchu o wyrozumiałość hrabiego i miała nadzieję, że właśnie on podsunie jej najlepsze rozwiązanie.

Drżącą ręką zapukała do drzwi. Chwilę później otworzył je zarumieniony Oliver Birch.

- Cieszę się, że pana tu widzę, sir Oliverze - powiedziała cicho. - Wolę się upewnić, że dobrze odczytałam pański liścik. Jego lordowska mość chce się ze mną spotkać, zanim pozna Jameya, tak?

- Zgadza się, pani Ford.

W tym momencie Rebeka dostrzegła szerokie plecy mężczyzny ubranego w strój do jazdy konnej i zwrócone go twarzą do okna. Był niewiele wyższy od prawnika, ale jego postawa, pewność siebie i ubiór podkreślający mocną budowę ciała sprawiały, że wyglądał na potężniejszego niż w rzeczywistości.

- A co z Jamesem? Mam go przyprowadzić później?

- Proszę się o to nie kłopotać, madam.

Rebeka zerknęła na sir Olivera, a kiedy ten umknął wzrokiem, pełna niepokoju ponownie skierowała oczy na nieruchomą postać hrabiego. Tym razem zwróciła uwagę na czarne włosy bez śladu siwizny, starannie związane na karku. Rysów twarzy nie widziała.

- Ale zanim... - Zawahała się. - To ważne, żeby jego lordowska mość poznał syna, zanim...

- Proszę wejść, pani Ford. Jego lordowska mość czeka. Wkrótce pójdę po Jamesa.

Gdy lord Stanmore odwrócił się od okna, Rebeka przez długą chwilę stała bez ruchu, oszołomiona. Nie mogła zebrać myśli. Nie tak sobie wyobrażała człowieka, od którego uciekła żona.

Jego twarz nie miała żadnej skazy: wydatne kości policzkowe, mocno zarysowana szczęka, prosty nos, ciemne oczy ocienione długimi rzęsami, utkwione w podłodze. Hrabia Stanmore był niebezpiecznie przystojnym mężczyzną.

A syn, pomyślała zaskoczona, w ogóle nie jest do niego podobny.

- Proszę wejść - powtórzył Birch i odsunął się na bok, robiąc jej miejsce. - Wasza lordowska mość, czy mogę przedstawić panią Ford?

Stanmore podniósł wzrok i... osłupiał. Przed nim stała kobieta, którą obserwował z okna. Przynajmniej płaszcz i zmierzwione rude włosy wyglądały tak samo. Tak, to była ona.

A jej twarz! Nie widział jej, kiedy spacerowała po nadbrzeżu, ale teraz od razu zrozumiał zauroczenie Olivera Bircha. Rebeka Ford była naprawdę piękna.

Szybko opuściła wzrok, tak że tylko przez chwilę widział intensywnie niebieskie oczy, lecz to mu wystarczyło. O dziwo jednak, jej urok jeszcze bardziej go rozdrażnił.

- Proszę wybaczyć, milordzie - bąknął prawnik. - Zajrzę do Jamesa, a potem będę czekał u siebie. Dopilnuję wszystkiego.

Stanmore zauważył, że jego gość z niepokojem zerka na czmychającego prawnika. Odczekał chwilę i pierwszy przerwał ciszę:

- Miała pani przyjemną podróż, pani Ford?

- Tak, milordzie.

Głos jej lekko drżał, oczy szybko omiotły pokój, dłonie

zaczisnęły się w pięści. Kobieta przypominała zwierzę zapędzone w pułapkę.

- Mam nadzieję, że tydzień spędzony w Bristolu nie był uciążliwy.

- Nie, milordzie.

Hrabia splótł ręce za plecami, unikając patrzenia na ogniste loki okalające bladą twarz.

- W Londynie czeka na mnie kilka spraw, więc najlepiej będzie, jeśli od razu przejdziemy do powodu mojej wizyty w Bristolu. - Zaczął spacerować po pokoju. - Nim zaproponuję rekompensatę za opiekę nad Jamesem, chcę powiedzieć, że może pani zostać w Anglii jako mój gość, jak długo pani zechce. Wszelkie wydatki...

- Rekompensatę? - powtórzyła kobieta, mroząc go wzrokiem. - Sądziłam, że zostałam tu zaproszona, by porozmawiać o pańskim synu.

- Myliła się pani. Zaprosiłem panią, żeby naprawić niedopatrzenie mojego prawnika.

- Sir Oliver złożył mi w Filadelfii bardzo hojną propozycję finansową, milordzie. Zapewniam pana, że moja odmowa nie miała nic wspólnego z wysokością kwoty i dalsza rozmowa na ten temat jest bezcelowa.

- Pani Ford... - Stanmore skrzyżował ramiona na pierśsi. - Dostanie pani zapłatę za...

- Milordzie, upieram się, żeby uznał pan tę kwestię za zamkniętą. - W jej zachowaniu nastąpiła wyraźna zmiana.

- Moja rodzina ma wobec pani dług. Dopóki nie przyjmie pani tego, co się pani słusznie należy...

- Nic nie jest mi pan winien, milordzie. Nie było żadnej umowy. Nie wzięłam Jameya pod opiekę dla zysku. I sprzeciwiam się deprecjonowaniu moich uczuć dla pańskiego syna poprzez próby ich wyceny.

- Pani Ford...

- Błagam, lordzie Stanmore.

Hrabia przez dłuższą chwilę patrzył na nią bez słowa.

W jej tonie było więcej żądania niż błagania. Ta kobieta należała do rasy wojowników.

- Dziękuję, milordzie. Skoro więc zakończyliśmy ten temat, teraz ja chciałabym omówić pewną sprawę z waszą lordowską mością.

- Jaka?

- Chodzi o dobro pańskiego syna.

- Ach, tak. Cóż, chłopiec wrócił tam, gdzie jego miejsce. Jego dobro to już nie pani zmartwienie.

- Przeciwnie, milordzie! - Na twarz pani Ford wypłynął rumieniec. - Jestem jedyną rodziną, jaką Jamey do tej pory miał, i zawsze będę się o niego martwić.

- Ten błąd właśnie naprawiliśmy.

- Błąd? - Niebieskie oczy zapłonęły gniewem. - Może to pan go popełnił, prowokując do ucieczki swoją żonę? Pozwalając, żeby minęło tyle czasu, nim zaczął pan szukać syna? Jeśli chodzi o mnie, James był prawdziwym darem z nieba, a mojej miłości do niego w żadnym razie nie można nazwać błędem.

Stanmore zeszytniał. Przypomniało mu się ostrzeżenie Bircha. Prawnik miał rację. Rebeka Ford była inna, niż się spodziewał.

Przez długą chwilę mierzyli się wzrokiem. Kobieta pierwsza odwróciła głowę, a hrabia uświadomił sobie, że jego stosunek do niej powoli się zmienia. Natychmiast jednak skarcił się w duchu. Choć pani Ford miała prawo czuć się odpowiedzialna za chłopca, nie mógł pozwolić, żeby jej emocje wpłynęły na jego decyzje co do przyszłości Jamesa.

- Źle pani zrozumiała moje intencje - powiedział w końcu.

- Widocznie źle je pan przedstawił, milordzie.

Stanmore posłał jej ostre spojrzenie i zaczął chodzić w tę i z powrotem przed kominkiem. Nie musiał niczego wyjaśniać. Mógł ją pożegnać i zrobić to, co planował, ale wspomnienie chłopca rzucającego się jej w ramiona i więzi, która najwyraźniej ich łączyła, sprawiło, że się zawahał.

- Proszę zrozumieć, że nie oddaje pani Jamesa wilkom na



pożarcie. Obojgu nam chodzi o jego dobro. - Zatrzymał się, odwrócił do niej twarzą i złagodził ton: - Domyślam się, że pani zależy przede wszystkim na samopoczuciu chłopca, natomiast ja muszę przygotować go do zajęcia należytej pozycji w życiu. Mimo to nasze cele aż tak bardzo się nie różnią.

Czekał na sprzeciw, ale pani Ford się nie odezwała, więc podjął spacer.

- Najważniejsze będzie dla niego zdobycie solidnego wykształcenia. I o to właśnie już zadbałem.

Zerknął na nią z ukosa. Mimo sfatygowanego ubrania i potarganych włosów wyglądała jak królowa. I słuchała go uważnie. Nawet rumieniec gniewu zniknął z jej policzków.

- James zostanie posłany do Eton, gdzie od pokoleń Stanmore'owie pobierają nauki. To doskonała szkoła. Sir Oliver uprzedził mnie o... mówiąc bez ogródek, o głuchocie chłopca.

- On nie da sobie tam rady.

- Zadbam o to, żeby otrzymał wszelką pomoc.

- Nie wie pan, jakiej pomocy on potrzebuje.

- Słucham?

- Kiedy James pojedzie do Eton?

- Oczywiście bezzwłocznie.

Pani Ford wyprostowała plecy, dumnie uniosła głowę i zaciśnęła pięści po bokach. W jej oczach znowu zapłonął ogień.

- Dlaczego, milordzie?

- Kwestionuje pani potrzebę edukacji Jamesa?

- Nie. Sama jestem nauczycielką. Kwestionuję jedynie porę wyjazdu. Wkrótce czerwiec.

- Będzie musiał uczyć się w lecie, żeby do jesieni dogonić kolegów. Wszystko już zorganizowałem...

- A co by się stało, gdyby pan zmienił plany i wysłał go do szkoły jesienią, razem z resztą uczniów? - Zrobiła krok w jego stronę. - Czy zastanowił się pan, jakie skutki będzie miał dla syna pański pośpiech? Proszę postawić się na jego miejscu, milordzie. Jak by się pan czuł, gdyby posłano pana do nowej szkoły, między obcych ludzi, tuż po rozłące z najbliższą osobą. Niech pan dorzuci do tego przy-

krą świadomość, że nigdy niewidziany ojciec nie wykazuje najmniejszej ochoty, żeby poznać odzyskanego syna. - Gdy Stanmore milczał, powtórzyła: - Ciekawe, jak by się pan czuł, milordzie?

- James się przystosuje.

Pani Ford zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech.

- Czy istnieje powód, dla którego trzeba go zmuszać, żeby od razu się przystosował? - Tym razem nie czekała na odpowiedź. - Może pan mnie o to obwinić, milordzie, ale pański syn jest inny niż angielscy chłopcy. Pod wieloma względami. - Sprawiała wrażenie, jakby oceniała dzielącą ich odległość. - Nie mogłam wprawdzie zapewnić mu luksusów, kiedy był pod moją opieką, ale nigdy nie brakowało mu uczucia. Zawsze stawałam w jego obronie, gdy inne dzieci śmiały się z jego zdeformowanej ręki albo gdy dorośli na niego krzyczeli, sądząc, że jest głupi, a on po prostu ich nie słyszał. Nauczyłam go czerpać siłę z dobroci, którą w sobie nosi, i nigdy się nie poddawać. Powtarzałam mu, że trudności czynią nas silnymi. Mimo to Jamey nadal jest tylko dziewięciolatkiem, za małym, żeby samotnie zmierzyć się z całkiem obcym światem.

Stanmore nie miał zamiaru dopuścić do tego, żeby w postępowaniu z Jamesem kierowało nim współczucie, ale ta kobieta okazała się całkiem zręczna w igraniu z jego emocjami. Do diabła, zaklął w duchu i odwrócił się do okna.

- Proszę, żeby jeszcze raz rozważył pan swoją decyzję. Błagam, żeby dał pan Jameyowi szansę, poznał go choć trochę, pozwolił mu stopniowo oswoić się z nowym otoczeniem. Niech poczuje, że jest pańskim synem... zanim ja go opuszczę.

Głos uwiązł jej w krtani. Hrabia nie musiał się odwracać, by wiedzieć, że w oczach pani Ford lśnią łzy.

Do diaska! Zacisnął szczęki i powściągnął gniew. Ta kobieta nie miała prawa krytykować jego postanowień. Nie znała jego przeszłości. Nic nie wiedziała o skrywanej udręce ani o sile woli, której od niego wymagało zbliżenie się do tego dziecka.

Podobnie jak o obietnicy, którą kiedyś złożył.

Spojrzał na nabrzeże, gdzie pierwszy raz ich zobaczył. Brukowana ulica prowadząca do portu była dziwnie pusta.

Odwrócił się gwałtownie i zobaczył, że pani Ford cierpliwie czeka na jego odpowiedź.

- Dwa miesiące w Solgrave, mojej posiadłości niedaleko St. Albans - rzucił sucho. - Gdy tylko chłopiec się tam za-domowi, dostanie prywatnego nauczyciela. - Zrobił pauzę i dodał, marszcząc brwi: - Wyświadczy mi pani łaskę, jeśli zechce mu tam towarzyszyć.

Raptowna zmiana, która w niej nastąpiła, zafascynowała hrabiego. Mógł niemal czytać w jej duszy. Pani Ford na chwilę przymknęła oczy i poruszyła ustami w cichej modlitwie. Następnie skinęła głową i zaczęła się cofać ku drzwiom.

- Dziękuję, milordzie.

- Pani Ford!

Zatrzymała się z ręką na klamce.

- Mówiłem szczerze, zapraszając panią do Solgrave. - Stanmore z zakłopotaniem wyjrzał przez okno. - Będę teraz niedelikatny, ale muszę powiedzieć, że ubranie, w koloniach najwyraźniej uznawane za przyzwoite, tutaj stosowne nie jest. Pani Trent, moja ochmistrzyni, wszystkim się zajmie.

Rebeka uciekła z pokoju hrabiego tak szybko, jak to możliwe, stanęła w pustym korytarzu i przycisnęła dłoń do płonącej twarzy. Była roztrzęsiona, wyczerpana i oszołomiona bitwą, którą chyba wygrała. Ale dlaczego czuła się zraniona?

Odgłos kroków na schodach wyrwał ją z odrętwienia. Pospiesznie ruszyła dalej i wśliznęła się do pierwszego z dwóch pokojów, które zajmowała razem z Jameyem. Drzwi między nimi były otwarte. Zanim Rebeka weszła do chłopca, zdjęła płaszcz i powiesiła go na krześle.

Nagle w lustrze wiszącym na ścianie dostrzegła swoje odbicie. Gwałtownie wciągnęła powietrze i oblała się rumieńcem. Z konsternacją spojrzała na rozczochrane włosy

i suknię pokrytą plamami błota po zabawie z Jameyem. Raptem sobie uświadomiła, że wygląda raczej jak ulicznica niż nauczycielka, która ma prawo robić komuś wykład na temat postępowania z dziećmi.

Nic dziwnego, że hrabia Stanmore bez ogródek zwrócił jej uwagę, że jest nieodpowiednio ubrana. Westchnęła głęboko i zaczęła robić porządek z ognistymi lokami.

- Wróciłaś, mamo!

Gdy Jamey podbiegł do niej w radosnych podskokach, natychmiast zapomniała o wszystkich troskach. Chłopiec ukłonił się jej dwornie.

- Dobrze wyglądam, proszę pani?

Rebeka odpowiedziała mu ceremonialnym dygnięciem.

- Tak, paniczu James. Prezentuje się pan znakomicie.

Mruganiem odpędziła łzy i otworzyła ramiona. Przytuliła syna i pocałowała jego świeżo umyte włosy, a kiedy podniosła wzrok, zobaczyła, że służąca uśmiecha się do nich ciepło.

- Czegoś jeszcze pani potrzebuje, pani Ford?

Rebeka potrząsnęła głową. Gdy kobieta wyszła, Jamey zapytał z przejęciem:

- Z kim mam się spotkać po południu?

- Z hrabią Stanmore.

- A kim on jest dla ciebie?

Rebeka zaczerpnęła oddechu.

- Dla mnie nikim, ale...

- To dobrze! - Chłopiec uwolnił się z jej objęć i podszedł do okna. - Skoro jest dla nas nikim, może pójdziemy znowu na spacer na nabrzeże.

- Jamey...

- Tym razem policzę wszystkie statki, które zobaczymy. George mi nie uwierzy, kiedy mu powiem, że tu jest ich dużo więcej niż na naszym porcie w Filadelfii.

- Jamey...

Rebeka zbliżyła się do niego powoli. Wiedziała, że później nie znajdzie dość odwagi, żeby wyznać prawdę. Chciała mieć pewność, że syn ją usłyszy.

- Kiedy wrócimy do domu?

Słyszając ton smutku w głosie chłopca, pogłaskała go po włosach.

- Dopiero przyjechaliśmy, kochanie.

- Nie podoba mi się tutaj. Chcę do domu.

Uniosła jego podbródek i zobaczyła łzy w niebieskich oczach.

- Powiedz, o co chodzi, Jamey.

- Nie podoba mi się, jak ci ludzie traktują innych ludzi.

Przez chwilę się zastanawiała, co też umknęło jej uwadze.

- Co masz na myśli, skarbie?

Gdy chłopiec wyjrzał przez okno, podażyła za jego wzrokiem i dostrzegła Afrykanów w łańcuchach, wsiadających na statek zakotwiczony przed gospodą. Zmarszczyła czoło.

- Czy to nie jest źle tak robić z ludźmi? - zapytał Jamey, patrząc na nią badawczo.

- Oczywiście, że źle. Ci biedacy zostali porwani z własnych domów i przywiezieni tutaj wbrew swojej woli.

W Filadelfii dzięki stałym wysiłkom mieszkańców kierowanych przez kwaków wielu niewolnikom zwrócono wolność. Słyszała nawet, że niejaki Benezet zamierza otworzyć w tym roku szkołę dla czarnych.

Rozumiała jednak niepokój Jameya. Afrykanie, których ostatnio widział, byli przeważnie zakuci w łańcuchy i traktowani w sposób, z jakim nigdy do tej pory się nie zetknął.

- Postępują tak z nimi, bo są inni?

- Niektórzy ludzie po prostu są chciwi i okrutni. Nie wierzą, że wszyscy jesteśmy stworzeniami Bożymi, równymi sobie.

- Mnie też będą tak traktować, bo jestem inny?

Rebeka uświadomiła sobie, że Jamey nie słyszał jej ostatnich słów, bo patrzył na swoje dwa zdeformowane palce. Wzięła jego rękę i podniosła ją do ust.

- Jesteś doskonały, skarbie. W oczach Boga wszyscy jesteśmy doskonali...

- Więc dlaczego?

Potrząsnęła głową.

- Nie potrafię ci odpowiedzieć, ale wiem, że nie powinniśmy się wstydzić tego, jacy jesteśmy. Musimy starać się zmienić tych ludzi, którzy bardziej cenią pieniądze niż współczucie. Ignoranci po prostu nie znają niczego lepszego. - W oczach chłopca dostrzegła ufność. Pocałowała jego palce, starła mu łzy z twarzy i uśmiechnęła się ciepło. - A teraz mam ci coś ważnego do powiedzenia w związku z hrabią Stanmore. - Ujrzawszy jego czujne spojrzenie, wzięła głęboki oddech. - Musisz coś wiedzieć, zanim się z nim spotkasz, ale to nic między nami nie zmieni, skarbie. Nadal będę cię bardzo kochać i...

W tym momencie uwagę Jameya przyciągnęły okrzyki dobiegające z ulicy i tętent kopyt na bruku. Rebeka też wyjrzała przez okno.

- Jamey, ja... - Umilkła raptownie, gdy zobaczyła, co się dzieje.

- Spójrz, mam, jak tańczy!

Piękny kasztanowy ogier stawał dęba i szarpał wodze, które z niepewną miną trzymał stajenny. Zanim Rebeka zdążyła odpowiedzieć, z gospody wyszedł lord Stanmore, poklepał konia po szyi i szepnął mu coś do ucha. Na dźwięk głosu pana zwierzę natychmiast się uspokoiło. Hrabia lekko wskoczył na siodło i odwrócił się do Olivera Bircha, który mu towarzyszył.

Rebekę nagle opuściła cała odwaga i serce jej zamarło, gdy zrozumiała, że tego dnia nie będzie spotkania ojca i syna.

- Co to za człowiek? - zapytał Jamey. - Popatrz, jak siedzi na tym cudnym koniu.

Rebeka mimo woli zacisnęła palce na ramieniu chłopca, modląc się, żeby hrabia spojrzął w otwarte okno.

Lord Stanmore skinął głową prawnikowi i w końcu podniósł oczy, lecz jego pożegnalne spojrzenie nie było przeznaczone dla syna.

Samuel Wakefield na chwilę utkwiał błyszczący wzrok w twarz Rebeki, po czym odjechał, nie oglądając się za siebie.

## 8

U diuka Gloucester zawsze można było liczyć na wymienią kolację, cygara najwyższej jakości i bardzo stare porto. Dopiero kiedy damy udały się do salonu, a gospodarz poprosił o czwarty kieliszek, Stanmore odwrócił się do Nicholasa, żeby wyrazić swoje niezadowolenie.

- Zapewnij mnie, draniu, że przyprowadziłeś dzisiaj Louise jedynie dla własnej rozrywki.

Spencer wyjął cygaro z ust i spojrzął na przyjaciela, jakby wyrosła mu druga głowa.

- Dobry człowieku, znasz mnie na tyle, żeby nie obrażać w ten sposób. Wiesz, że lubię kobiety piękne, ale skromne i niewinne lub przynajmniej dobrze udające niewinność. Prawda jest taka, że jeszcze nie spotkałem ideału, lecz wolę spędzać czas z bogatymi, a mam tu na myśli damy dużo bogatsze niż lady Nisdale z marnymi dziesięćoma tysiącami rocznie, które zostawił jej zmarły mąż. Biedaczka może za to żyć wyżej sześć miesięcy.

Hrabia gestem ręki odprawił przechodzącego lokaja, natomiast Spencer skwapliwie przyjął od niego następną szklaneczkę.

- Dama, o której wspomniałeś, przyszła tu dzisiaj jako mój gość, ponieważ dała mi do zrozumienia, że ty pragniesz jej obecności.

Stanmore omal nie zabił go wzrokiem.

- Nie mówię, że jej uwierzyłem. Lecz widząc twój paskudny nastrój, stale pogarszający się od powrotu z Bristolu, uznałem, że przyda ci się trochę rozrywki. - Nicholas

zaciągnął się cygarem i przez dym zmierzył przyjaciela baczny spojrzeniem. - Nie pytałem, co się stało w Bristolu, bo wiem, że opowiesz mi o tym wtedy, gdy sam będziesz chciał. Z mojego doświadczenia jednak wynika, że chętna kobieta najlepiej umie poprawić humor mężczyźnie.... nawet jeśli otwarcie się skarży, że jest przez niego zaniedbywana, i prywatnie napomyka, że chyba czymś go obraziła.

- Nigdy nie przestaje mnie zdumiewać, jak niedyskretna potrafi być Louisa.

- To ty wybrałeś ją na kochankę, przyjacielu, i jeśli dobrze pamiętam, miesiąc temu aż tak cię nie raził jej brak dyskrecji.

Stanmore przypomniał sobie promienny uśmiech i ciepłe powitanie Louisy, gdy zjawił się u diuka Gloucester. Odpowiedział jej uprzejmie, choć może z pewną rezerwą. I nic dziwnego. Był zaskoczony widokiem porzuconej kochanki i niezadowolony z jej obecności.

I co z tego, że ostatnio obnosił się z rozdrażnieniem? Sam chciałby wiedzieć, dlaczego tak podle się czuł. No, niezupełnie, pomyślał, obserwując niebieski dym z cygara, który wisiał nad stołem.

Chodziło o tę kobietę... panią Ford. O jej zranione spojrzenie, kiedy patrzyła na niego z okna bristolskiej gospody. Tego obrazu nie potrafił zapomnieć. Z marsową miną wychylił portę do dna i spojrzął na Nicholasa.

- Zaprosiłeś Louisę, więc spodziewam się, że odwiedzisz ją do domu - burknął.

Zanim przyjaciel zdążył odpowiedzieć, podszedł do nich lokaj i szepnął, że lord North pragnie zamienić słowo z lordem Stanmore. Hrabia odwrócił się i skinął głową nowemu premierowi, który stał pod oknem w niewielkim gronie gości. Właśnie za jego namową zdecydował się tu dzisiaj przyjść. Od jakiegoś czasu nie interesowały go prośzone kolacje i inne tego rodzaju spotkania towarzyskie, ale skusiła go obietnica, że szef rządu wysłucha jego uwag w kwestii handlu niewolnikami.



Najpierw jednak zwrócił się do Nicholasasa:

- Doceniam twoją troskę o moje samopoczucie, ale nie zapominaj, że jesteśmy różni. Ty zawsze byłeś hultajem, ja człowiekiem szanowanym. Ty prowokowałeś konflikty, ja je łagodziłem. Co by się stało ze światem, gdybyśmy zamienili się miejscami? Chcesz raptem stać się odpowiedzialny?

- Do diaska, Stanmore, rozumiem. Zapomnij o wszystkim, co powiedziałem.

Mówiła cicho i spokojnie, a Jamey tylko na nią patrzył. Jego dolna warga drżała, twarz była czerwona od sprzecznych uczuć, które w nim wrzały, oczy wyrażały niepokój, dezorientację i wątpliwości. W końcu chłopiec po prostu się odwrócił i przez małe okno powozu zaczął obserwować wiejski krajobraz.

W piersi Rebeki wzbierał szloch, chwycił ją za krtań, ale nie miała innego wyboru, jak powiedzieć mu całą prawdę, a przynajmniej tyle, ile śmiała wyjawić w Filadelfii sir Oliverowi. Dopiero powstrzymywane łzy Jameya i jego rozpacz kazały jej zamilknąć.

Podejrzewała, że te chwile w karocy wiozącej ich na wschód mogą być ostatnimi, które spędzą sami. W Solgrave pełnym ludzi Jamey wcześniej czy później odkryłby tajemnicę swojego pochodzenia.

Musiał dowiedzieć się prawdy od niej, i nikogo innego.

Nagle powóz mocno zakołysał i Rebeka odruchowo przytrzymała chłopca za ramię. W duchu zaniosła modlitwę do niebios, gdy nie cofnął się pod jej dotykiem. Zebrała całą odwagę i przesiadła się naprzeciwko niego.

- Jamey - powiedziała cicho, ujmując go pod brodę. Gdy odwrócił zapłakane oczy od okna, spojrzała na niego błagalnie. - Proszę, rozmawiaj ze mną.

Chłopiec wytarł twarz rękawem.

- Jak długo?

- Wkrótce będziemy na miejscu.

Potrząsnął głową i wziął ją za rękę.

- Jak długo zostaniesz ze mną?

Spodziewała się, że zapyta o ojca. Tak, miała nadzieję, że będzie chciał lepiej poznać człowieka, który przez łąta szukał zaginionego syna. W każdym razie taką wersję mu przekazała.

Lecz jemu chodziło o nią. Przybrała wyraz powagi, szykując się do następnego kłamstwa.

- Zostanę tak długo, jak będziesz chciał. Znajdę pracę w miasteczku niedaleko Solgrave. Gdy pojedziesz do szkoły, zamieszkać w Eton albo w Windsorze, po drugiej stronie Tamizy, bardzo blisko ciebie. Nic nie stracisz, a dużo zyskasz, skarbie. Pomyśl o tym, co może ci zapewnić lord Stanmore... twój ojciec.

Twarz chłopca wyrażała powątpiewanie. Nic dziwnego, skoro jej samej brak było przekonania. Gdyby hrabia Stanmore okazał synowi więcej ciepła! Gdyby pokazał, że cieszy się z jego odzyskania!

W pewnym momencie stangret zawołał, że zbliżają się do St. Albans. Rebeka wyjrzała przez okno i zobaczyła ceglane mury, iglice kościołów i dachy miasta. W innych okolicznościach chętnie podzieliłaby się z Jameyem wszystkim, co czytała w młodości o tym starym mieście. Lecz teraz mogła jedynie cicho odmawiać modlitwę.

Jadąc wąskimi, krętymi ulicami, minęli słynną katedrę i chwilę później toczyli się na północ traktem nieco gorszym niż ten, który prowadził z Bristolu. Dwie mile dalej woźnica skręcił na dobrze utrzymaną aleję biegnącą szpalerem wysokich, starych drzew.

Rebeka ścisnęła rękę Jameya.

- Już niedługo.

Tereny łowieckie gdzieś ustępowały miejsca łąkom, na których pasły się owce, polom uprawnym i farmom. Droga prawie niezauważalnie pięła się w górę. Z jednego z odkrytych wzniesień dostrzegli w oddali małą wioskę rozciągniętą nad brzegami meandrującej rzeki.

Za następnym zalesionym wzgórzem gościniec skręcił pod ostrym kątem i dalej biegł trawiastą granią.

- Jamey, spójrz!

Próbę poprawienia mu humoru chłopiec skwitował wzruszeniem ramion.

Z lewej strony otworzył się widok na rozległą dolinę. Po jej drugiej stronie, między zadrzewionymi pagórkami, wśród ogrodów, sadów i pól wnosił się duży budynek z czerwonej cegły. Sądząc po architekturze, musiał zostać zbudowany w czasach królowej Elżbiety. Był stary, ale solidny, gustowny i bezpretensjonalny. Ciągająca się przed nim ogromna łąka porośnięta fioletowymi i białymi kwiatami schodziła do dużego jeziora. Rebeka jeszcze nigdy nie widziała tak pięknego miejsca.

- Pokochasz swój nowy dom.

Chłopiec znowu wzruszył ramionami. Gdy karoca zatrzymała się na imponującym zwirowym dziedzińcu, gdzie już czekała na nich służba, wcisnął się głębiej w wyściełane siedzenie i zamknął oczy. Tymczasem jeden ze stojących otworzył drzwi karocy

- Jamey. - Rebeka uniosła jego brodę i dostrzegła łzy w niebieskich oczach. - Kocham cię tak samo i zawsze będę kochać.

- Ale nie jestem twoim synem.

Rebeka przyłożyła dłoń do piersi.

- Jesteś nim w moim sercu i to nigdy się nie zmieni.

Chłopiec potrząsnął głową.

- Ale...

- Nie dręcz siebie ani mnie, zachowując się, jakbym już wyjechała.

Gdy Jamey objął ją za szyję, jej również łzy napłynęły do oczu, ale czym prędzej je odpędziła.

- Boję się. Ci ludzie... Nie znam ich.

Rebeka wyjęła chusteczkę z rękawa i osuszyła mu twarz, a potem się uśmiechnęła i mocno ścisnęła go za rękę.

- Dam ci moją siłę, a ty mnie trochę swojej. Chodźmy.

Kiedy niebo zmieniało barwę z czarnej na szarą, Jamey stwierdził, że burzowe chmury już nie opóźnią nadejścia poranka. Klęcząc na szerokim parapecie, z czołem opartym o chłodną szybę, patrzył, jak z mroku wyłaniają się różne kształty. Niewyraźna para gigantów okazała się dorodnymi platanami, a ogromna bestia o dziwnej rogatej głowie - stajnią.

Chłopiec przeniósł wzrok z małego ogrodu i jego stannie utrzymanych alejek na łąkę i jezioro. Trakt prowadzący do St. Albans biegł przez mały kamienny mostek i dalej, coraz bardziej kręty, na drugą stronę doliny. Jamey przeciągnął się i ziewnął. Od paru godzin wyglądał przez okno, ukryty za ciężkimi storami.

Przyjechał zaledwie wczoraj, a już wiedział, że nie chce tu zostać. Pokój, w którym go ulokowano, był większy niż ich dwie klitki w Filadelfii, a łóżce tak szerokie, że mogłaby na nim spać cała czwórka Butlerów i jeszcze zostałyby dużo miejsca.

Nienawidził tej sypialni, łóżka, ludzi, którzy nosili liberie i wykrochmalone fartuchy, mówili ściszonymi głosami, starali się nie patrzeć na jego rękę i nazywali go „paniczem Jamesem”. W dodatku oddzielono go od mamy, a ona już go nie chciała.

Wczoraj mu naopowiadała, że jego prawdziwa mama umarła wiele lat temu i teraz nadeszła pora, żeby spędził trochę czasu ze swoim prawdziwym ojcem. To nie mogła być prawda. W głębi duszy wiedział, że jest jej synem. Kochał ją tak bardzo. Na samą myśl, że odjedzie, rozboleł go brzuch.

Przełknął ślinę i zerknął przez story na zamknięte drzwi sąsiedniego pokoju. A jeśli uznała, że już go nie kocha i zostawiła go w nocy? Może trakt, na który patrzył, nie był jedyną drogą wiodącą z Solgrave do miasta?

Raz, wkrótce po tym, jak stanął na czatach, zobaczył, że ktoś idzie z lampą przez posiadłość. Obok ciemnej postaci biegł wielki pies. W końcu Jamey doszedł do wniosku, że to strażnik.

Ostatniego wieczoru nie był najgrzeczniejszy. Nie tknął kolacji. Udawał, że nie słyszy, co do niego mówią. Zachował się nieuprzejmie wobec pani Trent, grubej ochmistrzyni. Cofnął się gwałtownie, kiedy pokazując mu sypialnię, przyjaznym gestem położyła dłoń na jego głowie. Wtedy jego mama naprawdę się zdenerwowała. Nic nie powiedziała, ale dostrzegł naganę w jej oczach, które zawsze wszystko mu mówiły.

Czekała go bura, ale stwierdził, że przynajmniej ma powód, by pójść i ją obudzić. I upewnić się, że nadal tu jest.

Zasnął storry, ubrał się szybko i wyszedł z pokoju. Poprzedniego wieczoru był zbyt uparty, żeby okazać zainteresowanie, ale teraz przystanął i rozejrzał się po korytarzu.

Z obrazów zdobiących ściany patrzyli na niego ludzie, kobiety i mężczyźni w dziwacznych ubraniach, niektórzy nawet w zbrojach. Część służby już chyba wstała, bo na stolikach ktoś postawił zapalone świece. Chłopiec zerknął na drzwi maminej sypialni, ale jego uwagę znów przyciągnęły malowidła. Obok podobizny groźnego starca z mieczem u pasa i książką w ręce wisiał portret myśliwego, który stał obok pięknego jabłkowitego wierzchowca, podczas gdy jego słudzy oprawiali wielkiego jelenia. Jamey jeszcze nigdy nie był na polowaniu, ale słyszał wiele ciekawych opowieści od Tommy'ego Butlera.

W końcu stwierdził, że ludzie z portretów wyglądają inaczej niż ci, którzy polowali w lasach otaczających Schulkyll. Idąc długim korytarzem, z ciekawością spoglądał na mężczyzn w mundurach i eleganckie kobiety. Na kilku obrazach rozpoznał dom, w którym teraz się znajdował. Na jednym uwieczniono jakiś zamek.

- Tyle zamieszania z powodu jednego dzieciaka.

- Uważaj na słowa, Bessie... To syn naszego pana... Dobrze, że nareszcie wrócił... Tak długo go nie było... Szkoda, że nie możemy zrobić więcej.

- No, nie wiem... Jeśli kucharz przypalał owsiankę, to...

- Cii... obudzisz cały dom. Co ty na to, żeby...

Jamey zatrzymał się w pół kroku i w skupieniu nasłuchiwał urywków rozmowy dwóch kobiet. Dwie służące pilnie pracowały w ogromnym pokoju. Gdy odwracał się we właściwą stronę zdrowym uchem, słyszał więcej, niż ludzie przypuszczali, ale trzymał ten sekret dla siebie. Mama sądziła, że on tylko ją rozumie. To nie było oszustwo, tylko sposób, żeby ściągnąć na siebie uwagę tych, których lubił, a ignorować tych, którzy mu się nie podobali. Przemknął obok otwartych drzwi i zatrzymał się po ich drugiej stronie, żeby spojrzeć na kolejny obraz.

- Ta kob... Ford... to niania chłopca?

Słyszając nazwisko mamy, Jamey oderwał wzrok od portretu i zakradł się pod drzwi.

- Opiekowała się małym przez wszystkie te lata. Pani Trent tak wczoraj mówiła w kuchni.

- Jeśli jest jedną z nas, dlaczego nie umieścili jej w naszym skrzydle? - W głosie młodszej służącej brzmiała zazdrość.

- Nie jest jedną z nas. Widać to po jej manierach.

- Może tak, ale na pewno nie po ubraniach.

Jamey ostrożnie zajrzał do środka i zobaczył, że pokojówka, chyba Bessie, strzepuje koc i składa go równo.

- To nic nie znaczy, ty głupia. Przyjechała z kolonii... z Pensylwanii.

- Teraz jest w Anglii. Dziś rano Helen się oburzała, że panią Ford umieszczono niedaleko od apartamentu pana. I słusznie, jeśli mnie pytasz o zdanie.

- Nie zamierzam o nic pytać takiej gęsi jak ty albo Helen.

- Dobrze, że pana nie ma, bo ludzie zaczęliby gadać.

- Zaczęli? Ha! Ty i inne plotkarki już gadacie - rzuciła starsza kobieta z przekąsem, zamykając okno. - Z tego, co wiemy, w koloniach czeka na nią mąż. Pani Trent mówi, że ta kobieta niedługo będzie u nas gościem. Więc mnie się widzi, że może wyjechać na długo przed powrotem pana z Londynu.

- Wyjechać? A kto zajmie się paniczem? Na pewno nie ja, mówię ci...

Cichy hałas przy drzwiach ściągnął uwagę obu kobiet. Obie natychmiast zamilkły. Bessie szybko wyjrzała na korytarz, ale nikogo nie zobaczyła. Usłyszała jedynie, że ktoś biegnie po schodach dla służby w stronę skrzydła kuchennego.

- Na koniec, milordowie, powiem, że w naszym kraju rośnie fala moralnego oburzenia. Nas, którzy zasiadamy w Pałacu Westminsterskim, czeka doniosłe zadanie. W przeszłości wyrządziliśmy wiele niepowetowanych krzywd i splamiliśmy sobie ręce krwią, dlatego mamy teraz obowiązek naprawić zło. Zlikwidować barbarzyński handel niewolnikami i wyplenić wszelkie jego ślady z naszych domów, miast i portów. Zmyć tę hańbę z Anglii.

Gdy hrabia Stanmore usiadł, wielu członków Izby Lordów nagrodziło go brawami i wiwatami. Inni jego przemowę skwitowali milczeniem i kamiennymi spojrzeniami.

Kiedy wstał następny mówca, u boku Wakefielda pojawił się goniec.

- Milordzie, ktoś czeka na pana w lobby - szepnął.

Stanmore zdjął perukę i pospiesznie wyszedł do holu. Stojący pod drzwiami sali obrad lokaj w liberii uklonił się i wręczył mu list.

- Właśnie przyjechałem z Solgrave, milordzie. To pilne.

Hrabia przebiegł wzrokiem wiadomość skreśloną przez jego majordomusa z Hertfordshire, zaklął pod nosem i wybiegł z budynku parlamentu. Tuż za nim podążył lokaj.

Gasły właśnie ostatnie promienie słońca, gdy dwaj służący wnieśli świeczniki do salonów na pierwszym piętrze pałacowej rezydencji lady Mornington. W jednym z pomieszczeń bajecznie kolorowa ara zamknięta w mosiężnej klatce podreptała wzdłuż pręta i zaskrzeczała hałaśliwie.

W pokojach panował gwar, rozbrzmiewały śmiechy około dwudziestu dam, które próbowały swoich sił w różnych grach zorganizowanych przez uprzejmą gospodynię. Jedne siedziały przy stolikach i wpatrywały się w karty do

faraona, odkrywane przez bankiera. Niektóre parami grały w pikietę. Jeszcze inne, skończywszy na ten dzień z hazardem, zbierały się w małych grupkach albo krążyły od jednej do drugiej, dzieląc się najświeższymi plotkami.

Louisa Nisdale stała przy jednym z wysokich okien, które wychodziły na Grosvenor Square, i nawet nie udawała, że słucha kobiet dotrzymujących jej towarzystwa. Czuła, że się marszczy, ale o to nie dbała. Tego popołudnia straciła w pikietę pięćset gwinei, a nie mogła prosić lady Mornington o większy kredyt, nie mając pewności, co dalej z hrabią. Gdyby jej odmówiono, wieść szybko by się rozeszła i jej obecność byłaby niemile widziana w każdym domu gry w Londynie.

Sposępniała jeszcze bardziej, gdy w końcu zwróciła uwagę na temat rozmowy, która toczyła się w jej gronie. Nagła obojętność Stanmore'a była dostatecznie przykra i niepokojąca, a tu jeszcze się okazało, że wszyscy w stolicy wiedzą o prywatnych sprawach hrabiego dużo więcej niż ona.

- ...i tutaj możesz mieć rację, moja droga - mówiła pani Beverley konspiracyjnym szeptem. - Słyszałam, że cały Kensington aż huczy od plotek. Moja modystka wie z najlepszego źródła, że tylko w zeszłym tygodniu jego lordowska mość dostał piętnaście zaproszeń na kolację.

- Wygląda na to, że gdy w końcu przestano szargać imię Elizabeth, wszyscy nagle zaczęli się starać o względy lorda Stanmore - wtrąciła Lizzy Archer.

Pani Beverley zaśmiała się z ironią.

- I pomyśleć o rodzinach, które przez te lata trzymały swoje córki z dala od hrabiego! Teraz, gdy istnieje szansa na małżeństwo, z radością rzucają swoje owieczki wilkowi na pożarcie.

- Prawdę mówiąc, moje panie, sama chętnie przebrałabym się za owieczkę. Ten wilk mógłby mnie porwać i zrobić ze mną, co tylko zechce. I do diabła z małżeństwem!

Gdy rozległ się wybuch śmiechu, Louisa wypogodziła czoło i objęła spojrzeniem Lizzy Archer. Kremowy biust



młodej kobiety, podkreślony przez *krój* sukni, już falował na myśl o silnych ramionach Stanmore'a... choć możliwość, że się w nich znajdzie, była bardzo mało prawdopodobna.

- Louisa! - wykrzyknęła pani Archer z udawanym zaskoczeniem. - Nie wiedziałam, że zrezygnowałaś z pikiety. Opuściło cię szczęście?

- A ja nie wiedziałam, że zrezygnowałaś z lorda Archera po niecałym roku małżeńskiego szczęścia - odparowała lady Nisdale. - Ale cóż, moja droga, czasami nie potrafimy docenić tego, co mamy. Weźmy, na przykład, twojego Archiego. Może za mało... energiczny, lecz utalentowany. Powiedziałam mu którejś nocy, że jego technika jest całkiem niezła.

Życzliwym gestem poklepała zarumienioną kobietę po rękę, odwróciła się plecami do osłupiałych dam i ruszyła w stronę gospodyni. Dostrzegłszy jej krzywy uśmiech, zorientowała się, że lady Mornington słyszała ostatnią wymianę zdań.

- Jestem pełna podziwu, moja droga. Wprawdzie nie dopisało ci dzisiaj szczęście w kartach, ale w razie potrzeby umiesz rozbić bank. Chodź, pogawędzimy sobie.

Louisa usiadła obok starszej damy i zerknęła niecierpliwie na stolik, przy którym grano w faraona.

- Nie lubię, jak próbuje mi się odebrać to, co do mnie należy.

Gospodyni przysunęła się bliżej.

- Więc może pora sięgnąć po swoje atuty, moja droga.

Lady Nisdale odgarnęła z twarzy upudrowany lok i pokręciła głową.

- Z hrabią trzeba postępować bardzo ostrożnie. Nie wolno go naciskać. Ale proszę mi wierzyć, już obmyśliłam strategię... i karty wyglądają obiecująco.

- Czy ta strategia ma coś wspólnego z pewnym światowcem, bliskim przyjacielem lorda Stanmore?

Louisa z podziwem uniosła wyskubaną brew.

- Jest pani dobrze poinformowana.

- Tak. I muszę wyznać, że nie pochwalam twojego pla-

nu. - Poważna mina lady Mornington świadczyła o szczerości tej opinii. - Sir Nicholas Spencer może weźmie udział w twojej grze, ale prędzej da się zabić, niż narazi swojego przyjaciela na szwank.

- Zapewniam, że mnie również chodzi o dobro Stanmore'a.

- Możliwe, ale nie oczekuj, że sir Nicholas zrobi coś, co wystawi na próbę jego przyjaźń ze Stanmore'em.

- To, co zamierzam, jest całkowicie niegroźne dla wszystkich zainteresowanych - wyjaśniła Louisa pospiesznie. - Spencer lubi hazard tak samo jak ja, więc to naturalne, że nasze ścieżki się przecinają, kiedy jest w mieście. Czy to bardzo niewłaściwe, że staram się dowiadywać, gdzie przebywa i co porabia lord Stanmore? Nicholas chętnie zaspokaja moją ciekawość.

Gospodyni omiotła wzrokiem salon, po czym skierowała oczy z powrotem na swoją młodą przyjaciółkę.

- I dowiedziałaś się, moja droga, czegoś cennego dzięki swojej zażyłości z sir Nicholasem?

- Owszem! - Louisa uśmiechnęła się promiennie. - Dowiedziałam się, że nieobecność hrabiego miała związek z jego staraniami o odzyskanie syna.

- Czy to słowa Spencera?

Lady Nisdale lekko się zarumieniła.

- Nie użył dokładnie tych słów, ale to jedyne logiczne wytłumaczenie. Stanmore'a nie widziano w towarzystwie nikogo innego.

Lady Mornington uśmiechnęła się domyślnie.

- Przypuszczam, że już wypraktykowałam sposoby zauroczenia chłopca w tym wieku.

- Może być pani pewna, że mam zamiar nawiązać serdeczne stosunki z Jamesem Samuelem Wakefieldem - odparła Louisa z porozumiewawczym uśmiechem. - Tylko głupiec przepuściłby taką okazję, a jak wiadomo, nie jestem głupia. Prędzej czy później zdobędę lorda Stanmore.

## 9

Nad Solgrave majaczyły we mgle ciemne i tajemnicze Chiltern Hills, ale ubłocony jeździec nie tracił czasu, żeby rzucić na góry choć jedno spojrzenie.

Niskie chmury nie raz w ciągu ostatnich kilku godzin spełniły swoją groźbę, zalewając lodowatym, rześistym deszczem londyński gościniec. Rozmyte drogi wymagały od Stanmore'a najwyższych umiejętności. Lecz teraz, kiedy w oddali ukazał się cel podróży, hrabia popędził zmęczonego wierzchowca. Jadąc galopem przez łąkę nasiąkniętą wodą jak gąbka, okrążył jezioro, przemknął przez kamienny most i ściągnął wodze dopiero przed frontowymi drzwiami rezydencji.

Od razu stwierdził, że w rodowej siedzibie panuje zamieszanie. Zsiadł z konia i przez okazałe podwoje wszedł do holu. U jego boku natychmiast zjawił się majordomus Daniel i, następując mu na pięty, zaczął jednym tchem wyrzucać z siebie przeprosiny i wyjaśnienia.

- Rano pani Ford odkryła, że nie ma panicza Jamesa. Szukaliśmy wszędzie. Przetrzęsaliśmy cały dom, stajnie, wie pan, jak chłopcy lubią konie, i skrzydło dla służby. Bardzo mi przykro, milordzie. Nie znaleźliśmy go, więc posłałem po pana.

Hrabia zdjął przemoczony płaszcz, podał go lokajowi i skierował kroki do biblioteki.

- Wysłaliście kogoś do Knebworth?

- Tak, milordzie. Porson wziął sześciu stajennych. Rozdzielili się i zachodzili do każdej chałupy w wiosce. Nikt nie widział chłopca.

Zaraz po wejściu do pokoju Stanmore przyłapał się na tym,

że zerka przez okna na jezioro. Raptem poczuł dziwne ściskanie w piersi. Przed dwoma laty utopił się tam syn jednej ze służących. Ciało znaleźli tydzień później przy starym młynie.

Majordomus dostrzegłszy wyraz jego twarzy, rzucił popieszczenie:

- Jeszcze nie przeszukaliśmy jeziora, milordzie.

Przed oczami hrabiego nagle stanął obraz rudowłosej kobiety bawiącej się z dzieckiem na nabrzeżu w Bristolu, a potem tej dwójki, wyraźnie zawiedzionej, w oknach gospody.

- Sprowadź panią Ford.

Gdy Daniel wyszedł, Stanmore znowu powędrował wzrokiem ku wodzie. Dwumilowy wąski pas w kształcie półksiężyca ciągnął się przez całą posiadłość i kończył przy starym młynie, tuż za wioską Knebworth. Przez lata głęboka, czysta toń stała się przyczyną żałoby kilku okolicznych rodzin.

W pewnym momencie z domu wybiegli dwaj ogrodnicy i ruszyli ścieżką, która prowadziła wzdłuż brzegu.

James topiący się zaraz po przyjeździe do Solgrave. To niemożliwe. Los nie mógł być taki okrutny.

Jednocześnie z lasu po drugiej stronie doliny wyszło kilkunastu mężczyzn. Przez chwilę się naradzali, a kiedy z nieba strumieniami lunął deszcz, ponownie zniknęli między drzewami.

Hrabia zaklął pod nosem. Niech to diabli! Przecież próbował dotrzymać obietnicy, którą złożył starcowi na łożu śmierci. Sprowadził chłopca do domu. Wypełnił swój obowiązek i zadbał, żeby ród i nazwisko przetrwały, bo właśnie tego od niego oczekiwano.

Cóż, kiedy życie płatało mu figle, a i chłopcu fortuna najwyraźniej nie sprzyjała.

Gdy usłyszał kroki, odwrócił się i zobaczył w progu Daniela. Wierny sługa wyglądał jak szubienicznik. Obok niego stała pani Trent i nerwowo splatała dłonie.

- Pani Ford szuka chłopca, milordzie - powiedziała, rzucając niespokojne spojrzenie za okno.

- Jak to?

- Mówiłem jej, żeby została, milordzie - wtrącił major-domus i oskarżycielsko łypnął na ochmistrzynię.

Pani Trent spiorunowała go wzrokiem.

- Odchodziła od zmysłów, milordzie. Gdy tylko ktoś wychodził albo wracał, zaraz pędziła do drzwi. Próbowaliśmy ją zatrzymać, ale nic z tego!

- Kiedy wyszła?

Gospodyni poczerwieniała z zakłopotania.

- Tuż przed południem, milordzie.

- To wiele godzin temu - stwierdził hrabia.

- W jakim kierunku się udała? Wie, gdzie chłopiec mógł się zgubić?

- Była jeszcze bardziej zrozpaczona niż Maire, kiedy dwa lata temu straciła swojego Johnny'ego. - Pani Trent wskazała głową na szyby zalewane deszczem. - Nie dało się jej powstrzymać. Zupełnie jakby zginęło jej własne dziecko.

- A jak się miała czuć, na litość boską?!

Stanmore podszedł do okien, zastanawiając się gorączkowo. Tylko raz rozmawiał z Rebeką Ford, ale nie sądził, żeby kiedykolwiek miał zapomnieć jej uczucie do chłopca. Prawdę mówiąc, było w tej kobiecie jeszcze parę rzeczy, które chyba na zawsze utkwily mu w pamięci.

Nie pora na takie rozmyślania, zbeształ się w duchu. Przecież sama mogła utonąć!

Szybkim krokiem ruszył ku drzwiom, jednocześnie wydając polecenia.

- Danielu, pchnij kogoś do wioski, niech się rozejrzy za panią Ford. Pani Trent, proszę wypytać wszystkich, którzy dzisiaj z nią rozmawiali. Może wspomniała, gdzie zamierza szukać chłopca. Raczej nie bez powodu wybrała się na piechotę.

Maszerując długim korytarzem w stronę kuchni, widział wokół siebie zaniepokojone twarze. Służący, stajenni, ogrodnicy, wszyscy, którzy do tej pory czekali w domu na wieści, szybko podzielili się na grupy i wyruszyli w teren.

Zanim Stanmore dotarł do frontowych drzwi, lokaj po-

dał mu suchą kurtkę do konnej jazdy. Niestety w tej samej chwili burza jeszcze bardziej się rozszalała, niebo przecięły błyskawice. Mimo to hrabia dosiadł świeżego konia, którego przyprowadzono na żwirowy podjazd, i puścił się przez łąkę do dróżki otaczającej jezioro.

Widać jedna z pokojówek okazała się na tyle głupia, żeby wspomnieć pani Ford o synu Maire. Opowiedziała jej nawet o starym młynie i o tym, że właśnie tam znaleziono jego ciało.

Wiatr i deszcz kłuły go w twarz, kiedy gnał wzdłuż brzegu, ale on myślał tylko o chłopcu... i o pani Ford.

O Rebecce.

Nagle poczuł gniew. Nie mógł zrozumieć, dlaczego w ogóle się o nią martwi. To ona była przyczyną całego zamieszania. Gdyby nie uległ jej błaganiom i trzymał się pierwotnego planu, chłopak już dawno przebywałby w Eton.

Głupia, uparta, niecznośna kobieta. Zaklął na głos, pędząc dalej wąską ścieżką. Jednocześnie omiatał wzrokiem przybrzeżne zarośla, wypatrując jakiegoś ruchu albo skulonej sylwetki.

Nim w oddali zamajaczył stary młyn, rozpętała się prawdziwa nawałnica, ale przez kurtyny deszczu Stanmore dostrzegł postać w szarym płaszczu, która akurat w tym momencie pośliznęła się i upadła. Spiał konia ostrogami.

- Pani Ford! - krzyknął.

Kobieta wstała z ziemi i szybko się obejrzała. Silne podmuchy ciskały jej długie mokre włosy na twarz. Ubranie miała brudne i porwane przez kolce jeżyn, ale gdy go zobaczyła, krzyknęła z ulgą:

- Znaleźliście go!

Przemoczone buty zapadały się w błoto, kiedy szła w jego stronę, lecz w niebieskich oczach błyszczała nadzieja. Gdy do niej podjechał, uderzyła go jej bladość, widoczna pod ciemnymi smugami.

- Jeszcze nie.

Roziskrzone spojrzenie przygasło, rysy stężały, pod

smagnięciami wiatru drobnym ciałem wstrząsnął dreszcz. Stanmore zeskoczył z konia, ale pani Ford odwróciła się bez słowa i zaczęła brnąć w gwałtownej ulewie w stronę jazu.

- Proszę zaczekać! Dokąd się pani wybiera?

Szła dalej, patrząc prosto przed siebie. Wyglądała jak obłąkana.

- Nie robi pani nic ponadto, co my robimy. Nie przeczesze pani okolicy dokładniej niż moi ludzie.

Była głucha na jego słowa, nawet nie podniosła wzroku, gdy błyskawica rozwidniła ciemne niebo. Koń stanął dęba, ale hrabia natychmiast go uspokoił.

- To szaleństwo, kobieto! - krzyknął, gdy znowu się pośliznęła.

Zaklął pod nosem, kiedy po mokrym brzegu zsunęła się do jeziora. Ruszył jej na pomoc, lecz nie przyjął jego wyciągniętej ręki, tylko sama wygramoliła się na górę. Od stóp do głów umazana błotem drżała jak osika. Wyglądała żałośnie, ale najwyraźniej nie zamierzała zrezygnować z poszukiwań.

- Jeśli to nie jest najbardziej absurdalna... - Urwał w pół zdania, gdy ruszyła przed siebie, nie zaszczyciwszy go nawet spojrzeniem. - Pani Ford... Rebeko. Nie widzi pani, że tracę czas, ścigając panią, choć mam ważniejsze zadanie na głowie?

Gdy i tym razem go zignorowała, Stanmore rozgniewał się nie na żarty z powodu jej oślego uporu. Dogonił ją, chwycił za łokieć i obrócił do siebie.

- Musi pani natychmiast wrócić do domu.

Odgarnęła mokre włosy z twarzy, spiorunowała go wzrokiem i rzuciła przez zęby:

- Proszę mnie puścić.

Hrabia jej nie posłuchał.

- Nie mogę. Czy się to pani podoba czy nie, jestem odpowiedzialny za bezpieczeństwo moich gości.

- Proszę się troszczyć o tych, którzy tego naprawdę potrzebują. - Z jej oczu wytoczyły się łzy i mieszały z deszczem spływającym po bladych policzkach. - Zginął pański syn. Rozumie pan?

- I mnie pani o to obwinia?  
- Tak! - krzyknęła. - James zniknął...  
- Uciekł, chciała pani powiedzieć!  
- ...bo nawet pan się z nim nie przywitał. Uciekł, bo się bał. Gdyby pan posłuchał tego, co mówiłam w Bristolu, wziął pod uwagę jego wiek i sytuację, w jakiej...

- A może to pani nieumiejętność narzucenia mu pewnej dyscypliny i braki w wychowaniu...

- Niech pan nie waży się mnie krytykować. Jamey wyrosł pod moją opieką.

- Chwasty rosną na poboczach bez żadnej pielęgnacji.

- Proszę mnie obrażać, jeśli pan chce. - Szarpnięciem uwolniła rękę. - Ale niech mnie pan puści. Na Boga, znajdę go i zabiorę z powrotem do Pensylwanii. Jest dla mnie oczywiste, i dla Jamesa również, że wcale pan go nie chce. Gdybym wiedziała to wcześniej, nigdy nie pozwoliłabym przywieźć go tutaj.

Z determinacją podjęła marsz do nieczynnego młyna. Stanmore przeklął się w duchu za wybuch, którym wszystko zepsuł.

- Pani Ford! - zawołał.

Nadal parła przed siebie, jakby go nie usłyszała.

- Rebeko! - krzyknął, doganiając ją w paru susach.

Kiedy obrócił ją do siebie, tym razem unieruchomił również jej drugie ramię. Nie zamierzał do niczego jej zmuszać, a jedynie chciał, żeby odzyskała rozsądek. Umknęła przed nim wzrokiem.

- Byłem niesprawiedliwy. Nie miałem prawa krytykować pani za to, co pani zrobiła dla Jamesa.

- Nie potrzebuję pańskich przeprosin.

Próbowała się wyrwać, ale Stanmore przytrzymał ją mocniej.

- Nie traćmy czasu na jałowe spory. Obojgu nam zależy na tym samym. - Wskazał na niebo. - Wkrótce nadejdzie noc, a ja tu stoję i nie pomagam w poszukiwaniach.

- Więc niech pan idzie!



- Nie mogę, kiedy biega pani po burzy i naraża się na niebezpieczeństwo.

- To nie o mnie powinien się pan martwić, tylko o Jamesa, który...

- Będzie pani potrzebował, kiedy się zjawi. - Potrzęsnał nią lekko. Nie chciał myśleć o szarej wodzie. Wolał, żeby pani Ford czekała w domu, bo przynajmniej o nią nie musiałyby się bać. - Jak zareaguje James, kiedy wróci, a pani go nie powita, nie zajmie się nim, nie pocieszy?

Przestała się z nim siłować.

- Ale ja nie mogę siedzieć z założonymi rękami. Ja...

Spojrzała na niego udręczonymi oczami, a na jej twarzy raptem odbiło się zmęczenie i bezradność.

- Proszę myśleć o chłopcu! O tym, jak najlepiej mu pomóc. - Zobaczył, że nareszcie słucho go z uwagą. - Niech mi pani pozwoli odprowadzić się do domu. Sam poszukam Jamesa. Wychowałem się tutaj. Znam wszystkie miejsca, gdzie chłopiec w jego wieku może się ukryć. A pani niech cierpliwie na nas czeka.

Nie odpowiedziała, ale Stanmore wziął jej milczenie za zgodę. Zdjął płaszcz i zarzucił go na jej ramiona. Miał nadzieję, że choć mokry, zachował ciepło jego ciała. Potem, trzymając za rękę, zaprowadził ją do konia. Szła ciężkim krokiem, w każdym jej ruchu przebijała rezygnacja. Nie wiedział, czy siedząc za nim, utrzyma się w siodle, więc posadził ją przed sobą. Gdy otoczył ją ramieniem w talii i przygarnął, nie odezwała się słowem. W drodze zaciskała dłonie na końskiej grzywie, starała się nie dotykać go plecami i przez cały czas wzrokiem przeszukiwała okolicę.

- Wkrótce dojedziemy. - Musnął brodą jej mokre włosy i zmarszczył brwi, zaskoczony swoją troską o tę nieznośną kobietę. - Ochmistrzyni znajdzie dla pani suche ubranie. I poda kieliszek wina. Nie może pani się rozchorować, kiedy chłopiec potrzebuje pani najbardziej.

Nic nie odpowiedziała, ale przytulił ją mocniej, żeby osłonić przed siekącym deszczem.

Pewne rzeczy zaczęły nabierać sensu. Na przykład sympatia Bircha do tej kobiety i zaufanie, którym od razu ją obdarzył, co u tego zatwardziałego kawalera było zupełnie nieoczekiwaną reakcją. Teraz Stanmore dostrzegł w niej również siłę i niezależność, które nie wynikały z pozycji ani bogactwa. Ponadto cechowała ją wrażliwość i inteligencja. Lecz choć z pozoru zdawała się twarda jak skała, wyczuwał w niej kruchość, której pewnie nikt inny nie zauważył.

Wkrótce pojawiły się rozjarzone okna Solgrave, ale kiedy dojechali na miejsce, Stanmore nawet nie zsiadł z konia, tylko przekazał panią Ford Danielowi i kilku lokajom, którzy wybiegli na ulewę.

- Jakież wieści? - spytał.

- Wróciło paru ludzi, ale zaraz znowu wyruszyli. Rozmawiali z wieśniakami. Jest prawie pewne, że chłopiec nie poszedł do Knebworth. - Majordomus wskazał głową na jezioro. - Mam zebrać grupę z hakami i linami...?

- Nie! - Hrabia rzucił słudze ostrzegawcze spojrzenie. - Jeszcze nie przeszukaliśmy wszystkich miejsc. Zajmijcie się panią Ford.

Gdy Rebeka oddawała mu płaszcz, ich oczy na chwilę się spotkały.

- Niech go pan odnajdzie.

- Przecież obiecałem.

## 10

Wkrótce zapadła nieprzejrzana ciemność, którą jedynie od czasu do czasu rozjaśniały błyskawice. Wiatr i deszcz nadal smagały, ale Stanmore wyczuł, że burza zaczyna ustępować. Wytarł oczy i zatrzymał wierzchowca na skraju niedużej łąki. Było to ostatnie miejsce, które postanowił sprawdzić. Nie chciał wracać z niczym.

Nagle sobie uświadomił, że nie zaglądał tutaj co najmniej od piętnastu lat, kiedy to buszując jako chłopiec po lasach, chował się w opuszczonej chacie, dawniej zamieszkiwanej przez leśników.

W świetle kolejnej błyskawicy przekonał się, że pamięć go nie zawiodła. W głębi polany, otoczony wysokimi platanami i kilkoma starymi dębami, stał znajomy domek, tyle że jeszcze bardziej zniszczony niż w czasach jego dzieciństwa.

Lecz chłopiec szukający schronienia przed burzą zapewne nie zwróciłby uwagi na stan chaty. Milę dalej lasy porastające wzgórza i doliny ustępowały miejsca farmom i parkowi należącemu do Melbury Hall, ale James tego nie wiedział.

Hrabia zsiadł z konia i przywiązał go do niskiego kamiennego murku. Postąpił krok w stronę niskiego wejścia i zatrzymał się zdziwiony. Połowa strzechy zapadła się przed laty, ale dom nie wyglądał na całkowitą ruinę. Pod kamienną ścianą ułożono w stos gałęzie ułamane do równej długości. Ponadto bardzo niedawno drzwi bez zawiasów podparto solidną belką, a okno zasłonięto od środka skórą dla ochrony przed deszczem i wiatrem.

Cyganie regularnie przemierzali okolicę, zwykle jesie-

nią, ale rzadko obozowali w tej części posiadłości. Zbiegły skazaniec albo wędrowny żebrak raczej nie oddalałby się od dróg i ludzkich siedzib. Bardziej prawdopodobne, że tych drobnych napraw dokonały jakieś dzieci z Solgrave lub Melbury. Chata zawsze stanowiła dla nich atrakcję. Sam nieraz się tutaj bawił w szturmowanie twierdzy. Ileż to razy prowadził swoją armię, złożoną z synów drwala i małych Trentów, do boju z wiejskimi chłopakami!

W pewnym momencie poczuł zapach dymu. Okrzyknął budynek i stwierdził, że na jego tyłach niczego nie zmieniło. Z małej dziury w kruszącym się murze wypływał strumyk wody. Stanmore ukucnął i zajrzał w otwór. Część zapadniętego dachu przesłaniała mu widok, lecz dostrzegł odbłask płomieni na ścianie izby i małą rękę dorzucającą chrustu do ogniska. Intruz najwyraźniej go nie usłyszał, bo w jego ruchach nie było nerwowości.

A potem hrabia zobaczył drugą dłoń i ogarnęła go taka ulga, że aż się skrzywił zaskoczony. Przez długą chwilę tkwił bez ruchu i tylko patrzył na chłopca. James siedział odwrócony do niego plecami, więc Stanmore widział jedynie ramiona, ubłocone spodnie do kolan, gołe łydki i stopy. Choć maj dobiegał końca, w nocnym powietrzu nie czuło się powiewu lata. A mimo to, w tę burzową noc, James wybrał opuszczoną ruderę zamiast luksusów Solgrave.

Hrabia wstał ze znużeniem i wrócił przed dom.

- Hej! Jest tam kto? - zawołał, przekrzykując wicher.

Nie doczekawszy się żadnej reakcji, odstawił na bok prowizoryczne drzwi i zajrzał do środka. Ognisko nadal się paliło, ale chłopiec zniknął. Stanmore opuścił głowę i wszedł do izby. Spod zawalonej strzechy, która leżała na klepisku w kącie pomieszczenia, wystawały dwie ubłocone nogi.

Deszcz lał się strugami przez dziurawy dach. Hrabia zerknął na przegniłe krokwie, po czym kucnął przy uciekinierze.

- Nie ma sensu się ukrywać. Pewnie jesteś przemoczo-ny do suchej nitki. Dostaniesz gorączki i umrzesz w ciągu dwóch tygodni.

James nie poruszył się, więc Stanmore powiódł wzrokiem po izbie. Ktoś rzeczywiście spędził tu ostatnio trochę czasu. Kupka popiołu świadczyła, że nad ogniem przygotowano niejedną porcję, kości królików i wiewiórek wrzucone do małego dołka pod ścianą zdradzały, że jego las żywił jakiegoś sąsiada. Hrabia uśmiechnął się krzywo i wrócił spojrzeniem do chłopca, który z uporem go ignorował.

- Wyjdź, James! Widzę cię.

Nadal żadnego odzewu. W tym momencie Stanmore przypomniał sobie, co pani Ford mówiła o słuchu wychowanka. Wstał i unióś słomiany dach, odkrywając zbiega.

Młody Wakefield miał oczy Elizabeth, jej cerę, takie same jasne włosy. Drżał z zimna... albo ze strachu.

- Czas wracać do Solgrave - powiedział hrabia, wyciągając rękę.

Chłopiec nie przyjął podanej dłoni, tylko mierzył go przenikliwym wzrokiem, który Stanmore również dobrze znał.

- Wywołałeś dziś spore zamieszanie. Wiem, że nie obchodzi cię, że napędziłeś strachu mojej służbie, ale jest jedna osoba, na której ci zależy. - Skrzyżował ramiona na piersi. - Pani Ford tak się denerwowała, że wyszła w tę burzę, żeby cię poszukać... sama, na piechotę. Udało nam się sprowadzić ją do domu, ale jeśli zaraz cię tam nie przywiozę, znowu się wymknie. I wątpię, czy będzie miała tyle szczęścia co ty i znajdzie miejsce, żeby rozpalić ognisko, wysuszyć się i ogrzać. Rozchoruje się, i to z twojej winy. Więc jeśli ci na niej zależy...

James bez słowa podniósł się z ziemi.

Hrabia zdeptał ognisko i ruszył do wyjścia. Chłopiec poszedł za nim, a kiedy opuścili chatę, starannie zastawił deską drzwi, co Stanmore obserwował z lekkim rozbawieniem. Gdy sadzał go na konia, ze zdziwieniem stwierdził, że mimo przemoczonego ubrania James tak niewiele waży.

Było to ich pierwsze spotkanie, więc powinien chociaż się z nim przywitać, może wyjaśnić pewne rzeczy z przeszłości lub co najmniej zbesztać go za nieodpowiedzialny

wybryk, ale milczał. Przez całą drogę do Solgrave jechali w ciszy, przerywanej jedynie przez pomruki oddalającej się burzy.

Łóżko pozostało nietknięte. Domownicy już dawno udali się na spoczynek po ciężkim dniu, a Rebeka siedziała na krześle w swojej sypialni i na nowo przeżywała ostatnie wydarzenia.

Nigdy nie czuła większego strachu jak w chwili, kiedy rankiem odkryła, że nie ma Jameya. I nie mogła sobie przypomnieć większej radości niż ta, która ją ogarnęła na widok chłopca zsiadającego z konia hrabiego. Wybiegła na deszcz i rozpłakała się, gdy syn rzucił się jej w ramiona i ukrył twarz w jej szyi, mamrocząc słowa przeprosin, podczas gdy pan domu wydawał polecenia służbie. Po chwili jednak wypuściła Jameya z objąć i przekazała go pod opiekę ochmistrzyni i majordomusowi.

Trzymała się z boku, ale dopilnowała, żeby zrobili wszystko, co należało. Wysuszyli go, przebrali w ciepłe ubranie, nakarmili i położyli do łóżka. Ona tylko kiwała głową, gdy Jamey zerkał na nią z czułością.

Był teraz dziedzicem wielkiej fortuny, następnym hrabią Stanmore. I Rebeka wiedziała, że choć to trudne dla nich obojga, musi pozwolić, żeby Jamey zapoznał się z nowym otoczeniem i ludźmi, którzy odtąd mieli się nim zajmować.

Wcześniej, kiedy wróciła do domu i czekała na wiadomość, przemyślała to, co powiedział jej lord Stanmore, i w duchu przyznała mu rację. To jej wina, że chłopiec tak się zachował. Brak doświadczenia w wychowywaniu dzieci i lata nadmiernej opiekuńczości sprawiły, że zbyt się do niej przywiązał, wręcz uzależnił. Teraz musiała zrobić wszystko, żeby stał się bardziej samodzielny i nabrał cech, które pozwolą mu zająć należne miejsce w świecie.

Wytarła łzy z policzków i przycisnęła dłoń do piersi. Już za nim tęskniła. W końcu wstała z krzesła, mocniej zawią-

zała pasek szlafroka, który dała jej pani Trent, i zbliżyła się do drzwi. Gdy zapakowano go do łóżka, chciał, żeby przy nim posiedziała, ale odmówiła delikatnie. Teraz już na pewno spał, a ona musiała przynajmniej na niego spojrzeć, żeby ukoić ból serca.

W holu panowała cisza. Pod sypialnią Jameya Rebeka przeżyła chwilę paniki. A jeśli znowu zniknął? Szybko się uspokoiła, gdy zobaczyła, że śpi smacznie, jakby nic się nie wydarzyło.

Weszła do pokoju i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Story były rozsunięte i przez duże okna wpadała do środka blada poświata. Deszcz już ustał, przez chmury przedarł się jasny księżyc i teraz cała okolica lśniła w jego srebrnym blasku.

Rebeka stała przez długą chwilę z plecami opartymi o drzwi i obserwowała chłopca.

Jeszcze niedawno uważała swoje życie za wartościowe. Była matką dziecka, które jej potrzebowało. Wypełniała obietnicę złożoną przed laty i czerpała z tego radość. Otarła łzę i podeszła do łóżka. Pochyliła się nad Jameyem, naciągnęła mu koc pod brodę. Potem dotknęła zmierzwiionych włosów i musnęła ustami czoło.

Gdy się wyprostowała, serce w niej zamarło.

W ciemnym kącie siedział w fotelu hrabia Stanmore i przyglądał się jej dziwnym, onieśmiałającym spojrzeniem.

Ogarnęło ją zakłopotanie, poczucie winy i doznania, których nie potrafiła nazwać. Cofnęła się o krok i stwierdziła, że hrabia podąża za nią wzrokiem. Zerknęła jeszcze raz na śpiącego Jameya, odwróciła się i uciekła z pokoju.

Znajdowała się już blisko swojej sypialni, gdy usłyszała za sobą kroki i ciche wołanie:

- Pani Ford.

Żałowała, że nie potrafi zwolnić przyspieszonego tętna, ukryć rumieńca, który zabarwił jej policzki. Odwróciła się powoli. Byli sami w mrocznym korytarzu. Jedyne z ciemnych portretów spoglądali na nich zmarli przodkowie.

Wolno podnosząc wzrok, Rebeka najpierw zobaczyła wysokie buty, potem dopasowane spodnie ze skóry kozłowej i białą koszulę niedbale zapiętą na połowę guzików, a na koniec ogorzałą szyję.

- Widzę, że pani również nie może spać.

Zmusiła się do spojrzenia na przystojną twarz hrabiego i zaraz tego pożałowała, bo zobaczyła, że jego ciemne oczy wędrują od palców jej nagich stóp po luźno rozpuszczone włosy. Przełknęła ślinę i mocniej otuliła się szlafrokiem.

- Chciałem z panią porozmawiać, jako że muszę na krótko wrócić do Londynu, żeby wziąć udział w sesji parlamentu i załatwić kilka prywatnych spraw.

Zdobyła się jedynie na skiniecie głową. Idiotka! Jego bliskość nie wiedzieć czemu zapierała jej dech w piersiach.

- Miała pani rację, radząc, żeby przed wyjazdem do szkoły James spędził trochę czasu w Solgrave.

- Żartuje pan sobie ze mnie, milordzie? - wykrztusiła.

- Nie. To, co dzisiaj zrobił, byłoby prawdopodobnie groźniejsze w skutkach w takim miejscu jak Londyn czy Eton.

Po raz pierwszy od przybycia do Anglii Rebeka poczuła iskierkę nadziei. Hrabia Stanmore najwyraźniej troszczył się o swojego syna.

- Może pobyt tutaj zmieni jego stosunek do nowego otoczenia i życia w Anglii.

- Tak sądzę.

- Poleciłem majordomusowi, żeby zatrudnił nauczyciela dla Jamesa, i liczę na to, że pani pomoże mu wybrać odpowiedniego człowieka. Birch wspomniał, że sama była pani nauczycielką w koloniach, więc pani opinia będzie bardzo cenna.

- Jestem zaszczycona - bąknęła, ale tym razem nie spojrzała mu w oczy.

Gdy spierała się z hrabią o Jameya, nie czuła skrępowania, ale przebywając z nim sam na sam, do tego w niekompletnym stroju, nie mogła pohamować drżenia. Co gorsza, był taki miły!



- Wiem, że już późno, ale jeszcze zamierzam wstąpić do biblioteki na kieliszek wina. Może pani się do mnie przyłączy i udzieli jeszcze kilku rad odnośnie postępowania z Jamesem?

Rebeka poczuła, że twarz jej płonie na wspomnienie silnych ramion hrabiego, muśnięć brody o jej mokre włosy, ciepła jego płaszcza i aromatów nocy, gdy wracali konno do domu. Na myśl o zakazanych pragnieniach serce zatłukło się jej w piersi. I nagle wrócił strach, który tłumiła w sobie przez dziesięć lat. Potrząsnęła głową i zrobiła krok w stronę sypialni.

- Przykro mi, milordzie. Już późno, a dzień był męczący.

- Proszę wybaczyć, że nawet nie zapytałem o pani zdrowie po tylu godzinach spędzonych na deszczu...

- Czuję się dobrze - odparła z przekonaniem i położyła dłoń na klamce. Musiała jak najdalej uciec od hrabiego. Przy nim traciła panowanie nad własnymi zmysłami. Przerażała ją tak silna reakcja na jego bliskość. Co się z nią działo?! - Nic mi nie jest. Dobranoc, milordzie.

- Pani Ford!

Zatrzymała się w progu.

- Uważam, że powinna pani zostać w Solgrave tak długo, jak trzeba, żeby James się tu zadomowił. Proszę być moim gościem.

- Dziękuję, milordzie.

Szybko wśliznęła się do pokoju, zamknęła za sobą drzwi i przyłożyła dłonie do rozpalonych policzków. Niewidzącym wzrokiem spoglądając w ciemność, zastanawiała się, czy hrabia zaprosił ją ze względu na Jamesa... czy z jakiegoś innego powodu.

## 11

Sir Oliver Birch był jednocześnie zdziwiony i zaniepokojony pytaniami lorda Stanmore.

Wezwany przez hrabiego w niedzielny wieczór, zjawił się w jego miejskim domu przy Berkeley Square, przeczuwając kłopoty. Teraz, siedząc w wygodnym fotelu i patrząc, jak gospodarz spaceruje po obszernej bibliotece, utwierdził się w podejrzeniach.

- Z tego, co mi właśnie powiedziałaś o tej kobiecie, wynika, że to z całą pewnością ona towarzyszyła Elizabeth w podróży do Ameryki - stwierdził hrabia w zamyśleniu.

- Może nie z całą pewnością, ale według lekarza, który był wtedy na pokładzie, a obecnie mieszka w Nowym Jorku, rzeczywiście podróżowała z nią kobieta o imieniu Rebecka. Nasza pani Ford pasuje do jego opisu. To właśnie on przypomniał sobie, że wybierała się do Filadelfii. Podobno przypadkiem usłyszał, jak o tym mówiła.

- Otóż to - mruknął Stanmore ze ściągniętymi brwiami i zatrzymał się przed kominkiem. - Dlaczego tak dobrze wszystko pamięta? Dziesięć lat po fakcie? Czyżby jej nie ufał?

- Nie potrafię tego wyjaśnić. - Prawnik zakreślił trunekiem w kieliszku. - Ale pani Ford jest... była bardzo atrakcyjną młodą kobietą. - Czując na sobie baczne spojrzenie, szybko dodał: - Nie mówiąc o tym, że jechała do Filadelfii tylko z dzieckiem.

- Jak skłoniła woźnicę, żeby ją zabrał, bez opieki?

- W koloniach panują inne zwyczaje niż u nas, milordzie. Kobiety często podróżują same. - Birch się zawahał. - Lecz

nie musi pan się obawiać o jej reputację. Jestem całkowicie pewien, a twierdzą tak na podstawie osobistej znajomości oraz tego, co słyszałem w Filadelfii, pani Ford ma i miała wtedy niewzruszone zasady. Jest dystygowana, ale zupełnie bezpretensjonalna. W koloniach nauczyła się swobody w kontaktach z mężczyznami, ale nie pozwala nikomu na niestosowne zachowania. Nawet marynarze traktowali ją z najwyższym szacunkiem. Uważam, że jest wyjątkowa.

Prawnik dostrzegł dziwny wyraz w oczach hrabiego, ale wolał nie zgadywać, co on oznacza. Nie wątpił, że wezwanie ma związek z krótkim i niespodziewanym pobytem lorda Stanmore w Solgrave. Tymczasem gospodarz podszedł do jednego z dużych otwartych okien i wyjrzał na park.

- Czy istnieje możliwość, że poznała Elizabeth w Londynie?

Birch w zadumie potrząsnął głową.

- Nie sądzę. Zna pan krąg towarzyski, do którego należała pańska żona. Choć pani Ford jest dobrze wykształcona i widać, że odebrała staranne wychowanie, nie należy do londyńskiej śmietanki. Uważam, że poznały się w czasie podróży. Ja, na przykład, doskonale rozumiem, dlaczego Elizabeth uznała, że może jej powierzyć Jamesa.

- Naprawdę, Oliverze? Więc może się domyślasz, dlaczego pani Ford postanowiła ukryć swoją znajomość z Elizabeth? Z tego, co powiedziałeś o naszym pierwszym spotkaniu w Filadelfii, wynika, że skłamała.

Prawnik z namysłem spojrział na hrabiego.

- Należy przypuszczać, że jej tajemniczość wynika po prostu z braku zaufania. Pani Ford jest bardzo przywiązana do pańskiego syna. Może również była oddana pańskiej żonie. Inaczej po co brałaby na siebie obowiązek wychowania dziecka? Przecież nie chodziło jej o osobiste korzyści. - Gdy Stanmore pokiwał głową, Birch dodał: - Jest lojalna wobec Elizabeth i Jamesa, milordzie. Pan i ja dopiero musimy zasłużyć na jej zaufanie. - Wzruszył ramionami. - Ale z drugiej strony wszystkie moje przypuszczenia mogą być

mylne. Niewykluczone, że pani Ford mówi prawdę, a my bierzemy ją za kogoś, kto był na tamtym statku razem z pańską żoną.

Hrabia milczał przez dłuższą chwilę, najwyraźniej rozważając tę ostatnią możliwość.

- Powiedz, co wiesz o jej mężu.

- Niewiele - odparł prawnik z dostrzegalną ulgą. - Musieli się pobrać tuż po tym, jak opuściła Nowy Jork. W Filadelfii dowiedziałem się, że pan Ford nie żyje od kilku lat.

- Co jeszcze? Jak zarabiał na życie?

- Nikt nic nie wiedział na pewno. Niektórzy sądzili, że był furmanem, inni przypuszczali, że żołnierzem. Tak czy inaczej niewiele zostawił żonie. Z tego, co udało mi się ustalić, wynika, że przez wszystkie lata pobytu w Filadelfii pani Ford żyła z własnej pracy i z powodzeniem utrzymywała siebie i Jamesa.

- Więc nie było innych dzieci.

- W każdym razie żadne nie przeżyło.

Stanmore odwrócił się od okna i wpiął w niego badawcze spojrzenie.

- A czy coś wiadomo na temat jej pochodzenia? Rodziców? Gdzie się urodziła i wychowała?

- Jedyne pewne informacje, jakie zdobyłem, dotyczą lat spędzonych w Ameryce. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że pani Ford może być córką duchownego i raczej nie dorastała na zapadłej prowincji. Albo miała doskonałych nauczycieli, albo posłano ją do dobrej szkoły, bo uczyła się wielu przedmiotów. W Filadelfii wiele osób chwaliło ją jako nauczycielkę. Jeśli mogę wyrazić swoje zdanie, pani Ford to miła odmiana po wielu Angielkach z jej sfery. Pomijając białe plamy w jej przeszłości, uważam, że jest najuczciwszą i najbardziej prostolinijną kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

Obserwując uważnie hrabiego, który znowu wyglądał przez okno, nie dostrzegł sprzeciwu w jego postawie. Odechnął z ulgą i skrzyżował przed sobą długie nogi. Wie-

dział, że lordowi Stanmore nie należy zadawać pytań, lecz był bardzo ciekawy, co się wydarzyło poprzedniego dnia. Nigdy nie przyznałby się do tego otwarcie, ale *zamierzał znaleźć* jakiś pretekst, żeby w najbliższej przyszłości złożyć wizytę w Solgrave. Bynajmniej nie ze względu na świeże powietrze Hertfordshire.

Pani Ford może i była biedna, ale brak majątku nie stanowił przeszkody w jego oczach. Po raz pierwszy w życiu pomyślał o małżeństwie i dzieciach. Choć brakowało mu doświadczenia w kwestiach sercowych, uważał, że jeśli spędzi trochę czasu w jej towarzystwie i wyjawi swoje zamiary, otrzyma od niej sygnał zachęty. Potem wystarczy sporządzić kontrakt, czyli przenieść całą rzecz na grunt, na którym czuł się najpewniej.

- Sprawdź w tym tygodniu finanse lady Nisdale. Szczególnie interesuje mnie, ile wynoszą jej długi.

Wyrwany z zamyślenia prawnik uniósł brew.

- Już teraz mogę powiedzieć, że to bardzo duża kwota. Od jakiegoś czasu fortuna nie uśmiecha się do Louisy.

Hrabia podszedł do kominka. Na jego twarzy malował się spokój, wręcz obojętność.

- Spłacisz wszystko, łącznie z długami karcianymi. Gdy już wykonasz to zadanie, będzie tutaj czekał list, który należy dostarczyć lady Nisdale.

- Powinna być wdzięczna za taką wspaniałość.

- Będzie wściekła, że kończę nasz romans.

Nie po raz pierwszy Birch załatwiał tego rodzaju delikatną sprawę w imieniu swojego bogatego klienta. Dotychczas hojność lorda Stanmore'a zawsze osuszała łyzy porzuconym kochankom. W tym jednak wypadku, znając temperament Louisy, Oliver wiedział, że będzie musiał postępować z najwyższym taktem i finezją.

- Dobrze pan wybrał moment - rzekł ostrożnie, obserwując wyprostowane plecy Stanmore'a stojącego przed portretem ojca. - Może to tylko próba zwrócenia pańskiej uwagi, ale z przykrością muszę pana poinformować, że

ostatniego wieczoru, po operze w Haymarket, widziano lady Nisdale w Vauxhall Gardens, wspartą na ramieniu pewnego dżentelmena.

- Niech robi, co chce. Już mnie nie obchodzą jej niedyskrecje. - Hrabia przeszedł do dużego biurka. - Mam jutro kilka spotkań, ale we wtorek zamierzam wrócić do Solgrave na dwa tygodnie... co najmniej. - Birch wyprostował się w fotelu. - Pani Ford udzieliła mi w Bristolu paru bardzo rozsądnych rad...

Stanmore mówił dalej, ale myśli prawnika już pędziły w kilku kierunkach jednocześnie. Raptem wszystko nabrało sensu: koniec romansu z lady Nisdale, ciągłe pytania o panią Ford. Oliver wiedział, że Stanmore nie pali się do spędzania czasu ze swoim synem, co sam przyznał kilka razy przed i po znalezieniu Jamesa. To Rebeka budziła jego zainteresowanie, stwierdził Birch z goryczą.

- Opuszcza pan Londyn, choć za dwa tygodnie są urodziny króla, milordzie? Wytworne towarzystwo będzie wielce rozczarowane, śmiem przypuszczać.

- Wczoraj parlament rozpoczął przerwę wakacyjną, więc mój czas należy teraz do mnie. - Twarz hrabiego wyrażała pogardę. - Uważa się mnie za łakomy kasek, jak niedelikatnie zauważył sir Nicholas, co mi się nie podobało przed małżeństwem z Elizabeth i teraz również. Przyjaciele rozumieją, a reszta niech idzie do diabła. - Usiadł za biurkiem, sięgnął po jakąś korespondencję i położył ją przed sobą. - Mam dla ciebie jeszcze jedno zadanie, Oliverze.

Birch zsunął się na brzeg fotela, ukrywając emocje. Po raz pierwszy w życiu...! A Stanmore jego rywalem! Do diaska!

- Przyjmij, że Rebeka Ford, czy jakkolwiek się wtedy nazywała, dziesięć lat temu wsiadła na statek z Elizabeth. Chcę, żebyś ustalił jej prawdziwe nazwisko, pochodzenie i powód, dla którego wyjechała do kolonii. Muszę zrozumieć, dlaczego postanowiła tam zostać zamiast wrócić z chłopcem do Anglii.

- Ustalenie tych faktów może potrwać miesiące.

- Wierzę w ciebie, Oliverze.

Cóż, nie było sensu się spierać i mówić o trudnościach. Obaj zdawali sobie sprawę, że jeśli ktokolwiek w Anglii potrafi zdobyć takie informacje, to tylko Oliver Birch z korporacji prawniczej Middle Tempie. Przecież właśnie on podążył śladami Elizabeth i odszukał Jamesa, co jego współpracownicy uważali za niemożliwe.

- Przynieś mi prawdę, Birch. Muszę wiedzieć o niej wszystko.

Prawnik poczuł, że wokół jego serca zaciskają cię lodowate palce. Lord Stanmore był bardzo przystojnym mężczyzną. Do tego bogatym, utytułowanym i wielkodusznym. Skoro najpiękniejsze i najbardziej światowe kobiety w Londynie nie mogły oprzeć się jego urokowi, jakie szanse miała pani Ford? Hrabia zawsze dostawał to, czego pragnął.

A teraz wracał do Solgrave... wcale nie po to, żeby spędzić czas z odzyskanym synem, co dawał do zrozumienia londyńskiej socjecie. Jechał do siedziby rodowej, żeby zawrócić w głowie bezbronnej kobiecie!

Do diabła, zaklął w duchu Birch, wychodząc z biblioteki. Dlaczego akurat tej kobiety nie zostawi w spokoju? Rebecce Ford z całą pewnością brakowało doświadczenia innych kochanek Stanmore'a. I nie wiedziała, jakie będzie jej życie, kiedy Samuel Wakefield w końcu ją rzuci. Oby tylko nie zaczęła się łudzić, że w życiu hrabiego jest dla niej stałe miejsce.

Jej rozsądek był właściwie jedyną nadzieją prawnika.

Smugi blasku słonecznego malowały na złoto czuprynę Jamesa, który z uwagą słuchoł nowego nauczyciela. Rebeka przyglądała mu się z dużych okien galerii wychodzącej na ogród otoczony murem. Była zadowolona z wyboru Daniela.

Pan Clarke, do niedawna pracujący w Eton, obecnie na emeryturze, opowiedział jej o swojej długiej karierze, która skończyła się dopiero przed rokiem. Teraz „w-w-w-wypęłniał cz-cz-czas” hodowlą pszczół i opieką nad starą matką. Lecz te zajęcia nie wystarczały człowiekowi o jego energii, bo pani Clarke miała wprawdzie osiemdziesiąt cztery lata,

ale cieszyła się „d-d-d-doskonałym z-z-zdrowiem”. Tak więc umowa, zgodnie z którą mógł przyjeżdżać do Solgrave kilka razy w tygodniu ze swojego domku w pobliżu wiejskiego kościoła, bardzo mu odpowiadała.

Rebeka uśmiechnęła się na widok siwych kosmyków wystających spod staromodnej peruki. Szybko doszła do wniosku, że w tym człowieku nie ma nic onieśmiałającego, a reakcja Jameya utwierdziła ją w tym przekonaniu. Niewielki starszy pan o dobrotliwych szarych oczach pod krzaczastymi brwiami doskonale nadawał się do tego, żeby przygotować chłopca do życia w nowym otoczeniu i do pobytu w Eton. Jakaś się tylko wtedy, gdy rozmawiał z kobietą. Nawet zaskakująca decyzja, żeby pierwsza lekcja odbyła się na dworze, przemawiała na jego korzyść.

- Pan Clarke nie zostawi panicza samego, a poza tym Daniel kazał lokajowi mieć na nich oko.

Rebeka z uśmiechem odwróciła się do gospodyni. Nie słyszała jej kroków.

- Nie boję się, pani Trent. Po prostu chciałam się upewnić, że wszystko jest w porządku. James chyba go polubił, jak pani sądzi?

- Oczywiście, że tak! Pan Clarke jest może trochę dziwny, ale takie są wszystkie mole książkowe. W każdym razie to dobry człowiek. Znam go od dzieciństwa. Ale przyszłam w innej sprawie. Chciałam powiedzieć, że czeka na panią krawcowa z St. Albans. Zaprowadziłam ją do szwalni we wschodnim skrzydle. Przyniosła nowe koszule dla Jamesa.

- Świetnie, pani Trent. Podziękuje jej pani w moim imieniu?

Rebeka wróciła spojrzeniem do Jameya. Ku jej radości chłopiec śmiało coś mówił do pana Clarke'a, a ten z aprobatą kiwał głową.

- Obawiam się, że nie, pani Ford.

Zaskoczona spojrzała na ochmistrzynię. Krótko przebywała w Solgrave, ale już zdążyła się zorientować, że dobroduszną pani Trent ma jasne wyobrażenie o tym, jak powinno się toczyć życie w wiejskiej posiadłości. Uznała to



za zaletę u osoby, na której spoczywała duża odpowiedzialność. Prowadzenie wielkiego domu nie było zadaniem dla ludzi niezdecydowanych.

- Kiedy jego lordowska mość wyjeżdżał do miasta, przykazał mi, żebym zadbała o pani nową garderobę - wyjaśniła gospodyni. - Mnie nie trzeba przypominać o obowiązkach, pani Ford. Wczoraj rano posłałam do St. Albans pokojówkę ze szczegółowymi wskazówkami. Dziewczynę mniej więcej pani wzrostu i...

- Naprawdę jestem zadowolona z tego, co mam, pani Trent. Nie będę obarczać lorda Stanmore niepotrzebnymi wydatkami.

Ochmistrzyni ściągnęła brwi i potrząsnęła głową, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów.

- Ta suknia jest jeszcze całkiem dobra, pani Trent.

- Tak, ale nie nadaje się do noszenia, nawet na wsi. - Mina kobiety wykluczała dalsze dyskusje. - Teraz znajduje się pani w Anglii i jest gościem jego lordowskiej mości. Z pani pomocą albo bez zamówię kilkanaście sukien na każdą porę dnia oraz na szczególne okazje. Przecież nie będzie pani tańczyć w ubraniu odpowiednim raczej na zimę w koloniach, ot co.

- Tańczyć? Nie wybieram się na żaden bal.

- Moim obowiązkiem jest dopilnować, żeby była pani przygotowana na wszelkie okazje.

- Ale ja naprawdę...

- Jego lordowska mość nie uznaje żadnych „ale”. Nie chce pani, żeby zwolnił starą służącą za niedopełnienie obowiązków, prawda?

- Oczywiście, że nie! Ale...

- Doskonale! - Gospodyni poklepała ją po dłoni. - Zrobię, co do mnie należy. Zobacz pani.

Rebeka westchnęła z rezygnacją, a pani Trent się uśmiechnęła.

- W starych dobrych czasach, kiedy dwa razy w tygodniu mieliśmy gości na kolacji, w soboty przyjęcia ogrodowe i od czasu do czasu bal, nigdy nie poleciłabym pani suk-

ni ze sklepu w St. Albans. - Ochmistrzynie zerknęła na portrety zdobiące ściany. - Naówczas Daniel, a przed nim jego ojciec, wezwaliby karocę i stangretów, żeby panią zawieźli do Londynu na Oxford Street. Odwiedziłybyśmy wszystkie pracownie krawieckie i eleganckie magazyny w mieście. Gdyby pani jechała teraz, doradziłabym, żeby pani wstąpiła do Wedgewooda na Great Newport Street. Jego komplet etruski jest ostatnim krzykiem mody!

- Nie wiedziałam - bąknęła Rebeka, powstrzymując uśmiech.

- Słyszałam, że mają wielką salę, w której rozstawiają na stołach całą porcelanę jak na wytwornym przyjęciu ogrodowym! Co kilka dni zmieniają całą wystawę, więc damy często tam zaglądają. - Pani Trent westchnęła z żalem. - Już tak dawno nie miałam szczęścia szykować choćby prozowej kolacji.

- Żona hrabiego pewnie lubiła przyjmować gości.

Gospodyni się zmieszła.

- Po prawdzie to nie wiem. Zwykle bawiła w Londynie albo w innych domach jego lordowskiej mości: w Bristolu albo w Bath. Widać przedkładała je nad Sołgrave, choć nie rozumiem, dlaczego.

Rebecce cisnęło się na usta wiele pytań na temat Elizabeth, ale czując wyraźną niechęć ochmistrzynie do zmarłej lady Stanmore, dezaprobatę, która nie osłabła mimo upływu lat, postanowiła na razie jej nie naciskać.

- Za to matka jego lordowskiej mości, o tak, słynęła z zamiłowania do balów. Wydawała tu, w Solgrave, wspaniałe przyjęcia! Mogłabym opowiedzieć wiele ciekawych historii...

Pani Trent zawiesiła głos, pogrążona w radosnych wspomnieniach, a Rebeka wróciła spojrzeniem do widoku za oknem. Jamey stał za nauczycielem i pochylał się nad otwartą przez niego książką.

- Pani jest dobrą kobietą, pani Ford. Od lat nie mieliśmy w Solgrave takiego gościa. - Gospodyni już zapomniała o modnej zastawie stołowej i dawnych przyjęciach.

- Nie pozwolę sobie uszyć dwunastu sukien, pani Trent.

- Wiem, że pani nie chce, żeby jego lordowska mość zbeształ starą kobietę za zlekceważenie jego poleceń, prawda?

Nowa taktyka wywołała uśmiech na twarzy Rebeki.

- Wiedziałam, że mnie pani zrozumie - rozpromieniła się gospodyni. - Nie musimy spierać się o liczby. Proszę tylko, żeby łaskawie poszła pani ze mną.

Rebeka niechętnie dała się poprowadzić do wschodniego skrzydła, gdzie zastawiono na nią pułapkę.

- Tylko błagam o wyrozumiałość - uprzedziła po drodze pani Trent. - Niedługo urodziny króla, pani Pringle jest bardzo zajęta, ale rzuciła wszystko, żeby przygotować trochę strojów. Może będą na panią pasować, gdy się je poprawi tu i ówdzie.

Rebeka przystanęła.

- Już są gotowe?

- Jeśli się spodobają, wyświadczy pani tej ciężko pracującej kobiecie i jej trzem młodym szwaczkom wielką łaskę.

- Pani Trent...

- Żadnych ale, moja droga. - Gospodyni trąciła ją łokciem.

- Jeśli nie dla siebie, niech pani to zrobi dla paniczki Jamesa. Knebworth należy do jego lordowskiej mości i cała służba się tam wybierze na uroczystości przygotowane na cześć króla. Wiele oczu będzie zerkać na hrabiowskiego syna i tajemniczą damę, która opiekowała się nim przez wszystkie te lata.

Rebeka opuściła wzrok na czubki swoich znoszonych butów i powstrzymała się od wyznania, że woli zostać w domu.

- Proszę sobie wyobrazić, że wkracza pani do wioski u boku chłopca, dumna jak kwoka, ubrana stosownie do swojej pozycji. Patrząc na panią, wszyscy uznają, że paniczka James dorastał pod dobrą opieką! A jeśli nie zrobi pani, jak radzę, biedak latami będzie cierpiał z powodu ludzkiego gadania!

Rebeka wiedziała, że gospodyni ma rację. Sama wychowywała się wśród dziewcząt z najlepszych rodzin i doskonale rozumiała konieczność pokazania się w pewnych sytuacjach.

Skarciła się w duchu za to, że przed wyjazdem z Pensylwanii nie zadbała o nową garderobę, i ruszyła za panią Trent do szwalni. Byłoby rozsądniej uszyć sobie parę rze-

czy w Filadelfii zamiast tutaj. Nie chciała niczego zawdzięczać lordowi Stanmore. Nie życzyła sobie, żeby w jakikolwiek sposób płacił jej za opiekę nad Jameyem.

Pani Pringle okazała się chudą i energiczną kobietą, która sprawiała wrażenie, jakby wciąż się spieszyła. Razem ze swoją cichą pomocnicą zdążyła już rozpakować pół tuzina sukien dziennych i wieczorowych, kilka rodzajów koszul i sztywnych halek, trzy różne fartuchy, proste albo z kokardką i kokardkami, dwa słomkowe kapelusze o szerokich rondach, które pozwoliła sobie wybrać u modystki, swojej przyjaciółki i sąsiadki z St. Albans, oraz mnóstwo wstążek, chustek, rękawiczek, szali i innych dodatków.

Rzuciwszy wprawnym okiem na *nową* klientkę, krawcowa uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Wiedziałam, po prostu wiedziałam! Będzie pani wyglądać jak królowa, droga pan Ford. Wystarczyło, że spojrzałam na dziewczynę, którą przysłała mi pani Trent, i mówię do męża, jest krawcem w St. Albans, jakby pani nie wiedziała: „Panie Pringle, uszyjemy stroje, które będą wyglądać pięknie na tej pani Ford”. I, proszę, miałam rację. Tylko na nie spójrzcie!

Rebeka oszołomiona patrzyła na wykładane przed nią kolejno suknie z muślinu i haftowanych tkanin w odcieniu brzoskwińowym, kremowym, zielonym i niebieskim. Każda była ozdobiona delikatną koronką. Ładniejszych rzeczy nie nosiła od dnia, kiedy opuściła szkołę w Oxfordzie.

Nagle poczuła ściskanie w żołądku.

*Skromność, prawość, czystość*, przypomniały się jej słowa, które tak często słyszała od pani Stockdale. Dyrektorka akademii dla dziewcząt z uporem wpajała jej przekonanie o wartości cnoty. *Nie ściągaj na siebie uwagi, Rebeko Neville. Skromność, prawość, czystość*. Podczas gdy w jej głowie rozbrzmiewały nauki mentorki, z ciemnych zakamarków pamięci nagle wyłonił się obraz sir Charlesa Harringtona w bibliotece jego londyńskiej rezydencji.

Te rozmyślania tak ją pochłonęły, że zanim się spostrze-

gła, stała na niskim stołku pośrodku szwalni, a krawcowa i ochmistrzyni z zapalonym dyskusyjnym, co najpierw powinna przemyśleć.

Zapłonila się mocno, gdy pani Pringle ściągnęła z niej szarą wełnianą suknię i bezceremonialnie rzuciła ją na podłogę. Chwilę później Rebeka miała na sobie cudowne w kolorze dojrzalej brzoskwini i oglądała się w lustrze trzymanym przez młodą pomocnicę.

- Chyba ma pani rację, pani Trent - stwierdziła krawcowa. - Ten muslin w kwiaty doskonale podkreśla barwę włosów i cerę pani Ford.

Gdy obie zaczęły dobierać szale i wstążki, Rebeka przyjrzała się głębokiemu dekolтови oraz metrom koronki, którą były obszyte rękawy i suta spódnica. Nim jednak zdążyła przedstawić swoje obiekcje, pani Pringle wyciągnęła szpilki z jej włosów i gęste złoto-rude sploty opadły kaskadą na plecy.

- Och!

Okrzykowi pani Trent towarzyszył zachwyt w oczach dziewczyny trzymającej lustro.

- Jeszcze parę dodatków i będzie pani najpiękniejszą damą, jaka kiedykolwiek przekroczyła bramy Solgrave, pani Ford - oświadczyła rozpromieniona gospodyni. - A przecież to dopiero strój na dzień!

- Szczera prawda! - wtrąciła z emfazą pani Pringle. - Jeśli przyjedzie pani do St. Albans, ludzie natychmiast rzucą pracę i zbiegną się, żeby panią obejrzeć.

- Tak! - Szare oczy ochmistrzyni zaiskrzyły się z podniecenia. - Porozmawiam z hrabią, żeby wydał bal na cześć panicza Jamesa... i przedstawił panią Ford sąsiadom.

Szczęśliwy uśmiech wygładził wszystkie zmarszczki i fałdy na jej twarzy. **Skan Anula43, przerobienie pona.**

Tymczasem Rebeka czuła się nieswojo. Przez całe życie starała się wyglądać skromnie, nie rzucać w oczy, wtopić w otoczenie, wyglądać surowo i dostojnie. I odkąd opuściła Londyn, ta sztuka zawsze się jej udawała.

Teraz z lustra spoglądała na nią zupełnie obca osoba.

## 12

Szli do starego młyna, niosąc między sobą koszyk piknikowy.

Jamey przez cały ranek był bardzo grzeczny, pilnie słuchał pana Clarke'a, a później z Danielem poznawał zakamarki dużego domu. Zasłużył sobie na pochwały majordomusa i ochmistrzyni, ale Rebeka tylko raz spojrzała w niebieskie oczy i od razu się zorientowała, że czas na przerwę.

Rozumiała, że po względnej swobodzie, którą cieszył się w Filadelfii, rygory panujące w Solgrave są dla niego trudne do zniesienia. Doszła do wniosku, że w ciągu dnia wypełnionego zajęciami należy mu znaleźć chwile na beztrudną zabawę.

Gdy znaleźli miękką trawę obok kępy wierzb i postawili kosz, Jamey zapytał z psotnym wyrazem w oczach:

- Mogę zniszczyć nowe ubranie?

- Oczywiście, że nie - odparła Rebeka z uśmiechem, rozwiązując wstążki słomkowego kapelusza, który pani Pringle przykazała jej nosić do nowej sukni. - Ale nie sądzę, żeby odrobina kurzu zaszkodziła. Tylko zdejmij marynarkę!

Chłopiec ściągnął z siebie wierzchnie ubranie, z głośnym okrzykiem rzucił się na ziemię i potoczył po łagodnym zboczku w stronę jeziora. Było za późno, by go ostrzec, że zielone plamy to co innego niż kurz, więc Rebeka tylko westchnęła, a potem się roześmiała, ciesząc z jego radości.

Wyjęła z kosza mały koc i rozpostarła go na trawie. Następnie uklękła i zaczęła wykładać jedzenie, obserwując Jameya, który właśnie wspinał się na głąz leżący niedaleko brzegu.

Po chwili usiadła na piętach i zmarszczyła brwi. Nie pytała go, dokąd poszedł i co robił przed trzema dniami. Gdy później słuchała jego nieskładnych przeprosin, wyczuła w nim strach przed rozstaniem i obiecała sobie, że od tej pory będzie dodawać mu otuchy i jednocześnie wskazywać dobre strony nowego życia. U małego chłopca ucieczka była w trudnej sytuacji naturalnym odruchem. Czyż ona przed laty nie zachowała się tak samo?

A teraz wróciła do Anglii, choć przysięgała, że nigdy tego nie zrobi.

- Mogę popływać?

Jamey już zdążył zdjąć buty i skarpety.

- Nie. Woda jest za zimna.

Chłopiec łypnął na nią z ukosa, a potem wbiegł po stożku i rzucił się jej w ramiona. Oboje upadli na koc, słomkowy kapelusz poprunął na trawę.

- Wcale nie jest zimna. Puść mnie, mamó, proszę! Wiesz, że dobrze pływam.

To prawda, że razem z małymi Butlerami od czterech lat spędzał upalne dni nad rzeką Delaware, szalał z nimi, skakał z falochronów, czuł się w wodzie jak ryba.

- Sama sprawdź, że jest ciepła, mamó. Naprawdę. Chodź i zobacz.

Pozwoliła mu dźwignąć się z ziemi, ale nie ruszyła nad jezioro. Nie chciała wrócić do Solgrave w zniszczonej sukni.

- No, chodź - zachęcał chłopiec. - Jest cieplejsza niż w naszym porcie... nawet w lipcu.

Rebeka zdjęła koronkowy szal, położyła go na kocu i zeszła z Jameyem na brzeg. Woda, dzień wcześniej mulista i szara, teraz była krystalicznie czysta. Na płyciźnie, tuż przy piaszczystym dnie, śmigały małe rybki.

- Proszę, mamó! - Chłopiec pociągnął ją za rękę. - Byłem grzeczny. Sama widziałaś. Nie sprawiałem kłopotów panu Clarke'owi, choć bardzo mnie korciło. Proszę!

Dobrze wiedział, jak ją rozbroić. Gdy zobaczył, że dała się ubłagać, w jego oczach zapłonęły iskierki radości.

- Nie mam dla ciebie żadnych suchych rzeczy.

Jamey błyskawicznie zrzucił ubranie.

- Nie szkodzi. Posiedź sobie na kocu. Później się nim wytrę albo po prostu poleżę na słońcu, póki nie wyschnę.

- A co z jedzeniem, które przynieśliśmy?

- Zjemy je później. Odwróć się, mammo!

Stanąła do niego plecami, a po chwili usłyszała plusk.

- Bądź ostrożny! Nie odpływaj daleko!

Stanmore pędził wzdłuż jeziora, bodąc konia ostrogami. Z każdą chwilą rosła w nim irytacja. Gorączkowa niecierpliwość sprawiła, że w czasie jazdy z Londynu sforsował ulubionego kasztanka. Jeszcze daleko przed Marylebone zostawił za sobą Philipa i pozostałych służących.

Po przybyciu do Solgrave od razu zapytał o panią Ford, a Daniel czym prędzej go poinformował, że wybrała się z paniczem do starego młyna.

Śnił o niej przez całą noc. Przyszła do niego taka, jaką widział przed trzema dniami w sypialni Jamesa. Z początku była nieco skromna i nieco zakłopotana, jak zawsze przy tych kilku okazjach, kiedy się spotykali. Ale później tak ją rozпалиł, że całkiem pozbyła się rezerwy. Rano obudził się dręczony niepokojem i pragnieniem, żeby ją zobaczyć.

Oczarowanie piękną kobietą nie było dla niego niczym nowym, ale myślał, że Rebeka Ford ukrywa zainteresowanie jego osobą, może nawet z nim walczy, rozbudziła jego ciekawość. A jeszcze bardziej intrygował go fakt, że najwyraźniej nie ma zamiaru go uwodzić, co inna kobieta na jej miejscu już dawno by zrobiła. Wyczuwał w niej niewinność, ale nie dziecinną, denerwującą nieśmiałość wielu młodych kobiet z towarzystwa, tylko uroczą powściągliwość.

Mimo to wyraźnie ją pociągał. Zauważył delikatny rumieniec, drżenie ręki, sposób, w jaki chmurnymi oczami przyglądała mu się tamtej nocy na pustym korytarzu.

Kiedy tak gnał w stronę opuszczonego młyna, przyszło mu do głowy, że jego fascynacja Rebeką Ford pozostaje



w sprzeczności z planami wobec Jamesa. Miał zamiar dać mu wszystko, co dostają angielskie dzieci z najbogatszej klasy, lecz całkowicie go ignorować, a potem wysłać do szkoły. Bardzo go jednak zaskoczył opór chłopca i wyraźne pragnienie niezależności.

Właśnie dlatego zaszedł tamtej nocy do jego sypialni. Chciał spojrzeć na jego twarz i przypomnieć sobie o Elizabeth, jej tchórzostwie i braku honoru. Ale nie dopatrzył się tych cech w rysach śpiącego. Chłopiec odziedziczył po matce tylko fizyczne podobieństwo.

Wkrótce zobaczył ruiny młyna i kobietę w jasnej sukni powiewającej na wietrze. Szła brzegiem jeziora, plecami do niego. Kilka pasm złoto-rudych włosów wymknęło się z koka i muskało jej smukły kark. Gdy się zbliżył, zanotował sobie w pamięci, że musi podziękować pani Trent za skompletowanie nowej garderoby dla gościa. Od razu przeczuwał, że ochmistrzyni nie będzie miała łatwego zadania.

Pani Ford chyba usłyszała odgłos końskich kopyt na piasku, bo odwróciła się i uniosła rękę do oczu, zasłaniając je przed słońcem.

Hrabia ściągnął wodze, zsiadł z konia i przywiązał go do wierzby.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Jest za ciepło, żeby siedzieć w domu.

Rebeka potrząsnęła głową i rzuciła spojrzenie na jezioro.

- Nie wiedziałam, że pan dzisiaj przyjeżdża z Londynu, milordzie, ale cieszę się, że pan już jest. W koszu znajdzie się dość jedzenia, żeby... wykarmić... regiment.

Jąkanie świadczyło, że zauważyła jego milczenie i podziw w oczach. Pomknęła spojrzeniem ku koronkowemu szalowi, który leżał na kocu, i skrzyżowała ramiona na piersi, zasłaniając kremowe wypukłości doskonale widoczne w głębokim dekolcie.

Hrabia stwierdził, że rzeczywiście ma apetyt, ale wcale nie na piknikowe specjały. Natychmiast jednak zbeształ się w duchu za takie myśli. Rebeka Ford nie była kobietą lek-

kich obyczajów z Covent Garden ani jedną z tych łatwych dam z londyńskiego towarzystwa, lecz prawdziwym rarytasem. Nie zamierzał jej spłoszyć.

- Dużo jedzenia, mówi pani. Cóż, Harry, mój kucharz w Solgrave, miał dwadzieścioro rodzeństwa. - Podszedł do niej niedbałym krokiem. - Słynie z tego, że przedkłada ilość nad jakość.

Rebeka potrząsnęła głową.

- Jest pan niesprawiedliwy, milordzie. Smakowały mi wszystkie potrawy, które do tej pory serwował.

- Po prostu stara się być pani uprzejma, ale zważywszy na smukłość figury... - Nie spuszczał wzroku z jej twarzy. - ...i dobre maniery, mogłaby pani u nas umrzeć z głodu i nie zaprotestować ani słowem.

Zarumieniła się uroczo, ale odwróciła wzrok, pozbawiając go przyjemności spoglądania w bardzo niebieskie oczy.

- Zapewniam pana, milordzie, że mój pobyt w Solgrave jest bardzo przyjemny.

- Miło mi to słyszeć, madam.

Pani Ford schowała za zgrabne ucho kosmyki włosów rozwiewane przez wiatr. Stała na wyciągnięcie ręki, tak blisko, że niemal czuł jej zdenerwowanie. Zerknął na jezioro, na niebo, na drzewa porastające zbocze wzgórza po drugiej stronie doliny, i wrócił do niej spojrzeniem.

- Daniel mówi, że dziś rano James zaczął lekcje z nauczycielem.

- Tak. - Uśmiechnęła się i w tym samym momencie z jej ust wyrwał się okrzyk przest్రachu. - Jamey! - Zapominając o sukni i butach, weszła do wody. - Jamey!

Stanmore w jednej chwili zrzucił surdut i kamizelkę.

- Gdzie on jest?

- Tam!

Jakieś pięćdziesiąt metrów od brzegu ukazała się na powierzchni głowa chłopca i natychmiast znowu zniknęła.

Hrabia wbiegł do jeziora.

- Nie, milordzie!

Usłyszał jej krzyk, ale nie obejrzał się, tylko zaczął płynąć Jamesowi na ratunek. W jego wieku nieraz przemierzył wpław całe jezioro i dobrze wiedział, że płytyczny zwiódł już niejednego amatora kąpieli, bo piaszczyste dno gwałtownie opadało już kilka metrów od brzegu.

Ramionami wykonywał mocne ruchy, więc szybko dotarł do miejsca, gdzie ostatnio widział chłopca, ale lśniąca tafla była nieruchoma. Wziął głęboki oddech i zanurkował.

Zaledwie kilka stóp pod powierzchnią woda okazała się lodowato zimna. Stanmore rozejrzał się dokoła, ale nigdzie nie dostrzegł tonącego. Wychynął na powietrze, zaczerpnął tchu i już miał dać kolejnego nurka, gdy zauważył jakiś ruch około trzydziestu metrów od jazu. Natychmiast popłynął w tamtą stronę, lecz i tym razem nie wypatrzył Jamesa, ani w zielonkawej toni, ani na powierzchni. Zanurzył się jeszcze raz. Bez rezultatu.

Serce zatłukło mu się w piersi. Wystraszony nie na żarty spojrzął ku brzegowi i zobaczył, że pani Ford do niego macha, a po płyciźnie, wśród rozbryzgów wody, biegnie ku niej nagi chudzielec.

Nie wiadomo, czy z zimna i wysiłku, czy też ze zdenerwowania, hrabiemu zaczęły pulsować skronie, a przez głowę przebiegła myśl, żeby sprać nicponia na kwaśne jabłko. Był naprawdę wściekły.

Rebeka chyba wyczuła jego nastrój, bo kiedy płynął do brzegu, wręczyła Jamesowi ubranie, owinęła go własnym szalem i posłała do Solgrave.

Gdy Stanmore w końcu wyszedł z jeziora, jego buty ważyły co najmniej pięćdziesiąt funtów każdy, koszula i spodnie przyklejały się do ciała. Popatrzył groźnie za chłopcem, który właśnie zniknął między drzewami, zmełł w ustach przekleństwo i wpił rozgniewany wzrok w Rebece. Nie przyjął koca, który trzymała w wyciągniętej ręce, tylko rzucił oskarżycielskim tonem:

- Kazała mu pani uciec, zamiast stawić czoło konsekwencjom własnych czynów.

- Był zmarznięty... drżał jak liść... - bąknęła, cofając się o krok

- Widział, że za nim płynę. Mógł krzyknąć, że nic mu nie grozi.

- Jest dzieckiem. Pomyślał, że to zabawa. - Niepewny uśmiech zniknął z jej twarzy pod wpływem jego marsowej miny. - To moja wina. Próbowалаm pana zatrzymać, ale...

- Wychowała pani tchórza.

- James nie jest tchórzem. - Rebeka dumnie uniosła brodę i cisnęła mu koc. Gdy go nie złapał, tylko ruszył w jej stronę, zrobiła dwa kolejne kroki do tyłu. Powędrowała spojrzeniem w dół jego torsu, ale czym prędzej je uniosła. - Pobiegł do domu, żeby się przebrać. Ociekał wodą... tak jak pan...

Kiedy zawiesiła głos, Wakefield stwierdził, że jego gniew przeradza się w pożądanie. Nadal ku niej szedł, a ona się cofała.

- Nie mogę puścić mu tego płazem. Nie ukarałem go za tamtą ucieczkę, ale tym razem muszę go nauczyć, co to znaczy odpowiedzialność za swoje postępowanie.

- Nie sądził, że robi coś złego. Wie, że jest świetnym pływakiem. Jeśli kogoś należy winić, to tylko mnie. - Zatrzymała się raptownie, gdy trafiła plecami na ścianę starego młyna. - Zareagowałam przesadnie, kiedy spostrzegłam, że tak daleko odpłynął.

- Niech pani przestanie go ochraniać, Rebeko. On musi...

- Naprawdę to wyłącznie moja wina.

Zrobił kolejny krok i przywarł wzrokiem do jej szyi, gdzie pod delikatną skórą było widać gwałtowne pulsowanie. Potem opuścił spojrzenie i przez chwilę podziwiał wznoszenie się i opadanie piersi w rytm nierównego oddechu. Przysunął się bliżej i popatrzył na pełne wargi. Kiedy po zetknięciu jego zimnego ciała z jej rozgrzanym wyrwał się z nich cichy okrzyk, skrzywił usta w przelotnym uśmiechu. Gdy na koniec zatonął w niebieskich oczach, rozgorzała w nim żądza.

Rebeka dostrzegła zmianę na jego twarzy i wstrzymała

oddech. Przyciśnięta plecami do kamiennego muru, nie miała dokąd uciec. Ale nawet gdyby zdołała ruszyć z miejsca całą budowlę, hrabia poszedłby za nią.

Gdy dotknął ustami jej ust, zamknęła oczy. Jego wargi były twarde, natarczywe, ale w momencie kiedy poczuła strach wędrujący wzdłuż kręgosłupa, stały się łagodniejsze. Raptem zrobiło się jej dziwnie gorąco.

Zaskoczona nowymi doznaniem, próbowała je zrozumieć. Odkrycie, że uwielbia dotyk jego palców na swojej skórze, wywołało w niej konsternację. Z wahaniem otworzyła oczy i przez chwilę widziała tuż przed sobą jego przystojną twarz, zanim pochylił głowę i delikatnie skubnął zębami jej dolną wargę.

Nie mogła się poruszyć ani zaczerpnąć tchu, a jej serce waliło tak mocno, jakby zaraz miało pęknąć.

- Jesteś piękna - szepnął, a w głębi jego ciemnych oczu zapaliły się srebrne iskierki. - Pocałuj mnie, Rebeko.

Zanurzył palce w rudych splotach, przywarł do jej warg i próbował rozewrzeć je językiem. Rebeka oderwała ręce od muru i chwyciła go za barki. Otworzyła usta, żeby mu powiedzieć o swoim braku doświadczenia, ale nie wydostało się z nich żadne słowo. Gdy Stanmore objął ją w talii i przygarnął do twardej piersi, odniosła wrażenie, że płonący w niej żar w jednej chwili wysuszył jego mokre ubranie. Strach przed bliskością zmienił się w pożądanie.

Zaczęła wodzić dłońmi po umięśnionych plecach. Pragnęła wtopić się w silne męskie ciało. Jak przez mgłę usłyszała cichy pomruk, a kiedy Wakefield przycisnął ją do ściany, poczuła coś pod cienkim materiałem jego spodni i natychmiast otrzeźwiała. Przed oczami stanęły jej obrazy z przeszłości: biblioteka w londyńskiej rezydencji, podniecony mężczyzna, zabójstwo.

Ręce, którymi chwilę wcześniej starała się przyciągnąć hrabiego jak najbliżej, teraz wbiła klinem między ich ciała i gwałtownie go odepchnęła. O dziwo, natychmiast ją puścił.

- Ja... przepraszam. - Kręciło się jej w głowie, twarz paliła ją ze wstydu i zmieszania. Cała rozdygotana zaczęła się cofać w stronę kosza z jedzeniem. - Nie powinnam... To było złe... To wszystko moja wina.

- Rebeko!

Niski głos pieścił jej uszy, ale zrobiła kolejny krok do tyłu i z wahaniem podniosła wzrok.

- Przepraszam.

W głębi czarnych oczu hrabiego jarzyło się pożądanie. Drganie mięśni szczęki świadczyło o walce, którą ze sobą toczył. Jednak nie ruszył się z miejsca. Nie poszedł za nią.

I wtedy zrozumiała, że ten mężczyzna nigdy by jej nie skrzywdził, żeby zaspokoić swoją żądzę. Na myśl, że śmiała go porównać do sir Charlesa Hartingtona, ogarnął ją jeszcze większy wstyd.

- To ja zacząłem - powiedział Stanmore z przekonaniem. - Ale nie ma nic złego w...

- Nie! - Uniosła rękę i potrząsnęła głową. - Niczemu nie jest pan winien, ale to się więcej nie powtórzy.

Odwrociła się i pobiegła ku ścieżce prowadzącej do rezydencji. Na szczycie wzgórza zatrzymała się zdyszana i obejrzała przez ramię. Lord Stanmore, bez koszuli i butów, maszerował do jeziora na chłodną kąpiel.

## 13

Zanim Jamey dotarł do domku w lesie, jego luźna koszula prawie wyschła na plecach, więc zdjął szal matki, włożył skarpetki i buty, które niósł pod pachą, uchylił prowizoryczne drzwi i zajrzał do środka.

- Israel! Jesteś tam?

W chłodnym półmroku dostrzegł jakiś ruch.

- Israel? - zawołał głośniejszym i szerzej otworzył drzwi, wypuszczając trochę światła. - To ty?

- Tak. Nie miałem dokąd pójść.

Jamey uśmiechnął się na widok drobnej postaci zwinętej w kłębek przy palenisku.

- Co robisz? Śpisz?

Nie czekając na odpowiedź, wyszedł z domku po gałęzie na opał.

W dniu, w którym uciekł z Solgrave, godzinami maszerował w deszczu po lasach i łąkach, nim trafił na wydrążony pień ogromnego, starego dębu. Uznał go za dobre miejsce na kryjówkę, ale osłupiał, gdy znalazł się twarzą w twarz z chłopcem w mniej więcej swoim wieku i tego samego wzrostu.

Kiedy rówieśnik przesunął się, robiąc mu miejsce, Jamey zrozumiał, że znalazł przyjaciela. Skulony obok niego w dziupli wyznał, że uciekł ze swojego nowego domu. Nowy kolega odparł, że on też nie uważa miejsca, gdzie śpi i je, za swój prawdziwy dom, dlatego urządził sobie nowy w lesie.

Jamey się zwierzył, że przez całe życie był szczęśliwy, póki mama nie oznajmiła mu, że jest synem arystokraty.

Nie chciał mieć obcego człowieka za ojca. Ona w zupełności mu wystarczała.

Israel powiedział, że nie zna swoich rodziców, musi pracować na jedzenie jako pomocnik drwala, jest niewolnikiem w Melbury Hall i nie wolno mu odzywać się do białych ani nawet na nich patrzeć. A wszystko dlatego, że ma inny kolor skóry.

Jamey wzruszył ramionami i oświadczył, że tam, skąd pochodzi, nie szanuje się właścicieli niewolników, a wielu ludzi, których dziadkowie przybyli z Afryki i z Indii, jest wolnych.

Jego słowa spotkały się z niedowierzaniem, ale kiedy stwierdził, że on sam też jest inny, dostrzegł zainteresowanie w oczach nowego przyjaciela. Wtedy podciągnął rękaw koszuli i pokazał mu dłoń.

Tym razem wywarł duże wrażenie, bo gdy ulewa osłabła, Israel spytał go, czy chce zobaczyć dom, który dla siebie szykuje.

Kilka godzin później, siedząc przy ognisku i dzieląc się jedzeniem, doszli do wniosku, że we dwóch szybciej naprawią chatę. A ponieważ Jamey nie zamierzał wrócić do Solgrave, mógł jej pilnować, kiedy Israel będzie w pracy. Umowa została przypieczętowana uściskiem dłoni.

Teraz Jamey wszedł do chaty z naręczem chrustu, rzucił ciężar na podłogę i zaczął układać suche gałęzie na stosie popiołu.

- Nie było cię tu, kiedy zjawiłem się następnego ranka.

- Przyszedł po mnie.

- Twój tata?

- Hrabia - poprawił Jamey, zerkając na boso stopy przyjaciela i jego spracowane dłonie oparte o gołe kolana.

- Zadawał jakieś pytania? Jesteśmy na jego ziemiach. Drwal Biddle mówi, że wszystko aż do tamtego pasma wzgórz należy do Solgrave.

- O nic nie pyta! - prychnął Jamey. - Nie obchodzi go ta chata... ani ja. - Umilkł na chwilę. - Lepiej rozpalę ogień.



Pływałem w jeziorze i mam teraz mokre ubranie. Spodnie kleją mi się do tyłka.

- Tam leży drewno na podpałkę, a tu masz krzesiwo.

- Zamierzasz coś tu dzisiaj robić? Mogę zostać i ci pomóc. Nie będą mnie szukać jeszcze przez parę godzin.

- Nie, jakoś nie mam ochoty... - bąknął Israel ledwo słyszalnym głosem.

- Potrzebuję kawałka stali albo noża, jeśli... - Jamey dopiero teraz zauważył posiniaczoną twarz przyjaciela. - Israel?

Podszedł bliżej i ujrzał zakrwawioną koszulę. Choć żołądek ścisnął mu się ze strachu, kucnął obok przyjaciela i dotknął zniszczonego rękawa. Na plecach krwi było jeszcze więcej, ale gdy próbował je obejrzeć, chłopiec skrzywił się z bólu.

- Twoja twarz.... - Jameyowi zrobiło się niedobrze. Jedno oko Israel miał całkiem Zapuchnięte, wielki guz na czole, rozcięte wargi. - Mój Boże! Co ci się stało?

- Jestem niewolnikiem, nie pamiętasz?

- Nie mogą cię bić bez powodu. Kto ci to zrobił?

- A kogo to obchodzi!

- Mnie. Zaraz pójdę i spuszczę im lanie.

- Są od ciebie dużo więksi.

- Więc... obrzucę ich kamieniami. Dostaną za swoje. - Czarnoskóry chłopiec zwiesił głowę. - Ktoś musi dać im nauczkę. - Jamey spojrział na zgarbione ramiona świadczące o rezygnacji i zrozumiał, że Israel nie pierwszy raz został pobity. - Siła to nie wszystko.

- Ale kolor tak.

Jamey przełknął ślinę, walcząc z łzami. Usiadł na klepisku obok Israela i podciągnął kolana pod brodę. Przypomnieli mu się skuci łańcuchami Afrykanie, których widział w Bristolu.

- Ja też jestem inny, ale mam kogoś, kto mnie obroni - powiedział po dłuższej chwili. - Moja mama zawsze się mną opiekowała. Ty też potrzebujesz kogoś takiego, póki sam nie staniesz się silny. Wtedy sam o siebie zadbasz.

Gdy Israel nic nie odpowiedział, Jamey delikatnie położył dłoń na jego kolanie.

- Nie jestem czarnoskóry, a mnie też ludzie próbują zranić. - Przyjaciel nadal patrzył w ziemię. - Któregoś dnia, dwa lata temu, mój kolega George i ja wracaliśmy z łowienia ryb na nabrzeżach Filadelfii. Pewien marynarz zaczął na mnie wrzeszczeć za to, że czymś w niego rzuciłem, choć wcale tego nie zrobiłem. Zanim się spostrzegłem, chwycił mnie za ucho, zaczął przeklinać i grozić, że złamie mi drugą rękę, że-  
bym miał dwie kalekie. A ja naprawdę nic nie zbroiłem. Po prostu mnie nie lubił. Może stwierdził, że jestem słaby albo po prostu inny niż on. - Jamey pamiętał, jak się wtedy czuł. Choć się szarpał i wrywał, był pewien, że marynarz spełni groźbę. Myślałem, że już po mnie, kiedy nagle zjawiła się moja mama. Jest mała, ale żebyś widział, jak nakrzyczała na tego drania! Wyglądała, jakby miała dziesięć stóp wzrostu. - Dumny jak paw, zobaczył, że Israel podnosi głowę i ociera zakrwawione usta brudnym rękawem. - Poczekaj! - Sięgnął po koronkowy szal i rzucił go na kolana przyjaciela. - Mama się nie pogniewa. Kiedy było mi źle, lubiłem trzymać jakąś jej rzecz. Od razu czułem się lepiej.

Israel spojrzął na delikatną tkaninę.

- Nie mogę. Powieszają mnie za kradzież.

- Nie. Przecież sam ci go daję.

Chłopiec ostrożnie dotknął brzegu szala. Potem zamknął oczy i głęboko wciągnął powietrze nosem. Jamey ze smutkiem spojrzął na jego zmasakrowaną twarz. Dobrze znał ten zapach. Lawenda..

- Więc to tak jest mieć mamę.

- Nikt więcej nie ośmieli się ciebie uderzyć, jeśli ona weźmie cię pod opiekę - powiedział Jamey ze ściśniętym gardłem.

- To niemożliwe. - W zdrowym oku Israela załśniły łzy. - I jeśli jesteś moim przyjacielem, zapomnij o wszystkim. Gdy on się dowie, że się poskarżyłem, zbije mnie jeszcze bardziej.

- Kto?

- Nieważne. Lepiej byłoby dla nas obu, gdybyś w ogóle mnie dzisiaj nie widział.

Dźwignął się z ziemi i chwiejnym krokiem wyszedł

z chaty. Jamey ruszył za nim przez łąkę, ale zatrzymał się, kiedy Israel pobiegł w las, mocno ściskając w ręce szal.

Stanmore wiedział, że tego nie da się uniknąć. Wszyscy to wiedzieli. Pierwszy dzień w Solgrave zawsze był piekłem. Dobrze chociaż, że obaj majordomowie tak sprawnie zarządzali jego posiadłościami.

Mimo to czekanie, aż w końcu dojdzie do starcia, wystawiało na próbę cierpliwość hrabiego. Zupełnie jakby dwa mastryfy, warcząc, okrażały się nawzajem z nisko opuszczonymi łbami i czyhały na moment, kiedy przeciwnik się odstąpi.

Daniel był majordomem w Solgrave, starszy o dziesięć lat Philip o kamiennej twarzy - w londyńskiej rezydencji. Właśnie ze względu na różnicę wieku ten drugi uważał, że jego obowiązkiem jest krytykować młodszego brata i udzielać mu wskazówek w sprawach, z którymi Daniel z powodzeniem sobie radził od ponad dwudziestu lat. Po prostu należało do tradycji, że przez pierwszą dobę ci dwaj wadzili się ze sobą, a Stanmore już dawno nauczył się trzymać z dala od linii ognia i od skrzydła dla służby.

Podjeżdżał zresztą, że obaj byliby bardzo rozczarowani i urażeni, gdyby zostawił Philipa w Londynie.

Nim wrócił z jeziora, przybył powóz z londyńską służbą i w domu panowało wielkie zamieszanie. Zdecydowany schodzić majordomusem z drogi, ukradkiem przemknął do swoich pokojów, żeby się umyć i przebrać. W rezultacie nie spytał nikogo, gdzie jest pani Ford, nawet lokaja, który zabrał jego mokre buty i ubranie.

Pocałunek w cieniu starego młyna tak go rozpałił, że nawet druga chłodna kąpiel nie zdołała ostudzić wewnętrznego żaru. Wyglądając teraz przez okno sypialni, doszedł do wniosku, że najlepszym sposobem postępowania z taką kobietą jak Rebeka jest szczerłość. Uznał, że musi z nią porozmawiać i przekonać ją, że nic wielkiego się nie stało. Oboje byli dorośli. Oboje mieli za sobą małżeństwa. Wprawdzie różnili się pozycją, ale dlaczego nie mogliby poddać się na-

miętności pod warunkiem, że zachowają dyskrecję, a ona pogodzi się z tym, że ich związek nie będzie trwały?

Z zamyślenia wyrwało go pukanie do drzwi. Na widok majordomusów stojących w progu westchnął ciężko.

- Widzę, że jednak przed wami dziś nie ucieknę.
- Przepraszam, milordzie - powiedział Daniel z ukłonem.
- O co chodzi?

Tymczasem Philip zaczął krążyć po pokoju i sprawdzać, czy na meblach nie ma kurzu lub innych oznak zaniedbania. Młodszy brat z determinacją go ignorował.

- Pan John Clarke czeka w bibliotece, jak wasza lordowska mość kazał.

- I pije pańskie porto, to pewne - mruknął starszy majordomus, rozprostowując wyimaginowaną fałdę na nakrochmalonym obrusie.

- Philipie, przekaż mu łaskawie, że za chwilę zejde - polecił Stanmore. - Danielu, poczęstuj go kieliszkiem najlepszej madery.

John Clarke nie zmienił się od prawie dwudziestu lat. Gdy młody Samuel Wakefield uczył się w Eton, stara peruka z wystającymi spod niej niesfornymi kosmykami już wtedy była legendą. Podobnie jak zamiłowanie do wina, które jednak nie wpływało na pracę nauczyciela. Po powitaniu i wymianie uprzejmości hrabia przeszedł do rzeczy.

- Poznał pan dziś rano Jamesa, panie Clarke. Uważa pan, że jesienią może pójść do Eton?

- Dlaczego nie, milordzie. - Clarke ukłonił się lekko, jak miał w zwyczaju robić po każdym zdaniu. - Powiedziałbym, że panicz James jest nieśmiałym chłopcem, co może mu trochę utrudnić zdobycie przyjaciół, ale tak to często bywa z pierwszorocznymi uczniami.

Stanmore odszedł od biurka i stanął w smudze słońca, które wpadało przez duże okna wychodzące na jezioro.

- Jakie ma braki w nauce w porównaniu z innymi chłopcami w jego wieku?

- Na razie się zorientowałem, że panicz James musi po-

pracować nad klasyką, ale poza tym dobrze czyta, pisze i rachuje. Stwierdziłem nawet, że trochę mówi po francusku. - Nauczyciel splótł dłonie za plecami i zakołysał się na piętach. Stanmore, który setki razy widział tę pozę w sali szkolnej, zrozumiał, że pan Clarke czuje się swobodniej. - Oczywiście spędziłem z nim tylko jeden ranek, lecz mogę pana zapewnić, że jeśli solidnie popracujemy, będzie dobrze przygotowany do jesienno semestru. We wszystkich przedmiotach.

Hrabia przeniósł wzrok na jezioro, zastanawiając się, czy pani Ford już wróciła do domu. Czym prędzej jednak odpędził kuszący obraz Rebeki w swoich ramionach i skupił się na pilniejszej sprawie.

- A co z jego słuchem? - zapytał, marszcząc brwi. - Jak na upośledzenie Jamesa zareagują koledzy z Eton?

Pan Clarke utkwiał oczy w barwnym perskim dywanie. Dostrzegłszy jego wahanie, Stanmore znowu wyjrzał przez okno.

- Cóż, milordzie, nie będzie pierwszym etończykiem, który ma kłopoty ze słuchem. W mojej opinii, panicz James...

W tym momencie rozległo się ciche pukanie do drzwi. Na zaproszenie gospodarza w progu stanęła pani Ford i powiedziała niepewnym tonem:

- Przepraszam za najście, milordzie.

Hrabia od razu zauważył, że po tym, jak rozpuścił jej włosy przy starym młynie, nie zebrała ich z powrotem na czubku głowy. Jedwabiste splety okrywały ramiona, kontrastując z kremową skórą i nową suknią.

- Pani obecność jest zawsze mile widziana, pani Ford.

Rebeka dygnęła, unikając jego wzroku, i zwróciła się do nauczyciela:

- Panie Clarke, czy planuje pan lekcje z Jameyem... Jamesem dziś po południu?

- Ja... s-s-sądzę, że p-p-poranne lekcje wystarczą, madam.

Stanmore ze zdziwieniem spojrział na zarumienionego nauczyciela, który jąkał się i kłaniał przy każdym słowie. Rywał, pomyślał lekko rozbawiony, i przeniósł wzrok na

Rebekę. Uwaga, z jaką słuchała speszzonego biedaka, jej zrozumienie i uprzejmość wzbudziły w nim podziw.

- Więc nie będzie zajęć po południu? - zapytała łagodnie.

- N-n-nie, madam. Jak już ustaliliśmy wcześniej, n-n-nie p-p-pierwszego dnia.

Hrabia zauważył, że ścisnęła suknię, aż zbiełały jej kostki, a po twarzy przemknął cień.

- Dziękuję, panie Clarke. Pójdę już, milordzie.

- Pani Ford!

Zatrzymała się z dłonią na klamce, wyraźnie pobladła.

- Panie Clarke, proszę zostawić nas samych. - Gdy nauczyciel wymamrotał słowa pożegnania i szybko opuścił bibliotekę, Stanmore dodał łagodnie: - Proszę łaskawie zamknąć drzwi, pani Ford.

Rebeka potrząsnęła głową. W jej niebieskich oczach zbierała się burza.

- Właśnie chciałam...

- Pani Ford, nie zamierzam pani wykorzystać.

Gdy nadal się wahała, podszedł i sam zamknął drzwi. Następnie wziął ją za rękę. Nie wyrwała jej, lecz jej palce były lodowate, a twarz zdradzała niepokój.

- O co chodzi, Rebeko?

Spojrzała mu w oczy. Gdy dostrzegł lekkie drzenie jej brody, z trudem nad sobą zapanował, żeby nie porwać jej w ramiona. Kciukiem pogłaskał grzbiet jej dłoni, ale czym prędzej ją zabrała.

- James znowu uciekł, tak?

Dopiero po dłuższej chwili skinęła głową. Jej zdenerwowanie rzeczywiście nie miało nic wspólnego z pocałunkiem przy starym młynie.

- Proszę się uspokoić, pani Ford - powiedział rzeczowym tonem. - To nie Filadelfia, tylko duża wiejska posiadłość z licznymi atrakcjami dla chłopca w jego wieku. To, że na chwilę zniknie z pani oczu, nie oznacza, że coś mu grozi. W domu, ogrodzie, stajniach i na farmach pracuje wiele osób, które za swój główny obowiązek uważają pil-

nowanie młodego panicza. Jezioro może być niebezpieczne, ale James udowodnił, że akurat tym nie musimy się martwić. Krótko mówiąc, proszę się nie bać.

Szyję i policzki Rebeki zabarwił głęboki rumieniec.

- Przepraszam. Jestem głupia, lecz trudno się pozbyć starych nawyków.

- Nie ma potrzeby przeproszać, pani Ford.

Z lekkim zniecierpliwieniem zerknęła na drzwi.

- Jeśli mi pan wybaczy... - Próbowała go ominąć, ale chwycił ją za łokieć.

- Kiedy ostatnio widziano chłopca? I czego właściwie pani się obawia?

Posłała mu wdzięczne spojrzenie.

- Ja widziałam go ostatnia. Już rozmawiałam ze służbą. Wygląda na to, że nie wrócił znad jeziora. Pewnie nadal biega w mokrym ubraniu i..

- Dzień jest ciepły. Zapewniam panią, że nic mu nie będzie.

Od razu zrozumiał, że jego słowa zabrzmiały protekcjonalnie.

- Dostrzegam swoje błędy wychowawcze, milordzie. Staram się jednak pohamować nadmierną troskliwość i pozwolić innym zajmować się Jamesem. - Opuściła wzrok na jakąś niewidzialną plamkę na surducie hrabiego i uwolniła łokieć z jego uścisku. - Lecz moje dobre intencje i miłość do pańskiego syna to dwie różne rzeczy. Obawiam się, że nigdy nie będę potrafiła siedzieć beczynnienie, gdy pomyślę, że czyha na niego niebezpieczeństwo. Miłego dnia.

Dogonił ją przy drzwiach. Wiedział, że to nie jest odpowiednia pora, żeby dyskutować z nią o tak poważnych sprawach. On sam wątpił, czy miłość w ogóle istnieje. Nigdy w życiu jej nie doświadczył. Znał tylko namiętność, ale to było zupełnie co innego. Przywiązanie natomiast potrafił zrozumieć. Ostatecznie pani Ford przez wiele lat opiekowała się Jamesem. Z czasem się rozstaną i wcześniej czy później dostosują do nowej sytuacji. Na razie jednak wołał, żeby Rebeka została w Solgrave, więc wygrana w tej dyskusji nie leżała w jego interesie.

- Pani pozwoli - rzekł, otwierając drzwi. - Zapewne wybiera się pani na poszukiwania.

- Na spacer. Teren posiadłości jest rozległy, ale istnieje szansa, że trafię na Jamesa.

- Jeździ pani konno?

Potrząsnęła głową, nadal unikając jego wzroku.

- Nie, milordzie. Myślę, że...

- Więc proponuję naukę jazdy w czasie pobytu w Solgrave. Ta umiejętność bardzo pani ułatwi pościgi za Jamesem. Teraz mam inny pomysł. - Gdy się odwrócił, zobaczył jej zdziwione spojrzenie. - Sam pójdę po Jamesa. Wiem, gdzie jest.

- Wie pan? - krzyknęła z niedowierzaniem i zatrzymała się w pół kroku.

- Raczej mam silne podejrzenie, że wrócił do zrujnowanej chaty, w której znalazłem go dwa dni temu.

- Zatem nie wierzy pan, że znowu uciekł?

- Nie.

Stanmore skinął na przechodzącego lokaja i kazał mu przynieść rękawiczki.

- I sprowadź mi konia - dodał, po czym zwrócił się do Rebeki: - Chyba znalazł sobie kryjówkę. Pewnie uważa ją za dobre miejsce do zabawy, jak to mały chłopiec.

- Daleko jest ta chata?

- Sam pojedę i zobaczę, czy rzeczywiście tam się schronił. A wracając do mojej propozycji... - Zrobił pauzę. - Zamierzam zostać w Solgrave jakiś czas, co najmniej dwa tygodnie.

Rebeka Ford powinna częściej się uśmiechać, doszedł do wniosku na widok jej rozpromienionej twarzy i niechętnie ruszył do drzwi wyjściowych.

- Właśnie tego potrzebuje James - stwierdziła pani Ford. - Kontakt z waszą lordowską mością.

Wcale nie ze względu na chłopca zdecydował się przedłużyć pobyt na wsi, ale jej radość sprawiła, że zachował tę prawdę dla siebie.

- Spędzę z nim trochę czasu, ale liczę na pani pomoc



i rady. Nie wiem, jak być ojcem. Chciałbym mieć pewność, że postępuję właściwie.

Rebeka skinęła głową.

- Ja też nie jestem ekspertem w tej dziedzinie, milordzie.

- Proszę nie wymagać, żebym powtórzył któryś z pani wykładów. - Lekko uniósł brew, a kiedy milczała, powiedział ze skrywanym uśmiechem: - Dobrze, że raczy się pani ze mną zgadzać.

Z domu stojącego na trawiastym pagórku roztaczał się widok na szarozielone wody Bayard's Cove w Dartmouth.

Siedząc na drewnianej ławie naprzeciwko emerytowanego kapitana, sir Oliver Birch słuchał uważnie jego wspomnień z podróży sprzed dziesięciu lat. Gładki cybuch glinianej fajki parzył mu dłoń. Stary żeglarz, otoczony chmurą niebieskiego dymu, trzymał swoją za główkę. Widać jego stwardniałe palce były niewrażliwe na żar.

- Pamiętam, jakby to działo się wczoraj. Moja „Rose”, najpiękniejszy statek, jaki pływał po zachodnich „wodach”, przeszedł czyszczenie kadłuba w Shadwell. Wszyscy aż się paliliśmy do tego, żeby wypłynąć na otwarte morze. Czas i fala na nikogo nie czeka, jak powiadają.

- Rozumiem - mruknął Birch, starając się zapanować nad zniecierpliwieniem.

- Tak, po zabraniu ładunku i pasażerów pierwszy oficer pożeglował z Londynu do Dartmouth. To było w lipcu, pamiętam. Tam dołączyłem do mojej załogi i wyruszyliśmy do Ameryki. Tę dziewczynę i kobietę z dzieckiem zauważyłem dopiero na pokładzie.

Przez otwarte okno prawnik dostrzegł łódź rybacką przecinającą zatokę.

- Proszę mi opowiedzieć wszystko, co pan pamięta.

- No, cóż, ta dama była kimś, to pewne. - Kapitan po kiwał głową, celując fajką w gościa. - Obie miały klasę, a jedna z nich, młoda matka, to zdecydowanie osoba, o którą panu chodzi.

- Ale dlaczego tylko ona znajdowała się na liście pasażerów, a ta druga nie?

Starzec wzruszył ramionami i wydmuchał dym.

- Nieraz się zdarzało, że ludzie woleli podróżować anonimowo. Jak sądzę, mieli po temu ważne powody. Jeden z majtków powiedział mi, że kiedy te dwie kobiety wysiadły z łodzi, jaśnie pani zapłaciła dodatkowo, żeby nie umieszczać nazwiska jej towarzyszki na liście.

Więc znały się wcześniej, pomyślał Birch, tak jak przypuszczał Stanmore.

- Rozmawiał pan z nią przed jej śmiercią?

- Tak. - Kapitan zaczął na nowo nabijać fajkę. - Poszedłem do niej, kiedy panna Rebeka zawiadomiła mnie, że potrzebują doktora.

- Panna Rebeka? - powtórzył sir Oliver. - Pamięta pan jej imię?

- Słyszałem, że tak zwracała się do niej chora. Przypadkiem mieliśmy wśród pasażerów lekarza. Zaprowadziłem go do biedaczki. - Wilk morski pokręcił głową. - Niestety nie miała szans. Doktor puścił jej krew, ale później już wszystko było w rękach Boga.

- Mówiła coś, zanim umarła? O dziecku? Komu je oddać pod opiekę?

- Nie. Wiedziała, że nie ma dla niej nadziei, i przez cały czas ścisnęła rękę panny Rebeki, tak. Każdy głupiec by zauważył, że obie już wszystko ze sobą ustaliły.

Birch przez chwilę obserwował ogorzałą twarz rozmówcy.

- Co jeszcze może mi pan powiedzieć o tej Rebecce?

- Niestety, sir. Musiałem doprowadzić statek bezpiecznie do portu, a ona zajmowała się dzieckiem. Nie widziałem jej do końca rejsu. Kiedy zarzuciliśmy kotwicę w Nowym Jorku, wysiadła na brzeg razem z resztą pasażerów i nigdy więcej jej nie zobaczyłem.

Prawnik doznał uczucia rozczarowania.

- Musiało być coś jeszcze. Przypomnij sobie, człowieku.

Zaprzyjaźniła się z kimś na statku? Rozmawiała z towarzyszami podróży?

Żeglarz potrząsnął głową.

- Nie sądzę. Pewnie opłakiwała śmierć przyjaciółki. Zdaje się, że wszyscy zostawili ją samą.

- Niech pan się zastanowi - nalegał Birch. - Czy coś zwróciło pańską uwagę? Może zostawiła jakiś drobiazg, medalionik albo chusteczkę, które pomogłyby ustalić jej nazwisko.

- Tyle czasu upłynęło. - Starzec w zadumie zmrużył wyblakłe oczy. - Pamiętam, że była ładną dziewczyną. Miała włosy koloru złota i ognia, a oczy jak morze przy Bermudach. Tak, tej kobiety nigdy nie zapomnę... chyba że pomyliła mi się z barmanką z Pelican Inn w Port Royale. Ale nie, to niemożliwe.

Sir Oliver wstał zrezygnowany i podszedł do otwartych drzwi. Mylił się, sądząc, że ze wszystkich osób płynących wtedy na „Rose” najwięcej dowie się od kapitana statku.

Podążył wzrokiem ścieżką prowadzącą ze wzgórza, ku brukowanym krętym uliczkom i dalej ku licznym masztom statków, zakotwiczonych w zatoce. Pomyślał o marynarzach, którzy wtedy byli na statku, a obecnie mieszkali w Bristolu. Było ich trzech. Nie łudził się zbyt nadzieją, ale po cichu liczył na to, że przynajmniej jeden zapamiętał jakieś szczegóły. Niemożliwe, żeby panna Rebeka nie zostawiła po sobie żadnego śladu.

- Płaci pan za fakty, sir, więc zapewne nie interesują pana plotki, które później słyszałem.

Birch odwrócił się gwałtownie.

- W każdej plotce jest ziarno prawdy.

- Panna Rebeka wydała mi się dobrą kobietą.

- Wiem o jej zaletach - burknął prawnik.

- Zna ją pan?

- Mniejsza o to. Płacę panu za odpowiedzi.

Żeglarz przez dłuższą chwilę ćmił fajkę, mrużąc oczy. W końcu pokiwał głową.

- W porządku, sir. Plotki dotarły do mnie przypadkiem następnego lata, kiedy kotwiczylismy na Tamizie niedale-

ko Limehouse. - Birch z trudem zachowywał spokój. - Podobno miesiąc po tym, jak wyruszyliśmy do kolonii, jakiś dżentelmen chodził po wszystkich kompaniach przewozowych, dokach i tawernach od Tower do Dugby Hole, proponował złoto i każdego majtka, oficera i kapitana wypytywał o pewną kobietę.

- Skąd pan wie, że chodziło o pańską pasażerkę?
- Opis do niej pasował. Włosy, oczy, wiek, budowa.
- Wymienił nazwisko?

- Tak! Imię się zgadzało. Rebeka. Rebeka Nipper... Netter czy jakoś tak... - Staruszek potrząsnął głową. - Nie mam pamięci do nazwisk. Z faktami jest lepiej.

- Dlaczego nie odszukał pan tego dżentelmena i nie powiedział mu, co wie?

Gospodarz wzruszył ramionami.

- Za dużo kłopotu. Sam nie wiem. Może nie widziałem wtedy potrzeby. Dobrze zarabiałem na morzu i miałem dość pieniędzy w kieszeni. Poza tym pomyślałem sobie, że skoro dziewczyna chciała pojechać do kolonii i zacząć tam wszystko od nowa, dlaczego jakiś stary żeglarz miałby krzyżować jej plany?

- A jak się nazywał tamten dżentelmen? Co pan o nim słyszał?

- Tutaj również panu nie pomogę. Mówiłem przecież, że nigdy nie rozmawiałem z tym człowiekiem. Mogę najwyżej powtórzyć plotki, jeśli pan ich ciekawy.

Birch podszedł do stołu, sięgnął do kieszeni po pieniądze i zawiesił dłoń nad banknotami, które już leżały na blacie.

- Wspomniał pan, że ten człowiek wypytywał w Londynie różnych ludzi. Może mi pan podać nazwiska tych, którzy jeszcze żyją i nie są na morzu przez większość roku? Na przykład szynkarzy?

Kapitan przesunął wzrok z pieniędzy na twarz prawnika.

- Zdaje się, że w tym mogę panu pomóc.

Jamey zatrzymał się na ścieżce i popatrzył na jeźdźca, mrużąc oczy przed blaskiem słońca przefiltrowanym przez liście. Lord Stanmore, dosiadający wspaniałego kasztanowego ogiera, zdążył już się przebrać po nieoczekiwanej kąpieli i teraz miał na sobie bryczesy, czarną kurtkę i wysokie buty do konnej jazdy.

Chłopiec zerknął na jego twarz, żeby sprawdzić, w jakim jest nastroju. Mama nie musiała go ostrzegać, kiedy wyszedł z jeziora. Chciał zrobić na hrabim wrażenie swoją umiejętnością pływania, ale wystarczyło jedno spojrzenie, by się zorientować, że lord Stanmore aż się gotuje z wściekłości. Cóż, nikt nie prosił jego lordowskiej mości, żeby go ratował!

Odpędziwszy te myśli, przypomniał sobie Izraela i zaczął się zastanawiać, czy jego też czeka bicie. Może tutaj to normalna kara. Jeśli tak, zaraz potem spakuje się i ucieknie. I to nie do chatki, tylko do Bristolu, a tam zaciągnie się jako chłopiec pokładowy na pierwszy odpływający statek.

Ale ujrawszy obojętną minę hrabiego, zrozumiał, że temu człowiekowi zbyt mało na nim zależy, żeby się na niego gniewać, nie mówiąc o laniu.

- Zgubiłeś koszulę i buty.

Było to zwykle stwierdzenie i nic więcej. Jamey nie podniósł wzroku na lorda Stanmore, bo zobaczył, że łypie na niego czarne końskie oko. Gdy zauważył, że kasztanek strzyże uchem, nie mógł się powstrzymać. Z wahaniem wyciągnął rękę i dotknął miękkich chrapów.

- Lubisz konie?

Jamey milczał, bo zawarł z sobą pakt, że nie będzie odpowiadać na pytania hrabiego.

- Chciałbyś się przejechać? Każę jednemu ze stajennych przygotować dla ciebie łagodnego kuca. Możesz zacząć naukę w każdej chwili.

Miał wielką ochotę pojeździć na kucyku. Nie, najchętniej dosiadłby dużego i pięknego wierzchowca, takiego jak ten. Pogłaskał aksamitną szyję. I w tym momencie przypomniało mu się własne postanowienie, że nie będzie okazywał entuzjazmu. Doskonale wiedział, jak wszystko by się dalej potoczyło. Gdyby mama spostrzegła, że on się tutaj dobrze czuje, zniknęłaby z jego życia na zawsze. Tego był pewien.

Ogier niecierpliwie przestąpił z nogi na nogę, więc Jamey się cofnął i zobaczył, że hrabia wyciąga do niego rękę.

- Chodź, odwiozę cię do Solgrave.

Mógł sam wrócić do domu, na bosaka, bez łaski jego lordowskiej mości, ale bardzo chciał poczuć pod sobą konia, jak wtedy po ucieczce. Rozejrzał się, jak by tu wsiąść na siodło bez pomocy lorda Stanmore, ale nie dostrzegł żadnego korzenia ani głazu. Ujął więc podaną dłoń i niemal frunąc w powietrzu, wylądował łagodnie na końskim grzbiecie.

Hrabia obrócił ku niemu głowę.

- Od tej pory będziesz kogoś uprzedzał, gdy postanowisz zniknąć na kilka godzin. Może uważasz się za samodzielny, ale pani Ford za długo miała cię pod swoją opieką, żeby nagle przestać się martwić.

Jamey nic nie odpowiedział, ale ogarnęły go wyrzuty sumienia. W Filadelfii mama zawsze puszczała go z Butlerami. Może po prostu powinien jej udowodnić, że w Solgrave jest dla niego o wiele bezpieczniej. A gdyby tak opowiedział jej o Israelu? Dumał nad tym przez chwilę, ale w końcu doszedł do wniosku, że nie powinien. Obiecał swojemu nowemu przyjacielowi, że nikomu o nim nie wspomni.

Jechali w milczeniu. Podczas gdy kasztanek galopował bez wysiłku leśnymi duktami i drózkami przecinającymi bujne łąki, James rozmyślał o małym domku ukrytym

wśród drzew i o smutnym życiu Izraela. O jego strachu.

Zastanawiał się, czy ktoś w Solgrave pomógłby jego koledze. Nie był w stanie sam go pomścić, ale doszedł do wniosku, że należy jakoś zmienić złe zwyczaje panujące w Melbury Hall.

Musi znaleźć osobę, która przejmie się losem małego niewolnika.

Filizanka i spodek z hukiem uderzyły w ścianę. Kolejne machnięcie ręką i na stoliku nie zostało prawie nic. Pudry, płatki, muszki i całkiem nowy modlitewnik pofrunęły przez całą ubieralnię. Zmięty list odbił się od lustra i spadł na stolik.

- Posłaniec jeszcze jest na dole?

Służąca potrząsnęła głową, robiąc krok ku drzwiom.

- Nie, milady. Dostarczył pocztę wcześniej rano.

Gdy lady Nisdale sięgnęła po ciężką szkatułkę ze skrupy żółwia i kości słoniowej, młoda kobieta uciekła z pokoju. Chwilę później dźwięk roztrzaskiwanego drewna rozbrzmiał echem po całym drugim piętrze miejskiej rezydencji.

- Drań! - krzyknęła Louisa, drąc list na kawałki.

Jej furia domagała się wyładowania. Jedwabny szlafrok leżący w nogach łóżka został rozdarty na pół. Ciężkie flakony z perfumami, ustawione na komodzie, dołączyły do szkatułki z biżuterią. Zbyt wściekła i rozczarowana, żeby się wahać, Louisa przebiegła przez ubieralnię, siejąc spustoszenie, wywracając stoliki i krzesła, aż w końcu zatrzymała się przy oknie. Czerwona na twarzy i zdyszana opadła na brzeg przewróconej sofy.

- Miałam cię, łajdaku! - wrzasnęła. - Byłeś mój!

Spojrzała na kawałki papieru zaścielające dywan. Zimny, bezosobowy, rzeczowy list! Nienawidziła przegrywać. Myśl o pieniądzach, które mogła zdobyć, była dostatecznie przygnębiająca. W dodatku zainwestowała w łotra czas, rzecz niezwykle cenną dla kobiety w jej wieku. Czekała.

Robiła wszystko, żeby go usidlić. I mimo tych starań pozbył się jej jak zużytych rękawiczek.

Zapach kłęski wisiał w powietrzu niczym dusząca chmura, ale Louisa zmusiła się do chłodnej analizy sytuacji.

Zegar nad kominkiem, który uniknął jej gniewu, nie zdążył wybić dwunastej, gdy zrozumiała, że jest inna kobieta! Na pewno! Ktoś ukradł jej własność.

A z tym umiała sobie poradzić.

Ubieralnia wyglądała jak pobojuwisko, ale gospodyni przeszła przez nią z miną zwycięskiej bogini wojny. Zatrzymała się przed lustrem i przez chwilę podziwiała swoje odbicie. Mimo przeżytego zawodu oczy jej błyszczały, skóra była gładka i świeża, policzki zaróżowione.

- Niech się kotłuje z tą swoją dziwką - wyszeptła z pogardą. - Ale będzie mój, gdy tylko jej się pozbędę.

Podeszła do drzwi i otworzyła je szarpnięciem, rozrzucając szkło i biżuterię po podłodze. Wrzasnęła na cały korytarz, a chwilę później nawet się uśmiechnęła, kiedy ujrzała na schodach wystraszoną pokojówkę. Okręciła się na pięcie i wróciła do ubieralni.

- Posprzątaj ten bałagan! Ale przedtem zwołaj Doris, żeby spakowała moje kufry. I pošlij lokaja, żeby wynajął karocę.

- Wybiera się pani w podróż, milady? - zapytała bojaźliwie młoda kobieta.

- Tak - odparła Louisa i w drodze do garderoby kopnęła poduszkę. - Postanowiłam przyjąć zaproszenie od starego przyjaciela i odwiedzić Melbury Hall.

Gdy pokojówka ruszyła do drzwi, łady Nisdale ją zatrzymała.

- I jeszcze jedno.

- Tak, milady?

- Nie dostałam żadnego listu od hrabiego Stanmore.

Na twarzy służącej pojawiło się zmieszanie. Pani spiorunowała ją wzrokiem.

- Mam ci przeliterować? Słuchaj uważnie! Wyjechałam do posiadłości Wentworthów. Rozumiesz? W zamieszaniu



panującym przed podróżą zapomniałaś przekazać mi korespondencję.

Pokojówka zerknęła na kawałki papieru zaśmiecające dywan.

- Rozumiesz? - zapytała groźnie lady Nisdale.

- Tak, milady. Nie dostała pani tego listu.

Kolejnego dnia pięknej wiosennej pogody, gdy poranne słońce skąpało łąki opadające do jeziora, Rebeka wyjrzała przez okno na krystalicznie czyste, błękitne niebo, i westchnęła głęboko, ocierając łzę.

Tak samo jak dzień wcześniej, posłała na dół wiadomość, że nadal czuje się niezbyt dobrze. Była to kiepska wymówka, ale dzięki niej Jamey ostatnie dwie kolacje jadł w towarzystwie ojca. Lord Stanmore uczynił wysiłek, żeby spędzać czas z synem, więc najlepsze, co mogła zrobić, to zachować dystans i pozwolić, żeby między nimi wytworzyła się więź.

Nawet gdyby miała cierpieć.

- Głowa do góry - szepnęła, karcąc się w duchu za egoizm.

Stwierdziła, że hrabia wie o wychowywaniu chłopca więcej, niż przypuszczała. Jamey był cały i zdrow, kiedy przed dwoma dniami wrócił z nim do domu, i to ona wyszła na histeryczkę, która zamartwia się bez powodu.

Okazało się, że wypuszczenie go spod skrzydeł, jest niezwykle trudne, bo Jamey przez wiele lat stanowił główny cel jej życia. Wiedziała jednak, że musi przekazać obowiązki lordowi Stanmore. I zamierzała to zrobić. Jasne barwy krajobrazu nagle przyblakły, co często się zdarzało w ciągu kilku ostatnich dni.

Doszła do wniosku, że dzień spędzony w samotności zmusza człowieka do przemyśleń. Dręczyła ją niepewność, jak ułożą się stosunki Jameya z ojcem. Nasuwało się jej też wiele innych pytań. Na przykład nadal nie znała prawdziwej przyczyny wyjazdu Elizabeth do Ameryki. Dlaczego młoda kobieta uciekła z dzieckiem od męża?

Nikt w Solgrave nie wspominał jej imienia. W galerii ro-

dzinnej brakowało jej portretów, mimo że była żoną lorda Stanmore i matką przyszłego hrabiego. Zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, rozwiała niczym mgła na wietrze. Zupełnie jakby nigdy nie istniała.

Najgorsze jednak, że sama była bliska szaleństwa. Wspomnienie pocałunku przy starym młynie sprawiało, że w nocy nie mogła zasnąć, a w dzień śniła na jawie.

Wiedziała, co musi zrobić. Od chwili przybycia, mimo prostych i znoszonych ubrań, mimo że w koloniach była zwykłą pracującą kobietą, wszyscy w Solgrave traktowali ją jak arystokratkę, a ona na to pozwalała. Ten błąd powinna szybko naprawić. Choć nie została zatrudniona przez jego lordowską mość, rangą nie przewyższała jego służących. Najpierw poprosi panią Trent o przeniesienie do skromniejszego pokoju, bliżej skrzydła dla służby. I pomyśli o oddaniu hrabiemu pieniędzy za te piękne nowe stroje.

Zdeterminowana wyszła z pokoju i ruszyła korytarzem w stronę wąskiej klatki schodowej prowadzącej do kuchni.

Widziała Jameya, zanim zszedł na śniadanie. Resztę poranka i część popołudnia miał spędzić z panem Clarke. Będzie lepiej, uznała, jeśli wyniesie się ze swojej sypialni, podczas gdy chłopiec będzie zajęty lekcjami.

Znajdowała się w połowie schodów, gdy zobaczyła młodą pokojówkę ze srebrną tacę. Na jej twarzy dostrzegła zaskoczenie.

- Pani Ford. - Dziewczyna dygnęła. - Ochmistrzyni powiedziała, że nadal źle się pani czuje i wysłała mnie na górę z herbatką i grzanką. Już pani lepiej, jeśli mogę spytać?

- Tak, dziękuję. Sama to wezmę. - Wyjęła tacę z rąk służącej. - Wczoraj byłam trochę zmęczona, ale już odpoczęłam.

- Więc może woli pani zjeść śniadanie w jadalni. Hrabia wstaje bardzo wcześnie i już zdążył wyjść, ale panicz James i pan Clarke jeszcze...

- Nie dzisiaj, Ellen. Tak masz na imię, prawda?

Dziewczyna znowu dygnęła i uśmiechnęła się lekko.

- Tak, proszę pani.

- Czy pani Trent już zjadła śniadanie?

- Tak, parę godzin temu. Ale widziałam ją niedawno, jak rozmawiała z Danielem w jadalni dla służby. Chce pani, żebym ją zawołała?

Rebeka spojrzała na dół.

- Mam lepszy pomysł. Zaprowadź mnie tam, to z nią porozmawiam i przy okazji coś zjem.

- Ze służbą? - Piegowatą twarz Ellen okraślił jaskrawy rumieniec. - Skoro pani sobie tego życzy.

Przy długim stole siedziało kilkanaście osób i wesoło gwarzyło przy śniadaniu, ale na widok pani Ford z tacą w rękach rozmowy ucichły w jednej chwili, łyżki i widelce zawisły w powietrzu. Gdy skinęła głową, wszyscy zerwali się z miejsc.

Wyczuwając napięcie, Rebeka rozejrzała się w poszukiwaniu znajomych twarzy. Wielu obecnych znała, ale nikt nie przerwał milczenia.

- Pani Ford szuka pani Trent i pomyślała, że zje śniadanie tutaj zamiast w jadalni.

Po wyjaśnieniu Ellen na twarzach służby odmalowało się jeszcze większe niedowierzanie.

Rebecce nagle przyszło do głowy, że w Solgrave w ogóle nie ma dla niej miejsca. Już była gotowa się wycofać, kiedy drugimi drzwiami wszedł Daniel, a za nim wysoki i starszy mężczyzna.

- O, pani Ford! Miło panią widzieć! - Majordomus przywitał ją tak serdecznie, że Rebecce zrobiło się lżej na duszy.

- Dobrze, że czuje się pani lepiej. Pani pozwoli. - Wziął od niej tacę i oddał ją młodej służącej. - Ellen, zabierz to i powiedz kucharzowi, żeby przysłał do biblioteki dzbanek świeżej herbaty. - Gdy dziewczyna wybiegła, ściszył głos i dodał konfidenicznym tonem: - Mam nadzieję, że nie stało się nic, co wymagałoby pani obecności w tym skrzydle? Jeśli w czymś zawiedliśmy pani oczekiwania...

- Ależ nie, Danielu. Muszę porozmawiać z panią Trent w pewnej mała ważnej sprawie. Poza tym wolałam, żeby

James i pan Clarke zaczęli dziś lekcje sami. Wolałam ich nie rozpraszać.

- Rozumiem, madam. Jeśli takie jest pani życzenie, powiem pani Trent, żeby przyszła do biblioteki. Jego lordowska mość wyraźnie przykazał mi dbać o pani komfort i dobre samopoczucie. W porannym słońcu widok jeziora jest wręcz oszałamiający. A wśród książek i gazet, które jego lordowska mość dostaje z Londynu, może...

- Naprawdę wszystko jest w porządku - zapewniła Rebeka z uśmiechem. - Niczego nie potrzebuję, Danielu.

- Miło mi to słyszeć, proszę pani. Z przyjemnością panią odprowadzę.

Z ukłonem wskazał na drzwi, przez które przed chwilą wszedł.

W delikatny sposób dawał jej do zrozumienia, że ma w Solgrave status pełnoprawnego gościa lorda Stanmore. Rebeka zmarszczyła czoło. Nie spodziewała się tego rodzaju przeszkód w realizacji swojego planu.

- Nie chcę sprawiać kłopotu. Lepiej zaczekam w swoim pokoju i...

- Jeśli mogę być szczery, madam... - powiedział Daniel, ignorując towarzysza, który chrząknął z wyraźną dezaprobatą. - Wczoraj przy kolacji bardzo brakowało pani towarzystwa. Pani obecność dodałaby otuchy paniczowi Jamesowi... i jego lordowskiej mości. Czy dzisiaj już będzie pani czuła się na siłach?

Rebeka nie wiedziała, co odpowiedzieć zdeterminowanemu majordomusowi, więc tylko skinęła głową. Najwyraźniej jej ostatnią szansą na jakąkolwiek zmianę była pani Trent. Z wahaniem zerknęła na wysokiego mężczyznę w upudrowanej peruce, który milcząco towarzyszył Danielowi.

- Ach! Proszę mi wybaczyć, pani Ford. Pozwoli pani, że przedstawię jej Philipa, majordomusa londyńskiej rezydencji jego lordowskiej mości.

Sługa złożył jej głęboki ukłon, a Rebeka uprzejmie ski-

nęła mu głową. Jego ascetyczne oblicze nie miało żadnego wyrazu. Widząc tych dwóch, stojących ramię w ramię, przypomniała sobie podsłuchany dzień wcześniej urywek rozmowy między jednym z lokajów a ogrodnikiem: „ten brat Daniela, stary tyran o granitowej twarzy”.

- Słyszałam o panu - powiedziała miłym tonem. - Zapewne jest pan bratem bliźniakiem Daniela.

Pani Trent poklepała ją po ręce i potrząsnęła głową.

- Obawiam się, że to wykluczone, moja droga.

Gdy ochmistrzyni usłyszała o chęci zamiany pokoju, w pierwszej chwili wpadła w konsternację, ale szybko się opanowała i rozpogodziła, kiedy Rebeka wyjaśniła jej powody swojej decyzji. Odmowa była łagodna, ale zdecydowana.

- Nadal uważam, że sypialnia, którą teraz zajmuję, powinna być zarezerwowana dla bardziej znamienitych gości.

- Znamienitych? Bzdura! Ładna suknia nie oznacza, że ktoś jest znamienity. I powiem pani na podstawie lat doświadczenia, że tytuł również o niczym nie świadczy. Klasa to dar od Boga. I pani go ma. Więcej o tym nie mówmy.

- Ale ja nie jestem nikim ważnym, pani Trent. Naprawdę jestem zdania, że powinnam się przenieść do pokoju bardziej dla mnie odpowiedniego...

- Ci! Dość tego gadania, moja droga. Całe życie spędziłam w Solgrave i widziałam wielu dobrze urodzonych lordów i wiele dam. I mówię w imieniu wszystkich tutaj, że pani ma więcej klasy w małym palcu niż tamci... - Gospodyni urwała i wzięła dłoń Rebeki. - Nie, moja droga. Niech zostanie, jak jest.

- Pani Trent...

- Niech pani tylko spojrzy, jak zachowuje się służba. Nigdy nie myślałam, że dożyję dnia, kiedy Philip i Daniel zgodzą się ze sobą w jakiegokolwiek sprawie. - Na okrągłą twarz kobiety wypłynął szeroki uśmiech. - To prawda! Gdy tutaj szłam, zatrzymał mnie Philip i przypomniał, że

nie powinnam kazać pani na siebie czekać. Proszę sobie wyobrazić, Philip! Ten człowiek nigdy nie okazywał takiego... entuzjazmu, odkąd go znam.

- To nic nie znaczy - stwierdziła Rebeka, podchodząc do jednego z dużych okien biblioteki. - Przypadkiem go ujęłam, mówiąc, że on i Daniel są bliźniakami. Teraz patrzy na mnie łaskawszym okiem, ale Daniel pewnie nigdy już się do mnie nie odezwie.

- Bzdura! Daniel nie śpi, tylko myśli, co tu zrobić, żeby pani lepiej się u nas czuła. - Ochmistrzyni nalała herbatę do filiżanki. - Już dawno nie mieliśmy w Solgrave prawdziwej damy, o którą możemy dbać. Proszę usiąść i zapomnieć o tych bezsensownych przenosinach.

- Pani Trent, błagam. Mam wrażenie, że wkroczyłam na nie swoje terytorium.

- A ja uważam, że po dziesięciu latach samodzielnego wychowywania chłopca, do tego w kraju kwakrów i innych barbarzyńców, zasługuje pani na specjalne względy! Możemy na chwilę usiąść?

Rebeka spojrzała na filiżankę, którą podawała jej gospodyni. Nie miała innego wyjścia, jak odsunąć się od okna i przyłączyć do pani Trent.

- I proszę nie mówić o wyjeździe, bo przyjechała pani dopiero tydzień temu, a chłopak nadal pani potrzebuje, co jest całkiem naturalne, moim zdaniem.

Po tych słowach Rebecce ścisnęło się serce. Sama nie była gotowa na rozstanie z Jameyem. Choć sprawy układały się po jej myśli, nadal nic nie wiedziała o przeszłości lorda Stanmore i obawiała się o przyszłość jego syna. Poza tym już teraz ogarniał ją strach przed pustym życiem, które czekało ją w Ameryce.

- Oczywiście wcale nie musi pani przez cały czas pilnować panicza Jamesa. Pan Clarke i my wszyscy zapewnimy mu dobrą opiekę. Ale powinna pani być blisko, żeby panicz widział, że wszystko jest w porządku.

Rebeka nic nie odpowiedziała, tylko łyknęła herbaty.

- Prawda, że to wieś i niewiele się tu dzieje. Może gdyby spędziła pani trochę czasu w Londynie...

- Nie chcę żadnego Londynu. Sama nalegałam, żebyśmy tutaj przyjechali.

Pani Trent posłała jej uśmiech aprobaty.

- Jeśli się wie, gdzie szukać, w Solgrave jest dużo ciekawych rzeczy. W galerii są obrazy, dla których przybywają ludzie z prawie wszystkich stolic kontynentu. Sama pani widzi, jego lordowska mość ma wspaniałą bibliotekę. W okolicy znajdzie się wiele ładnych miejsc do spacerów. Pod pewnym starym dębem matka jego lordowskiej mości kazała ustawić ławkę. Widok stamtąd jest uroczy, moja droga, naprawdę uroczy. A jeśli jeździ pani konno, przez lasy i łąki prowadzi mnóstwo wygodnych ścieżek. Tak mi mówiono, bo sama nigdy nie siedziałam na koniu. Poza tym całkiem blisko leży wioska Knebworth. W tę niedzielę po mszy jego lordowska mość na pewno przedstawi panią niektórym sąsiadom. Tak, moja droga, zobaczy pani sama, że jest tu co robić.

- Och, nie wątpię, pani Trent,. Chodzi o to, że nie jestem przyzwyczajona do takiego... leniwego życia. - Rebeka wiedziała, że rychłym skutkiem takiej wymuszonej bezczynności będą marzenia, których nie miała prawa snuć. - Czy znalazłoby się dla mnie we wsi jakieś zajęcie?

- Zajęcie, moja droga? Ma pani na myśli pracę? - Oczywiście pani Trent zrobiły się okrągłe jak spodki.

- Coś pożytecznego, czym mogłabym wypełnić czas - odparła Rebeka z nadzieją w głosie. - Dzięki pani i Danielowi w Solgrave wszystko w posiadłości chodzi jak w zegarku. James będzie spędzał większość dnia z panem Clarke, więc pomyślałam, że jeśli w pobliżu jest szkoła dla dziewcząt, może potrzebują tam nauczycielki. Albo miejscowy pastor wie, komu trzeba pomóc.

Gospodyni spojrzała na nią łagodniej i położyła ciepłą dłoń na jej ręce.

- Jest pani kochana! Jak powtórzę Danielowi...

- Och, proszę, nie! Zależy mi wyłącznie na tym, żeby



być przydatną i nie przeszkadzać Jameyowi w codziennych zajęciach. Nie chcę, by ludzie wzięli mnie za kogoś, kim nie jestem.

Pani Trent poklepała ją po kolanie.

- Mów, co chcesz, moja droga, ale wszyscy już wiedzą, że pani ma dobre serce.

- Dziękuję - bąknęła Rebeka, podnosząc do ust filiżankę, żeby ukryć rumieniec. Nie umiała przyjmować pochwał, zwłaszcza niezasłużonych. - Zatem jest w Knebworth ktoś, do kogo mogłabym się zwrócić, pani Trent?

Odstawiła naczynie na stolik i czekała cierpliwie, podczas gdy gospodyni zastanawiała się nad jej pytaniem.

- Po prawdzie są tam dwie osoby, które chętnie skorzystają z pani pomocy. Ale najpierw muszę to i owo opowiedzieć pani o wiosce. - Gospodyni dołała jej herbaty. - Knebworth leży na terenie posiadłości Solgrave i wszyscy jej mieszkańcy są dzierżawcami jego lordowskiej mości, ale od kiedy obecny hrabia przejął tytuł i majątek po ojcu, czyli od ośmiu lat, nie pobiera się żadnych opłat.

Hrabia Stanmore to bardzo hojny człowiek, pomyślała Rebeka i zaraz zmarszczyła czoło, bo właśnie sobie uświadomiła, że co dzień dostrzega w nim rzeczy, które się jej podobają.

- Jego lordowska mość nigdy się nie upierał, że tradycja musi zostać zachowana, jeśli z tego powodu cierpią ludzie. Wioska sama się utrzymuje z gospodarowania i handlu, a hrabia doskonale może się obejść bez pieniędzy, które zebrałby od dzierżawców. - Pani Trent zerknęła na portret wiszący nad kominkiem. Rebeka poszła za jej wzrokiem. - Musi pani wiedzieć, moja droga, że nasz Samuel Wakefield niewiele czasu spędził ze swoim rodzicielem, i bardzo dobrze. Ojca jego lordowskiej mości nie można nazwać 'wspaniałomyślnym'. Ale mówię to pani wyłącznie po to, żeby pani zrozumiała, jaki szacunek ludzie z wioski żywią do jego lordowskiej mości. I jeśli uznają, że coś może wywołać jego niezadowolenie... - Gospodyni pokręciła głową.

Samuel Wakefield. Rebeka przypomniała sobie, że

pierwszy raz usłyszała to nazwisko, kiedy sir Oliver stanął w progu jej filadelfijskiego mieszkania. Powiodła wzrokiem po przestronnej bibliotece i zatrzymała go na surowym obliczu człowieka z portretu.

- Na czym to ja skończyłam?

Rebeka otrząsnęła się z zamyślenia.

- Wspomniała pani o dwóch osobach z Knebworth.

- A, tak. Chodzi o pana Trimble i pana Cunninghama. Pierwszy jest pastorem, a drugi kierownikiem naszej małej szkółki. Lecz zanim pani spyta, dlaczego to on nie został poproszony o uczenie panicza Jamesa, wyjaśnię, że jest bardzo zajęty. Razem z wielebnym stworzyli coś w rodzaju wspólnoty, która zajmuje się wszystkimi potrzebującymi. I dlatego muszę ostrzec, że nie zostanie pani ani jedna wolna chwila dla siebie. Wiem, że szuka pani jakiegoś zajęcia, ale nie sądzę, żeby chciała pani być na każde ich skinienie...

- Chyba wybiorę się na spacer do wioski.

Rebeka od razu poczuła się lepiej. Nareszcie będzie miała czym wypełnić czas i może choć na moment zapomni o hrabim.

- Powiem Danielowi, żeby kazał sprowadzić dla pani powóz.

- Wolę się przejść, pani Trent. Przy okazji sprawdzę odległość. Mogę powołać się na panią, kiedy będę się przedstawiać?

- Nie będzie pani musiała się przedstawiać, moja droga. W wiosce aż szumi, odkąd pani przyjechała z paniczem. Wszyscy aż się palą, żeby panią zobaczyć. - Ochmistrzyni ruszyła do drzwi. - Sądzę, że spodoba się pani Knebworth Village i jej mieszkańcy. To dobrzy, pracowici ludzie, podobni do pani, proszę mi wybaczyć śmiałość.

Droga prowadząca do wioski była malownicza i wygodna. Ciszę przerywał jedynie śpiew ptaków i szelest liści, gdy małe leśne stworzenia czmychały na odgłos jej kroków.

Leśny spokój był jedną z rzeczy, za którymi tęskniła,

mieszkając w hałaśliwej Filadelfii. Właściwie nie tęskniła, bo zbyt ją zaprzętały codzienne troski i zajmowanie się Jameyem. Ale tutaj, w Solgrave, każdy krok przypominał jej dawne spacerunki po polach i parkach Oxfordu oraz szkolne koleżanki, z którymi przemierzała tamte ścieżki.

Wraz z tymi wspomnieniami pojawiły się wątpliwości i lęki, których do siebie nie dopuszczała od dziewczęcych czasów, pytania, na które nigdy nie szukała odpowiedzi. Teraz nagle wszystkie opadły ją z całą siłą.

Wróciła myślami do rozmowy z panią Trent. Gospodyni powiedziała jej tyle miłych choć nieprawdziwych rzeczy. Nie po raz pierwszy wprowadziła ją w zakłopotanie, biorąc za kogoś, kim nie była. Nawet w Filadelfii sąsiedzi, znajomi i współpracownicy zawsze traktowali ją jak osobę stojącą wyżej i bardzo szanowali, ale właściwie nigdy nie uznali jej za swoją.

W głowie Rebeki rozbrzmiały uwagi Molly na temat jej wykształcenia i rozumu. Jeszcze wcześniej zrobiła duże wrażenie na przyszłej pracodawczyni. Lady Hartington dostrzegła w niej nieokreślone „coś”, co w połączeniu ze świetną reputacją Akademii dla Dziewcząt pani Stockdale utwierdziło ją w przekonaniu, że panna Rebeka Neville będzie idealną nauczycielką dla jej trojga dzieci.

Nagły podmuch zdmuchnął jej z włosów słomkowy kapelusz, więc go rozwiązała i całkiem zdjęła, wystawiając twarz na pieszczotę wiosennego powietrza i ciepłego słońca.

Na mylne przeświadczenie ludzi co do jej pochodzenia miały oczywiście wpływ lata spędzone w szkole pani Stockdale. W tej ekskluzywnej placówce nauczyła się wielu rzeczy. Po prawdzie, niektóre z nich były tak wyrafinowane jak na osobę o jej pozycji, że nigdy otwarcie się do nich nie przyznawała. Polowania z ogarami, salonowa konwersacja, planowanie przyjęć, od popołudniowej herbaty po wielki bal, taniec, reakcje na zaloty mężczyzn stojących wyżej lub niżej od młodej damy. Po co Rebecce Neville taka wiedza? Po co jej takie głupstwa?

Samą tajemnicę, kto płacił za nią chesne w takiej szkole, już dawno przestała zgłębiać. Przypuszczała, że jej dobroczyńcą był pewien adwokat, o którym wiele razy słyszała. Ale do akademii pani Stockdale uczęszczały córki hrabiów i baronów, najlepsze partie w Anglii. Nadal pamiętała piękne karoce, które każdej wiosny odjeżdżały w stronę Londynu, Bath albo Bristolu. Tamtejsze rezydencje mogła sobie jedynie wyobrażać. W pamięci utkwiły jej również kufry pełne modnych strojów, które jesienią wyładowywano z tych samych powozów.

Sama była córką Jenny Greene. Przynajmniej tak twierdził sir Charles Hartington. W tym momencie wróciło wspomnienie napaści w bibliotece, zabójstwa i panicznej ucieczki po nocy. Czym prędzej je odpędziła i skupiła się na osobie słynnej aktorki.

Wszyscy w Anglii znali jej nazwisko. Niedysiejsza gwiazda londyńskich scen zdobywała serca zarówno książąt, jak i biedaków, przynajmniej do czasu, prowadziła bujne życie, nie oglądając się na konwenanse. Rebeka zarumieniła się na myśl, że to mogła być jej matka.

Ale dlaczego zdecydowała na tak ogromny wydatek i posłała córkę do najlepszej szkoły? Dlaczego przez następne lata nigdy się z nią nie skontaktowała? Tego ranka, czekając na panią Trent w bibliotece lorda Stanmore, Rebeka z roztargnieniem przejrzała ostatni numer londyńskiej gazety *Daily Advertiser*. Gdy dotarła do listy sztuk granych obecnie w różnych teatrach miasta, uświadomiła sobie, że tak naprawdę szukała nazwiska Jenny Greene. Nawet nie wiedziała, czy ta kobieta... jej matka, jeszcze żyje.

Zatrzymała się na szczycie wzniesienia i spojrzała na dołkę. Widok, który się przed nią rozciągał, zapierał dech w piersiach. Okolone zielonym lasem łąki i pastwiska schodziły w dół ku łagodnie meandrującej rzece i Knebworth, spokojnej małej wiosce, usadowionej pośród szachownicy pól uprawnych i farm. Rebeka odwróciła się i zerknęła za siebie. Z tego miejsca widziała tylko kominy Solgrave. Kie-

dy zima ogołoci drzewa z liści, pomyślała, te dachy i mury będą się kojarzyć zziębniętemu i zmęczonemu przybyszowi z rajem.

- Sama ich już nie zobaczysz o tej porze roku, Rebeko Neville - powiedziała do siebie i ruszyła w dół do wioski.

Utknęła luźne pasma włosów za ucho i próbowała włożyć z powrotem kapelusz, ale raptem usłyszała tętent kopyt i zeszła ze ścieżki. Chwilę później zza zakrętu wyłonił się jeździec. Na jego widok jej zdradzieckie serce zabiło szybciej.

- Pani Ford! - W głosie lorda Stanmore brzmiało zdziwienie. - Proszę mi tylko nie mówić, że James znowu zniknął.

Rebeka wlepiła oczy w szeroką pierś wierzchowca, żeby nie patrzeć na jego pana.

- Nie, milordzie.

Nie musiała podnosić wzroku, by wiedzieć, że tylko się z nią drażni. Zmęczona walką z kapryśnym wiatrem zdjęła kapelusz i przytrzymała mocno za wstążki.

- Bardzo ładne nakrycie głowy.

- Dziękuję. James się uczy, a ranek jest taki piękny, że postanowiłam przejść się do wioski.

Zerknęła na hrabiego, gdy zeskoczył z siwka, i natychmiast poczuła motyle w żołądku. Zmarszczyła brwi.

- Mogę się do pani przyłączyć?

Obejrzała się na Solgrave, po czym wskazała ręką w przeciwnym kierunku.

- Oczywiście... ale pan na pewno musi... Sama trafię. - Jąkała się bardziej niż pan Clarke w chwilach największego skrępowania.

Stanmore głaskał konia po chrapach, patrząc na nią wczekująco.

- Czy miałyby pani coś przeciwko temu, gdybym pani towarzyszył?

Zwiedziona łagodnym tonem spojrzała w czarne głębie jego oczu i uświadomiła sobie, że nie zdoła niczego mu odmówić. Dobry Boże, pomyślała, ogarnięta paniką.

- Nie - usłyszała własny głos.

W milczeniu ruszyli ścieżką prowadzącą do wioski. W miejscach, gdzie droga wiodła przez zagajniki, panowała niczym nie zmacona cisza. Rebeka zerknęła na hrabiego, który jechał stępa w przyzwoitej odległości. Nie jego się lękała, tylko siebie. Bala się uczuć, które w niej budził, i jakże żywych wspomnień, które w niej wywoływała jego bliskość. Usilnie starała się je odpędzić. Znowu rzuciła na niego ukradkowe spojrzenie i zobaczyła, że lord Stanmore patrzy prosto przed siebie. Chyba zgodził się z jej kategorycznym stwierdzeniem, że pocałunek przy młynie był błędem.

Gdyby tylko ona mogła w to uwierzyć.

- Zmartwiłem się, gdy usłyszałem, że jest pani chora. Mam nadzieję, że czuje się pani lepiej.

- Przykro mi, że pan się martwił z mojego powodu. - Rebeka owinęła wstążki kapelusza wokół palców i przez chwilę spoglądała na opuszczony kamieniołom, który ukazał się po lewej stronie ścieżki. Postanowiła wyznać prawdę. - Nic mi nie było. Ale przemyślałam pańskie uwagi i doszłam do wniosku, że miał pan rację co do mojej nadmiernej opiekuńczości wobec Jam... wobec pańskiego syna.

- Rozumiem. Najpierw przyznaje mi pani rację, a potem karze swoją nieobecnością?

- Karze? - Zaskoczona łypnęła na niego z ukosa, po czym przeniosła wzrok na ścieżkę. - Nie, milordzie. Po prostu wyciągnęłam wnioski z naszej rozmowy i teraz staram się dać Jamesowi trochę swobody, żeby łatwiej przywykł do nowego życia.

- Droga pani Ford, wprawdzie nie uważa mnie pani za eksperta w dziedzinie wychowywaniu dzieci, i oczywiście ma pani podstawy do takiej opinii, ale z tego, co pani właśnie powiedziała, wynika, że pani wie jeszcze mniej niż ja.

Odwróciła się ku niemu gwałtownie.

- Próbuje mnie pan urazić, milordzie?

- Ależ skąd! Wolałbym jednak, żeby nie usiłowała pani za wszelką cenę przyspieszyć powstania więzi między Jamesem a mną. - Mówił spokojnym tonem. - Sama pani

radziła, żeby dać mu trochę czasu. Ja też go potrzebuję.

- Tak, czasu spędzonego razem. Właśnie to staram się wam zapewnić.

Stanmore potrząsnął głową.

- Pozbawieni pani towarzystwa przez dwa ostatnie wieczory jedliśmy kolację w bardzo niezręcznej atmosferze. James nie wypowiedział ani słowa i nie oderwał wzroku od talerza. A przy okazji, jego manieri są nienaganne. Moje gratulacje.

- Dziękuję.

- Ale jego uporczywe milczenie nie ułatwia mi zadania. W dodatku popełniłem wielki błąd, prosząc wczoraj pana Clarke, żeby został na kolacji. Oczywiście niczego nie zauważył i mówił bez przerwy. Na szczęście niezliczone godziny przesiedziane w Izbie Lordów nauczyły mnie udawać zainteresowanie, podczas gdy myślami jestem przy... ciekawszych osobach.

Utkwił w niej wzrok, a ją nagle oblał war.

- Jeśli ma pan na myśli mnie, milordzie, muszę uprzedzić, że wcale nie jestem interesująca i nie wniosłabym niczego ciekawego do konwersacji przy stole. Moja obecność na pewno nie poprawiłaby sytuacji.

- Nie zgadzam się z panią. - Widząc uśmiech w jego czarnych oczach, Rebeka poczuła, że się rumieni. - Gdyby pani zasiadła z nami przy stole, nauczyciel na pewno by milczał, a z twarzy Jamesa zniknąłby ponury wyraz. Natomiast jeśli chodzi o mnie, byłbym zaszczycony pani towarzystwem.

Ścieżka wyprowadziła ich z lasu na łąki skąpane w słońcu. W wiosce leżącej u stóp wzgórza panował ożywiony ruch. Idylliczne miejsce, pomyślała Rebeka. Włożyła kapelusz i próbowała zawiązać wstążki na silnym wietrze.

- Jesteśmy prawie na miejscu - powiedział hrabia, a widząc jej zmagania, dodał szybko: - Pani pozwoli!

Rebeka zamarła, gdy wziął ją za łokieć, ale ponieważ jedną ręką przytrzymywała kapelusz, nie mogła nic zrobić, kiedy obrócił ją do siebie. Ujrzała tuż przed sobą szeroką pierś w czarnej kurtce do konnej jazdy, biały kołnierzyk

koszuli i fular. Po chwili odważyła się podnieść wzrok na pełne wargi i ciemne oczy, które na pewno dostrzegły każdą skazę na jej twarzy.

Hrabia bez pośpiechu zawiązał wstążki kapelusza, ale kiedy skończył, nie cofnął się, tylko odgarnął jej włosy z twarzy. Jego palce sparzyły jej skórę.

- Zazdroszczę wiatrowi.

Gdy pochylił ku niej głowę, wpadła w panikę i chciała rzucić się do ucieczki, lecz zwyciężyło dużo silniejsze pragnienie, żeby znowu poczuć jego usta na swoich. Stojąc bez ruchu, zamknęła oczy.

Dotyk jego warg był delikatny, ale rozpalił w niej krew, sprawił, że stopniała jak wosk. W pierwszej chwili zacisnęła pięści, potem z wahaniem oparła dłonie na twardym torsie. Gdy usta i język hrabiego stały się bardziej natarczywe, Rebeka uniosła się na palcach i otoczyła ramionami jego szyję, nagle pragnąc więcej tej rozkosznej tortury.

Stanmore wydał z siebie zduszony jęk i przygarnął ją tak mocno, że między ich ciałami nie zostało miejsca nawet na powietrze. Rebeka najchętniej wtopiłaby się w niego, ale hrabia nagle się odsunął. Gdy zdziwiona otworzyła oczy, dotknął palcami jej ust.

- Nie będę pani popędział - szepnął ochrypłym głosem. - Mam mnóstwo czasu.



## 16

Gdy zmierzali do Knebworth, Rebeka miała wrażenie, że otacza ją gęsta mgła. Wiedziała, że idzie, stawiając nogę za nogą, że słońce świeci w górze, a wiatr faluje otaczające ją morze zieleni, lecz podobnie jak we śnie prawie nie czuła własnego ciała.

Dopiero kiedy dotarli do pierwszych domostw, jej zmysły zaczęły odbierać bodźce: woń świeżej ziemi, szczekanie psa, szum rzeki płynącej pod starym mostem o trzech kamiennych łukach. Mgła nagle się rozwiąła, ustępując miejsca klarownemu obrazowi rzeczywistości.

Od hrabiego dzielił ją ten sam przyzwyczajony dystans, co wcześniej. Zerknęła na niego ukradkiem. Jego twarz nic nie zdradzała, oczy patrzyły przed siebie. Można by pomyśleć, że są dwójkiem znajomych, których drogi przypadkiem się skrzyżowały.

Wystarczyło jednak to przelotne spojrzenie, żeby w jej ciele i umyśle rozpętała się gwałtowna burza. Strach i pożądanie zwarły się w niej w zaciętej bitwie. Korciło ją, żeby musnąć palcem własne usta, na których został smak pocałunku. Czy zdoła sobie przypomnieć dotyk warg hrabiego podczas wiecznej rozłąki, która ich czekała.

I to już niedługo, pomyślała, patrząc na róże wylewające się przez mur ogrodu. Intensywność doznań całkiem ją oszołomiła. Czuła obok siebie jego obecność, silne przyciąganie, jakby łączyła ich niewidzialna naprężona lina. Była przerażona i jednocześnie zachwycona. Jak mogła zakochać się tak szybko i tak mocno? Ona, która zawsze odpychała od siebie tego rodzaju uczucia?

Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, co się z nią dzieje. Nie była dzieckiem. Całej siły woli wymagało od niej panowanie nad sobą, unikanie wzroku hrabiego, udawanie obojętności. Ale kiedy przesywał ją czarnymi oczami, wiedziała, że czyta w jej myślach, zagląda w duszę.

Była to niebezpieczna gra, w której lord Stanmore najwyraźniej osiągnął mistrzostwo. Jego spojrzenie, słowa, dźwięki... Igrał z nią, z jej ciałem i duszą, a ona traciła grunt pod nogami. Machając na oślep rękami, żeby złapać równowagę, trafiła jedynie na mgłę, która od razu się rozproszyła. Tę grę o skomplikowanych regułach musiała przegrać.

Jak na ironię, jedyny ratunek, a zarazem potępienie, mógł jej przynieść ten sam zakazany dotyk. Jego dotyk. Przeczuwała, że nie zdoła wyhamować. I wcale tego nie chciała.

Nagle w jej myśli wdarł się głęboki głos.

- To nie Filadelfia, ale witamy w naszej małej wiosce, która szczyci się kilkoma sklepami usytuowanymi wzdłuż głównej drogi. W Knebworth wre życie, zwłaszcza w dni targowe. Ponadto mamy kościół, który pochodzi z czasów Alfreda Wielkiego.

- Chciałabym poznać pastora... i może również dyrektora szkoły.

- Szkoła to przedostatni budynek na końcu wioski. Dom parafialny znajduje się wyżej, za kościołem. Widać go stąd. To ten z łupkowym dachem i nową stajnią obok.

Rebeka spojrzała we wskazanym kierunku.

- Dziękuję, milordzie. Nie chciałabym sprawiać panu kłopotu. Sama tam trafię. Pani Trent udzieliła mi szczegółowych wskazówek.

Stanmore nie skorzystał z okazji, żeby się z nią pożegnać, tylko spojrzął na grupę dzieci bawiących się hałaśliwie na podwórzu, które właśnie mijali.

- Pan Cunningham, nasz dyrektor, zwykle jest zajęty w ciągu dnia. Chętnie panią przedstawię kiedy indziej, a teraz z przyjemnością zaprowadzę panią do parafii.

Rebeka podziękowała mu uprzejmie i ruszyła dalej, rozglądając się po wsi.

Przez frontowe okno jednego z domów widać było szewca pochylonego nad pracą. Obok dużej karczmy Czarny Łabędź, do połowy wyłożonej drewnem, znajdował się ogród z drzewami owocowymi i altankami oplecionymi wisterią o lawendowych kwiatach. Na jednym z podwórz stało sporo dobrze utrzymanych bryczek i kariolek oraz całkiem nowy czterokołowy faeton. Dostrzegłszy jej zainteresowanie, Stanmore wyjaśnił, że brat pana Stafforda wyrabia powozy.

Niektórzy mieszkańcy wychodzili przed domy, żeby przywitać hrabiego i poznać jego towarzyszkę. Ludzie zachowywali się swobodnie i nie dbali przesadnie o etykietę. Gdy na rynku pozdrowił ich głośno jakiś woźnica, Stanmore zatrzymał się obok jego pojazdu, przedstawił męczyszną Rebecę, a następnie zapytał go o rodzinę. Piekarz i jego żona, oboje obsypani mącznym pyłem, wybiegli aż na drogę, żeby poczęstować hrabiego babeczkami z nadzieniem.

Za kamiennym kościołem o kwadratowej wieży lord Stanmore skręcił w stronę nowej stajni. Przekazał swojego ogiera pod opiekę młodemu stajennemu, a następnie poprowadził Reбекę wzdłuż ogródka warzywnego do domu parafialnego.

- Nie widziałem powoziku pastora, a wielebny jest znany z tego, że rano składa wizyty w sąsiednich parafiach. Ale pani Trimble, jego żona, na pewno z radością panią podejmie.

Gdy czekali pod drzwiami, Rebeka ukradkiem zerknęła na jego profil.

- Proszę wybaczyć, ale zostawię panią pod pieczęą gospodyni. Mam jeszcze do załatwienia kilka spraw.

- Nie musi pan przepraszać, milordzie. Sama trafię do Solgrave. Dziękuję za to, co już pan zrobił.

- Mogę po panią wrócić w południe?

Zmieszła się pod spojrzeniem jego pytających oczu.

- Cóż, nie wiem... Już i tak sprawiłam panu kłopot. Naprawdę...

- Skoro nie ma pani nic przeciwko temu, znajdę po pa-

nią koło dwunastej. Po raz drugi w ciągu jednego dnia będą mógł nacieszyć się pani towarzystwem.

W tym momencie drzwi się otworzyły i hrabia posłał szeroki uśmiech zaskoczonej służącej, która stanęła w progu. Dziewczyna dygnęła pospiesznie i wpuściła ich do domu, a następnie zaprowadziła do saloniku. Gdy weszli do słonecznego i miłego pokoju, na ich powitanie wstała z krzesła wysoka kobieta o miłym wyglądzie, a Rebeka pomodliła się w duchu, żeby gospodyni przypisała jej rumieniec spacerowi, a nie bliskości przystojnego dżentelmena.

Pani Trimble wyraźnie utykała, ale jej wesołość, pogodne usposobienie i gościnność świadczyły o harcie ducha.

Gdy po dokonaniu prezentacji i kilku uprzejmościach lord Stanmore wyszedł, Rebeka i żona pastora wdały się w pogawędkę, umilaną ptasimi trelami, które dobiegały z wiśni rosnącej tuż pod otwartym oknem.

Wkrótce podano herbatę i po paru zdawkowych uwagach o pogodzie Rebeka stwierdziła, że czuje się swobodnie w towarzystwie tej kobiety. Gospodyni nie zadawała wścibskich pytań, nie interesowała się jej życiem w Filadelfii, nie węszyła w przeszłości. Po prawdzie to żadna z osób spotkanych w Solgrave nie poruszała tych tematów. Natomiast po niewielkiej zachęcie pani Trimble opowiedziała o swoim małżeństwie z wykształconym w Oxfordzie Irlandczykiem i o ośmiu latach, które spędzili w wiejskiej parafii. W pewnym momencie umilkła i przez jej twarz przemknął cień.

- Kiedy mój mąż dostał przed laty propozycję, żeby przyjechać do Knebworth, nie wahał się ani chwili. Poznał jego lordowską mość, to znaczy obecnego hrabiego, gdy poprzedni lord Stanmore był już u schyłku życia. Wielbny zawsze podziwiał działalność parlamentarną jego lordowskiej mości. - Pani Trimble nachyliła się ku Rebecce i dodała ściszym głosem: - Może sobie więc pani wyobrazić, jaki przeżył wstrząs, gdy w trzecim roku naszego pobytu w Knebworth sąsiednią posiadłość kupił esquire

Wentworth. Mimo wysiłków mojego męża i pana Cunninghama, kierownika szkoły, w Melbury Hall od razu zostały zmiany, i to wcale nie na lepsze.

Rebeka słuchała z zainteresowaniem.

- Mąż dorastał w biednej Irlandii i nie należy do osób, które przysmakują oko na takie rzeczy. I nigdy, niech go Bóg błogosławi, nie szukał łask u wielmożnych kosztem krzywdzonych i poniżanych... w Melbury Hall czy gdziekolwiek indziej!

- Czy tam się źle traktuje ludzi?

Pani Trimble wstała i odstawiła filiżankę na kredens. Po jej ruchach było widać, że ma całkiem sztywne kolano.

- Bardzo źle. Wielebny i pan Cunningham winią za to kolejnych twardych rządów, których zatrudnia Wentworth. Ale najgorsze jest to, że esquire trzyma Afrykanów jako niewolników.

- Nie wiedziałam.

- Wielu z nas uważa to za barbarzyństwo, ale pan Wentworth jest przekonany, że gospodaruje wzorowo i nowocześnie.

- Lord Stanmore zgadza się z panią w tej kwestii?

- Oczywiście! Jest w parlamencie zagorzałym zwolennikiem abolicji. A tutaj, w Hertfordshire, usilnie przekonywał do niej swoich sąsiadów, właścicieli ziemskich. Jeśli chodzi o takie niesprawiedliwości, Samuel Wakefield jest siłą, z którą należy się liczyć.

- Naprawdę?

- On i esquire stoczyli wiele zażartych dyskusji na temat niewolnictwa. Oczywiście Wentworth nigdy otwarcie nie sprzeciwił się lordowi Stanmore. Sądzę, że zazdrości jego lordowskiej mości wpływów i woli nie robić sobie z niego wroga. Ale między nimi nie ma miłości.

- Warunki w Melbury Hall nadal są takie złe?

- Zdaje się, że lady Wentworth próbowała robić, co w jej mocy, przynajmniej tak sądzą, ale cóż, ci biedni ludzie nadal są trzymeni jak bydło! - Pani Trimble usiadła na kanapie obok Rebeki. - Lady Wentworth ma dobre serce i jest całkiem inna niż mąż, ale wyraźnie się go boi. Wielebny

i pan Cunningham uznali poprawę losu tych nieszczęśników za swoją osobistą misję, ale niewiele mogą zdziałać.

- Czy mogłabym jakoś pomóc wielebnemu Trimble w jego staraniach o wprowadzenie zmian w Melbury Hall? - zapytała Rebeka, poruszona słowami gospodyni.

Pani Trimble ujęła jej dłoń.

- Oczywiście, pani Ford! Zarówno mój mąż jak i pan Cunningham chętnie skorzystają z pani pomocy.

- Zdaje się, że pan Cunningham robi dużo dobrego.

- Istotnie. Wspaniały młody Szkot. Takiego drugiego trudno znaleźć ze świecą. Ale przyda się każdy ochotnik.

- Gospodyni wskazała na swoje kolano. - Od tamtego wypadku niewiele ze mnie pożytku. Nawet Melbury Hall to dla mnie za daleko.

- Tutaj też jest pani potrzebna. Ten ogród, dom, aura szczęścia, która go otacza... wszystko świadczy o pani wysiłkach. - Rebeka rozejrzała się z podziwem, a kiedy spojrzała z powrotem na gospodynię, nagrodził ją uśmiech wdzięczności. - Czy przychodzi pani do głowy pomysł, w jaki sposób mogłabym być użyteczna? Widzi pani, nawet nie wiem, jak długo zostanę w Solgrave.

Kobieta ze zrozumieniem pokiwała głową.

- Do tej pory esquire nie odważył się posunąć od tego, żeby zabronić wielebnemu wizyt w Melbury Hall. Mogłaby pani mu towarzyszyć i sprawdzać stan zdrowia niewolników. Pan Cunningham próbuje uczyć ich czytania i pisanie, ale jego obecność jest niechętnie widziana przez Wentwortha. Jeśli ma pani talent do nauczania, na pewno cenna będzie każda pomoc...

- Bardzo chętnie - rzekła skwapliwie Rebeka, czując, że humor jej się poprawia. - Proszę mi łaskawie powiedzieć, kiedy mam wrócić, żeby poznać pani męża.

- Będzie lepiej, pani Ford, jeśli każę wielebnemu odwiedzić panią w Solgrave jutro rano. - Gospodyni w zamyśleniu ściągnęła usta. - Albo może najpierw powinniśmy zorganizować spotkanie z żoną właściciela Melbury Hall. Pan

Cunningham wspomniał ostatniego wieczoru, że lady Wentworth przyjeżdża z Londynu wcześniej, niż się spodziewaliśmy. Podobno wiezie ze sobą przyjaciółkę swoją lub męża. Miały się zjawić wczoraj.

- Jak pani uważa, pani Trimble.

Rebeka zerknęła na ozdobny zegar wiszący nad kominem. Zostało jeszcze pół godziny do południa, a jej serce już waliło młotem na myśl o lordzie Stanmore.

- Za niecałe dwa tygodnie są urodziny króla - powiedziała gospodyni. - Przypuszczam, że lady Wentworth zostanie w Melbury Hall co najmniej do tego dnia. Mój mąż umówi wasze spotkanie.

Zachwycona, że znowu będzie użyteczna, Rebeka już miała zapytać żonę pastora o wiejską szkołę, gdy z ogrodu dobiegły głosy. Pani Trimble zerwała się z kanapy.

- Cudownie! Już tu są.

Rebeka też wstała i podeszła razem z nią do okna.

- Zaraz panią przedstawię. Wielebnemu towarzyszy lady Wentworth. Ta druga dama pewnie jest jej gościem z Londynu.

Pastor okazał się niższy od żony, ale takiej samej szczupłej budowy. Obok niego stała modnie ubrana kobieta i dzieliła się z nim jakimiś uwagami na temat ogrodu. Jej zachowanie świadczyło o tym, że jest przyzwyczajona do komenderowania. Szerokie rondo wysokiego kapelusza z piórami zakrywało górną część jej twarzy, ale złote włosy, dumnie zarysowany podbródek, idealnie prosty nos i pełne czerwone usta wskazywały na arystokratyczne pochodzenie.

- Lady Wentworth to prawdziwa piękność - szepnęła Rebeka do swojej gospodyni.

- Lady Went...? O, nie! To jej znajoma. Ona jest tam.

Pani Trimble wskazała na kobietę, która pochylała się nad jakimś kwiatem, zasłonięta przez sute spódnice drugiej, ale Rebeka dostrzegła tylko czubek parasolki i bladeżółtą suknię. W tym momencie pastor ruszył w stronę domu i zobaczył w oknie żonę. Słyszac jego radosne powitanie, obie damy odwróciły głowy... i Rebecę krew ścięła się w żyłach.

## 17

Kolana pod nią zmiękły. Zrobiła chwiejny krok do tyłu i oparła się o kredens. Przerażona patrzyła, jak cała trójka zmierza ścieżką ku domowi. Z rozpaczą zerknęła na drzwi.

Niestety było za późno na ucieczkę, więc tylko stała bez ruchu i czekała, pogodzona z losem. Przez okno widziała, jak lady Wentworth, dawna panna Millicent Gregory, koleżanka z Akademii dla Dziewcząt pani Stockdale w Oxfordzie, wchodzi po schodkach.

Jęknęła w duchu, gdy w holu rozbrzmiał głos pastora, zapraszającego gości do saloniku. Zaczęła się cofać, aż dotknęła nogami wyściełanego szezlongu. Przełknęła ślinę, kiedy gospodyni ruszyła do drzwi.

- Tak się cieszę. Witam, lady Wentworth.

Rebeka słuchała jednym uchem, jak pastor przedstawia nieznaną żonie. Następnie podszedł do niej i sam się przywitał.

Głos miał łagodny, uścisk dłoni ciepły i przyjacielski, ale Rebeka tylko na moment oderwała wzrok od podłogi. Kiedy ruszył dalej, odważyła się zerknąć na lady Wentworth.

Mimo paniki zauważyła, że jej szkolna koleżanka jest blada i przygnębiona. Nigdy nie była piękna, ale w młodości wyróżniała się spośród innych dziewcząt wesołością i żywym usposobieniem. Teraz wyglądała jak cień dawnej siebie. •

Natomiast druga kobieta gawędziła z panią Trimble i jako obiekt zainteresowania obecnych wyraźnie czuła się w swoim żywiole. Po chwili gospodyni odwróciła się i wskazała na Rebekę.

- Lady Wentworth, pozwolę sobie przedstawić panią



Ford. Moja nowa znajoma przebywa obecnie u lorda Stanmore w Solgrave. Pani Ford, oto lady Wentworth z Melbury Hall, o której wcześniej mówiłam.

- Mam nadzieję, że tylko dobre rzeczy, moja droga - zartował pan Trimble i wybuchnął głębokim śmiechem.

Rebeka zamarła, gdy Millicent skierowała na nią obojętny wzrok i wyciągnęła dłoń.

- Pani Ford. - Nagle w szarych oczach pojawił się błysk rozpoznania, a po chwili na usta wypłynął słaby uśmiech. - Rebeka! Jak się cieszę, że cię znowu widzę! Pani Ford, dobrze usłyszałam?

- Znowu? Cudownie! Nie miałam pojęcia, że już się znacie!

Okrzyk pani Trimble ściągnął na nie zaciekawione spojrzenia pozostałej dwójki. Rebeka zaczerwieniła się mocno, ale nie puściła ręki Millicent.

- Chyba mnie pani z kimś pomyliła, lady Wentworth - powiedziała zdesperowana, śląc przyjaciółce błagalne spojrzenie. - Rzeczywiście mam na imię Rebeka, ale to jest moja pierwsza podróż do Anglii, więc jeśli nigdy nie była pani w koloniach... cóż, nie wiem, gdzie mogłybyśmy się spotkać.

Millicent chyba dostrzegła jej konsternację, bo szybko otrząsnęła się z pierwszego zaskoczenia, ze zrozumieniem skinęła głową i cofnęła dłoń.

- Proszę wybaczyć moją impulsywną reakcję. Przypomina mi pani osobę, którą kiedyś znałam. Ale minęło już tyle lat, że wspomnienia się zatarty, i stąd moja pomyłka.

- Jaki to zbieg okoliczności, że pani również ma na imię Rebeka, pani Ford - odezwała się towarzyszka lady Wentworth.

Była wystrojona, nieco przesadnie, w aksamitną suknię spacerową w kolorze ciemnoniebieskim, żakiet o takim samym odcieniu oraz niebieski kapelusz z niebieskimi piórami. Twarz i figurę miała naprawdę piękne, ale oczy zimne jak lód.

Pani Trimble wybawiła Reбекę od odpowiedzi, dokonując prezentacji.

- Lady Nisdale jest gościem w Melbury House. Przyje-

chała wczoraj z Londynu. Lady Nisdale, pozwoli pani, że przedstawię jej panią Ford.

Kobieta wyciągnęła dłoń w rękawicze.

- Pani również ma na imię Rebeka, tak?

Chłód w jej głosie i wyniosły sposób bycia sprawiły, że w Rebecce strach przerodził się w irytację.

- Owszem, ale moje imię jest dość pospolite - odparła ze zdawkowym uśmiechem.

- Istotnie - przyznała lady Nisdale uszczypliwym tonem. - Mieszka pani w Solgrave? Dostała tam pani posadę?

Pani Trimble głośno wciągnęła powietrze, a lady Wentworth z dezaprobatą i gniewem popatrzyła na towarzyszkę.

- Pani Ford jest gościem lorda Stanmore, milady - wyjaśnił czym prędzej pastor, żeby rozładować napięcie. - Przez ostatnich dziesięć lat opiekowała się paniczem Jamesem, synem hrabiego.

- Ach, rozumiem, guwernantka.

- Nie, milady - odparła Rebeka spokojnie. - Jestem gościem.

Nie dodała nic więcej, ale lady Nisdale nawet nie starała się ukryć drwiącej miny.

- Może usiadzimy, drogie panie? - zaproponowała pogodnie gospodyni i kazała służącej przynieść świeżej herbaty.

Lady Nisdale usadowiła się w fotelu przy drzwiach, a Rebeka przycupnęła na brzegu sofy i zerknęła dyskretnie na szkolną koleżankę. Musiała znaleźć czas, żeby spotkać się z nią prywatnie. Kiedyś były przyjaciółkami, ale teraz nie mogła liczyć na ich dawną zażyłość. Miała tylko nadzieję, że lady Wentworth zachowała wrażliwość Millicent Gregory. Stwierdziła jednak, że na jej twarzy znowu zagościł wyraz, który wcześniej dostrzegła przez okno. Ogarnął ją niepokój.

- Pani Ford przyszła do nas dzisiaj nie tylko z wizytą kurtuazyjną, wielebny, ale również po to, żeby na ochotnika zgłosić się do pomocy - powiedziała gospodyni do męża i promiennie uśmiechnęła się do Rebeki. - Właśnie miałyśmy przejść do szczegółów, gdy się państwo zjawili.

- Dziękuję, pani Ford. Naprawdę jestem wdzięczny. - Pastor uklonił się głęboko. - Biorąc pod uwagę plany lady Wentworth, żeby zaszczyścić nas swoją obecnością dłużej niż zwykle o tej porze roku, oraz pani szlachetną ofertę, możemy dużo dokonać tego lata. Z niecierpliwością czekam, żeby o wszystkim opowiedzieć panu Cunninghamowi...

- A pani musi opowiedzieć o dzisiejszym spotkaniu lordowi Stanmore, pani Ford - wtrąciła lady Nisdale, przerywając pastorowi. - Skoro już przyjechałam do tego czarującego zakątka Hertfordshire, jego lordowska mość z pewnością zechce przedłużyć swój pobyt na wsi, żeby osobiście pokazać mi okolicę.

W piersi Rebeki nieoczekiwanie wezbrała pałaca zażdość, gdy modnisia z londyńskiej śmietanki potrząsnęta blond lokami, które okalały jej piękną twarz.

- Więc zna pani jego lordowską mość? - zapytała pani Trimble.

- Zna to za mało powiedziane, moja droga pani. Stanmore i ja byliśmy bliskimi... bardzo bliskimi przyjaciółmi przez długi, długi czas. Prawdę mówiąc... - Lady Nisdale odęła usta i spojrzała na lady Wentworth. - Zanim poświęcisz się działalności dobroczynnej, Millicent, przypomnę ci, że obiecałaś mi bal. Na pierwszy rzut oka widać, że tu jest za spokojnie. Poza tym chciałabym mieć okazję do włożenia co najmniej jednej z sukien, które przywiozłam. - Nie czekając na odpowiedź, przeniosła wzrok na Rebekę. - Szkoda, że nie przyjdzie pani na bal, skoro musi się opiekować synem jego lordowskiej mości, pani Ford. Zapewne jednak czuje pani ulgę z tego powodu. Niełatwo ubrać się na taką okazję, prawda? - Nie dopuszczając nikogo do słowa, zwróciła się ponownie do lady Wentworth. - No, Millicent, wiesz, że pomogę ci w przygotowaniach, oczywiście jeśli Stanmore da mi chwilę wytchnienia, a wiem, jaki będzie zaborczy, gdy się dowie, że tu jestem...

W tym momencie do pokoju weszła służąca i zaanonsowała:

- Jego lordowska mość, hrabia Stanmore.

Z twarzy wysokiej postaci, która stanęła w progu, nie można było wyczytać, ale Rebeka przez chwilę zastanawiała się, ile z tyrady lady Nisdale usłyszał hrabia.

Wielebny Trimble natychmiast zerwał się z krzesła i razem z żoną serdecznie powitał dostojnego gościa. Tymczasem lady Nisdale siedziała w fotelu z wyzywającym uśmiechem na ustach. Zdegustowana Rebeka wstała z sofy i podeszła do okna.

Po krótkiej chwili dołączyła do niej lady Wentworth.

- Mój mąż i jego gość wolą miejskie rozrywki i rytm życia, pani Ford. Ja natomiast lubię poranne przejażdżki. Miałyby pani ochotę wybrać się ze mną, powiedzmy jutro rano?

Rebeka powiedziała wprawdzie lordowi Stanmore, że nie jeździ konno, ale sytuacja wymagała przyjęcia zaproszenia. Nie sądziła, żeby koniuszy hrabiego jej odmówił, jeśli poprosi o wierzchowca.

Spojrzała Millicent w oczy.

- Chętnie wybiorę się z panią na przejażdżkę, milady. Czy możemy umówić się bardzo wcześnie?

- Jak najbardziej. Im wcześniej, tym lepiej. Przyjadę do Solgrave tuż po świcie. Mój mąż uparł się, żeby zawsze towarzyszył mi stajenny, ale na pewno będziemy miały sposobność porozmawiać i... lepiej się poznać.

- Będę czekać.

Lady Wentworth lekko skinęła głową, a Reбекę ogarnęła ulga, że jej szkolna koleżanka aż tak bardzo się nie zmieniła. Zerknęła przez pokój i zobaczyła, że lord Stanmore przeprosza gospodarzy i zmierza w jej stronę. Ich wzrok się spotkał.

- Pani Ford, mam nadzieję, że wybaczy mi pani spóźnienie. Intensywnie czarne oczy wręcz pieściły jej twarz.

- Wcale się pan nie spóźnił, milordzie - wyszeptała Rebeka, czując, że się rumieni.

- Lady Wentworth. - Hrabia ukłonił się dwornie.

Bardziej z ciekawości niż z zazdrości Rebeka rzuciła przelotne spojrzenie na lady Nisdale i dostrzegła na jej ładnej twarzy oznaki gniewu. Sztuczny uśmiech, który do tej

pory udawało się jej zachować, mimo że lord Stanmore jeszcze do niej nie podszedł, tym razem zniknął na dobre.

Rebeka chciała skarcić się w duchu za złośliwe zadowolenie, którego w tym momencie doznała, ale uczucie było zbyt przyjemne, żeby je od razu zepsuć. Później się zbesztam, pomyślała. Lecz mimo wszystko zaskoczyło ją, że kobieta taka jak lady Nisdale potrafiła od razu wzbudzić w niej silną awersję.

Tymczasem hrabia nie odrywał od niej wzroku.

- Właśnie powiedziałem pani Trimble, że nie możemy zostać na obiad, który wspomniałomyślnie nam zaproponowała, ale już wcześniej umówiliśmy się na pewne spotkanie. Mam nadzieję, że nie wyjdę na kłamcę. - Podał jej ramię. - Jest pani gotowa?

Wręcz paliła się do wyjścia, ale kiedy wzięła hrabiego pod rękę, dostrzegła zdziwienie na twarzy gospodyni. Pani Trimble zorientowała się, że lord Stanmore zamierza opuścić ich dom, nie przywitawszy się ze wszystkimi obecnymi. Lecz inicjatywę przejął jej mąż.

- Zdaje się, że nie ma potrzeby dokonywać prezentacji, milordzie. Lady Nisdale już nas poinformowała o waszej... hm, bliskiej i długotrwałej przyjaźni.

Rebeka mogłaby przysiąc, że w tonie pastora usłyszała nutę rozbawienia, może nawet satysfakcji. Widać nie tylko ona zauważyła, że mimo dumnych deklaracji lady Nisdale jest hrabiemu całkowicie obojętna.

- Londyn może się wydawać pępkiem świata, wielebny, ale tak naprawdę jest zaściankiem - stwierdził chłodno Stanmore. - Lady Nisdale bez wątpienia zna wszystkich z tamtejszego towarzystwa.

Po wyjściu od państwa Trimble słońce wydało się Rebecce jaśniejsze, wiosenne powietrze jeszcze bardziej pachnące i świeże, kwiaty piękniejsze niż przed godziną. Gdy dotarli do końca ogrodowej alejki, ujrzała ze zdziwieniem, że czeka na nich nowy faceton, zaprzężony w parę gniadoszy. Obok stał wyprężony stangret w liberii.

- A pański koń, milordzie?

- Zostawiłem go w Solgrave. - Hrabia z łątwością pod-sadził ją na wysokie siedzenie, po czym wskoczył do po-wozu i ujął wodze. - Mam nadzieję, że nie pogniewa się pani na mnie za moją śmiałość, ale wziąłem kosz z obia-dem, którego po prostu nie dam rady sam zjeść. Przyszło mi do głowy, że zechce mi pani pomóc.

Zechce? Na niebiosa! Mimo paniki, która ją ogarnęła pod dotykiem jego dłoni, o niczym innym nie marzyła. Niestety nie mogła w ten sposób odpowiedzieć.

- Ale... co ze spotkaniem, o którym pan wspomniał pa-ni Trimble?

- Chodziło o spotkanie z panią - wyjaśnił z chytrym uśmiechem. - Więc uczyni mi pani zaszczyt i zje ze mną lunch, pani Ford?

- To ja będę zaszczycona, milordzie - odparła cicho, bo w tym momencie stangret wskoczył na tył powozu.

Gdy ruszyli spod domu pastorstwa, Rebeka obejrzała się i zobaczyła, że lady Nisdale obserwuje ich z okna saloniku.

Była piękna, elegancka i... niemal ziała ogniem z gniewu.

Ściany były obite kremowym jedwabiem, wyblakłym ze starości i naznaczonym pleśnią. Na ławie we wnęce okien-nej leżał stos poduszek z niegdyś różowego aksamitu; w kilku miejscach wystawało z nich włosie. Zniszczony dy-wan leżał krzywo na spaczonych deskach podłogowych, zaniedbanych od lat. W pomieszczeniu unosił się odór zwiędłych kwiatów, kurzu i wilgoci.

Gość stał sztywno pośrodku saloniku. Ubrany w nowy strój prosto z Oxford Street bał się usiąść. Patrzył na cięż-kie story, które skutecznie odcinały blask słoneczny, i za-stanawiał się leniwie, kto rządził Anglią, kiedy je tu powie-szono. Ogień, ledwo tłący się w staromodnym kominku, dawał niewiele światła i jeszcze mniej ciepła. Po co w ogó-le go rozpalać, pomyślał mężczyzna, krzywiąc usta.

Gdy z korytarza dobiegło mamrotanie, odwrócił się do drzwi. Po chwili brzemiennej ciszy, która zwykle zapada

tuż przed podniesieniem kurtyny, do pokoju weszła, dość niepewnym krokiem, ongiś słynna Jenny Greene.

Minęło niecałe dziesięć lat od ich ostatniego spotkania, ale czas wrył na twarzy kobiety takie ślady, jakby upłynęło ich trzydzieści. Widząc skutki nadmiernej ilości dżinu i całonocnych zabaw, które wypełniały życie niejednej starzejącej się aktorki, mężczyzna zmarszczył brwi.

W zamian otrzymał chłodne, wręcz nieprzyjazne spojrzenie. Ale nie spodziewał się innego powitania.

- Byłam pewna, że służąca źle odczytała wizytówkę.

Gość milczał, więc Jenny Greene opadła na krzesło. Oczy, które dawniej zniewalały każdego mężczyznę, teraz były podpuchnięte i okolone zmarszczkami. Nawet ich błękit stracił blask, a one same wyrażały nieufność.

- Przypuszczam, że to nie jest wizyta towarzyska - warknęła kobieta.

Mężczyzna postanowił zignorować brak szacunku należnego mu z racji tytułu i pozycji. Nie zamierzał dać się sprowokować. Zdołał nawet rozciągnąć usta w uśmiechu.

- A może to jest wizyta towarzyska - powiedziała Jenny, mylnie interpretując jego reakcję.

Drżącymi palcami przesunęła po kremowych piersiach widocznych w wycięciu sukni.

Choć Jenny Greene wyraźnie się postarzała, wciąż jeszcze emanowała czarem, który uczynił ją największą aktorką londyńskich scen. I nadal umiała wykorzystać tę moc. Gość wiedział, że potrafi go rozpalić... jeśli zechce. Bujne ciało, płonące oczy, rude włosy - teraz przypudrowane, upięte wysoko i zawinięte w turban - kiedyś przyciągały uwagę każdego mężczyzny w Londynie i wzbudzały podziw każdej kobiety.

- Jak się zastanowić, ta wizyta ma wszelkie cechy potajemnej schadzki! Przyjazd wynajętym powozem, żadnych stangretów w liberii ani lokajów, pełna dyskrecja! Aż serce mi trzepocze!

- Jestem tutaj z powodu Rebeki. - Z satysfakcją stwierdził, że po jego słowach z twarzy Jenny odpłynęła krew. - Chcę wiedzieć, czy się z panią kontaktowała.

Biała dłoń przeniosła się z piersi na kieliszek stojący na małym stoliku obok krzesła. Niestety naczynie było puste. Panna Greene trzymała je przez chwilę, po czym odstawiła, zachowując nieprzeniknioną twarz. Naprawdę jest wielką aktorką, pomyślał mężczyzna.

- Jak mogłaby się ze mną kontaktować? Nie żyje od lat.

- Czyżby pani znała jakiś sekret? Nigdy nie uważaliśmy jej za zmarłą, tylko zaginioną.

Jenny sięgnęła do dzwonka, ale go nie znalazła.

- Muszę się napić.

Uniosła się z trudem i obróciła na krześle, ale zaraz opadła z powrotem i drżącą ręką zasłoniła oczy. Dopiero minęło południe, a ona już była pijana. Albo jeszcze pijana, pomyślał gość z niesmakiem.

- Pani Greene, czy nazwisko Ford coś pani mówi?

Łypnęła na niego bez słowa i znowu spróbowała pociągnąć za sznurek dzwonka. Tym razem jej się udało. Zadowolona z siebie usiadła w królewskiej pozie, kładąc dłonie na poręczach.

- Po co te wszystkie pytania? Dlaczego pan sądzi, że ona nadal żyje? I co z tego, jeśli żyje?

Mężczyzna przez chwilę mierzył ją wzrokiem. Niepotrzebnie tu przychodził. Jenny Greene była jak zwykle nieprzyjemna, obojętna, zajęta wyłącznie sobą.

- Kazałem obserwować pani dom. Jeśli się tu zjawi, powiadomi nas pani.

Kiedy w drzwiach stanęła służąca, Jenny kazała jej przynieść drinka.

Gość ruszył do wyjścia, ale zatrzymał się, gdy usłyszał za sobą burkliwy głos.

- Ona jest dla mnie nikim, ale niech mi pan powie, o co chodzi. Już kiedyś panu pomogłam. Pomogę i teraz.

- Dobrze. Ktoś wypytywał o niejaką Reбекę Ford. Moi ludzie podejrzewają, że obiekt tych poszukiwań to nikt inny jak pani dawno zaginiona córka Rebeka Neville. Nie pozwolimy jej znowu zniknąć. Tym razem zamierzam ją odnaleźć.



Faeton toczył się polnymi i leśnymi drogami, wśród buków o szarych pniach, rozłożystych dębów i kasztanowców, raz w pełnym słońcu, raz w głębokim cieniu. Hrabia pokazywał Rebecę farmy, ona pytała go o dzierżawców i zbiory. Gospodarz z kolei opowiadał z dumą, jakie postępy zrobili przez lata.

Nie był zaskoczony jej inteligencją i szerokimi horyzontami, ale duże wrażenie zrobiło na nim to, że nawet nie wspomniała o Louise Nisdale, nie zadawała żadnych osobistych pytań, nie próbowała wyciągnąć z niego prawdy o ich romansie.

W przeciwieństwie do innych kobiet, z którymi spędzał czas, Rebeka Ford interesowała się wszystkim, tylko nie własną osobą i pragnieniami. Wręcz starała się odwrócić od siebie uwagę... zwłaszcza jego uwagę.

Ta niezwykła postawa sprawiła, że zaczął szanować ją jeszcze bardziej. Rzucił ukradkowe spojrzenie na jej profil, zjechał z drogi i zatrzymał powóz nad wartkim strumieniem, gdzie słońce przesiane przez liście starego buku kładło na trawie złote plamy. Stangret zajął się końmi, on natomiast zeskoczył na ziemię, pomógł wysiąść Rebecę i sięgnął po kosz.

- A przy okazji, kiedy pojechałem do Solgrave, zajrzałem do pana Clarke, więc nie musi pani spieszyć się do domu.

- Przecież obiecałam nie martwić się o Jamesa, milordzie.

- Sądziłem, że obiecała pani nie pokazywać, że się pani o niego martwi.

- Skoro tak pan twierdzi, milordzie.

Uśmiechnęła się promiennie, zdjęła koc z siedzenia po-

wozu i rozpostarła go na trawie. Tymczasem hrabia kazał stangretowi pojechać za zakręt rzeki i wrócił pod drzewo.

- Pan Clarke zamierza dziś po południu poświęcić Jamesowi dodatkowy czas - oznajmił. - A kiedy chłopiec skończy lekcje, Daniel wyśle go do stajni, żeby mógł wybrać sobie kuca. Może nawet weźmie pierwszą lekcję jazdy, jeśli będzie chciał.

Gdy Stanmore zobaczył w jej oczach wdzięczność, nie pierwszy raz naszała go refleksja, że nastrój pani Ford jest mocno uzależniony od samopoczucia wychowanka. Był to kolejny przejaw braku egoizmu, tak rzadko spotykany u ludzi z jego sfery, i szlachetności, nie wynikającej z urodzenia.

- Jamey... James będzie zachwycony, milordzie. Zawsze lubił konie, ale mieszkając w Filadelfii, nie miał okazji nauczyć się jeździć.

Gdy hrabia postawił kosz piknikowy na ziemi, Rebeka siadła na kocu i uniosła serwetkę. Hrabia usadowił się obok niej i spytał:

- Zawsze mieszkała pani w Filadelfii?
- Głównie - bąknęła, zaglądając do kosza.
- A gdzie jeszcze?
- Przez pewien czas w Nowym Jorku.

Stanmore wiedział, że powinien odwzajemnić uprzejmość i nie wypytywać Rebeki o przeszłość, ale jej uniki tylko rozbudziły jego ciekawość.

- Czy pani mąż pochodził z Filadelfii?
- Nie.

Zaskoczyła go ta pospieszna odpowiedź. Dostrzegł również, że na jej twarz wypełza rumieniec. Niestety schyliła głowę, tak że rondo kapelusza pozbawiło go przyjemności obserwowania jej zaróżowionych policzków. Widział tylko pełne wargi i kształtny podbródek.

- W takim razie, skąd?

Rebeka zaczęła wyjmować z kosza serwetki, naczynia i sztućce. Potem niecierpliwym gestem rozwiązała wstążki kapelusza i rzuciła go na trawę.

- John Ford przybył z Anglii.

- Z Anglii, mówi pani?

- Nie mógł go pan znać, milordzie. Nie był wysoko urodzony, nie miał żadnych wpływowych krewnych. - Jej oczy nabrały odcienia pochmurnego nieba. - Wielu ludzi z mojej sfery musiało wyjechać z kraju, żeby coś osiągnąć w życiu.

Odwrociła twarz, ale zdążył dostrzec malujący się na niej smutek. Pod wpływem impulsu wyciągnął rękę i ujął ją pod brodę.

- Pochodzenie nie jest najważniejsze.

Nachylił się nad koszem i musnął wargami jej usta, zaskoczony siłą własnych uczuć. Gdy się odsunął, Rebeka przez długą chwilę siedziała bez ruchu, po czym z wahaniem dotknęła swoich warg.

Ciekawe, ile czasu minęło, odkąd jakiś mężczyzna je całował, pomyślał Stanmore.

- Lepiej zajmijmy się obiadem, bo inaczej nie ręczę za siebie - powiedział lekkim tonem.

Rebeka opanowała się szybko, uśmiechnęła i sięgnęła do kosza. Wyjęła z niego i ułożyła na kocu kawałki pieczonego kurczaka, owoce i ciastka, zapakowane w serwetki.

- Widzę tu rękę pańskiego kucharza Harry'ego - stwierdziła. - Jedzenia wystarczyłoby nam na tydzień.

- I byłyby to bardzo przyjemny tydzień, tylko my dwoje nad strumieniem.

Rebeka ugryzła kawałek kurczaka.

- Sądząc po tym, co pani Trent i Daniel mówili o pańskim rozkładzie zajęć, nie wyobrażam sobie, żeby był pan zadowolony z tak długiej bezczynności.

- Rzeczywiście jestem znany z tego, że niewiele czasu kradnę dla siebie. Te dwa tygodnie, które zamierzam spędzić w Solgrave, należą do wyjątków. - Dumał przez chwilę, po czym dodał: - To prawda, że tutaj jest mniej obowiązków niż w Londynie, i nie mówię o towarzyskich, bo nigdy za nimi nie przepadałem.

- Ale pański pobyt tutaj również można uznać za pra-

cę. Bardzo ważną pracę! - Wytarła usta serwetką. - Przyjechał pan, żeby spędzić trochę czasu z synem.

Wierzy w to, co chce, pomyślał, obserwując, jak wiatr igra z jej włosami. Zdjął surdut i odłożył go na bok.

- Nie traktuję lekko swoich obowiązków, ale czasami marzę o tym, żeby wszystko rzucić i uciec od ludzi, których codziennie widuję, od etykiety, od odpowiedzialności, która często mnie przytłacza.

Rebeka skończyła jeść i oparła się na ręce.

- I jest takie miejsce, do którego pan ucieka?

- Tak! - Uśmiechnął się szeroko. - Jadę tam na miesiąc każdej jesieni. Była pani w Szkocji, Rebeko?

Potrząsnęła głową, a on patrzył, jak ogniste kosmyki tańczą wokół jej twarzy. Lekko musnęła policzkiem swoje ramię.

- Słyszałam, że to piękny kraj.

Stanmore odsunął kosz i wyciągnął się na kocu. Głowę podparł dłonią.

- To dzika kraina, ojczyzna starożytnych bogów, gdzie niebo jest błękitne, a górskie strumienie spływają prosto w doliny porośnięte dębami i sosnami. Na kamienistych zboczach, których chyba nigdy nie dotknęła ludzka stopa, paprocie i wrzosa toczą bój o miejsce. Wysoko nad bezdennymi jeziorami lśnią w słońcu ośnieżone szczyty, a chwilę później znikają w burzowych chmurach.

W oczach Rebeki malował się zachwyt.

- Kocha pan Szkocję.

- Nie wierzę w miłość. - Uwięził jej dłoń pod swoją. - Ale bardzo wierzę w namiętność.

Milczała, lecz nie zabrała ręki, a na jej twarzy pojawił się wyraz zamyślenia.

- A pani, Rebeko?

Nie spieszyła się z odpowiedzią.

- Wierzę w miłość. Widziałam ją w oczach małego chłopczyka, którego tuliłam w ramionach i ona dodawała mi otuchy. Napełniała spokojem. - Podniosła na niego wzrok. - Natomiast to drugie mnie przeraża.

- Dlaczego?  
- Bo jest zakazane.  
- Przez kogo?  
- Przeze mnie! Nie mogę sobie pozwolić na coś, nad czym nie da się zapanować, na uczucia gwałtowne i niepo- hamowane.

Gdy pogłaskał palcami wierzch jej dłoni, przebiegł przez nią dreszcz, a policzki się zaróżowiły.

- Czy kiedykolwiek pałałaś namiętnością do swojego męża, Rebeko?

Odwróciła głowę.

- Czy kiedykolwiek zaznałaś ekstazy w małżeńskim łożu?  
- Wyczuł szybki puls na jej nadgarstku. - Z utratą kontroli wiąże się intensywna przyjemność. Po wybuchu nieokiełz- nanej żądzy następuje wielki spokój. - Zabrał ciepłą rękę z jej dłoni i przesunął ją na ramię, okryte cienkim materiałem suk- ni. - Czy twój mąż nie wiedział, gdzie cię dotykać? - Gdy od- sunął koronkowy szal i powiodł palcami po jej smukłej szyi, Rebeka zamknęła oczy. - Czy sprawił, że płonęłaś wewnętr- znym ogniem, który potrafi ugasić tylko wytrawny kochanek?

Kiedy na niego spojrzała, nie odrywając od niej wzro- ku, zaczął delikatnie masować przez suknię jędrne piersi. Z jej ust wyrwał się cichy okrzyk zaskoczenia, kiedy opu- ścił dłoń na płaski brzuch.

- Czy kiedykolwiek doprowadził cię na szczyt? Pieścił? Dotykał tutaj?

Jego ręka przesunęła się niżej. Policzki Rebeki płonęły, oczy były szeroko otwarte i czujne.

- A może nigdy nie poznał twoich sekretów, nie spełnił fan- tacji? - Powędrował dłonią z powrotem na szyję. - Powiedz, co teraz czujesz, Rebeko. - Przyciągnął ją do siebie łagodnie.

- To jest złe!

- Naprawdę? - zapytał kojącym szeptem.

- Nie powinniśmy...

Uciszył jej protest pocałunkiem, a kiedy się odsunął, podą- żyła za nim ustami, rozpalając w nim pożądanie. Przycisnął no-

gę do jej uda, otoczył ją ramieniem i pociągnął na siebie. Nadal go całowała i chyba się nie zorientowała, że na nim leży.

Zanurzył palce w jej włosy, a Rebeka przesunęła usta z jego warg na policzek, ucho, szyję. Niepewnymi dłońmi zaczęła błądzić po jego torsie, po twardym brzuchu. Stanmore z wolna tracił panowanie nad sobą. Przetoczył ją pod siebie, zamknął w objęciach, uwięził.

Poczuł, że wszystkie jej mięśnie się naprężają, więc oparł się na łokciu.

- Czujesz to samo co ja? - zapytał ochryple. - To właśnie jest namiętność!

W niebieskich oczach dostrzegł ogień, ale i strach. Na ten widok ścisnęło mu się serce. Ujął w dłonie jej twarz i przytrzymał.

- O co chodzi? Boisz się czegoś?

Po skroniach potoczyły się przezroczyste krople i zniknęły w złotych włosach. Scałował jedną, potem drugą.

- Rozmawiaj ze mną, Rebeko.

Zacisnęła powieki, ale łzy nadal płynęły. Przekręcił się na bok i objął ją mocno, delikatnie całując w czoło, pocieszając, jak nigdy nie pocieszał żadnej kobiety. Zrozumiał, że na nikim tak mu nie zależy, jak na niej. Minęło trochę czasu, zanim się odezwała.

- Ja nie... Nie jestem osobą, za którą mnie bierzesz!

- Twoja nudna żona jest wyjątkowo małomówna, jeśli chodzi o tę Ford!

Wentworth zignorował uwagę Louisy, pospiesznie i niezdarnie rozpinając jej *modny* francuski gorset.

- Ostrożnie! - syknęła, kiedy w delikatne ciało wbił się fiszbin. - Zawołaj pokojówkę.

- Nie. - Ustami już błądził po jej nagich ramionach. - Nie mogę czekać ani minuty dłużej. Dlaczego nie wpuściłaś mnie wczoraj w nocy, bałamutko?

- Byłam zbyt zmęczona - odparła leniwie. - I nie waż się skarżyć na dzisiejszy ranek. Nie muszę cię przyjmować

tylko dlatego, że żona lubi opuszczać twoje łóżko, zanim skowronek zacznie śpiewać.

- Moje łóżko? Mówiłem ci, głuptasie, że ona ze mną nie śpi. - Wentworth pomógł kochance pozbyć się gorsetu i przez cienką halkę uszczypnął jej brodawki. Jego ubrania leżały rozrzucone po całym pokoju. - Twoje miejsce jest w mojej sypialni, a nie tutaj.

- Głuptas z ciebie! - odparła Louisa ze śmiechem. - Co by sobie pomyślała twoja żona i służba, gdybym się rozgościła w sypialni pana domu? Skandal!

Wentworth ścisnął jej piersi i ugryzł w szyję.

- Skandal? Nie obchodziło cię, co sobie pomyślą inni, kiedy przychodziłaś do mojego londyńskiego domu.

- To było co innego. Gdy mnie zwabiłeś...

- Zwabiłem?

- ...wydarłeś z ramion mojego biednego nieżyjącego męża, jeszcze nie byłaś żoną z tą głupią gęsią. A później... cóż, twojej żony nigdy nie było.

- Ta absurdalna nieśmiałość nie przystoi światowej kobiecie, Louiso.

Opuścił rękę i tak brutalnie chwycił ją za łono przez cienką warstwę białego jedwabiu, że gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Dyskrecja niewiele się liczyła przez trzy lata, kiedy byłaś zamężna z tym starym capem Nisdalem. O ile sobie przypominam, nie dawał ci tego, co ja. - Ścisnął jeszcze mocniej, a Louisa sięgnęła ręką do tyłu i złapała go za upudrowane włosy. - Otwarcie cieszyłaś się tym, co ode mnie dostawałaś: pieniędzmi, strojami, a od czasu do czasu... figlami, prawda?

- Nie chcę teraz o tym rozmawiać, ty wstrętny gorylu.

- Wstrętny, tak. I dlatego przyjechałaś aż do Hertfordshire, co? Jesteś tu dla mnie!

Louisa doszła do wniosku, że pytanie nie zasługuje na odpowiedź, i tylko uśmiechnęła się chytrze przez ramię. Potem uwolniła się z objęć Wentwortha i podeszła do lustra. Patrząc na swoje odbicie, powoli zdjęła jedwabną halkę.

- Trzeba ci oddać, że ostatnio zyskałeś sobie pewną reputację wśród dam z towarzystwa ze względu na swoje... niezwykłe upodobania. Większość z nich nie jest pewna, czy mają się na ciebie rzucać, czy bać. To dopiero sensacja. - Idealne pierśi, stwierdziła Louisa, zerkając na stwardniałe brodawki. - Plotkuje się nawet o twojej absolutnej władzy nad żoną.

- Doprawdy? Damy o mnie rozmawiają? - W głosie gospodarza brzmiała nuta satysfakcji.

- Owszem. Mówią, że głupia dziewczyna boi się ciebie i spełnia wszystkie twoje życzenia. - Louisa nadal podziwiała się w lustrze.

- Mężczyzna powinien rządzić w domu.

- Zastanawiam się, czy te męskie rządy skłoniłyby twoją żonę do udzielenia paru odpowiedzi.

- Jakich odpowiedzi? - zapytał Wentworth podejrzliwie.

- Kim jest ta kobieta, oczywiście. Pani Ford. I co ją łączy z hrabią.

Krzyknęła cicho, gdy chwycił ją za włosy i bezceremonialnie przekręcił w bok jej głowę. Nawet nie zauważyła, że się zbliża. Jej wyniosłość zniknęła w jednej chwili, kiedy cisnął ją na najbliższą ścianę. Oszołomiona próbowała złapać oddech, ale poczuła na szyi twardą rękę.

- Przyjechałaś tu dla mnie czy dla Stanmore'a? - W jego szepcie wyraźnie brzmiał gniew.

Louisa niczego na świecie nie pragnęła bardziej, jak uświadomić brutalowi śmieszność pytania, ale kiedy jego palce zacisnęły się na jej gardle, a oczy zapłonęły żądzą mordu, szybko sobie przypomniała, jaki jest jej główny cel.

- A nie znajdujemy się w Melbury Hall? - Posłała mu swój najbardziej uwodzicielski uśmiech i otarła się o niego udami. - Oczywiście, że przyjechałam do ciebie. Udowodnić ci to, bestio?

Zareagował tak, jak się spodziewała, i puścił jej szyję. Nadal jest jak glina w moich rękach, uznała, otaczając go nogą w pasie. Chwilę później, gdy wszedł w nią głęboko, wydała bardzo przekonujący okrzyk ekstazy.

Jak glina, pomyślała.



## 19

- Więc powiedz mi, kim jesteś.

Rebeka płonęła ze wstydu. W jednej chwili zachowywała się jak ladacznica, w następnej jak surowa przyzwoitka. Próbując ratować resztki godności, uwolniła się z objęć hrabiego i odsunęła się od niego na długość ramienia. On też usiadł, wyciągnął dłoń i starł łzę z jej twarzy.

- Nie jestem kobietą, za jaką mnie pan bierze!

- A jaką?

Czuła na sobie jego wzrok, choć miała opuszczoną głowę. Nigdy nie była próżna, ale teraz raptem pomyślała, że musi wyglądać strasznie. Doskonale potrafiła sobie wyobrazić czerwony nos, Zapuchnięte oczy, włosy rozwiane jak u Meduzy. Wpatrywała się w koc, jednocześnie usiłując pozbierać myśli.

- Ja nie jestem... Ja nie... Nigdy wcześniej tego nie robiłam. - Zamknęła oczy i wydała drżące westchnienie. - Tak... bliskość mnie przeraża.

- Mówisz, że oprócz swojego męża nie byłaś z żadnym *innym mężczyzną?*

Najpierw potrząsnęła głową, ale zaraz energicznie nią potaknęła.

Stanmore przysunął się tak, że poczuła na uchu ciepło jego oddechu.

- Od ilu lat jesteś wdową?

- Od ośmiu... dziewięciu - wychrypiała.

- I pomyśleć, że kobieta o twojej urodzie... - Ciepłą ręką

ką pogłaskał jej plecy. - Ależ ze mnie głupiec, że się skarżę na głupotę innych mężczyzn!

Uniosła wzrok i od razu tego pożałowała, bo dostrzegła w jego oczach czułość, na którą zupełnie nie była przygotowana.

- Nigdy nie starałam się o uwagę mężczyzn. Nie chciałam... tego, co się między nami teraz dzieje.

- Ja również. - Owinął luźne pasmo jej włosów wokół palca. - Ale coś się między nami dzieje i nie możemy temu zaprzeczyć.

- Musimy!

- Dlaczego?

- Już mówiłam. To jest złe. To jest...

- Ktoś na ciebie czeka w Ameryce?

- Nie! Nie chodzi o innego mężczyznę. Chodzi o sposób, w jaki zostałam wychowana.

- Wpojone nam zasady są bardzo ważne, ale czasami próbujemy się nimi zasłaniać, bo dają nam poczucie bezpieczeństwa. Lecz ty już nie jesteś niewinnym dzieckiem, Rebeko, prawda?

- Mam dwadzieścia osiem lat i nie jestem niewinna.

- Oczywiście. Dla każdego, kto żyje na tym świecie, czas niewinności dawno minął. - W jego ciemnych oczach pojawił się błysk rozbawienia. - Zamierzasz po powrocie do Ameryki wstąpić do klasztoru?

Na jej twarzy wypłynął rumieniec gniewu.

- Sprawia panu przyjemność zabawianie się moim kosztem, milordzie?

- Niczego takiego nie robię. Moje zainteresowanie jest czysto pragmatyczne, bo jeśli naprawdę zamierza pani poświęcić się religii, natychmiast, choć z wielkim żalem, przestanę starać się o pani względy.

- Stroi pan sobie ze mnie żarty. - Wstała z koca i odeszła kilka kroków. - Zachowam rozsądek nie tylko ze względu na siebie, ale również na pana.

- Jak to?

Rozciągnięty na kocu w leniwej pozie wyglądał jak róbniak przebrany za eleganckiego arystokratę. I gdy tak na nią patrzył z żarem w czarnych oczach, stwierdziła, że trudno się jej skupić.

- Gdybyśmy...

- Gdybyśmy się zaangażowali - dokończył za nią.

Kiwnęła głową.

- Wtedy... już nie byłabym taka sama.

- I to taka straszna perspektywa?

- Tak. Ale proszę wziąć pod uwagę, że nie tylko ja bym się zmieniła. Wygląda pan na całkiem zadowolonego ze swojego obecnego życia, więc po co niszczy to, co jest... doskonałe.

- Uważa pani, że jestem doskonały?

- Ależ skąd! - Jej spontaniczna odpowiedź przyprawiła go o wybuch wesołości. Rebeka też nie zdołała powstrzymać uśmiechu. - Nie chciałam być niegrzeczna, milordzie.

- Oczywiście, że pani chciała.

- No dobrze, może i tak. - Położyła dłonie na biodrach. - Ale, mówiąc szczerze, jak inaczej mam pana traktować? Jest pan... dość przystojny. Sam pan zdaje sobie sprawę z własnego uroku, który z pewnością działa na wiele kobiet. Lecz pan arogancko lekceważy moją prośbę, żeby skierować swoje zainteresowania gdzie indziej. Powinien pan jadać kolacje z damami ze swojej sfery. Nie rozumiem, dlaczego w ogóle zwrócił pan na mnie uwagę!

Stanmore usiadł.

- Czy moje zainteresowanie jest pani niemiłe? - spytał cicho.

Rebeka zamknęła oczy i westchnęła z irytacją.

- Znowu się zaczyna.

- Odpowiedz, proszę.

- Oczywiście, że nie.

Otworzyła oczy i drgnęła wystraszona, gdy zobaczyła, że hrabia stoi tuż przed nią.

- Lubisz moje umizgi. Przyznaj, że sprawiają ci przyjemność, podobnie jak moje towarzystwo.

Chciała zaprzeczyć, ale nie mogła.

- Lubisz mnie, Rebeko. I sądzę, że pożądasz tak samo, jak ja ciebie. Jeśli przestaniesz powtarzać w kółko to samo i zastanowisz się uczciwie nad tym, co czujesz, na pewno dojdiesz do wniosku, że nie ma sensu wyrzekać się swoich pragnień. - Kiedy próbowała odwrócić głowę, wziął ją za podbródek i unieruchomił. - Na co czekasz? Dlaczego rezygnujesz ze szczęścia? - Rebeka zadrżała. - Nie bój się. Nie jestem człowiekiem, który unika odpowiedzialności. Zaopiekuję się tobą. - Przynurzył się, ale jej nie pocałował. - Nie będę cię naciskał, jeśli tego nie chcesz, ale też się nie wycofam. Po prostu zaczekam, aż sama do mnie przyjdiesz.

Idąc za młodą czarnoskórą dziewczyną, która niosła w fartuchu kilka bochenków chleba, Jamey z łatwością znalazł drogę do kręgu chat, w których mieszkali niewolnicy. Rudery stały na polanie, przy niewielkiej rzeczce płynącej za Melbury Hall.

Dotarłszy w ich pobliże, chłopiec ukrył się za dużym pnem i przez jakiś czas obserwował żałosny widok. Na błotnistym brzegu strumienia siedzieli obok siebie dwaj czarni mężczyźni, zakuci w dyby. Właściwie tylko jeden siedział. Drugi, większy i starszy, leżał na plecach na mokrej ziemi i ramieniem zasłaniał twarz.

Młodszy niewolnik był nagi do pasa, a jego grzbiet lśnił od krwi po niedawnej chłości. Jameyowi żołądek podszedł do gardła na widok otwartych ran. A kiedy drugi mężczyzna poruszył ręką, chłopiec zobaczył, że jego twarz jest zmasakrowana. W dodatku ten człowiek nie miał uszu. Chyba odcięto mu je dawno temu, bo blizny wyglądały na zagojone. Jamey poczuł, że narasta w nim gniew. Powiódł wzrokiem po niewolniczej osadzie. Po podwórzu chodziły kury, od czasu do czasu przeganiane kijami przez dwójkę małych dzieci. Świnie i kozy buszowały pod płotami małych ogródków warzywnych. W otwartej chacie młody garbarz z krzywą stopą uprawiał skórę owcy. Na małym

pagórku za ostatnim domem wisały na sznurze ubrania. W pewnym momencie wyszła z domu kobieta i ruszyła z wiadrzem do strumienia.

Wróciwszy, rozejrzała się czujnie i szybko podeszła do dwóch nieszczęśników. Wyciągnęła spod bluzki pół chleba i rzuciła go na kolana siedzącego mężczyzny. Potem zanurzyła w wiadrze drewniany kubek i podała mu wodę, a następnie oddaliła się pośpiesznie.

Przy najdalszej chacie, stojącej przy ścieżce, która zapewne prowadziła do rezydencji, Jamey dostrzegł sęgi drewna. Powoli ruszył w ich stronę, idąc głębokim rowem. Kiedy już był blisko, ostrożnie wychylił głowę ponad jego brzeg i zobaczył przyjaciela.

Israel rąbał ścięte drzewo na polana nadające się do kominika. Obok, na dużym pniaku, siedział biały mężczyzna w podeszłym wieku, palił fajkę i coś do niego mówił. W końcu wstał, przeciągnął się i poszedł w stronę Melbury Hall.

Gdy tylko zniknął, Jamey podniósł z ziemi kawałek kory i rzucił nią w Israela. Przyjaciel natychmiast uniósł głowę. Orzechowe oczy nadal miał spuchnięte. Rozejrzał się nerwowo, kiedy Jamey do niego podbiegł.

- Co tu robisz?

- Byłem wczoraj w leśnym domku i dzisiaj też, ale się nie pokazałeś. Martwiłem się.

Israel spojrzał na ścieżkę.

- Nie powinienesz tu przychodzić. Jeśli złapią mnie na tym, że z tobą rozmawiam...

- Wezmę winę na siebie. Nic mi nie zrobią. I zaczekaj, aż powiem panu Clarke o tych dwóch ludziach zakutych w dyby. W Solgrave nie wiedzą, co się tutaj dzieje. Jestem tego pewien.

- Nie! - powiedział Israel błagalnie, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Nie wolno ci nikomu o tym nawet wspomnieć. Im więcej powiesz, tym gorzej dla nas.

Jamey już miał się sprzeciwić, ale przyjaciel zmarszczył brwi i wskazał ręką na leśną drogę. Obaj ukucnęli za stołem drewna.

Chwilę później na wyrębie zjawiła się chuda, dobrze ubrana kobieta. Zatrzymała się przy jednym z sągów i rozejrzała czujnie.

- Kto to jest? - zapytał szeptem Jamey.

- Lady Wentworth. Żona naszego pana.

Kobieta opadła na pniak, na którym wcześniej siedział drwal, i zakryła twarz dłońmi.

- Co z nią? - zdziwił się Jamey.

Israel nie odpowiedział, tylko wzruszył ramionami. Miał taką minę, jakby zaraz miał opuścić kryjówkę i do niej podejść. Już zaczął się podnosić, ale Jamey chwycił go za ramię i przytrzymał.

Zanim zdążyły ścierpnąć mu nogi, lady Wentworth wytarła oczy koronkową chusteczką, wstała z pnia i weszła w las.

Gdy zniknęła między drzewami, Israel podniósł się z kucek.

- Nie wygląda na okrutną panią - stwierdził Jamey.

- Bo nie jest!

- Co jej się stało?

- A co jest z nami wszystkimi? - wybuchnął Israel, od-ruchowo dotykając posiniaczonej twarzy. - Z Jonaszem? Dlaczego go zbili? A stary Moses? Biedak stracił rozum po zbyt wielu chłostach. Po co wciąż zakuwać go w dyby?

Jamey po raz pierwszy zobaczył Israela rozgniewanego. Poczł, że udziela mu się jego żal i wściekłość.

- To wszystko sprawka Wentwortha, prawda?

Przyjaciel nie odpowiedział, tylko wyszedł z kryjówki i wrócił do pracy. Jamey poszedł za nim.

- Powiem o biciu lordowi Stanmore. On coś z tym zrobi.

- Żaden biały człowiek nic dla nas nie zrobi. Biała ko-bieta również. - Wskazał w kierunku, gdzie zniknęła lady Wentworth. - Ona chce pomóc, ale nie może. Więc co ro-bi? Płacze. Przychodzi tutaj, leczy nasze rany, a potem szybko wyjeżdża do Londynu.

- Stanmore będzie inny! Mój nauczyciel opowiadał mi, co hrabia robi w parlamencie. Stara się położyć kres wy-

kradaniu ludzi z ich własnych domów. To dobry człowiek On...

- Jeśli jest taki dobry, to dlaczego nie chcesz go za ojca? - W głosie Israela brzmiało wyzwanie. - Skoro uważasz, że jest taki szlachetny, dlaczego próbujesz od niego uciec?

Jameyowi nagle zabrakło słów. Mógł wymienić kilka powodów, ale raptem wszystkie wydały mu się głupie i mało ważne w porównaniu z cierpieniami nowego przyjaciela i innych niewolników.

- Jeszcze raz cię błagam, nie wspominaj o tym nikomu - powiedział Israel łagodnym tonem. - Ani swojemu nauczycielowi, ani mamie, ani lordowi Stanmore.

Wentworth odsunął korespondencję i spojrzął na rządcę.

- Obiecują mi trzydziestu pięciu niewolników przed zniwami. Zastanawiałeś się, gdzie ich umieścimy?

- Tak, sir. Kiedy będziemy wiedzieć na pewno, że ich dostaniemy, wyrzucimy Shawa i jego bandę ze wschodniej doliny. Tam pomieści się dwunastu nowych. Reszta może postawić chaty na południowym krańcu Grove albo ściętnić się w tych, które już są. Po statkach niewolniczych i tak wydadzą się im pałacami.

Wentworth zmarszczył brwi.

- A tamten teren nie jest przypadkiem zalewany na wiosnę?

- Podobno. - Mickleby przestąpił z nogi na nogę. - Ale czy to ma znaczenie, sir?

- Takie, że nie chcę tracić czasu ani pieniędzy na odbudowywanie co roku tych przeklętych chałup.

- Każę brudasom postawić je na wyższym terenie.

- W porządku. - Wentworth zamknął rozłożone księgi i wstał zza biurka. - I znajdziesz dla nich dużo pracy.

- Tak. Zarobią na swoje utrzymanie. - Rządca uśmiechnął się szeroko. - Miło widzieć pana w takim dobrym humorze, sir.

- Jasne, Mickleby. Czasem dobrze jest zmienić to i owo we własnym domu. - Właściciel Melbury Hall nagle spo-

sępniał. - Idź już. Te czarne dranie na pewno w tej chwili ograbiają mnie do cna.

Popołudniowe słońce jeszcze jasno świeciło, kiedy lady Wentworth wśliznęła się cicho do salonu. Mąż grający w wista z gościem nie podniósł oczu znad kart, ale Louisa zmierzyła ją wzrokiem. Millicent wiedziała, że ma mokre buty i rąbek sukni, a oczy czerwone od płaczu, ale nie zamierzała się ukrywać.

- Aż żal na ciebie patrzeć, moja droga - stwierdziła lady Nisdale, kręcąc głową. - Pani na włościach wygląda gorzej niż praczka. To skandal!

Millicent puściła zniechęcenie mimo uszu, przycupnęła na najbliższym krześle i utkwiała spojrzenie w mężu.

- Dziwię ci się, Wentworth - dodała Louisa, klepiąc go po ręce. - W Londynie wszyscy wychwalają twój wpływ na żonę, jeśli chodzi o styl, ale widzę, że tutaj...

- Muszę porozmawiać z mężem - przerwała jej gospodyni. - Sam na sam!

- Później - burknął Wentworth, nie patrząc na nią. Na ustach Louisy pojawił się triumfalny uśmiech. - Twoja kolej, skarbie.

Lady Nisdale cofnęła rękę i zajrzała w karty.

- Ach! Zapomniałam, co gram.

Mogłabym równie dobrze nie istnieć, pomyślała Millicent z goryczą, czując, że w jej sercu zbiera jednocześnie gniew i strach. Tego popołudnia widziała, jak mąż znika w sypialni gościa, zupełnie nie zważając na jej obecność ani na dwie służące, które przechodziły korytarzem. Na to wspomnienie do jej oczu napłynęły łzy.

Nie żeby ją obchodziły jego niesmaczne romanse. Gorsze było to, że traktował ją brutalnie, pogardliwie i nawet nie starał się zachować dyskrecji. Ale najbardziej bolało ją okrucieństwo wobec niewolników! Dlatego zdecydowała się na rozmowę, choć wiedziała, co nastąpi.

- Wentworth! Muszę z tobą pomówić. To ważne.



Tak ostrego tonu nigdy nie odważyła się używać wobec męża, ale dzięki niemu ściągnęła na siebie jego uwagę. Zadrzała gwałtownie, kiedy zacisnął dłoń w pięść i postąpił jej groźne spojrzenie.

- Nie jestem przyzwyczajony do tego, by lekceważono moje polecenia. - Spokojny głos przeczył furii widocznej w oczach.

Louisa zerknęła najpierw na jedno, potem na drugie, odłożyła karty na stół i wstała powoli.

- Chyba przed kolacją pospaceruję po ogrodzie.

- Zostań, skarbie - rozkazał Wentworth. Chwyił ją za nadgarstek i przyciągnął do siebie. Zsunął dłoń na jej krągłe biodra i wyniośle spojrzał na żonę. - Masz jedną minutę.

Millicent przełknęła kolejną zniewagę i skupiła się na niesprawiedliwości, której świadkiem była w Grove.

- W czasie popołudniowego spaceru natknęłam się na Jonasza i Moseśa zakutych w dyby. Jonasz...

- Louiso - przerwał jej Wentworth i pociągnął lady Nisdale na kolana. - Czy opowiadałem ci o umowie, jaką zawarliśmy z żoną?

- Jonasz został wychłostany. - Millicent podniosła głos. - Chcę wiedzieć, dlaczego!

- W przeciwieństwie do ciebie, kotku, żona nie znosi mojego dotyku. - Przesunął palcem po dekolcie Louisy, odciągnął materiał i zajrzał pod suknię.

- Nie teraz, Wentworth!

Lady Nisdale poczerwieniała ze zmieszania i próbowała wywinąć się z jego objęć, ale trzymał ją mocno. Gdy przywarł ustami do kremowej piersi, odepchnęła jego głowę.

- Nie denerwuj się, żabko - powiedział ze śmiechem pan domu. - Ona zaraz sobie pójdzie.

- Przestań! - warknęła Louisa.

Tym razem udało się jej oswobodzić. Czym prędzej cofnęła się od stołu i poprawiła suknię.

- Właściwie się nie dziwię, że nie chcesz, by na nas patrzyła, zważywszy na jej osobliwe upodobanie do mężczyzn. Nawet nie przyszyłoby mi do głowy, żeby ściągnąć

ją do naszego łóżka, tak jak tamtą... Jak jej było na imię?

- Nigdy nie było innego mężczyzny! - krzyknęła Millicent, z niedowierzaniem wytrzeszczając oczy. - To dlatego kazałeś wychłostać tych biednych ludzi?

- Lubi niewolników. Wszyscy to wiedzą. Chodzi do lasu i pozwala Afrykanom, żeby robili z nią, co chcą. W zeszłym roku zamierzała urodzić bękarta.

- Nieprawda! - Po twarzy Millicent popłynęły łzy. - To było twoje dziecko... Zresztą wzięłeś mnie wtedy siłą. Nie straciłabym go, gdybyś mi wierzył... gdybyś mnie nie pobił...

- W tym roku lady Wentworth podniosła wymagania - ciągnął mąż ze złośliwym grymasem na twarzy. - Próbowała uwieść nauczyciela, ale pilnowałem tego, co moje. Sądziła, że te małpy nie zdradzą bezceństw swojej dziwki, ale bardzo się pomyliła.

Millicent przez całą tyradę kręciła głową.

- Nieprawda - powiedziała w końcu. - Wizyty kierownika szkoły nie mają nic wspólnego ze mną. Pan Cunningham przyjeżdża, bo współczuje tym biedakom, a oni go potrzebują.

Wentworth powoli wstał z krzesła.

- Słyszysz to w jej głosie, Louiso? Widzisz to na jej twarzy? Ona świata poza nim nie widzi.

Lady Nisdale odwróciła się z niesmakiem i wyjrzała przez okno, podczas gdy Wentworth szedł za cofającą się żoną.

- Spałeś już z nim, Millicent? Jego dziecko też nosisz w łonie?

- Przestań! - krzyknęła lady Wentworth i syknęła z bólu, gdy mąż chwycił ją za ramię. - Jestem niewinna! Nic nie ma między...

- Niewinna jak ladaczniczka z Covent Garden! A twój drogi pan Cunningham cieszy się ochroną naszego świętoszkowatego lorda Stanmore - wychrypiał dziedzic i potrząsnął nią tak mocno, że aż się zatoczyła. - Ale ty należysz do mnie. Będę cię dotykał, kiedy zechcę. I karał, jeśli

uznam to za stosowne. Tak samo postąpię z tymi brudnymi zwierzętami, które myślą, że mogą cię traktować jak swoją dziwkę.

- Jest tylko jedno zwierzę...

Słowa Millicent przeszły w krzyk, gdy na jej twarz i ciało spadły dotkliwe ciosy.

Louisa Nisdale z kamienną twarzą patrzyła przez okno na wzgórze wznoszące się nad Solgrave.

Ledwo słońce wyrwało się z objęć nocy, Rebeka opuściła sypialnię. Zeszła na dół schodami dla służby, wymknęła się z domu kuchennymi drzwiami i ruszyła w stronę stajni.

Tego ranka włożyła, aczkolwiek niechętnie, nowy strój do konnej jazdy, który poprzedniego wieczoru przyniesiono do jej pokoju wraz z tuzinem sukien i górą dodatków, zamówionych niedawno przez panią Trent. Tak pięknego ubioru, z miękkiego aksamitu obszytego, podobnie jak kapelusza, fioletową jedwabną wstążką, jeszcze w życiu nie nosiła. Sama nigdy by się na taki nie zdecydowała, choćby ze względu na jego wykwintność. Ale gdy wspomniała złośliwe uwagi lady Nisdale, doceniła wybór ochmistrzyni.

Ciemne skórzane buty, które dostarczono razem ze strojem, skrzypiały cicho, gdy szła przez dziedziniec. Kilka razy powtórzyła w myślach swoją prośbę. Znała kilku stajennych i nie przypuszczała, żeby mieli jej odmówić. Właściwie jej zdenerwowanie nie wynikało z konieczności pożyczania wierzchowca.

Źródłem jej niepokoju była spodziewana reakcja Millicent na to, co zamierzała jej powiedzieć. Poprzedniego dnia modliła się, żeby dawna przyjaciółka okazała jej wyrozumiałość, ale teraz, maszerując w porannym chłódzie, uświadomiła sobie, że ludzie się zmieniają. Radosna i sympatyczna Millicent Gregory z Akademii dla Dziewcząt pani Stockdale była teraz lady Wentworth z Melbury Hall. Czy naprawdę mogła jej zaufać?

Nad wierzchołkami drzew unosił się dym z kuźni, a wo-

kół stajni kręcili się stajenni, czyścili konie i wyprowadzali je na padok. Millicent jeszcze nie przyjechała. Rebeka wzięła głęboki oddech i pomyślała z ulgą, że ma jeszcze kilka minut, żeby się uspokoić, ale w tym samym momencie zobaczyła hrabiego. Lord Stanmore stał obok pięknego czarnego ogiera i rozmawiał z koniuszym. Gdy ją dostrzegł, w jego oczach zabłysła szczerą radość. Od razu do niej podszedł

- Reb... pani Ford! Jaka miła niespodzianka!

- Dzień dobry, milordzie - z trudem wykrztusiła słowa powitania, podczas gdy on z wyraźną aprobatą przyglądał się jej nowemu strojowi. - Wczoraj poznałam lady Wentworth. Zaprosiła mnie na przejażdżkę. Pomyślałam, że wasza lordowska mość nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli pożyczę konia.

- Oczywiście, że nie! - Natychmiast przywołał jednego z chłopców stajennych, wydał mu polecenia, i wrócił do niej spojrzeniem. - Sądziłem, że pani nie jeździ konno.

- Bo nie jeżdżę, to znaczy, nie jeździłam od lat. - Zarmieniła się ze wstydu, że wcześniej nie powiedziała mu całej prawdy. - Kiedyś to lubiłam, więc zaproszenie lady Wentworth obudziło we mnie chęć, żeby znowu spróbować.

Hrabia zmarszczył czoło, ale nie odezwał się słowem, tylko ujął wodze swojego wierzchowca i poprowadził go ku bramie. Rebeka ruszyła za nim.

- Czy... lady Nisdale również się do pań przyłączy? - zapytał w końcu.

- Nie, milordzie. Będziemy same.

Stanmore pokiwał głową i spojrzał na łąkę. Przez chwilę obserwował skradające się cienie, a następnie przeniósł na nią wzrok.

- Cieszę się, że przyjęła pani zaproszenie lady Wentworth - powiedział łagodnie. - Przez te wszystkie lata, kiedy jesteśmy sąsiadami, pierwszy raz słyszę, żeby szukała czyjegoś towarzystwa.

Rebeka przypomniała sobie wczorajszą rezerwę Millicent.

- Wygląda na niezbyt szczęśliwą i nie sądzę, żeby wizyta lady Nisdale poprawiła jej nastrój. Obie wydają się tak... tak różne!

Hrabia spochmurniał.

- Ma pani całkowitą rację.

Rebeka popatrzyła na drogę, lecz nikogo nie zobaczyła. Już nie mogła doczekać się przyjaciółki, ale jednocześnie ceniła sobie chwile spędzone z Samuelem Wakefieldem. Zastanawiała się, czy nie poruszyć następnej sprawy, która ją dręczyła: braku porozumienia między nim a synem.

Gdy poprzedniego wieczoru zeszła do jadalni, mocno zaniepokoiła ją obojętność, którą sobie okazywali. Jamey przez całą kolację nie wypowiedział ani słowa i nawet kiedy ona zadawała mu pytanie, po prostu kiwał albo potrząsał głową. Rebeka wiedziała, że chłopiec umie się zachować przy stole, więc poszła za nim do jego sypialni i wytłumaczyła mu, że nie powinien tak niechętnie odnosić się do ojca.

Lecz Jamey nie miał jeszcze dziesięciu lat, natomiast chłodnego milczenia lorda Stanmore nic nie usprawiedliwiało.

Ale czego innego mogła oczekiwać, skoro od przybycia do Solgrave tak niewiele czasu ze sobą spędzali?

- Dzisiaj wracam do Londynu.

Na jej twarzy musiał się odbić zawód, bo po wargach hrabiego przemknął uśmiech. Gdy ujął jej dłoń, Rebeka pomyślała, że dobrze by było, gdyby choć część swojego uroku wykorzystał do zdobycia uczuć syna.

- Wczoraj dostałem wiadomość, że pilnie potrzebna jest moja obecność w Londynie. Ale nie będzie mnie najwyżej dwa dni.

Rebeka przełknęła rozczarowanie i skupiła się na ważniejszych rzeczach.

- Czy po powrocie będzie pan mógł poświęcić jeden dzień swojego cennego czasu?

Jego oczy były głębokie, bezdenne, hipnotyzujące. Zadrżała z podniecenia, kiedy wolno uniośł jej dłoń do ust i złożył na niej pocałunek.

- Mogę poświęcić dużo więcej niż jeden dzień.
- Proszę tylko o... dwie godziny dziennie przez cały pański pobyt w Solgrave. Dobrze?
- Dlaczego odnoszę wrażenie, że pani coś knuje? Zabrała rękę i ukryła ją w fałdach sukni.
- Jest pan bardzo nieufny, milordzie. Hrabia wybuchnął głośnym śmiechem.
- O co pani chodzi, Rebeko?
- O drobiazg. Dwie godziny dziennie.
- Na co?
- Na naukę.
- Jaką naukę? - ściszył głos. - I które z nas będzie uczyć?
- Drażni się pan ze mną, milordzie.

Spojrzała na jego wysokie buty, na skórzane bryczesy, opięte na muskularnych udach, przesunęła wzrok na wąskie biodra, na krótką czarną kurtkę, podkreślającą szerokie ramiona. Myślała, że go oczaruje i bez wyjawiania szczegółów nakłoni do wyrażenia zgody na jej propozycję, ale kiedy rozlało się po niej ciepło, zrozumiała, że to on ją zauroczył.

- Proszę tak dalej, a odwołam podróż do Londynu. - Nachylił się tak, że szeptał jej prawie do ucha. - I zamknijemy się w mojej sypialni na dwa tygodnie... co najmniej. Co pani sądzi o moim pomysśle, Rebeko?

Gdyby pędził na nią wóz pocztowy, nie mogłaby się ruszyć nawet o cal. Oszołomiona, bez tchu, płonęła żarem.

- Ja... ja...

Stanmore wierzchem dłoni pogłaskał jej policzek. Cudem powstrzymała się przed zarzuceniem mu rąk na szyję.

- Żadnych nacisków - wyszeptał. - Powie mi pani, kiedy będzie gotowa.

Cofnął rękę, bo w tym momencie zjawił się stajenny z piękną cisawą kłaczą, osiodłaną i gotową do jazdy.

Hrabia założył rękawiczki.

- Gdzie zamierza pani spotkać się z lady Wentworth?

- Tutaj. Umówiliśmy się przy stajniach. Ale nie odpo-

wiedział pan na moje pytanie, milordzie. Dwie godziny dziennie?

Stanmore przerzucił wodze przez łeb wierzchowca.

- Jedna.

- Chwilę temu groził mi pan długim uwięzieniem, a swojego czasu pan skąpi.

Hrabia dosiadł konia.

- Jestem znany z hojności... jeśli warunki umowy przedstawione są otwarcie i uczciwie.

Rebeka zmarszczyła brwi, patrząc na jego przystojną twarz.

- Od pierwszego dnia otwarcie zwracałam się do pana z moją prośbą. Ale pański brak zainteresowania zmusił mnie do innego podejścia.

- Dałam chłopcu wszystko, o co pani prosiła.

- Nie wszystko, milordzie - odparła Rebeka z przekonaniem. - James pana potrzebuje. Pańskiej uwagi, bardziej niż wszelkich wygód i atrakcji Solgrave.

Ogier niecierpliwie grzebał nogą w ziemi, ale Stanmore trzymał go silną ręką.

- To jego słowa czy pani?

- Nie ma znaczenia, czyje to słowa. Znam go lepiej niż ktokolwiek na świecie. Zapomina pan, że wychowałam go jak własne dziecko.

- Niczego nie zapominam, ale w tym wypadku pani się myli. Mimo pani wieloletniego trudu i poświęcenia Jamesa urodziła Elizabeth i pani dobre intencje nie zmieniają jego pochodzenia. W żyłach chłopca płynie jej krew. A wraz z nią odziedziczył słabość, samolubstwo i arogancję matki.

- Nieprawda! - wybuchnęła Rebeka, zdumiona bardzo emocjonalną reakcją hrabiego. - Elizabeth... pańska żona... nie była... - Urwała raptownie. Jak mogła bronić kobiety, której podobno nie znała? - To znaczy... James ma swój charakter.

- Zauważyłam.

- Ale musi pan dać mu szansę. Co szkodzi spędzić godzinę albo dwie dziennie w jego towarzystwie?



Lord Stanmore skierował wzrok na drogę prowadzącą do Londynu, a stajenny zaczął pilnie sprawdzać kopyta klaczy.

Tymczasem Rebeka w napięciu czekała na odpowiedź. W jej głowie toczyła się bitwa. Lubiła Samuela Wakefielda. Podziwiała go. Pragnęła. Czuła się jak schwyтана przez niego w niewidzialną sieć, ale wiedziała, że nigdy nie odda się mężczyźnie, który żywi silną niechęć do własnego syna.

- Jedna godzina! - rzucił krótko. - Przed lekcjami z panem Clarke. Proszę powiedzieć chłopcu, że będzie musiał wstawać bardzo wcześniej.

- Dziękuję, milordzie - powiedziała cicho, a kiedy na nią spojrział i zobaczyła wyraz jego oczu, serce skoczyło jej w piersi. - Bezpiecznej podróży. Będziemy na pana czekać.

Stanmore bez słowa spiął konia ostrogami i ruszył w *stronę St. Albans i Londynu*.

Młoda pokojówka wsunęła zapieczętowany list do kieszeni fartucha i wymknęła się z sypialni lady Wentworth.

W Melbury Hall panowała cisza. Pan, który w nocy pił i grał w karty z gościem, jeszcze spał. Obok jego apartamentu dziewczyna wstrzymała oddech i przemknęła na palcach, wpatrując się w drzwi na końcu długiego korytarza, który prowadził do schodów dla służby. Wolała nie myśleć, co tu się jeszcze działo oprócz gry w karty. Skupiła się na swoim zadaniu.

Boże, jakże była nieszczęśliwa, kiedy jej pani musiała przyjeżdżać na wieś?!

Szła dalej nerwowym krokiem. Jonasz pewnie czyści piece kuchenne z popiołu, jak zwykle o tej porze dnia. Musiała przekazać list, zanim niewolnik wyjdzie, a on miał jak najszybciej dostarczyć go adresatowi. Niezawodnie. Nie znała za dobrze tego cichego człowieka, ale lady Wentworth ufała mu całkowicie.

Goszczącą u nich kobietę spostrzegła dopiero wtedy, gdy ta nagle zastąpiła jej drogę. Violet wydała cichy okrzyk i przywarła do ściany.

- Po co ten pośpiech? Jaka zdyszana!

- Przepraszam. Zaskoczyła mnie pani. - Służąca dygnęła, trzymając wzrok utkwiony w podłodze. - Mam nadzieję, że pani dobrze spała, milady.

- Wyszłaś z pokoju lady Wentworth. Jak twoja pani dziś rano się czuje?

Ta troska wydała się Violet nieco dziwna, zwłaszcza że ta kobieta przed chwilą wyszła z łóżka pana domu. Dziewczyna odważyła się na nią zerknąć. Włosy zebrane na czubku głowy i owinięte turbanem przechyliły się na jedną stronę, szlafrok z delikatnego jedwabiu, luźno zawiązany w talii, ledwo okrywał nagie ciało.

- Lepiej, milady.

- Zaniósłaś jej śniadanie?

- Nie, milady. Pani... - Gdy lady Nisdale zrobiła krok w jej stronę, Violet próbowała się cofnąć, ale plecami natrafiła na ścianę. - Pani nie miała apetytu.

- Więc po co cię wzywała?

Dziewczyna pomyślała o liście wsuniętym do kieszeni fartucha i ukryła ręce za plecami.

- Kazała mi... powiedzieć kucharzowi, żeby nie przysyłał tacy na górę.

- Oczywiście. - Kobieta skrzywiła pełne wargi w ironicznym uśmiechu i dotknęła jasnego pukla, który wymknął się spod czepka pokojówki. - Jak ci na imię, dziecko?

- Vi, madam.

- Dobrze, Violet. Ile masz lat?

- Szesnaście - wyszeptła służąca.

- Jaka śliczna skóra. - Lady Nisdale pogłaskała jej policzek. Violet próbowała odwrócić twarz, ale kobieta przytrzymała ją za brodę. - Jesteś ładna, Vi. Od jak dawna służysz u lady Wentworth?

- Ja... zaczęłam kilka miesięcy temu, milady.

- Więc jeszcze nie zdążyłaś poznać reguł panujących w tym domu - stwierdziła lady Nisdale, nie puszczając jej podbródka. Przysunęła się bliżej, tak że teraz napierała na

nią piersiami. - Wiele osób uważa mnie za nowego gościa, ale podzielę się z tobą małym sekretem.

Violet nerwowo przełknęła ślinę.

- Znam twojego pana dłużej, niż sądzisz. Dłużej niż jego żona. Dłużej niż obecny kamerdyner. - Kobieta znowu musnęła jej policzek i szyję. - I właśnie dzięki mojej... przyjaźni z dziedzicem mogę cię przed czymś ostrzec. Tutaj wszyscy dzielą się na dwie grupy. Do pierwszej należą ci, którzy są lojalni wobec pana i informują go o wszystkim, co się tu dzieje. Druga grupa... - Opuściła rękę i chwyciła jedną pierś dziewczyny. Violet gwałtownie zaczerpnęła powietrza i próbowała ją odepchnąć, ale Louisa przygniotła ją ciałem do ściany. Służąca zrezygnowała z walki. - Druga grupa... - ciągnęła lady Nisdale aksamitnym głosem - ...składa się z tych, którzy nie są mu posłuszni. I tych do bry dziedzic karze. Bo jest dobry, prawda, Vi?

- Tak, milady - jęknęła dziewczyna, nie podnosząc wzroku.

- Czy ma rację, karząc niegodnych zaufania?

- Tak, milady - wyszeptała Violet i zaczęła cicho płakać.

- Słyszałaś o wczorajszej chłości dwóch niewolników. A dziś na pewno widziałaś twarz swojej pani. - Louisa otarła łzy płynące po twarzy młodej pokojówki i nachyliła się do jej ucha. - Ale to, co widziałaś, jest niczym w porównaniu z siniakami, które jego żona ma tutaj - ścisnęła mocno jej pierś. - I w innych miejscach. Dotykano cię kiedyś w tych miejscach, Vi?

Służąca potrząsnęła głową, szlochając coraz rozpaczliwiej.

- Błagam, milady. Jestem posłuszna. Proszę mnie puścić.

- Bardzo dobrze, że grzeczna z siebie dziewczyna, Vi. Twój pan będzie zachwycony, gdy się dowie, że jesteś dziewczicą. Może od razu cię do niego zaprowadzę. Rozpoczniemy dzień od przyjemnej zabawy z twoim pulchnym ciałkiem,

- Proszę, milady! Proszę!

- Zapytam cię jeszcze raz, Vi. Czego twoja pani chciała od ciebie o tak wczesnej porze?

W niebieskich oczach dziewczyny pojawił się strach, ale w tym samym momencie jakiś ruch w głębi przyciągnął jej uwagę.

- Vi... Dziedzic Wentworth jest znany z tego, że rano bywa bardzo... męski. - Louisa wcisnęła rękę między nogi dziewczyny. - Z łatwością rozerwałby na pół. Wystarczy, że zaciągnę cię do jego łóżka.

- List! - wykrztusiła dziewczyna. - Mogę go pani dać.

Lady Nisdale odsunęła się trochę i pozwoliła jej sięgnąć do fartucha. Violet wyjęła z kieszeni zapieczętowaną kopertę.

- Ani słowa - ostrzegła Louisa, ujmując ją pod brodę, a drugą ręką zabierając zdobycz. - Nikomu.

Dziewczyna prześliznęła się obok niej i z twarzą zalaną łzami pobiegła korytarzem. Po chwili zniknęła na schodach dla służby.

Louisa nie czekała ani chwili dłużej, tylko złamała pieczęć i przebiegła wzrokiem treść listu. Millicent uprzejmie pozdrowiała panią Ford, a następnie, uciekając się do wykrętów, przeproszała ją za to, że nie mogła przybyć na umówione spotkanie. Wyrażała jednak nadzieję, że niebawem uda się im wybrać na poranną przejażdżkę, może już w najbliższym tygodniu. Nic ważnego, pomyślała ze złością Louisa. Nic, czego by już nie wiedziała lub się nie domyślała.

To na pewno nie wszystko, doszła do wniosku, coraz bardziej zirytowana. Te kobiety miały jakiś wspólny sekret. Dostatecznie ważny, żeby się spotkać pod pretekstem przejażdżki konnej. Louisa już miała zgnieść kartkę, gdy jej wzrok padł na ostatnie zdanie, tuż przed podpisem.

„Nasza droga pani Stockdale nie pochwaliłaby tego, że w ostatniej chwili odwołuję...”

„Nasza droga pani Stockdale”!

Louisa jeszcze raz przeczytała list i na jej twarz wypłynął uśmiech.

Gdy podniosła wzrok, w otwartych drzwiach sypialni zobaczyła Wentwortha. Nawet nie zadała sobie trudu schowania kartki.

- Co tam masz?

- List. Od jak dawna tu stoisz?

- Dostatecznie długo, by widzieć, jak postępujesz ze służbą. Ale jestem rozczarowany, że nie przyprowadziłaś jej do mnie. Podnieciła mnie myśl o nas trojgu, kotku.

- Zawsze jest jakieś jutro - mruknęła Louisa, rozwiązując pasek szlafroka i idąc w jego stronę. - A teraz będziesz całego swojego wigoru potrzebował na mnie, bo muszę cię opuścić na cały dzień. Chcesz się mną nacieszyć, zanim wrócę, prawda?

Wentworth przesunął spojrzenie z obnażonych piersi na trójkąt jasnych włosów, a potem na świstek papieru nie dbale trzymany w ręce.

- Daj mi go.

- Nic w nim nie ma.

Bez protestu wręczyła mu list. Podczas gdy czytał, objęła go w pasie i wsunęła rękę pod koszulę nocną.

- Pani Ford to ta, którą wczoraj spotkałaś u pastora? - zapytał.

- Tak.

Wepchnęła go do sypialni i zamknęła drzwi.

- Wiedziałaś o tej przejażdżce, na którą się dziś wybrały?

- Nie.

Próbowała skierować go do łóżka, ale zatrzymał się na środku pokoju i znowu spojrzął na list.

- To szara myszka, taka jak twoja żona - powiedziała Louisa. - Wyrzuć to. Mamy lepsze rzeczy do roboty.

Rozchyliła jego koszulę i zaczęła wodzić ciepłymi wargami po nagim torsie. Potem uklękła.

Wentworth, nagle niecierpliwy, chwycił ją za włosy i brutalnie skierował ku swojej męskości. Gdy poczuł jej wilgotne usta, upuścił list na podłogę i jęknął z zadowoleniem.

- Kim jest pani Stockdale? - *zapytała* Louisa, mierząc go takim wzrokiem, jakby chciała go pożreć.

- Kto? - Wentworth spojrzał na jej uniesioną twarz. - Stockdale... Stara jędza z Oxfordu. Prowadzi tam szkołę. Akademię dla dziewcząt. Uczą je tam, jak być damami. Millicent do niej chodziła. Ale ciebie, skarbie, wyrzuciliby pierwszego dnia.

Louisa spojrzała na niego z niewinną miną.

- Myślałam, że właśnie to robią damy.

- Tak - wykrztusił Wentworth, przyciągając do siebie jej głowę.

## 21

Czas mijał i Rebeka coraz bardziej się niecierpliwiła, czekając przy stajniach. Już raz wróciła do domu, ale nie było żadnej wiadomości od lady Wentworth. W końcu doszła do wniosku, że pomyliła miejsce spotkania, dosiadła konia i w towarzystwie stajennego ruszyła do Melbury Hall.

Gdy skończyły się leśne dukty, otworzył się przed nią widok na falujące łąny pszenicy, owsa i żyta. Na długiej, krętej drodze, która prowadziła z wioski do rezydencji, dogoniła jeźdźca zmierzającego w tym samym kierunku. Nieznajomy, konserwatywnie ubrany mężczyzna w mniej więcej jej wieku, pozdrowił ją przyjaźnie i przedstawił się jako Cunningham, kierownik szkoły w Knebworth. Napomknął przy tym, że dużo o niej słyszał od pastora i jego żony.

Rebeka od razu poczuła się swobodnie w jego towarzystwie. Odprawiła stajennego i dalej pojechali razem, miło gawędząc.

Okazało się, że pan Cunningham od kilku lat odwiedza w piątki Melbury Hall i przez godzinę udziela lekcji małym niewolnikom oraz dzieciom służby. Od czasu do czasu wpadał tam również w tygodniu, zwykle wieczorami, żeby uczyć czytać dorosłych. Ucieszył się bardzo, gdy dowiedział się od pastorstwa, że zaproponowała swoją pomoc.

- A panią co o tak wczesnej porze sprowadza do Melbury Hall?

- Lady Wentworth i ja umówiliśmy się przy stajniach w Solgrave, żeby odbyć przejażdżkę - wyjaśniła Rebeka. - Niestety któraś z nas chyba źle zrozumiała, gdzie miały-

śmy się spotkać. W każdym razie lady Wentworth się nie zjawiła, więc postanowiłam złożyć jej wizytę i upewnić się, że wszystko jest w porządku.

Pan Cunningham spojrział na zegarek kieszonkowy.

- To niezwykle, żeby lady Wentworth nie przybyła na umówione spotkanie, ale wiem, że z przejażdżek wraca do domu na ogół o tej porze.

Rebeka zerknęła na niego dyskretnie. Był średniego wzrostu i budowy, o regularnych rysach, raczej sympatyczny, nie przystojny. Lecz błysk inteligencji w oczach i pewność siebie, która przebijała w każdym słowie, dodawały mu wyrazistości. Tak czy inaczej Rebeka uznała, że jego Znajomość rozkładu dnia Millicent jest co najmniej intrygująca.

- Mam nadzieję, że mnie przyjmie - powiedziała. - Chciałabym osobiście przeprosić ją za pomyłkę i umówić się na inny dzień.

Nauczyciel się rozpromienił.

• - Doskonały pomysł, pani Ford! Lady Wentworth niewątpliwie przyda się towarzystwo.

- Już drugi raz coś takiego dzisiaj słyszę.

- Doprawdy?

- Lord Stanmore wyraził podobną opinię.

Kierownik szkoły ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Trudno nie być poruszonym melancholią tej młodej kobiety. Nie jest zbyt szczęśliwa.

Zupełnie inna niż Millicent Gregory, którą pamiętała ze szkolnych lat. Rebeka w zadumie spojrzała na pola uprawne ciągnące się po prawej stronie drogi. Zbliżali się do Melbury Hall. Na jednym zagonie już pracowała grupa czarnoskórych niewolników.

Cunningham poszedł za jej spojrzeniem i zmarszczył brwi.

- Wie pani, że tysiące Afrykanów, zarówno ludzi wolnych, jak i zbiegłych niewolników, mieszka w straszliwej biedzie nad Tamizą, na wschód od Londynu?

- Nie wiedziałam, ale obawiam się, że, w niektórych miastach w koloniach warunki nie są dużo lepsze. - Przez



chwile jechali w milczeniu, a potem Rebeka dodała: - Pani Trimble powiedziała mi, że esquire Wentworth trzyma niewolników. Wspomniała również o dawnych nieporozumieniach między nim a lordem Stanmore w tej kwestii.

- Te nieporozumienia wcale się nie skończyły. Starania hrabiego o zakazanie niecnej praktyki są wymierzone bezpośrednio w ludzi takich jak jego sąsiad. To smutne, ale nawet król toleruje handel żywym towarem i sam wykorzystuje niewolników. Właściciel Melbury Hall, jak wielu innych, nie ogranicza się do trzymania niewolników na swoich tutejszych farmach, ale również na plantacjach, które ma na Jamajce. Chodzą również słuchy, że dużo zainwestował w statki niewolnicze. Wentworth uważa, że nie obowiązują go zasady moralne, którymi my się kierujemy. W istocie stoi na skraju przepaści, a tym, który go pchnie, może być jego lordowska mość.

- Skoro między nimi panuje taka wrogość, dlaczego esquire pozwala, żeby pan i wielbny Trimble, otwarcie sprzymierzeni z hrabią, odwiedzali jego farmy?

Nauczyciel uśmiechnął się wyrozumiale.

- Żyła pani w innym świecie, pani Ford. Wentworth jedno robi, a drugie mówi. Wprawdzie jestem Szkotem, ale bez uprzedzeń, że to bardzo angielska postawa. Wszyscy, którzy go znają, dobrze wiedzą, że nienawidzi lorda Stanmore, lecz nigdy nie okaże tego publicznie. Ma za dużo do stracenia. - Cunningham zatoczył ręką koło. - Prowadziłem szkołę w Knebworth już od pięciu lat, kiedy Wentworth kupił całą tę ziemię i Melbury Hall. Ci, którzy słyszeli o jego plantacjach na Jamajce, nie wątpią, że nabył ten majątek, żeby zdobyć wyższą pozycję społeczną.

- Czy lady Wentworth... Millicent już była jego żoną w czasie, kiedy kupował Melbury Hall?

- Nie! Ale zdobył ją niedługo potem - odparł posępnie nauczyciel. - Melbury Hall dało mu status, a pieniądze i arystokratyczne pochodzenie żony - wstęp do wyższych sfer.

W głosie pana Cunninghama wyraźnie brzmiała wro-

gość, ale Rebeka wcale mu się nie dziwiła. To, co już zdążyła usłyszeć i zobaczyć, potwierdzało jego słowa.

- Czy coś się poprawiło dzięki waszym wysiłkom?

- Pewnie wydają się pani malkontentem - stwierdził nauczyciel po dłuższej chwili. - Tak! Po naleganiach lorda Stanmore esquire Wentworth wprowadził pewne zmiany, aczkolwiek niewielkie. Na przykład takie, że afrykańskie dzieci są w piątki na godzinę zwalniane z pracy, żeby mogły odbyć ze mną lekcje. Wielebny Trimble jest wzywany do umierających. Gdy ktoś złamie rękę albo nogę, sprowadza się lekarza. Lecz to wszystko mało, a w dodatku za każde ustępstwo na ich korzyść ci biedacy płacą wysoką cenę.

Przed nimi ciemnoskóry chłopiec próbował przeciągnąć przez drogę wózek wyładowany drewnem.

- Jaką cenę, panie Cunningham?

- Chłosty, rozdzielanie rodzin, czasami nawet życie!

Rebecce nagle zrobiło się słabo.

- Tutaj? W Melbury Hall? Czy próbowano temu zaradzić?

- Prawo chroni właściciela, a każda śmierć zostaje uznana za wypadek. Jeśli nikt nie złoży skargi, władza się nie wtrąca.

- Ludzie na pewno w końcu zaprotestują przeciwko złemu traktowaniu. Tak się dzieje w koloniach. Ucisk można znieść tylko do pewnego momentu.

Nauczyciel popatrzył na chłopca nadal mżolącego się z ładunkiem.

- Chyba nie powinienem mówić nic więcej, pani Ford. Jest pani gościem w Solgrave. Nie zostanie tu pani długo. Niepotrzebnie się skarżyłem.

- Panie Cunningham... - Urwała, gdy mały robotnik potknął się i upadł na ziemię.

Oboje zatrzymali konie, ale zanim Rebeka zsiadła, chłopiec zdążył wstać i teraz próbował odciągnąć wózek z drogi.

- To dla ciebie za duży ciężar, Israelu! Spójrz, wpadłeś w koleinę. **Skan Anula43, przerobienie pona.**

Pan Cunningham zsiadł z konia, chwycił za tył wózka

i pomógł niewolnikowi zepchnąć go z wyboistego traktu na ścieżkę, która łagodnie opadała w stronę wijącej się rzeki.

- Dziś piątek, Izraelu. Sądziłem, że będziesz czekał na mnie w Grove.

Chłopiec nie odrywał wzroku od zakurzonych butów nauczyciela.

- Nie mogę dzisiaj przyjść na lekcję, proszę pana.

Rebeka przyjrzała się jego długim czarnym włosom, związanym na karku, starym spodniom, przetartym na kolanach, bosym stopom. Doszła do wniosku, że mały niewolnik jest niewiele starszy od Jameya. Przypomniały się jej słowa Francuza Rousseau, które wyczytała w filadelfijskiej gazecie: „Człowiek rodzi się wolny, ale życie spędza w łańcuchach”.

W tym momencie chłopiec podniósł głowę i Rebeka zobaczyła jego twarz.

- Co ci się stało?! - wykrzyknęła.

Israel nie odpowiedział, więc natychmiast zsiadła z klaczy, podeszła i ujęła go pod brodę, żeby lepiej się przyjrzeć. Pod lewym okiem i na policzku widniały ciemnofioletowe siniaki, wargi były rozcięte i spuchnięte. Przy upadku musiała się otworzyć jakaś rana, bo chłopiec miał na ustach krew. Ale piękne orzechowe oczy patrzyły na nią z ciekawością.

- Ktoś cię pobił? - spytał pan Cunningham. - Mickleby? Ostrzegałem tego łotra, że jeśli jeszcze raz podniesie rękę...

Nauczyciel mówił dalej, ale Israel zachowywał się, jakby go nie słyszał. Wpatrywał się w Rebeke.

- Nazywam się pani Ford - powiedziała łagodnym tonem, gdy kierownik szkoły zamilkł. - Chwilowo mieszkam w Solgrave. Jesteśmy sąsiadami.

Niewolnik wodził wzrokiem po jej twarzy. Patrzył na kapelusz, włosy, oczy.

- Tak, proszę pani - przemówił w końcu.

- Twoja warga krwawi. Mogę ją wytrzeć?

Chłopiec spuścił wzrok.

- To nic wielkiego, proszę pani.

Rebeka podała mu chusteczkę.

- Przepraszam. Jesteś dostatecznie duży, żeby samemu o siebie zadbać.

Israel stał bez ruchu.

- Weź ją. No, śmiało.

Chłopiec patrzył na jej dłoń.

- Możesz ją zatrzymać.

- Zatrzymać?

- Tak.

Niewolnik Z wahaniem wyciągnął rękę i wziął koronkową chusteczkę, ale nie przyłożył jej do krwawiącej wargi, tylko zacisnął powieki i wciągnął jej lawendowy zapach. Kiedy otworzył oczy, Rebeka dostrzegła w nich łzy.

- Dziękuję, proszę pani - wyszeptał.

Schował chusteczkę za pazuchę, wrócił do wózka z drewnem i ruszył w dół łagodnego zbocza.

Pan Cunningham i Rebeka odprowadzili go wzrokiem.

- Czy w Melbury Hall jest wielu takich jak on?

- W Grove mieszka co najmniej dwanaścioro dzieci afrykańskiego pochodzenia. Niektóre tutaj się urodziły, inne przywieziono wraz z matkami z jamajskich plantacji Wentwortha. - Nauczyciel ruszył do koni. - Israel jest jedynym, które nie ma nikogo. I może dlatego jest traktowany gorzej niż pozostałe.

Rebeka dopiero teraz zrozumiała przygnębienie Millicent. Jeszcze nie widziała Melbury Hall, a sama już wpadła w ponury nastrój.

- Kto to jest ten Mickleby, o którym pan wspomniał? - zapytała, gdy pan Cunningham pomógł jej dosiąść klaczy.

- Ostatni z długiego szeregu twardych rządców, których z upodobaniem zatrudnia dziedzic. Brutal o paskudnym charakterze, łatwo wpadający w gniew i skory do bicia.

- Co to znaczy ostatni?

Twarz nauczyciela sposepniała.

- To stały cykl, tak pewny, jak ten, że po zimowych śniegach następuje wiosenna odwilż. W Melbury Hall ktoś zo-

staje pobity. Wieść dociera do wielebnego Trimble albo do mnie. Wentworth zrzuca winę na swojego rządcę, zwalnia go i sprowadza następnego... jeszcze gorszego.

- I nadal zatrudnia brutalni, żeby doglądali jego niewolników?

- Tak, ale chyba go przejrzałem. Mówi, że ich zwalnia, ale myślę, że po prostu przenosi do swoich plantacji na Jamajce. A nowego rządcę sprowadza stamtąd.

Wszystkie kłopoty, z którymi Rebeka borykała się w ciągu dziewięciu lat pobytu w Filadelfii, nagle wydały się jej mało ważne w porównaniu z losem tutejszych niewolników. Potrafiła sobie radzić z uprzedzeniami wobec niedosłyszającego chłopca o zdeformowanej dłoni, ale nie miała pojęcia, jak walczyć z niewolnictwem? Może w taki sam sposób, pomyślała. Z jedną osobą naraz.

- Tutaj musimy się rozstać - oznajmił pan Cunningham, gdy dotarli do kolistego podjazdu, który prowadzi do rezydencji. - Któryś ze stajennych zajmie się pani koniem, a lokaj zawiadomi lady Wentworth o pani przybyciu.

- Gdzie prowadzi pan lekcje, panie Cunningham?

- Najpierw zajdę do kuchni i poświęcę godzinę dzieciom służby. Później udam się na polanę, którą nazywają Grove. Tam znajdują się chaty niewolników.

- Pani Trimble wspomniała, że przydałaby się panu pomoc. Po wizycie u lady Wentworth będę wolna. Mogę dołączyć do pana w Grove?

- Nie musi pani...

- Wiem - przerwała mu Rebeka miłym tonem. - Ale chcę.

- Muszę panią ostrzec, że... - Nauczyciel urwał i spojrział ku lasowi, zbierając myśli. - Warunki, w jakich mieszkają ci ludzie, sposób, w jaki są traktowani, miejsce, gdzie prowadzi się lekcje... cóż... Nie wiem, czy powinna pani to wszystko oglądać.

- Proszę nie zaprzętać sobie głowy troską o moje samopoczucie, panie Cunningham. - Rebeka spięła konia ostrogami. - Spotkamy się w Grove.

- Nazywa się Rebeka Neville - oznajmił Oliver Birch. Tę pewnośc zyskał po wielu pokonanych milach i wielu *godzinach przeczesywania najgorszych dzielnic Bristolu* i Dartmouth oraz nabrzeży Tamizy. - Przynajmniej tak się nazywała dziesięć lat temu, kiedy wyjeżdżała z Anglii.

- Co jeszcze? - zapytał krótko Stanmore.

Dobrze pamiętał jej kłamstwo, że przez całe życie mieszkała w koloniach. Nie, właściwie nie skłamała wprost, tylko dała do zrozumienia. Odpowiadała wymijająco na jego pytania.

- Razem wsiadły na statek. Elizabeth już wtedy czuła się źle. Najprawdopodobniej jeszcze przed rozpoczęciem podróży ustaliły, co będzie z Jamesem. Wszystkie rozmowy, które przeprowadziłem, potwierdzają, że Rebeka Neville była znajomą pańskiej nieżyjącej żony.

Hrabia przypomniał sobie ich poranną rozmowę, kiedy to Rebeka omal nie zaczęła otwarcie bronić Elizabeth przed jego oskarżeniami.

- Zastanawiające jest to, że nikt z rodziny ani przyjaciół pańskiej żony nie wspomniał o tej znajomości.

- I na pewno nie jest jedną z osób, które zajmowały się Elizabeth, kiedy przebywała w odosobnieniu?

- Nie. Mam tu nazwiska wszystkich. - Prawnik zerknął na listę, którą trzymał w ręce. - Ale gdyby wasza lordowska mość podsunął, z kim jeszcze mógłbym porozmawiać...

- Szkoda, że woźnica zginął w tamtym wypadku.

- Na pewno by się z panem zgodził, milordzie.

Stanmore posłał prawnikowi karcące spojrzenie.

- A co z jej przeszłością przed wyjazdem do kolonii? *Znalazłeś cokolwiek?*

- Niewiele, milordzie - odparł Birch, ukrywając zakłopotanie. - Ale jeszcze nie zakończyłem poszukiwań. Nie spodziewałem się, że wasza lordowska mość tak szybko wróci do Londynu, dlatego moi ludzie nie zdążyli złożyć raportów. Dowiedziałem się jednak pewnych zastanawiających rzeczy.

- Jakich?

- Wkrótce po wyjeździe panny Neville pojawiły się plotki o śledztwie w sprawie miejsca jej pobytu. Na razie udało mi się je potwierdzić. Ustaliłem również nazwiska prawników, którzy prowadzili poszukiwania, ale nie wiem, kto za nimi stał ani dlaczego starał się ją odnaleźć. Czy jest możliwe, żeby pański nieżyjący ojciec...

- Zdecydowanie nie. W tamtym czasie nie zatrudniał żadnych prawników ani detektywów. - Hrabia wstał i zaczął chodzić po gabinecie Bircha, pachnącym skórą, w której były oprawione książki prawnicze. - Neville... Neville. Chyba nie znam nikogo z tej rodziny.

- To bardzo stare angielskie nazwisko. Od czasów Zdobycy członkowie tego rodu byli hrabiami Westmoreland, Salisbury, Northumberland, ale jego arystokratyczna linia wygasła wiek temu. Mimo to zamierzam głębiej poszperać. Muszą żyć jacyś potomkowie. Może odnajdę rodziców albo krewnych pani Ford.

- Snobizm nie pozwoliłby Elizabeth zaprzyjaźnić się z osobą niższej rangi. Ale jeśli Rebeka pochodzi z dobrej rodziny i sama nie była wtedy w kłopotach, dlaczego w takim pośpiechu wyjechała do kolonii? W dodatku co ją skłoniło do tego, żeby wziąć na siebie wychowanie Jamesa w warunkach, które opisałeś?

- „Jeśli sama nie była wtedy w kłopotach”. To pańskie słowa. - Birch potrząsnął głową. - Jeszcze wiele musimy się dowiedzieć. Będę pana informował na bieżąco. Jak długo zamierza pan zostać w Londynie?

- Jutro o dwunastej spotykam się z lordem Northern. Jeśli potem nie wydarzy się nic niespodziewanego, po południu wracam do Solgrave.

- Nie spodziewam się wielkich postępów w śledztwie w ciągu kilku następnych dni, ale jeśli wypłynie coś nowego...

- Solgrave leży tylko pół dnia jazdy od Londynu. Gdy dowiesz się czegoś ważnego odnośnie pani Ford, zawiadam mnie natychmiast.

Jest tyle *rzeczy* do wyjaśnienia, pomyślał. Choć nabrał przekonania, że Rebeka towarzyszyła Elizabeth w podróży, nie potrafił zwątpić w jej uczciwość. Wieloletnie poświęcenie, ogromne przywiązanie do Jamesa... były takie czyste.

Lata doświadczenia nauczyły go dostrzegać pozory, kłamstwa i niskie pobudki. Ale w wypadku Rebeki od pierwszego dnia był w stanie zajrzeć w jej duszę, dlatego wiedział, że jest dobra i szlachetna, równie piękna w środku jak na zewnątrz.

Sam zażądał obecnego śledztwa. Wtedy chciał poznać prawdę, ale teraz zrozumiał, że z każdą kolejną jej warstwą odsłanianą przez Bircha, nieświadomie przygotowywał się do obrony. W końcu jednak przyznał, że Rebecce udało się otworzyć jego serce, zamknięte od lat.

Musiał jak najszybciej do niej wrócić. Tyle miał jej do powiedzenia.



- Przepraszam, madam, ale lady Wentworth nie przyjmuje dzisiaj gości.

Rebeka nie zmieszała się pod stalowym spojrzeniem lokaja w liberii i peruce, blokującego jej wejście do Melbury Hall. Jego oświadczenie utwierdziło ją w przekonaniu, że coś jest nie w porządku.

Opinia pana Cunninghama o właścicielu Melbury Hall oraz pewne oznaki w zachowaniu Millicent, które dostrzegła poprzedniego dnia, przywiodły jej na myśl sąsiadkę z Filadelfii. Często widywała, jak ta kobieta, żona wytwórcy świec, ukradkiem przemyka zaułkami i wzdraga się przed kontaktem z innymi ludźmi. Kiedyś jej ciało znaleziono pogrzebane w piwnicy ich schludnego ceglanego domu. Za zabójstwo skazano i powieszono męża.

Obawiała się, że przyjaciółka jest w podobnej sytuacji.

- Zachorowała?

- Życzę miłego dnia, madam.

Rebeka szybko wyciągnęła rękę, powstrzymując lokaja przed zamknięciem jej drzwi przed nosem. Pani Stockdale uczyła swoje dziewczęta, jak radzić sobie ze służbą, a niegrzeczne zachowanie tego człowieka w jednej chwili przypomniało jej owe nauki.

- Zaproszono mnie tutaj. Jak śmiesz zamykać przede mną drzwi! Powiadom dziedzica, że już jestem. Natychmiast!

Czerwona twarz mężczyzny przybrała jaskrawszy kolor pod upudrowaną peruką.

- Najmocniej przepraszam, madam - powiedział lokaj

z głębokim ukłonem. - Sądziłem, że chce pani odwiedzić lady Wentworth. - Cofnął się o krok i szerzej otworzył drzwi. - Jeśli raczy pani poczekać w salonie, zawiadomię dziedzica o pani przybyciu.

Rebeka się zawahała. Nagle jej sprawa - wyjaśnienie zamkniętej przeszłości - stała się dużo mniej ważna niż pomoc, której najwyraźniej potrzebowała Millicent. Może spotkanie z jej mężem coś by wyjaśniło. Tak czy inaczej musiała znaleźć sposób, żeby zobaczyć się z przyjaciółką.

- Dobrze. - Zaraz po wejściu do holu, powiedziała głośno: - Bardzo piękny dom. - Jej głos rozbrzmiał echem pod sklepionym sufitem. Miała nadzieję, że dotrze na piętro, gdzie, jak przypuszczała, może być Millicent. - Proszę mi powiedzieć, czy państwo Wentworth od dawna tu mieszkają?

Nie uzyskawszy odpowiedzi, doszła do wniosku, że lokaj wyczerpał swoją dozę uprzejmości na ten dzień.

W drodze do saloniku dla gości minęli kilkoro służby i Rebeka natychmiast wyczuła, że nie tylko pani domu jest w złym nastroju.

- Czy esquire na pewno pani oczekuje, madam? - zapytał lokaj.

- Kwestionujesz moje słowa, dobry człowieku? - rzuciła wyniośle.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, odetchnęła głęboko. Dłonie miała spocone, serce biło nierówno. Nie usiadła na żadnym z pluszowych krzeseł, tylko zaczęła chodzić po pokoju, żeby się uspokoić.

Co też ona wyprawia? Przy każdym spotkaniu z nową osobą, pomyślała raptem, naraża siebie i Jameya na coraz większe niebezpieczeństwo. A lorda Stanmore na publiczne potępienie.

Od powrotu do Anglii coraz bardziej oddalała się od głównego celu swojego przyjazdu. Miała ułatwić Jameyowi przystosowanie się do nowej sytuacji i nawiązanie kontaktu z ojcem, a zamiast tego mieszała się do cudzych spraw.

Z drugiej strony, czy życie zostawiło jej inny wybór?

Nagle skrzyknęły drugie drzwi, prowadzące do sąsiedniego pokoju. Na widok twarzy, która pojawiła się w szparze, Rebeka zawołała z konsternacją:

- Millicent!

- Cii! - Przyjaciółka skinęła na nią ręką. - Błagam, uważaj, by mój mąż nie nabrał podejrzania, że mnie widziałas. To byłoby niebezpieczne dla nas obu.

Pod jednym okiem miała wielki fioletowo-zielony siniak, górną wargę spuchniętą, z trudem trzymała się na nogach.

- Co ci się stało?

- Nie pytaj, proszę. Gdyby ktoś wiedział, że... Nie zniosłabym wstydu. - Lady Wentworth chwyciła Reбекę za ramię, wciąż ze strachem zerkając na główne drzwi. - Dla twojego... i mojego dobra nie mów mu, że się znamy... że jesteśmy przyjaciółkami.

- Ale twoja twarz! - Rebeka wyciągnęła rękę do jej ust, ale Millicent ją złapała i ścisnęła mocno.

- Gdy już się z nim pożegnasz, nie odjeżdżaj. Muszę z tobą porozmawiać. - Kolejne płochliwe spojrzenie na drzwi. - Lecz on nie może się o tym dowiedzieć.

- Za godzinę spotykam się w Grove z panem Cunninghamem. Możesz tam przyjść?

- Nie wiem! - Do oczu przyjaciółki napłynęły łzy. - Spróbuję, ale nie chcę, żeby nauczyciel zobaczył mnie w takim stanie. Proszę, nic mu nie mów. Potrzebuję twojej pomocy! Nie mogę tak dłużej żyć!

Jej błaganie zawisło w powietrzu, gdy pospiesznie wycofała się z saloniku i cicho zamknęła za sobą drzwi. Rebeka nie zdążyła zebrać myśli ani się opanować, gdy ktoś wszedł do pokoju. Okręciła się szybko i stanęła twarzą w twarz z panem domu.

- Pani Ford, jak sądzę.

Rebeka dygnęła. Spodziewała się ujrzeć olbrzyma, a tymczasem esquire okazał się mężczyzną średniego wzrostu. Nie miał na sobie pełnego stroju, tylko spodnie, ranne pantofle i brokatowy szlafrok. Jego rzednące włosy by-

ły modnie ufryzowane i związane z tyłu, rysy regularne, wyraziste, męskie. I choć mocno zionęło od niego alkoholem, właściciel Melbury Hall nie wyglądał na brutala.

Lecz Rebeka nie dała się zwieść ani na chwilę. Sir Charles Hartington też był przez wiele osób uważany za przystojnego. Gdy to pomyślała, Wentworth zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów w taki sam sposób, jak kiedyś pracodawca.

- Od razu powiem, że nie zamierzam się skarżyć, lecz nie przypominam sobie... - Gospodarz wykrzywił usta w uśmiechu. - A na pewno bym pamiętał, że dałem zaproszenie tak uroczemu gościowi.

- Proszę o wybaczenie - powiedziała Rebeka spokojnie. - Przyjechałam do Melbury Hall, żeby pomóc panu Cunninghamowi w lekcjach, które udziela pańskiej służbie.

- Rozumiem.

Uprzejma mina na chwilę zniknęła z jego twarzy, ale szybko się opanował.

- Uznałam, że wypada przedstawić się lady Wentworth albo panu. Próbowała nie okazać zdenerwowania, gdy mężczyzna zaczął błędzić spojrzeniem po jej twarzy i ciele.

- Mniemam, że zatrzymała się pani w Solgrave.

- Tak, sir.

Gdy do niej podszedł, z trudem zapanowała nad odruchem, żeby się cofnąć. Mimo wczesnej pory zdążył już sporo wypić.

- I jest pani... przyjaciółką mojego znamienitego sąsiada, hrabiego Stanmore?

W jego tonie wyraźnie brzmiała impertynencja, ale na wzmiankę o hrabim Rebeka poczuła się pewniej.

- Jestem jego gościem - oświadczyła.

Lekceważąca mina Wentwortha przerodziła się w lubieżny uśmiech.

- Do diaska! Stanmore ma świetny gust!

Rebeka zacisnęła usta, powstrzymując się od ciętej odpowiedzi. Postanowiła, że nie da się sprowokować. Gdy gospodarz wskazał jej krzesło, odmówiła grzecznie i spojrzała na drzwi.

- Już się poznaliśmy, więc jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, pójdę teraz do pana Cunninghama...

- Oczywiście, że mam! - przerwał jej Wentworth, podszedł do kredensu, wziął z tacy srebrną karafkę i nalał sobie dużą porcję bursztynowego płynu. - Musi pani się do mnie przyłączyć, pani Ford.

Rebeka potrząsnęła głową.

- Nie mam w zwyczaju pić o tej porze dnia.

- Za wcześnie? - Podniósł szklaneczkę i mrugnął do niej beczelnie. - W takim razie wypiję sam. Za oszałamiającą urodę!

Jednym haustem wychylił trunek do dna i z hukiem odstawił puste naczynie na kredens. Gdy napełnił je ponownie, Rebeka ruszyła do wyjścia, ale błyskawicznie zastąpił jej drogę.

- Proszę mi powiedzieć, co jest takiego atrakcyjnego w Cunninghamie?

- Słucham?

- Cunningham, ten cholerny belfer. Jest Szkotem. I biedakiem. Nie ma żadnej pozycji w społeczeństwie i nawet powierzchowność nieszczególną. Więc proszę mi wytłumaczyć, dlaczego wszystkie kobiety się na niego rzucają?

W żyłach Rebeki zawrzała krew.

- Nie rozumiem. Pańskie oskarżenia, sir... a chyba się nie myślę, że mnie pan oskarża, są całkowicie bezpodstawne. Poznałam kierownika szkoły dopiero dziś rano, a moja propozycja pomocy w nauczaniu pańskiej służby wzięła się z życzliwości i dobrego serca, a nie z... zauroczenia, jeśli to ma pan na myśli!

Gospodarz zaśmiał się bez cienia wesołości.

- Najpokorniej panią przepraszam - powiedział z ironicznym ukłonem. - Widać tu się pomyliłem, ale nadal uważam, że jest pani ostatnią zdobyczą Stanmore'a. Tak, na pewno mam rację. Widzę, że mój szlachetny sąsiad oczarował panią swoim urokiem. Cóż, przyjdzie czas, moja słodka, prędzej niż pani myśli, kiedy zastąpi panią inną ślicznotką.

Rebeka milczała wyniośle. Nie zamierzała odpowiadać na te insynuacje.

- Lecz kobieta taka jak pani mogłaby dużo zyskać jako moja przyjaciółka. Nigdy za dużo opieki w dzisiejszych czasach.

- Doceniam ofertę, sir, ale nie szukam żadnego „opiekuna” - odparła Rebeka z sarkazmem. - I myli się pan całkowicie co do lorda Stanmore...

- Przeciwnie, moja droga. Przeciwnie. - Wentworth opadł ciężko na krzesło i wycelował w nią szklaneczkę. - Mówiono mi, że wczoraj w tej zapomnianej przez Boga wioszczynie poznała pani lady Nisdale.

Rebeka zerknęła na drzwi, zastanawiając się, czy gospodarz zatrzyma ją siłą.

- Ona jest bardzo podobna do pani. Kiedy spotkaliśmy się przed laty, była kobietą bez tytułu i bez środków. - Pociągnął długi łyk ze szklaneczki. - Oczywiście wpadłaby w gniew, gdyby mnie teraz słyszała, ale uważam, że podobnie uderzyły jej do głowy. Kiedy teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że chyba przydałoby się nauczyć ją more-su.

- Proszę wybaczyć, sir, ale pan Cunningham...

- Niech drań czeka. Musimy się lepiej poznać, skoro mamy być sąsiadami... przynajmniej przez jakiś czas. Wie pani, że to ja wyszkoliłem Louise. Nie, oczywiście, że nie może pani tego wiedzieć. Właśnie ja nauczyłem ją, jak sprawiać przyjemność mężczyźnie. To naprawdę wielka sztuka. - Skupił wzrok na jej piersiach. - Potem oczywiście nie miała kłopotów ze znalezieniem męża. Stary i bogaty. Tego zawsze szukała. Tytułu i majątku. Tak. Nisdale dał jej to wszystko w zamian za trzy lata, które przeżył w jej objęciach.

Ogień płynący w żyłach Rebeki zmienił się w lód. Wentworth nie spuszczał oczu z jej ciała.

- Niestety popełniła fatalny błąd, myśląc, że jeśli zwabi Stanmore'a do łóżka, ten zostanie jej następnym mężem. Gdyby najpierw ze mną porozmawiała, oszczędziłbym jej bólu serca. Dzielę się z panią tymi mądrościami jako do-

bry sąsiad. - Kiedy w końcu przeniósł spojrzenie na jej twarz, w jego zmrużonych oczach malowała się złośliwa satysfakcja. - Znam pewien sekret hrabiego, który wyjaśnia, dlaczego Stanmore nigdy, niech pani uważa, nigdy więcej nie zaufa kobiecie na tyle, by wziąć ją za żonę.

Byłoby dla niej lepiej, gdyby go nie wysłuchiwała, ale po raz pierwszy była ciekawa, co ten człowiek ma do powiedzenia. Chyba wyczuł jej zainteresowanie, bo po jego wargach przemknął uśmiech.

- Czy ktoś panią uświadomił, że ten chłopak, kaleka, którego pani wychowała w koloniach, nie jest synem Stanmore'a?

Rebeka cofnęła się, jakby wymierzył jej policzek.

- W dodatku hrabia wie, przed kim jego żona rozłożyła nogi, podczas gdy on w Quebecu odgrywał bohatera w wojnie z Francuzami. - Pochylił się i wpił w nią rozradowane spojrzenie. - Domyśliłaby się pani, że to jego własny ojciec przyprawił mu rogi?

Pokój nagle zawirował.

- Tak, kaleka jest bękartem poprzedniego hrabiego!

Rebeka nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Zatem widzisz, kotku, że Stanmore nie jest typem żonkosia. Przysiągł na grobie ojca, że nigdy więcej nie zaufa żadnej kobiecie. - Wentworth z powrotem rozparł się na krześle. - I nic dziwnego.

Ściany pokoju zaczęły się chwiać, aż musiała potrząsnąć głową. Stała jak wmurowana.

- Dlatego, moja słodka, w pani najlepszym interesie jest przeciąć wszelkie więzi łączące ją z tym łotrem pozbawionym serca, zanim on panią rzuci. Podobna mi się pani i chciałbym, żebyśmy się zaprzyjaźnili.

Minęła cała wieczność, nim Rebeka odzyskała głos.

- Będę pamiętać o pańskiej propozycji - wyszeptła i zebrawszy siły, ruszyła do drzwi.

Niemal oślepiąca przez łyzy wyszła z saloniku, mijając lokajów przecięła hol i raptem stwierdziła, że stoi na dzie-

dzińcu przed domem. Za ceglanym murem i bramą z kutego żelaza ciągnęły się pola, na których pracowali czarni niewolnicy.

William Cunningham przykazał dzieciom służby czytać po trochu każdego dnia i odmawiać modlitwy, po czym zgodnie z umową opuścił rezydencję kuchennymi drzwiami.

Przez zaniedbane ogrody w starym stylu, z przycinanymi różami i tujami, ruszył ku „naturalnemu” parkowi krajobrazowemu, który zgodnie z obowiązującą modą urządzano za domem już od kilku lat. Po drodze zastanawiał się, czy Capability Brown, od którego z pewnością ukradziono projekt, nie uznałby tej wersji przerysowaną i wulgarną.

Mijając jedną z bram, usłyszał dwa głosy dobiegające zza ogrodzenia. Jeden rozpoznał i przystanął skonsternowany. Po chwili namysłu zawrócił i ujrzał dwie kobiety siedzące obok siebie na kamiennej ławce. Żadna go nie zauważyła, póki nie znalazł się tuż przy nich.

- Niech mi pani wybaczy, milady! Próbowałam... przysięgam na grób matki, ale to diaboliczna! Wiem, że mówiła poważnie...

- Cicho, Vi! Nic się nie stało! To moja wina, że obarczyłam cię... - Lady Wentworth urwała raptownie na widok intruza. - Pan Cunningham!

Młoda służąca zerwała się z ławki, dygnęła pospiesznie i uciekła do domu, wycierając łzy.

- Przepraszam, że przeszkodziłem - powiedział nauczyciel z niskim ukłonem.

Woalka kapelusza z szerokim rondem zasłaniała twarz Millicent aż do delikatnego podbródka, ale Cunningham nie musiał widzieć jej oczu, by wiedzieć, że stało się coś niedobrego. Sposób, w jaki odwracała od niego głowę, wiele mówił. Podejrzenie wyglądały również długie rękawy i zabudowany dekollet sukni w wyjątkowo ciepły wiosenny dzień.

- Lady Wentworth, jeśli chodzi o moje niedawne zachowanie...



Kobieta uniosła rękę i obejrzała się na dom, po czym wstała bez słowa, wyszła z ogrodu i skierowała się ku lasowi. Cunningham ruszył za nią. W pewnym momencie potknęła się, ale zanim do niej doskoczył, odzyskała równowagę i po chwili zniknęła między drzewami. Nauczyciel przyspieszył kroku.

- Lady Wentworth... Millicent!

Nie zatrzymała się, tylko dalej maszerowała leśną ścieżką. Dogonił ją pod starym rozłożystym dębem i chwycił za ramię.

- Millicent! - Dopiero teraz zauważył jej łzy. - Porozmawiaj ze mną, proszę.

Wzruszyła ramionami, a kiedy obrócił ją do siebie i przyciągnął, odepchnęła go słabo.

- Błagam! - wyszeptał. - Nie mogę skupić się na pracy, wiedząc, że nadal jesteś na mnie zła. - Millicent odwróciła głowę w bok, ale zauważył, że jej broda drży, a ciałem wstrząsa cichy szloch. Ujął jej dłonie i pochylił się nad nimi. - Przepraszam! Bardzo mi przykro. Źle zrobiłem, że próbowałem cię pocałować. Byłem rozczarowany tym, co się dzieje w Melbury Hall, brakiem jakichkolwiek zmian, kiedy ciebie tu nie ma. I wtedy... twoja bliskość, wszystko, co do ciebie czuję...

- Nie, Williamie! Proszę, nie mów tak. - Delikatnie uwolniła ręce z jego uścisku i cofnęła się o krok. - Nie powinienś czynić takich wyznań. Jestem związana przysięgą małżeńską...

- Tylko ty - stwierdził z goryczą. - Dziś rano twoja służba chętniej mówiła o twoim mężu i lady Nisdale niż o...

- Oni mnie nic nie obchodzą. - Potrząsnęła głową i zrobiła następny krok do tyłu. - Szanuję pana, panie Cunningham. I bardzo pana lubię. Proszę nie pozbawiać mnie swojej przyjaźni. To jedyna dobra i prawdziwa rzecz w moim życiu.

Nauczyciel wiedział, że Millicent czuje do niego coś więcej, ale poruszony błagalnym szeptem uszanował jej wolę. Na razie.

- Jak pani sobie życzy, milady. *Zawsze* będę pani oddanym przyjacielem i sługą.

- Dziękuję, Williamie. - Lady Wentworth sięgnęła po woalkę i otarła łzy. - Mam się spotkać w Grove z panią Ford.

- Ja też tam idę. Mogę pani towarzyszyć?

Nerwowo obejrzała się na dom.

- Wolałabym nie. Pozwoli pan, że pójdę tam sama?

Ukłonił się bez słowa, a kiedy odeszła, oparł się o pień dębu, urażony jej chłodem i przybity. Nie zauważył, że ktoś się czai za drzewami.

Rządca Mickleby, który słyszał całą rozmowę, uśmiechnął się z zadowoleniem, dziękując szczęśliwemu losowi.

Esquire bez wątpienia hojnie go wynagrodzi za czujność. Tak, uczciwa i przyzwoita lady Wentworth może się okazać niezłym źródłem dochodu, pomyślał.

Całkiem niezłym.

Mimo silnego wzburzenia Rebeka uznała, że nie może opuścić Melbury Hall, nie zobaczywszy się z Millicent.

Nie była tak głupia, żeby uwierzyć we wszystko, co powiedział jej Wentworth, ale jego złośliwa satysfakcja przyprowadziła ją o lęk. I już nie była pewna, czy stosunek hrabiego do syna nie potwierdza słów dziedzica. Lecz odpowiedzi na wszystkie pytania znajdowały się w Solgrave, dlatego już nie mogła się doczekać, żeby tam wrócić.

Ale najpierw potrzebowała jej przyjaciółka.

Rebeka pojechała duktem, który wskazał jej jeden ze stajennych, i wkrótce ujrzała skupisko nędznych chat na brzegu rzeki. W tym samym momencie nie wiadomo skąd na ścieżce wyrósł duży mężczyzna podeszły w latach i chwiejnym krokiem ruszył prosto na nią. W ostatniej chwili skręciła w bok. Afrykanin zatrzymał się i spojrzał bezmyślnie na zwierzę stojące mu na drodze. Rebeka zsunęła się z siodła i ściskając wodze, zerknęła na niego ponad końskim grzbietem.

Wyższy od hrabiego i potężnie zbudowany, gapił się na nią nieruchomym wzrokiem. Rebeka zauważyła, że pod krótkimi szpakowatymi włosami mężczyzna nie ma uszu, a jego twarz znaczą blizny. Mimo słusznego wzrostu i groźnego wyglądu sprawiał wrażenie, jakby był bliski omdlenia.

Nie zastanawiając się dłużej, obeszła wierzchowca i zbliżyła się do nieznanego.

- Szukam Grove. - Poklepała końską szyję, a niewolnik

śledził jej ruchy. - Jest posłuszna i taka łagodna, że nawet niewprawny jeździec nie ma z nią kłopotów.

- Proszę wybaczyć, madam - dobiegł z tyłu głęboki męski głos. - Moses nie chce pani skrzywdzić. Zaraz go stąd zabiorę.

Rebeka odwróciła się wystraszona i zobaczyła, że drugi Afrykanin stawia na ziemi duży kosz i idzie w jej stronę.

- Nic złego nie zrobił - odparła spokojnie.

Nowo przybyły, młodszy, niższy i szczuplejszy od Mosesa, wyglądał na słabego i chorego, ale jego troska o towarzysza niedoli poruszyła Rebeke.

- Miałam nadzieję, że spotkam tutaj lady Wentworth albo pana Cunninghama.

- Nie wiem, czy lady Wentworth dziś przyjdzie.

Posępna mina świadczyła, że ten człowiek wie o stanie swojej pani. Wszyscy w Melbury Hall mieli podobny wyraz oczu. Malował się w nich taki sam smutek i rezygnacja. Nawet ona poczuła się przybita.

Kiedy drobny Afrykanin dotknął ramienia Mosesa, ten natychmiast się do niego odwrócił.

- Jonasz. - Na jego twarzy pojawiła się ulga. - Jonasz...

Młodszy niewolnik potrząsnął głową i jego przyjaciel od razu zamilkł.

- Jeśli pani tu na mnie zaczeka, znajdę pana Cunninghama.

- Dziękuję - powiedziała Rebeka.

Odprowadzając wzrokiem obu mężczyzn, zauważyła, że ich poszarpane koszule są na plecach zaplamione krwią. Przez rozdarcie w rękawie Jonasza dostrzegła sączącą się ranę. Na ten widok żołądek podszedł jej do gardła, aż musiała chwycić się siodła.

Pojawienie się Millicent jakiś czas później nie dodało jej otuchy. Mimo kapelusza i woalki ukrywających siniaki lady Wentworth sunęła między drzewami niczym leśny duch.

- Dziękuję, że przysłaś - powiedziała cicho.

Rebeka wyciągnęła rękę i uściskała przyjaciółkę.

- To ja muszę ci podziękować, że wczoraj dochowałaś sekretu.

- Przejdziesz się ze mną? - zapytała Millicent.

Rebeka skinęła głową i zarzuciła wodze na gałąź drzewa.

- Nie dziękuj mi jeszcze, bo możliwe, że ci zaszkodziłam - uprzedziła lady Wentworth, gdy ruszyły ścieżką prowadzącą wzdłuż rzeki. - Dziś rano wysłałam do ciebie list z przeproszeniami, że nie zjawiłam się w umówionym miejscu.

- Nie dostałam go.

- Wiem. Przejęła go lady Nisdale. Masz w tej kobiecie zacieklego wroga.

Rebeka nie musiała pytać, dlaczego. Zainteresowanie lorda Stanmore jej pochlebiało, ale doprowadzało do furii elegantkę z Londynu.

- Wczoraj, gdy wracałyśmy do Melbury Hall, zadawała mi mnóstwo pytań na twój temat. Na żadne nie odpowiedziałam, udając, że cię nie znam. Ale z mojego dzisiejszego listu, choć nie ujawniłam twojego prawdziwego nazwiska, mogła się domyślić naszego małego oszustwa... albo nawet dawnej znajomości.

Rebeka wiedziała, że to tylko kwestia czasu, kiedy zostanie zdemaskowana. I już nie przerażała ją groźba skazania na śmierć, tylko możliwość okrycia hańbą lorda Stanmore i jego syna.

A jeśli Wentworth mówił prawdę o romansie Elizabeth z jej własnym teściem? Niechęć hrabiego do nawiązania jakiegokolwiek więzi z Jameyem potwierdzała jego słowa. Była głupia, że zmuszała ich do wzajemnych kontaktów. Kto, jeśli nie mężczyzna honorowy i lojalny wobec rodziny mimo jej zdrad, odszukałby dziecko, sprowadził je i uznał za swoje? Powinna zostawić ich w spokoju. Jameyowi już nie mogła dać więcej. Był dostatecznie silny, żeby sobie samemu poradzić. Pora, żeby odeszła.

- Dlaczego wypierasz się swojej przeszłości, Rebeko? Tego, że wychowałaś się w Anglii?

Pytanie Millicent wyrwało ją z zamyślenia.

- Dziesięć lat temu zabiłam człowieka.

Usiadły na pniu zwalonego drzewa, tuż przy rzece, i Rebeka wyznała jej całą prawdę. Od pierwszego spotkania z Mary Hartington do morderstwa sir Charlesa, ucieczki powozem i wyprawy za ocean z Elizabeth Wakefield i Jameyem. Opowiedziała przyjaciółce również o latach spędzonych w Filadelfii.

- Mój Boże, podziwiam cię! - wykrzyknęła Millicent, kiedy Rebeka skończyła. - Za wszystko, co zrobiłaś.

Przez kilka minut nic nie mówiły, tylko słuchały szumu rzeki.

- Chciałabym mieć odwagę, żeby zabić mojego męża - wyznała przyjaciółka, patrząc na wartki nurt.

- Istnieją lepsze sposoby niż morderstwo, lecz nie żałuję tego, co wtedy zrobiłam. Czasami brutalność niektórych mężczyzn słusznie obraca się przeciwko nim. Ale gdybym miała wybór, rodzinę, która by mnie przyjęła, miejsce, gdzie mogłabym się schronić tamtej nocy, ten człowiek nadal by żył.

- Kierowało tobą przeznaczenie. Gdybyś wtedy tak nie postąpiła, nie dostałabyś Jameya.

Rebeka wolała nie myśleć, jakie byłoby jej życie bez niego. Rzeczywiście spotkało ją wielkie szczęście. Mimo to, kiedy patrzyła, jak Millicent wyciera oczy pod woalką, nie życzyła jej tego, co sama przeżyła.

- Masz rodzinę, własny majątek. Dlaczego nie opuścisz męża?

Przyjaciółka potrząsnęła głową i spojrzała na ścieżkę biegnącą do Grove.

- Nie mogę. On nie pozwoli mi odejść.

Rebeka przyjrzała się jej uważnie.

- Nie pierwszy raz tak cię potraktował, prawda?

Jedyną odpowiedzią było milczenie przyjaciółki.

- Czy twoja rodzina wie o jego okrucieństwie?

Po opuchniętych policzkach stoczyły się łzy.

- Rzadko pozwala mi się z nią widywać, a jeśli już, to

zawsze w swojej obecności. Ale nawet gdyby moi bliscy wiedzieli, nie sądzę, żeby mogli coś zrobić. Zostały mi tylko dwie starsze siostry. Każda ma męża i dzieci. A wuj... z ulgą się mnie pozbył. Na pewno nie przyjąłby mnie z powrotem. Nie zniósłby takiego wstydu.

Millicent okazała się dużo bardziej bezradna, niż Rebecka sądziła.

- A co z twoim dochodem? Mając pieniądze, mogłabyś po prostu wyjechać albo uciec.

- Zabiłby mnie. - Jej głos był beznamiętny, zrezygnowany. - Tak jak pierwszą żonę. Sam mi to powiedział po pierwszym roku naszego małżeństwa, kiedy zagroziłam, że go opuszczę, jeśli jeszcze raz mnie pobije. - Wiatr zaszeleścił liśćmi w koronach drzew. Millicent zadrżała. - Dla niego jestem tylko kolejną własnością, oprócz ziemi, tych biednych niewolników, koni, psów, owiec i bydła. Uważa, że ma prawo nas wykorzystywać i pozbyć się, gdy przestajemy być użyteczni. Rodzina jego pierwszej żony miała szereg plantacji na Jamajce. Właśnie tam dorobił się majątku, ale kiedy postanowił wrócić do Anglii, jego żona umarła w tajemniczych okolicznościach. - Szare oczy Millicent były przygasłe, bez wyrazu. - W pijackim zamroczeniu Wentworth powiedział mi, że się zużyła. - Rebecka otoczyła ramieniem drżące plecy przyjaciółki. - Wuj już nie mógł się doczekać, żeby mnie wydać za męża. Skończyłam dwadzieścia trzy lata, chętnych do mojej ręki nie było. Oddał mnie więc pierwszemu, który się trafił. Wentworth ożenił się ze mną, jak to czyni wielu nowobogackich, dla nazwiska, pozycji i koneksji. I teraz, po pięciu latach, zdobył wszystko, co mogłam mu dać, więc straciłam dla niego wartość. Wiem, że tylko czeka na okazję, na jeden mój fałszywy krok. To kwestia czasu.

- Och, biedactwo! - Rebecka uściskała przyjaciółkę. - Nie możesz tu zostać. Jedź ze mną do Solgrave.

- Nie mogę! - Millicent ze smutkiem potrząsnęła głową, po czym uwolniła się z jej objęć i wytarła twarz. - Skoro

nie chcę stać się ciężarem dla krewnych, tym bardziej nie będę wciągać w swoje kłopoty osób spoza rodziny. Tobie pierwszej o wszystkim opowiedziałam. Tylko tobie ufam.

- W takim razie jedź ze mną do kolonii.

Pomysł wpadł Rebecce do głowy nagle, ale od razu zrozumiała, że właśnie tak musi być. Traciła Jameya, lecz zyskiwała kogoś, kim mogłaby się opiekować przez jakiś czas. Millicent rozpaczliwie potrzebowała pomocy, a ona miała okazję dać jej to, co sama kiedyś dostała od Elizabeth Wakefield: drugą szansę w życiu!

- To wielki nowy świat! Tam cię nie znajdzie.

- Straciłabym swój dochód.

- I żałowałabyś tych pieniędzy?

Millicent zastanawiała się przez chwilę, a następnie potrząsnęła głową, wyraźnie rozpromieniona. Jej strach zniknął.

- Nawet gdybym już nigdy nie zasnęła w prawdziwym łóżku, byłabym szczęśliwa. Chętnie chodziłabym w łachmanach, byle tylko żaden mężczyzna więcej nie podniósł na mnie ręki... ani nie wziął siłą, wbrew mojej woli.

- Więc będziesz tam szczęśliwa. Razem zarobimy na życie. Wiem, że to możliwe. We dwie tym bardziej damy sobie radę.

Millicent chwyciła jej dłonie.

- Naprawdę? Zabierzesz mnie ze sobą?

- Tak! Obiecuję!

Wezwanie od premiera było pilne, więc Stanmore pojechał na Downing Street przekonany, że lord North zapyta go o udział w kolejnych akcjach przeciwko handlowi żywym towarem. W ostatnim czasie znowu doszło do zamieszek w stoczni - tym razem w Liverpoolu - która dostała zamówienie na budowę dwóch nowych statków niewolniczych. A przed dwoma dniami inna jednostka spłonęła doszczętnie i zatonięła w mętnych wodach Tamizy koło Deptford.

W parlamencie i poza nim nie było tajemnicą, że Stanmore po cichu wspiera grupy, których celem jest utrudnia-



nie życia handlarzom niewolników. Wiosną premier zasugerował w kilku komentarzach na ten temat, że pomoc hrabiego jest bardziej aktywna, niż się powszechnie sądzi. A bez wątpienia, rozmyślał Stanmore, czekając na gospodarza, zniszczenie pięciu statków niewolniczych w czasie ćwiczeń marynarki królewskiej, ściągnęło na rząd trochę kłopotów.

O dziwo, lord North powitał go bardzo serdecznie. Idąc za nim do prywatnego gabinetu, hrabia z zaskoczeniem stwierdził, że ich spotkanie będzie miało charakter nieoficjalny, wręcz prywatny.

- Mój sekretarz wykazał się nadgorliwością, a ja po prostu chciałem zobaczyć się z panem w czasie pańskiego pobytu w Londynie, Stanmore. Ostatnie dni były w parlamencie gorące, więc nie miałem okazji pogratulować panu odzyskania syna.

Hrabia nie dał po sobie poznać zdziwienia. Usiadł w dużym, wygodnym fotelu naprzeciwko gospodarza i powiedział krótko:

- Dziękuję, milordzie.

W tym momencie z korytarza dobiegły dziecinne głosy i tupot małych stóp. Najważniejszy człowiek w Anglii spojrział ku drzwiom i z wyrazem rozbawienia i czułości na twarzy zaczekał, aż hałasy ucichną.

- Dzieci to cudowne stworzenia, ale potrzebują świeżego powietrza i miejsca do biegania. Dlatego jutro wyjeżdżamy do Banbury i Wroxton Abbey. - Z jego piersi wyrwało się westchnienie rezygnacji. - Niestety będę musiał wrócić do Londynu na urodziny króla. Dostałem zaproszenie do White House w Kew.

Przyjaźń jego królewskiej wysokości z premierem nie była na dworze tajemnicą. Całkowity brak wyniosłości oraz uczciwość i poczucie honoru wyróżniały lorda Northa spośród ostatnich szefów rządu brytyjskiego. Stanmore również darzył go szacunkiem.

- Słyszałem, że pan również wybrał dla syna czyste wiejskie powietrze. Zatrzyma go pan na lato w Solgrave?

- Tam wydaje się najszczęśliwszy.
- Ma na imię James, prawda?
- James Samuel. Po moim ojcu.
- I przypuszczam, że będzie uczęszczał do Eton?
- Oczywiście. Od jesieni, milordzie.

Stanmore zmierzył premiera wzrokiem. Może winna była jego podejrzliwa natura, ale zastanawiał się, jaki jest cel tych pytań. Mimo że obaj skończyli Eton i studiowali w Oxfordzie, nie zostali bliskimi przyjaciółmi.

- Mój najstarszy już rozpoczął tam naukę. - Lord North rozparł się wygodnie w fotelu. - Ach, jest pan szczęściarzem, Stanmore. Muszę wyznać, że choć mieszkamy w centrum kultury i edukacji, w „stolicy świata”, jak mówił Horace Walpole, moja żona ma ogromne trudności ze znalezieniem guwernantek i nauczycieli dla naszych dzieci. - Gospodarz wsunął kciuki w kieszenie kamizelki i zastanawiał się przez chwilę. - Doszły mnie słuchy, że pański syn odebrał świetne wychowanie, choć zajmowała się nim całkiem obca osoba, w dodatku w tych piekielnych koloniach.

- Rzeczywiście otrzymał doskonałe podstawy - odparł zgodnie z prawdą Stanmore.

Plotki, które dotarły do premiera, on sam celowo rozpuścił, żeby mieć na nie wpływ. Lecz rzeczywiście nic nie mógł zarzucić Rebecce Ford, która mimo skromnych środków tyle dobrego zrobiła dla Jamesa.

- I rozumiem, że ta tajemnicza kobieta z kolonii, która tak doskonale wychowała pańskiego syna, zostanie u was przez jakiś czas? - zapytał lord North, przerywając jego rozmyślenia.

- Tak, milordzie.

- Jest aniołem miłosierdzia czy raczej... osobą wyrachowaną?

- Bez wątplenia pani Ford jest aniołem. Kierowała się jedynie współczuciem dla Jamesa i mojej nieżyjącej żony. Zaopiekowała się nim, nie oczekując żadnej nagrody.

Gdy przez twarz premiera przemknął dziwny uśmiech,

Stanmore zorientował się natychmiast, że zbyt skwapliwie stanął w obronie Rebeki.

- W takim razie to rzeczywiście niezwykła osoba. Proszę mi powiedzieć, jak długo zamierza zostać w Anglii?

Hrabia nie chciał nawet myśleć o jej wyjeździe.

- Przypuszczam, że jeszcze przez jakiś czas. Uważa, że James powinien oswoić się z nowym otoczeniem, zanim ona wróci do kolonii.

- Mądra i wrażliwa. - Lord North w zamyśleniu wydał mięsiste wargi. - Jedyne żywicielka dziecka przez tyle lat... Pani Ford musi być bardzo przywiązana do pańskiego syna, a mimo to gotowa jest zerwać więzi łączące ją z Jamesem i zostawić go, kiedy jej obecność już nie będzie potrzebna. Naprawdę wyjątkowa kobieta.

„Wyjątkowa” to za mało powiedziane, zaprotestował w myślach Stanmore, ale czym prędzej spuścił wzrok, gdy sobie przypomniał, że Rebeka ukryła przed nim część swojej przeszłości. Z drugiej strony, on też nie podzielił się z nią własnymi sekretami.

- Bardzo chciałbym ją poznać.

Stanmore podniósł oczy na gospodarza i zobaczył, że premier przygląda mu się z wielkim zainteresowaniem.

- Słucham, milordzie?

- Mówiłem, że bardzo chętnie poznałbym pańskiego syna i fascynującą panią Ford. Proszę się nie dziwić, że zrobiła na mnie wrażenie. Może przyjęłaby posadę w moim domu zamiast wracać do Filadelfii, tego siedliska podżegaczy.

- Pani Ford nie szuka posady.

Sprzeciw zabrzmiał ostro, nawet w jego uszach, ale Stanmore nie chciał, żeby Rebeka pracowała u obcych ludzi. Do licha, w ogóle nie musiała zarabiać na życie. Mógł ją gościć i utrzymywać... w nieskończoność.

Ta zaborczość wzbudziła w nim niepokój. Po raz pierwszy od lat pomyślał o długotrwałym związku. Przed oczami stanęła mu jej piękna twarz, oczy, włosy, uśmiech. Do diaska, tęsknił za nią!

- Cóż, mimo wszystko chciałbym ją poznać, zanim wróci do Ameryki - nalegał North. - Miałby pan coś przeciwko temu, żebym złożył panu wizytę na wsi?

- Wasza lordowska mość wspomniał, zdaje się, że planuje wyjazd do Wroxtton Abbey, a potem z królem do Kew.

- Istotnie, ale będę wracał do Londynu przez Hertfordshire. No, Stanmore, chyba nie odmówi pan gościny strudzonemu pielgrzymowi?

- Zawsze jest pan mile widziany w Solgrave, milordzie - odparł hrabia, ale nie zdołał wykrzesać z siebie entuzjazmu.

Rebeka już powzięła decyzję, lecz nie mogła wyjechać, nie uzyskawszy wprawdzie paru odpowiedzi.

Sprawa była delikatna, ale na razie udało się jej uniknąć wzbudzenia podejrzeń w tych, których pytała. Niestety ani majordomus, ani ochmistrzyni nie pomogli jej lepiej zrozumieć nieżyjącej lady Stanmore. Oboje uważali Elizabeth Wakefield za zepsutą młodą kobietę, która oczekiwała, że rodzina męża będzie ją rozpieszczać tak samo jak jej własna. Fakt, że w czasie swojego krótkiego małżeństwa trzymała się z dala od Solgrave, budził w nich jeszcze większą niechęć. Rebeka szybko skierowała rozmowę na inne tematy.

Porzuciwszy nadzieję, że coś więcej wyciągnie od pani Trent albo od Daniela, postanowiła skupić wysiłki na Philipie. Choć londyński majordomus miał opinię ponuraka, ona od początku była zdania, że wcale nie brakuje mu uroku.

Sobotni poranek wstał szary, mokry i wyjątkowo zimny jak na koniec maja. Tego dnia nie było lekcji z panem Clarke, więc Jamey zjawił się u niej tuż po świcie, spragniony jej towarzystwa. Oboje potrzebowali wspólnie spędzanych chwil. W Filadelfii bardzo je lubili. W dodatku Rebeka wiedziała, że to pewnie jeden z ostatnich takich poranków.

Wmawiała sobie, że będzie w stanie opuścić Jameya. Nie martwiła się już o niego tak bardzo, jak zaraz po przybyciu. Chłopiec odzyskał grunt pod nogami, czuł się tu coraz pewniej, niemal jak na ulicach i nabrzeżach Filadelfii. Jednocześnie stracił dzieciinną naiwność i szybko dojrzał. Już nie skupiał się tylko na własnych potrzebach, ale

zainteresował się innymi rzeczami, na przykład prowadzeniem takiego majątku jak Solgrave. Wypytywał ją również o działalność polityczną i wpływy ojca, co mocno zaskoczyło Rebeke.

Przyjął do wiadomości, kim jest i gdzie jego miejsce, co trochę osłabiło jej poczucie winy, że do ostatniej chwili zwleka z wyjawieniem mu prawdy o swoim wyjeździe. Chcąc odwrócić uwagę od rychłego rozstania, powiedziała o obietnicy hrabiego, że co dzień rano będzie zabierał go na przejażdżkę po posiadłości. Jamey wyraźnie się ucieszył, choć próbował to ukryć.

Tuż po śniadaniu, gdy pobiegł do stajni, żeby zająć się kucykiem, którego sobie wybrał w poprzednim tygodniu, Rebeka odszukała Philipa. Majordomus doglądał pracy lokaja hrabiego.

- Philipie, będziesz tak miły i oprowadzisz mnie po galeriach?

Ukryła uśmiech na widok wdzięczności, która odbiła się na twarzy lokaja, i zauważyła, że nawet majordomus się rozpogodził. W przeciwieństwie do Daniela, który wypełniał swoje zwykłe obowiązki, starszy brat najwyraźniej się nudził, odkąd lord Stanmore pojechał do Londynu.

Rozpoczęli zwiedzanie od dolnej galerii. Zatrzymywali się pod starymi portretami przodków hrabiego, a Philip wymieniał ich nazwiska, tytuły i osiągnięcia. Gdy stanęli pod jednym z nowszych obrazów, przedstawiającym piękną, ciemnowłosą kobietę z dzieckiem na ręku, Rebeka oniemiała.

- Lady Margaret. Córka nieżyjącego Jamesa Grahama, czwartego markiza i pierwszego diuka Montrose. Matka obecnego hrabiego Stanmore.

- Nadzwyczajne podobieństwo - bąknęła Rebeka. Te same wydatne kości policzkowe, pełne usta, nawet oczy, nie licząc ich wyrazu. Lady Margaret była oszałamiająco piękna. To po niej syn odziedziczył urodę. - Co się z nią stało?

- Stało? - zdziwił się Philip. - Nic. Lady Margaret Bu-

chanan, jak woli, żeby się teraz do niej zwracano, miewa się dobrze. Mieszka w rodowej siedzibie w Szkocji.

Rebeka już się nauczyła, że jeśli chce czegoś więcej dowiedzieć się od Philipa, nie powinna zadawać mu pytań, tylko okazać zainteresowanie i cierpliwie czekać. Nie rozczarowała się, bo majordomus przemówił ściszym, bardziej poufałym tonem:

- Lady Margaret i nieżyjący hrabia Stanmore zawarli aranżowane małżeństwo. Przykro mi to mówić, lecz między nimi nigdy nie było uczucia ani nawet sympatii. Pani postąpiła jednak zgodnie z życzeniem swojej rodziny i została z jego lordowską mością do czasu, aż ich syn skończył pięć lat. Potem wróciła do Buchanan House w Szkocji, w pobliżu Loch Lomond.

Nic dziwnego, że Samuel Wakefield tak sceptycznie odnosi się do miłości, pomyślała Rebeka. Choć sama wychowywała się jako sierota, życie rodzinne poznała na Truskawkowej, w domu Molly i Johna Butlerów.

- Jego lordowska mość wspominał, że co roku jesienią spędza miesiąc w Szkocji.

- Tak. Zaczęto go tam posyłać jako małego chłopca, żeby ugłaskać rodzinę lady Margaret. Ale zawsze lubił te wakacje. I nadal lubi.

Rebeka niechętnie odeszła od portretu i ruszyła dalej. W pewnym momencie uświadomiła sobie, że nigdzie tutaj nie ma choćby najmniejszego śladu po Elizabeth.

- Jamesowi zapewne spodoba się ta galeria.

- Już się spodobała. - Philip z aprobatą pokiwał głową. - Wczoraj po południu zastałem go tu wpatzonego w obrazy, więc zaproponowałem, że będę jego przewodnikiem. Chętnie się zgodził. Proszę przyjąć moje gratulacje, pani Ford, za sposób, w jaki pani wychowała panicza.

- Cała zasługa należy się jemu - stwierdziła Rebeka. - Jest bardzo inteligentnym i dobrym chłopcem. Czy szukał czegoś konkretnego?

- Tak, madam. Obrazu swojej matki - odparł majordomus z wahaniem.

- I tak powinno być. James musi zaakceptować swoje pochodzenie, zobaczyć, że ktoś lepszy niż ja sprowadził go na ten świat.

- Na pewno nie lepszy, jeśli wybaczy mi pani śmiałość, pani Ford. Poza tym paniczka Jamesa tylko spłodził ktoś inny.

Rebeka spuściła oczy, walcząc z pokusą, żeby wstawić się za Elizabeth. W końcu doszła do wniosku, że nie przed tym człowiekiem powinna bronić jej dobrego imienia.

- Dziękuję - powiedziała. - A swoją drogą, czy jest tutaj portret matki Jamesa?

Philip potrząsnął głową.

- Nie w Solgrave. Nie było czasu na namalowanie konterfektu. Widzi pani, państwo pobrali się w lipcu tysiąc siedemset pięćdziesiątego dziewiątego roku. Niecały miesiąc później jego lordowska mość został majorem w czterdziestym piątym królewskim regimencie piechoty i pożegłował do kolonii, żeby walczyć o Quebec. Nie było go dwa lata. W tym czasie lady Stanmore przebywała głównie w Londynie. - Philip spojrzął na holenderskie płótno, które przedstawiało miasto leżące nad wzburzonym morzem. - Szybko się zorientowaliśmy, że hrabina nie jest sobą. Ciężko znosiła swój odmienny stan. Wiele czasu spędzała w łóżku. Ale jestem pewien, że jej rodzina... - Philip zawiesił głos.

Rebecce zamarło serce. Stanmore wyjechał w sierpniu. James urodził się dopiero w lipcu następnego roku... w dniu, kiedy poznała Elizabeth.

- Mówisz, że źle się czuła?

- Tak, madam. Kiedy w maju urodziło się dziecko, lekarz zażądał, żeby pozostała w odosobnieniu przez nieokreślony czas. Dom zamknięto przed gośćmi, ponieważ oboje byli bardzo słabi.

- Czy w maju wydano ogłoszenie o narodzinach chłopca?

- Dość ogólne, jeśli mogę tak powiedzieć. Domownicy wiedzieli, że nie ma dużej nadziei, żeby paniczka przeżyła.



- Ale ojciec lorda Stanmore ogłosił, że urodził się chłopiec, i podał nawet jego imię.

Majordomus zmierzył ją wzrokiem.

- Tak, madam. James Samuel Wakefield.

Rebeka ponownie zerknęła na holenderski obraz. Ponad iglicami kościoła kłębiły się na niebie białe, szare i różowe chmury.

- Opiekowałeś się matką i dzieckiem, Philipie?

Sługa zeszywniał.

- Stary hrabia dopuszczał do nich tylko pielęgniarki, które sprowadził lekarz.

„Urodził się dziś rano”. Słowa Elizabeth rozbrzmiały w jej głowie tak wyraźnie, jakby usłyszała je wczoraj.

- Pani pozostawała pod ich opieką, odcięta od świata, przez dwa miesiące. I nagle pewnego ranka w domu powstało wielkie zamieszanie. Okazało się, że hrabina wstała w nocy, zabrała dziecko i zniknęła!

Rebeka była pewna, że Jamey miał zaledwie jeden dzień, gdy go pierwszy raz zobaczyła. Zrozumiała, że poprzedni hrabia zawiadomił o narodzinach wnuka dwa miesiące przed czasem i ukrywał matkę do chwili, kiedy dziecko naprawdę przyszło na świat. Aż bała się myśleć, co by się stało, gdyby Elizabeth powiła dziewczynkę. Ale co skłoniło młodą hrabinę do zabrania syna i ucieczki?

Otrząsnęła się z zamyślenia, wygładziła czoło i spojrzała na kolejny portret.

- Oto ostatni hrabia Stanmore - wyjaśnił Philip. - Podobiznę namalował latem przed tymi wydarzeniami sam wielki sir Joshua Reynolds.

Zadumany mężczyzna, stojący przed posągiem Zeusa, frapował wyglądem. Jedyłą oznaką wieku były szpakowate włosy. Atletycznej budowy, emanował siłą i pewnością siebie.

Rebecce przyszło do głowy, że jego bliskość mogła dodawać otuchy synowej. Zamknęła na chwilę oczy. Jak mogła winić Elizabeth? A może to hrabia uwiódł młodą kobietę,

wykorzystując nieobecność jej męża, uczynił z niej bezwolną ofiarę? Oczywiście, jeśli nie było innego mężczyzny. Narodziny Jamesa otaczała tajemnica, ponieważ chodziło o ratowanie dobrego imienia lorda Stanmore.

Rebeka znowu spojrzała na obraz. Tak, teraz dostrzegła podobieństwa: zarys podbródka i kształt uszu. Poza tym malarz uchwycił przenikliwe spojrzenie, które cechowało również Jameya.

- Dwa lata po powstaniu tego portretu lord Stanmore spadł z konia i stracił władzę w nogach.

- Obecny hrabia przez cały ten czas przebywał poza krajem?

Philip pokiwał głową.

- Tak. A kiedy wrócił do domu, stwierdził, że żona i syn zniknęli, zaś ojciec jest kaleką. Przykro mi to mówić, ale paraliż nie był jedynym nieszczęściem, które dotknęło poprzedniego hrabiego. Lord Stanmore z każdym rokiem stawał się coraz bardziej drażliwy, wybuchowy, bliski szaleństwa.

- Kiedy umarł?

- Trochę ponad rok temu.

Rok. Po śmierci ojca Samuel Wakefield rozpoczął poszukiwania syna, pomyślała Rebeka, idąc za majordomusem do następnych obrazów. O dziwo, prawda o niechlubnej przeszłości rodziny nie zmniejszyła jej szacunku dla hrabiego. Ostatecznie to on wziął na siebie naprawienie zła.

Odwróciła się i wyjrzała przez okno na jezioro i drogę prowadzącą do Solgrave. Wszystko się skomplikowało. Straciła głowę dla lorda Stanmore, ale musiała go opuścić.

Gustownie ubrane dziewczęta. Spokój. Porządek. Etykieta. Punktualność. Kobiecość. Dobre wychowanie. Obserwując młode damy, które wychodziły z sal, lady Nisdale czuła dreszcz na skórze. Ekskluzywna Akademia dla Dziewcząt w Oxfordzie, prowadzona przez panią Stockdale, była symbolem tego wszystkiego, czego Louisa nie nawidziła w wyższych sferach. Jej rodzice nie mieli środ-

ków, żeby posłać ją do takiej szkoły, a zresztą ona nie wytrzymałaby w niej nawet jednego dnia.

Ukrywając pogardę pod miodowym uśmiechem, słuchała przemowy pani Stockdale o niezliczonych zasługach jej placówki. Chciała się spotkać ze starą pedantką poprzedniego dnia, ale nie pozwolił na to plan zajęć dyrektorki. Podobno kolacja z jakimś wielebnym czy inną ważną osobą!

Choć sam pobyt w zakurzonej mieście uniwersyteckim był denerwujący, samo czekanie wyszło Louisie na dobre, bo przy okazji udało się jej wypytać żonę właściciela gospody, w której znalazła pokój na noc. Dowiedziała się, że pani Stockdale nie jest podatna na zastraszenie, a i bezpośredniość też na nic się nie zda. Pozostało więc udawanie, w czym Louisa, tak się złożyło, była mistrzynią.

- Więc ile lat ma teraz pani córka, lady Nisdale?

Louisa uśmiechnęła się promiennie.

- Moja kruszynka skończyła dopiero pięć lat! Oczywiście jest jeszcze za mała, żeby ją tu przywieźć, ale tyle dobrego słyszałam o pani szkole od moich drogich przyjaciółek, że...

- Pięć to wcale nie za mało! - powiedziała siwowłosa dyrektorka. - Choć z zasady nie przyjmujemy dzieci w tym wieku, ale zdarzały się nam i takie uczennice. Oczywiście przybywały z własnymi guwernantkami. Życie piętrzy przed nami trudności, dlatego staramy się być otwarci. Wie pani, matka umarła przy porodzie, owdowiały ojciec pozostaje w służbie króla i nie może...

- Rozumiem i zapewniam panią, że moja sytuacja nie wymaga wyjątkowego traktowania. Jak już wspomniałam, po prostu zainteresowała mnie pani szkoła po licznych pochwałach, które słyszałam od pani dawnych uczennic.

- Absolwentki to moje najlepsze referencje, lady Nisdale.

- Dobrze powiedziane. - Louisa poprawiła karbowany lok. - Otóż zaledwie przed kilkoma dniami odwiedziłam w Melbury Hall lady Wentworth... - Widząc pusty wzrok dyrektorki, wyjaśniła: - Wtedy nazywała się Millicent Gregory.

- Oczywiście! Dobrze pamiętam pannę Gregory.

- Lady Wentworth wiele mi opowiadała o latach spędzonych w pani prześwietnej akademii. Nie mogła się nachwalić edukacji, którą tutaj otrzymała, wspominała też o zawartych wówczas przyjaźniach. Kilka razy wymieniła nazwisko pewnej młodej kobiety... Jak ono brzmiało? Rebeka... serdeczna przyjaciółka panny Gregory, to znaczy lady Wentworth. Rebeka... hm... - Louisa dotknęła czoła i spojrzała w sufit. - Chyba tracę pamięć. Rebeka...

- Neville?

- Właśnie! Rebeka Neville! Lady Wenworth dużo o niej mówiła. Żaliła się, że po ukończeniu szkoły straciła z nią kontakt.

Dyrektorka skierowała wzrok za otwarte okno. Na jej pomarszczonej twarzy ukazał się wyraz zadumy.

- Ale takie jest życie, prawda, pani Stockdale? Najpierw swoboda młodości, a potem małżeństwo, obowiązki, dzieci. Wszystko to oddziela nas od ludzi, którzy kiedyś byli nam drodzy. - Louisa uznała, że jest bardzo sprytna, plotąc te bzdury. - Kiedy moja droga przyjaciółka lady Wentworth usłyszała, że się tutaj wybieram, poprosiła mnie, żebym zapytała o pannę Neville. Była ciekawa, gdzie teraz mieszka i co u niej słychać. - Skromnie złożyła ręce na kolanach i czekała na reakcję, ale pani Stockdale nadal wyglądała przez okno. - Lady Wentworth pragnie zorganizować spotkanie po latach. Gdyby mogła mi pani powiedzieć, gdzie obecnie można znaleźć pannę Neville...

- Bardzo mi przykro, lady Nisdale. - Dyrektorka wróciła do niej spojrzeniem. - Nie powinnam nawet wyjawiać jej nazwiska. Widzi pani, szczególną wagę przywiązuję do prywatności moich uczennic. W tej sytuacji lepiej porozmawiajmy o pani córce, bo taki przecież jest powód pani wizyty, prawda, lady Nisdale?

Kiedy dwaj mężczyźni wjechali na dziedziniec Solgrave, ze wszystkich stron zbiegli się ku nim słudzy z pochodniami.

- Myślisz, że ponuractwo jest dziedziczne? - Sir Nicho-

las Spencer zsiadł z wierzchowca i rzucił wodze stajennemu, po czym ruszył za przyjacielem do drzwi wejściowych. - Widzę, że postanowiłeś zbyć to pytanie milczeniem. Doskonale! A czy w takim razie sądzisz, że paskudny nastrój może być zaraźliwy? - Baronet wydłużył kroku, żeby nadażyć za hrabią. - Do licha, Stanmore, odpowiedz chociaż na to jedno. Spędziłem w twoim towarzystwie tyle godzin, że muszę wiedzieć, czy mój godny pozazdrosczenia urok nie jest poważnie zagrożony.

- Jak zwykle, Nicholasie, wybrałeś świetny moment.

Na szczycie marmurowych schodów już czekali na nich dwaj majordomowie.

- Mogłeś mi powiedzieć, że to niewłaściwa pora na odwiedzin.

- Mówiłem. Kilka razy.

- No cóż, chyba rzeczywiście. Ale jako oddany przyjaciel uważam, że moim świętym obowiązkiem jest poprawić ci humor, nie zważając na groźby, a przypominam sobie jedną czy dwie.

- Oszczędź mi swojego miłosierdzia.

Nicholas zignorował tę uwagę i uprzejmie przywitał się z ochmistrzynią, podczas gdy Stanmore rozmawiał z majordomusami. W Londynie aż wrzało od plotek o najeździe gości na Hertfordshire. Lady Nisdale, esquire Wentworth, lady Wentworth, lord Stanmore, jego odzyskany syn. I oczywiście tajemnicza pani Ford, o której wszyscy tyle mówili, choć jeszcze nikt jej nie poznał. Podobno nawet lord North wybierał się na wieś. Od takiego zamieszania Nicholas na ogół trzymał się z daleka. I pozostałby wierny swojemu zwyczajowi, gdyby poprzedniego dnia nie spotkał Stanmore'a i nie stwierdził, że od ostatniego razu zaszła w nim poważna zmiana.

Uparł się więc, żeby pojechać z nim do Solgrave. Kierowało nim poczucie obowiązku. No dobrze, także i ciekawość.

- Panicz James i pani Ford już jedli kolację, milordzie -

oznajmiła pani Trent. - Chłopiec już śpi, a pani Ford jeszcze niedawno czytała w bibliotece.

Z kolei Philip zamierzał coś szepnąć lordowi Stanmore do ucha, ale uprzedził go Daniel, pytając:

- Życzy pan sobie kolacji, milordzie? Każę Harry'emu...

- Nie trzeba. Sir Nicholas i ja zatrzymaliśmy się przed St. Albans, w tej nowej gospodzie.

- Okropne miejsce - wtrącił Spencer. - Zdaje się, że kucharzem jest tam jeden z braci Harry'ego.

Philip znowu nachylił się do hrabiego.

- Pani Ford chyba czekała na pana powrót, milordzie.

Nicholas usłyszał ciche słowa starszego majordomusa i uniósł brew na widok spojrzenia, które przyjaciel posłał w stronę biblioteki.

- Danielu, bądź tak dobry i zaprowadź sir Nicholasa do jego pokoju...

- Jeszcze nie. - Spencer oddał służce płaszcz i ruszył przez hol. - Idziesz, Stanmore? To była długa jazda, więc rozpaczliwie potrzebuję kieliszka twojego najlepszego portu, zanim udam się na spoczynek.

- Oczywiście! Poślę ci butelkę do pokoju. - Stanmore zrównał się z gościem i spiorunował go wzrokiem.

- Nic z tego! - Nicholas obejrzał się i zobaczył, że ochmistrzyni oraz dwaj majordomusowie stoją w tym samym miejscu. Ściszył głos i dodał: - Nie możesz wiecznie jej ukrywać. Przedstaw mi ją i zaraz sobie pójdę.

- Troskliwy jak kwoka. Jutro będzie dość czasu na prezentację.

Spencer znieruchomiał z ręką na klamce, szczerze zaskoczony wyrazem twarzy przyjaciela.

- Do diabła! Usidliła cię!

- Nonsens!

- Owszem. Nieugięty lord Stanmore ujarzmiony przez kobietę.

- Nicholasie!

Baronet zlekceważył groźbę zawartą w okrzyku i otwo-

rzył drzwi. Choć nie przepadał na książkami, lubił atmosferę dobrze urządzonej biblioteki. Ta była obszerna i wygodna. Ciężkie story zaciągnięto dla ochrony przed wilgocią, a pomieszczenie rozjaśniał łagodny blask dziesiątków świec. Zanim Nicholas ogarnął wzrokiem cały pokój, obok niego przecisnął się Stanmore, a z kanapy wstała smukła kobieta.

- Milordzie! - zawołała radośnie na widok hrabiego.

Patrzyła tylko na niego, więc Nicholas mógł swobodnie kontemplować jej urodę. Miękkie fale koloru ognia i złota, opadające na kształtne ramiona. Niebieskie źrenice, pełne usta, wydatne kości policzkowe, krągłe piersi rysujące się pod suknią.

Wrócił spojrzeniem do rozpromienionej twarzy. Było w niej coś znajomego. Jakaś zmysłowość, płomień jarzący się w głębi oczu...

Tak! *Już* kiedyś ją widział... albo *raczej* kogoś bardzo podobnego. Na najpiękniejszym portrecie, jaki zdarzyło mu się podziwiać. W willi wielkiego aktora Davida Garricka w Hampton.

Pani Ford do złudzenia przypominała aktorkę, która przez lata, jeszcze do niedawna, była królową londyńskich scen, wspomniała Jenny Greene.

Cała rozdygotana nie mogła zaczerpnąć oddechu. Płoczące oczy hrabiego wyrażały coś więcej niż tylko radość na jej widok. Dużo więcej. Minęło trochę czasu, nim ode-rwała od nich wzrok i dostrzegła gościa.

- Pani Ford, pozwoli pani, że przedstawię jej największe-go łotra spośród moich przyjaciół, sir Nicholasa Spencera.

Rebeka dygnęła i podała mu rękę, a mężczyzna uniósł ją do ust. Gdy chwilę później zabrała dłoń, zaczął się jej dziwnie przyglądać. Jego spojrzenie nie było lubieżne, ale raczej taksujące. Mimo to poczuła się nieswojo.

Sir Nicholas był mniej więcej tego samego wzrostu i postu-ry co hrabia, ale na tym podobieństwa się kończyły. Złamany nos i długie, falujące włosy, związane z tyłu czarną wstążką, nadawały mu drapieżny wygląd. Pod ogładą i nienagannymi manierami błękitnookiego blondyna czaiła się dzikość.

- Nicholas chciał tylko się przedstawić - powiedział Stanmore. - Jest zmęczony po długiej podróży i właśnie udaje się...

- Pani uroda oszałamia, pieści oczy strudzonego wę-drowca - przerwał mu Spencer. - Ale oburzające jest to, że ten drań ukrywał taki skarb i przez kilka tygodni pozba-wiał swych przyjaciół, których liczba szybko się zmniej-sza, towarzystwa bogini.

Rebeka poczuła, że się czerwieni. Ścisnęła książkę, któ-rą czytała, zanim weszli, i zerknęła na hrabiego. Zobaczy-ła, że gospodarz mierzy sir Nicholasa groźnym wzrokiem. Opuściła oczy.



O, Boże! Co sobie myślała? Włożyła całkiem niestosowną suknię na ten wieczór. Z pewnością nie oczekiwała takiej reakcji. Co gorsza, chciała zrobić wrażenie na Samuele Wakefieldzie, chociaż już zdecydowała, że wyjeżdża. I poniosła zasłużoną karę za wyuzdanie: zwróciła na siebie uwagę niewłaściwego mężczyzny!

- I jak skromnie się rumieni, kusicielka!

- Dość tego, Nicholasie! - rzekł Stanmore. - Mówiąc w ten sposób, ze zwykłego kłopotliwego gościa stałeś się łotrem, którym w rzeczywistości jesteś.

- Nie będę się wypowiadać co do pańskiej uwagi na temat charakteru sir Nicholasa, milordzie, ale pański gość na pewno nie jest kłopotliwy - odezwała się Rebeka, patrząc hrabiemu w oczy. Następnie przeniosła wzrok na jego uśmiechniętego towarzysza. - Jeśli się rumienię, to tylko dlatego, że nie jestem przyzwyczajona do kwiecistych komplementów. W związku z tym nie mam gotowych ripost na wielce przesadzone pochwały, nawet jeśli są one jedynie wynikiem zmęczenia. Winny jest zatem nie sir Nicholas, tylko mój brak doświadczenia.

Spencer przyłożył dłoń do serca.

- Przysięgam, madam, że w moich pochwałach nie ma żadnej przesady. Każde słowo zaczerpnąłem z głębokiej studni swojego podziwu.

- Chyba naprawdę jest pan zmęczony, sir, skoro opuszcza pan gardę tak nisko, że nawet amator może zadać panu ranę.

- Ranę, pani Ford?

- „Głęboka studnia podziwu”... - Rebeka potrząsnęła głową. - Wydaje mi się, sir, że tylko z płytkiej i pustej studni można czerpać tanie pochlebstwa pod adresem całkiem obcej osoby.

Drań się roześmiał.

- Zraniła mnie pani.

Tymczasem podszedł do niej Stanmore i opiekuńczym gestem otoczył ją ramieniem w talii.

- Lepiej, że pani Ford niż ja, Nicholasie. Poza tym już się przywitałeś.

Spencer ukłonił się ponownie.

- Na szczęście mam pewność, że rano odnowimy naszą znajomość, i tylko dlatego pozwolę temu okrutnemu tyranowi pozbyć się mnie w nikczemny sposób. Ale czy jutro mogę liczyć na zaszczyt i przyjemność spędzenia czasu w pani towarzystwie? Może mała przejażdżka albo spacer po parku jego lordowskiej mości? - Uniósł rękę, kiedy próbowała coś powiedzieć. - Zanim odrzuci pani moje zaproszenie, dam słowo honoru, że powściągnę język i będę mówić wyłącznie prawdę.

W tym momencie Rebeka stwierdziła, że właściwie lubi sir Nicholasą. Bez wątpienia był bawidamkiem, ale również miłym człowiekiem, który nikogo nie obraża.

- Na zaproszenie odpowiem rano, po tym, jak ocenię pańskie referencje z naszym gospodarzem.

Stanmore mocniej objął ją w tali. Nie śmiała na niego spojrzeć z obawy, że zobaczy na jego twarzy triumfalny uśmiech skierowany do przyjaciela.

- Przyjemnych snów, Pusta Studnio.

Spencer mrugnął do nich okiem, ukłonił się i ruszył do drzwi. W progu zatrzymał się i odwrócił z poważną miną.

- Ona jest starsza od pani o dwadzieścia... może trzydzieści lat.

- Kto, sir Nicholasie?

- Aktorka, Jenny Greene. Zna ją pani?

Żołądek Rebeki zacisnął się w supeł.

- Tylko ze słyszenia.

Stanmore poczuł, że Rebeka drży. Gdy zostali sami, spojrzął na nią i zobaczył, że z jej twarzy odpłynęła cała krew. Wziął ją w objęcia.

- Zimno pani.

Nie odepchnęła go, tylko otoczyła ramionami jego szyję. Głową sięgała mu pod brodę.

Jej ufna i niewinna reakcja sprawiła, że ścisnęło mu się gardło. Nie szukała namiętności, lecz pocieszenia. Po prostu chciała, żeby ją przytulił. Dziwne, jeszcze niczego sobie nie wyznali, nie zaspokoili tęsknoty ciał, a ona już stała mu się bliska, jak jeszcze żadna kobieta.

- Długo mnie nie było? - Uśmiechnął się, gdy pokiwała głową, nie odrywając jej od jego piersi. - Czy przypuszczenie, że pani na mnie czekała, nie jest zbyt śmiałe?

Odsunęła się trochę i spojrzała mu w oczy.

- Nie musi pan snuć przypuszczeń. Sama się do tego przyznaję. Ale jestem ubrana tak bezwstydnie, że chyba każdy, kto mnie dzisiaj widział, domyślił się moich zamiarów.

Zachwycony jej rumieńcem zerknął na głęboki dekolt sukni. Z trudem oderwał wzrok od kuszących kremowych wypukłości i przesunął dłonią po jej plecach.

- Jest pani ubrana zgodnie z najnowszą modą. Każdy czułby się szczęściarzem, mogąc podziwiać pani urodę.

Z lekkim uśmiechem zdjęła ręce z jego barków na tors.

- Chyba spędził pan dziś zbyt dużo czasu w towarzystwie sir Nicholasa. Zaczyna pan mówić tak jak on.

- Istnieje między nami pewna istotna różnica. Nicholas emabluje wszystkie piękności, ja tylko tę, której od dawna pragnę. Jedyłą, która porusza mnie do głębi i rozpala moją krew. Jedyłą kobietę, której udało się wkraść do mojego serca. Jedyłą, o której nie mogę przestać myśleć od chwili, kiedy ją ujrzałem. - Gdy przyciągnął ją do siebie bliżej, w niebieskich oczach dostrzegł cień. - Proszę mnie z nim nie mylić, Rebeko.

W jej źrenicach dostrzegał jej duszę. Widział w nich również odbicie mężczyzny zakochanego po raz pierwszy w życiu.

- Nigdy nie pomyliłabym pana z nikim - wyszeptała w końcu, po czym uniosła się na palcach i przywarła ustami do jego ust.

Dopiero teraz Stanmore zrozumiał, że od dawna był chory, a Rebeka okazała się jego remedium.

Krew pulsowała mu w żyłach, ale choć marzył o tym, by przemóc jej obawy i sprawić, żeby poddała się namiętności, zapanował nad pożądaniem, żeby znowu jej nie przestraszyć.

Rebeka otoczyła jego szyję, palce wplotła we włosy, mocniej przycisnęła wargi do jego ust. Stanmore wyczuł, że na swój niewinny sposób zachęca go, żeby przejął inicjatywę. Ostrożnie, żeby nie stracić nad sobą kontroli, włożył w pocałunek całą czułość i pasję.

Jej ciche westchnienie było najprzyjemniejszym dźwiękiem, jaki kiedykolwiek słyszał. Pozwolił rękom błądzić po jej plecach, przyciągnął ją do siebie jeszcze mocniej, rozkoszował się idealnym dopasowaniem ich ciał.

Oderwał się od jej ust i zasypał pocałunkami twarz i szyję. Potem uniósł ją lekko i musnął wargami krągłe piersi. Gdy nie zaprotestowała, ogarnęło go silne pożądanie.

- Jesteś gotowa, Rebeko? - spytał zduszonym głosem.

- Tak - wyszeptała. - Po raz pierwszy w życiu.

On też wiedział, czego chce teraz, jutro, na wieki. Wziął ją na ręce i ruszył do drzwi.

- I już się nie rozmyślimy. Nie zatrzymamy.

Potrząsnęła głową.

- Nie zatrzymamy i niczego nie będziemy żałować. Wprost przeciwnie. - Uśmiechnęła się do niego nieśmiało. - Ale nie jestem przyzwyczajona do tego, żeby niesiono mnie do sypialni, gdy patrzą wszyscy domownicy.

Stanmore zawahał się, po czym delikatnie postawił ją na podłodze. Kobiety, z którymi do tej pory miał do czynienia, nie wymagały od niego dyskrecji.

- Oczywiście. Zrobię, jak zechcesz. - Nagrodą za te słowa był ciepły uśmiech i płomień w oczach. - Ale jeśli pozwolę ci teraz pójść do swojego pokoju, dasz mi słowo, że mnie wpuścisz?

Skinęła głową i musnęła pocałunkiem jego wargi.

- I obiecujesz, że będziesz niecierpliwie czekać przy drzwiach, ubrana tak jak teraz?

- Tak.

- I jeszcze jedno, Rebeko. Jak nazywałaś się przed zamążpójściem?

Zarumieniła się, ale nie odwróciła oczu.

- Neville - powiedziała cicho. - Rebeka Neville.

Stara kobieta złapała monetę i przyjrzała się jej w półmroku karocy; zasłonki w oknach były zaciągnięte. Do zaułka przy Christ Church, gdzie przyszła na umówione spotkanie, nie docierały odgłosy z High Street.

- Co pani chce usłyszeć? - spytała nerwowo.

- Powiedz mi wszystko, co wiesz o Rebecce Neville.

- Dawno nie słyszałam tego nazwiska, milady.

Louisa Nisdale ze zniecierpliwieniem sięgnęła do sakiewki.

- Jak będziesz mówić, to dostaniesz następnego szylinga.

Kobieta łypnęła na jej rękę.

- Panna Neville zamknięta w sobie, lecz uprzejma dla nas, służących, nie tak jak te wyniosłe... pani wybaczy, madam. Dziewczęta mieszkały na górze, my na poddaszu, ale ja pracowałam w kuchni i po prawdzie to nic więcej o niej nie wiem.

- Co się z nią stało? - Louisa podsunęła kobiecie pod oczy dwie monety. - Dokąd pojechała? Miała jakieś sekrety?

- Nie znam ich, madam. - Kucharka zmrużyła oczy. - A nawet gdybym znała, to pani zadaje za dużo pytań jak na taką małą zapłatę.

Lady Nisdale gniewnym gestem wyjęła z sakiewki złotą monetę.

- Dostaniesz ją, jak powiesz mi coś istotnego.

- Tak już lepiej, madam. - Służąca chwyciła pieniądz i zamknęła go w dłoni. - Oczywiście rozmawiamy o dawnych dziejach.

- Oczywiście! - syknęła Louisa. - Mów!

- Cóż, pani Stockdale znalazła pannie Rebecce pracę w Londynie, ale ona i tamta rodzina chyba nie przypadli sobie do gustu, bo panienka chyba po miesiącu uciekła i dosłownie zapadła się pod ziemię.

- Co to znaczy, że zapadła się pod ziemię?
- Właśnie to, co mówię, madam. Wyjechała do tej pracy i przepadła bez śladu.
- Kim byli ludzie, do których pojechała? Nazwisko. Służąca potrząsnęła głową.
- Nie mogę. To znaczy nie wiem. Do nas do kuchni niewiele dociera z wielkiego świata.
- Louisa nachyliła się i chwyciła kobietę za nadgarstek.
- Więc się dowiedz. Słyszysz? Wypytaj, do kogo w Londynie ją posłano.
- Kucharka uwolniła rękę.
- To będzie dodatkowo kosztowało.
- Jutro! - warknęła lady Nisdale. - Jak przyniesiesz mi to nazwisko.

Rebeka spacerowała po pokoju zdenerwowana z powodu własnych kłamstw.

Nie chciała zranić hrabiego, potraktować go jak inne kobiety, na których mu zależało: matka i żona. Nie mogła opuścić go bez słowa.

Dręczyła ją myśl, że najpierw będzie się z nim kochać, a potem po prostu zniknie. On dawał jej wybór, możliwość decydowania o ich relacjach, więc powinna odwzajemnić się tym samym.

Gdy usłyszała ciche pukanie, jej serce zabiło szybciej. Wzięła głęboki oddech i podeszła do drzwi.

Stanmore był bez surduta i kamizelki. Przez chwilę stała bez ruchu i tylko na niego patrzyła, jakby chciała, żeby jego obraz na zawsze wrył się w jej pamięć. To wspomnienie miało jej wystarczyć do końca życia.

- Mogę wejść?

Żar jego spojrzenia niemal parzył. Rebeka wyciągnęła rękę i ich palce się splotły. Gdy tylko hrabia wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi, chwycił ją w objęcia, przytulił mocno, aż poczuła bicie jego serca. I pożądanie, które natychmiast jej również się udzieliło.

- Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek w życiu czegoś tak pragnął, jak ciebie.

Rebeca ścisnęło się gardło. Z trudem przełknęła ślinę.

- Zanim... to zrobimy, muszę ci coś powiedzieć. O sobie, o moim życiu...

Gdy przyciągnął ją do siebie bliżej, zebrała się na odwagę. Musiała wyznać prawdę, zanim stchórzy.

- Ale nim zacznę, powinieneś wiedzieć, że nie mówiąc ci wszystkiego, nie zamierzałam cię oszukiwać... Po prostu nie chciałam zaszkodzić Jamesowi, narazić na szwank twojego dobrego imienia... Oszukiwałam cię ze względu na to, kim kiedyś byłam i co zrobiłam... Musiałam uciekać. - Była roztrzęsiona, płakała, mówiła nieskładnie, ale nie wypuszczała jej z objęć. Na tę myśl jej gardło ścisnęło się boleśniej, do oczu napłynęły łzy. Potrząsnęła głową. - Przepraszam. Ja tylko...

- Ci!

Kiedy ciepłą ręką pogłaskał ją po plecach i z czułością musnął ustami jej czoło, zapragnęła ukryć się w jego ramionach i zapomnieć o przeszłości! Gdyby mogła nadal żyć w kłamstwie, wspomnienie tej nocy wystarczyłoby jej na resztę życia!

Nie! Nie zraniłaby go za całe szczęście świata!

Minęła dłuższa chwila, nim odzyskała głos.

- Zawiodłam cię. Złamałam obietnicę, którą dałam ci w bibliotece.

- Nie, Rebeko - zapewnił Stanmore z całą powagą.

- Ja... - Uwolniła się z jego objęć i odeszła kilka kroków. Jego bliskość ją rozpraszała. - Przede wszystkim musisz wiedzieć, że nigdy nie było żadnego Johna Forda. Nigdy nie wyszłam za mąż. Moje prawdziwe nazwisko brzmi Rebeka Neville, ale nie używałam go od prawie dziesięciu lat. - Odwróciła się, ale w przyćmionym świetle nie dostrzegła wyrazu jego twarzy. - Kiedy przed laty przyjechałam do Filadelfii, byłam panną z dzieckiem. Musiałam poszukać pracy, żeby utrzymać Jameya i siebie. Doszłam do wniosku, że jako mężatce będzie mi łatwiej wśród ludzi, i dlatego wy-

myślałam sobie pana Forda. Wielu mężów było wtedy na wojnie. Dzięki temu oszustwu poczułam się bezpiecznie i mogłam zacząć nowe życie. Już nie musiałam obawiać się zaczepek mężczyzn i krzywych spojrzeń sąsiadów.

Stanmore podszedł do najbliższego krzesła i usiadł, ale Rebeka nie śmiała na niego spojrzeć. Chciała najpierw dokończyć wyznanie.

- Mój plan się udał. Znalazłam mieszkanie i posadę. I zostałam przy swoim kłamstwie. Kilka miesięcy później zgłosiłam, że mój mąż zginął... w Quebecu. - Zbliżyła się do okna. - Kiedy twój prawnik, sir Oliver, odszukał nas wiosną w Filadelfii, jego też musiałam okłamać. Nikt z mojego otoczenia nie wiedział, że nie urodziłam się w koloniach. - Rebeka poczuła w sobie chłód. Wiedziała, że każdym słowem oddala się od Samuela Wakefielda. - Twoją żonę Elizabeth poznałam tamtej nocy, kiedy opuściła Anglię.

- Tego samego dnia urodził się James.

Po tych słowach łzy znowu napłynęły Rebecce do oczu. A więc on też zna prawdę, pomyślała.

- Była sama, bardzo osłabiona po porodzie, a ja... też potrzebowałam pomocy. Kupiła mi bilet na statek, natomiast ja obiecałam zaopiekować się Jamesem, gdyby coś się jej stało. - Oparła się o parapet i wytarła mokre policzki. - Umarła tydzień później, a ja wzięłam jej synka. Opuściłam Anglię tylko w tym, co miałam na sobie, więc po przybyciu do Nowego Jorku sprzedawałam biżuterię, którą dała mi twoja żona. Za uzyskane pieniądze zabrałam Jamesa do Filadelfii i tam rozpoczęliśmy nowe życie. - Oparła czoło o szybę, w nadziei, że jej chłód ukoi rozpaloną skórę. - Sir Oliver pytał mnie, dlaczego przez te wszystkie lata nie próbowałam odszukać męża Elizabeth i oddać mu syna. Wtedy nie powiedziałam mu prawdy. Gdyby sprawy inaczej się ułożyły, gdybym miała środki i odwagę, żeby wrócić do Anglii, i tak bym go zatrzymała. Wychowując go, pozbyłam się strachu, nauczyłam polegać tylko na sobie, zyskałam niezależność. To samolubne z mojej strony, ale gdy-



byś po niego nie przysłał, z własnej woli bym go nie oddała. Mieliśmy siebie nawzajem.

Chciała wytrzeć łzy, ale ją uprzedził. Nawet nie zauważyła, kiedy do niej podszedł.

- Dlaczego uciekłaś?

Ujął w dłonie jej twarz, wpił w nią ciemne oczy.

- Nie pytaj!

- Rebeko!

Potrząsnęła głową i cofnęła się o krok.

- Opowiedziałam wszystko, co dotyczyło Jamesa, pana i pańskiej rodziny. Ale jeśli chodzi o moją przeszłość, proszę pozwolić mi milczeć. W zamian obiecuję nie zszargać pańskiego nazwiska, milordzie. - Spuściła oczy i westchnęła ukradkiem. - Powzięłam pewną decyzję, żeby móc dotrzymać tej obietnicy. Wracam do kolonii. Wyjeżdżam do Bristolu w najbliższy piątek.

- Jak możesz...?

- Rozmawiałam z kapitanami kilku statków cumujących przy Broad Quay. Nie będę miała trudności z przeprawą przez ocean.

- Wszystko zgrabnie zorganizowane - stwierdził hrabia chłodnym tonem.

- Nie wszystko - odparła Rebeka, siląc się na spokój. - Nie powiedziałam Jamesowi o swoim wyjeździe, ale wiem, że już może zostać sam. Poradzi sobie z moją nieobecnością. Pomyślałam jednak, że będzie lepiej, jeśli zaczekam z tą nowiną do ostatniej chwili.

Twarz Samuela Wakefielda była jak maska, ale oczy cisnęły sztylety, przewiercały ją na wylot.

- A gdybym panią wziął w bibliotece? Też do ostatniej chwili czekałaby pani z nowiną? Czy po prostu wyjechałaby pani bez słowa, a ja dowiedziałbym się o tym od kogoś innego?

Skrzywiła się, słysząc jego ton, ale dumnie uniosła podbródek i spojrzała mu w oczy.

- Moja przeszłość być może jest jednym wielkim kłam-

stwem, przyszłość niewiele lepsza, ale prędzej weszłabym do jaskini lwa, niż pana zraniła, milordzie. *Znalazłabym* jakiś sposób, żeby panu powiedzieć prawdę... nawet gdybyśmy zostali w bibliotece.

- Do diaska, Rebeko! - Chwycił ją za ramię. - Dlaczego mi to robisz?

- Bo... za bardzo mi na panu zależy! - Przywarła do niego całym ciałem i sięgnęła ustami do jego ust. Hrabia stał bez ruchu, W jego oczach malował się ból. - Proszę - powiedziała błagalnie, oplatając go ramionami. - Przecież tego chcesz...

Odsunął ją gwałtownie i spiorunował wzrokiem.

- To kolejny akt miłosierdzia? Czy samolubstwa? Pomogłaś Elizabeth. Troszczyłaś się o Jamesa. Dlaczego znowu nie spełnić dobrego uczynku? Dać im wszystkim to, czego potrzebują!

- Nie! Nie! Robię to dla siebie.

- Nie wierzę ci.

- Musisz uwierzyć! Obudziłeś we mnie pożądanie, namiętność, o której istnieniu nie miałam pojęcia. Rozpaliłeś we mnie ogień spojrzeniem, pocałunkami, dźwiękiem swojego głosu. Żałuję pewnych rzeczy z przeszłości, ale wiem, że byłabym jeszcze bardziej niepokieszona, gdybym nie zabrała ze sobą wspomnienia tej chwili.

- Do diabła z tobą!

Wręcz zaatakował jej usta, jednocześnie wodząc dłońmi po całym ciele. Zapal hrabiego rozpalił Rebekę. Już się nie bała. Jej wargi stały się równie wygłodniałe jak jego, ręce śmiałe i zaborcze. Głodna dotyku jego skóry, wyciągnęła mu koszulę ze spodni. Tymczasem on zsunął jej suknię z ramion.

Rebeka wiedziała, że jeśli zwolni tempo, będzie miał czas się zastanowić i rozmyślić. Ta świadomość dodała jej odwagi. Była niedoświadczona, ale zdała się na instynkt. Chciała, żeby całkiem się zatracił.

Nie wiadomo jak znaleźli się przy łóżku. Gdy na nie

opadli, przebiegł ją dreszcz. Samuel zaczął wodzić ustami po jej szyi, dekolcie i obnażonych piersiach, ssać stwardniałe brodawki. W pewnym momencie ukląkł na jedno kolano i niecierpliwie wsunął ręce pod jej spódnice. Gwałtownie wciągnęła powietrze i zanurzyła palce w jego włosach, gdy poczuła dłoń wędrującą w górę jej uda.

Gdy dotknął jej w najintymniejszym miejscu, wydała cichy okrzyk zaskoczenia. Wkrótce śmiałe pieszczoty i całkiem nowe doznania pozbawiły ją tchu.

Hrabia całował ją, nie przerywając rozkosznych tortur, aż całkiem pograżyła się w szalonym wirze namiętności i rozkoszy. Spełnienie było niczym gwałtowna letnia burza. Rebeka usłyszała głos kobiety krzyczącej w uniesieniu... swój własny głos. Nie mogła oddychać. Przyciągała do siebie kochanka i jednocześnie go odpychała. I nagle *wzbiła się prosto w krystaliczne niebo*, a wokół niej rozbłysły kolory, jakich jeszcze nigdy nie widziała.

Samuel chwycił ją, kiedy sfrunęła na ziemię, i całował delikatnie, póki nie znieruchomiała w jego ramionach. Potem obrócił ją i zaczął rozpinać suknię, a w niej na nowo obudziły się zmysły. Gdy przez warstwy materiału poczuła jego męskość, zadrżała w oczekiwaniu. Stanmore niecierpliwie zerwał z niej ubranie i porwał ją w objęcia. Naga i bezbronna pod jego spojrzeniem wygięła plecy w łuk, gotowa mu się oddać.

Lecz on nawet się nie rozebrał, tylko znowu zaczął ją pieścić, błądzić ustami po całym ciele, doprowadzając ją do szaleństwa i nie ustając w wysiłkach, aż przetoczyły się przez nią fale ekstazy, uniosły ją i wyrzuciły na brzeg, całkiem pozbawioną sił.

Leżąc później w jego ramionach, płakała cicho, bo podarował jej piękne wspomnienie, a sam nie wziął od niej nic.

Na wschodzie świt już rozjaśnił niebo ponad wzgórzami, ale Stanmore nie spieszył się z opuszczeniem łóżka Rebeki. Po raz pierwszy w życiu chciał zostać z kobietą, poddać się urokowi, który na niego rzuciła.

Miał tej nocy wiele godzin na rozmyślania. Wiele godzin, żeby przypomnieć sobie wszystko, co oboje powiedzieli i zrobili. Wiele godzin, żeby zastanowić się nad przyszłością.

Już dawno temu pogodził się z pustką i bezsensownością własnej egzystencji, ale wszystko się zmieniło, odkąd w jego życie wkroczyła Rebeka Neville.

Znowu cicho jęknęła przez sen, poruszyła się i sięgnęła do niego ręką, a jemu ścisnęło się gardło. Pocałował ją w czoło, otoczył ramieniem, przytulił jej głowę do swojej piersi.

Tej nocy był jej pierwszy raz... i jego również.

Ona stała się kobietą, natomiast on przekonał się, że ból tęskniącego serca jest silniejszy niż pożądanie. Między chwilą, kiedy zamknęła oczy, a brzaskiem uświadomił sobie, że nie może pozwolić jej odejść, choćby nie wiadomo jakie przeszkody ich dzieliły. Kobietę, która bała się namiętności, i mężczyznę, który bał się miłości, połączyła silna więź, prawdziwe uczucie. Na wieki.

Potrzebował jej. Wreszcie zrozumiał, co to znaczy kochać. Pragnął się z nią ożenić, mieć z nią dzieci. Ale pamiętał determinację w jej głosie i wiedział, że nie zgodzi się zostać. Musiał najpierw rozwiązać zagadkę jej przeszłości.

Na podstawie jej własnych słów i tego, co odkrył Oli-

ver Birch, nietrudno było się domyślić, że w noc, kiedy uciekła, popełniono jakieś przestępstwo.

Wiedział, że jeszcze do niedawna Rebeka bała się mężczyzn. Pamiętał ich pocałunek przy starym młynie i piknik przy strumieniu, a także jej niedawne słowa: „doszłam do wniosku, że jako mężatce będzie mi łatwiej i bezpieczniej wśród ludzi... Już nie musiałam obawiać się męskich zaczepek”.

Miała urodę anioła i uczciwość świętej, ale mimo skończonych dwudziestu ośmiu lat nadal była dziewicą. Musnęła wargami jej czoło, starając się nie myśleć o gładkim, nagim ciele okrytym prześcieradłem. Po ostatniej nocy sam mógł się uważać za kandydata na świętego.

Sześć dni! Groziła, że wyjedzie za sześć dni. Oliver był już na właściwym tropie. Jego odkrycia doskonale pasowały do tego, co w nocy wyjawiała Rebeka. Ale sześć dni to za mało czasu na rozwiązanie zagadki.

Wiedział, że musi ją przekonać albo rzucić na nią urok, sprawić, żeby oszalała na jego punkcie. Może wtedy posłucha jego błagania, żeby zostać dłużej.

Ciche pukanie do drzwi obudziło Reбекę. Wystraszona naciągnęła na siebie prześcieradło.

- Jamey! - szepnęła w panice.

- Zamknąłem drzwi na klucz - uspokoił ją Stanmore.

Z wielkim zainteresowaniem obserwował, jak Rebeka pospiesznie wkłada szlafrok i jednocześnie, w nagłym przypływie skromności, próbuje zasłonić się kocem ściągniętym z łóżka. Mimo tych wysiłków Wakefield miał doskonały widok na jej plecy i kształtne pośladki. Zastanawiał się, jakim cudem wytrzymał całą noc.

Gdy rozległo się kolejne pukanie, Rebeka spojrzała na niego błagalnym wzrokiem.

- Nie może cię tu zastać! Co robić?

Stanmore wstał i pocałował ją w usta.

- Wyślij go do stajni. Powiedz, że chcę się z nim tam spotkać za pół godziny. - Przesunął palcem w dół po jej szyi i dekolcie. Rebeka zarumieniła się i chwyciła jego rękę.

kę. - Przypominam sobie, jak pewna czarodziejka nakłaniała mnie, żebym poświęcał chłopcu godzinę dziennie. Ostrzeż go, żeby nie kazał czekać hrabiemu Stanmore.

Rozpromieniona Rebeka uściskała go i pobiegła do drzwi.

Hrabia obserwował tych dwoje, stojąc w mroku pokoju. Widząc ich czułe powitanie, dopiero teraz zrozumiał charakter łączącej ich więzi i nazwał się w duchu głupcem. To nie było przywiązanie, lecz miłość.

Z otwartych wrót stajni buchał zapach siana i koni, mieszając się z wilgocią poranka. Jamey wziął głęboki oddech i przez chwilę rozkoszował się znajomą wonią. Odkąd przed czterema dniami pozwolono mu wybrać kucyka, przychodził tu codziennie. Uparł się samemu zajmować Panem Truskawkowym. Koniuszy roześmiał się i zapytał go, dlaczego wybrał akurat takie imię. Chłopiec wyjaśnił, że od rudej grzywy zwierzęcia i od ulicy, przy której mieszkał z mamą w Filadelfii. Dzięki kucowi czuł się jak w domu.

Porson od razu spoważniał.

Jamey wszedł do stajni i zbliżył się do boksu, w którym czekał Pan Truskawkowy. Sam nie wiedział, co czuje na myśl o przejażdżce z hrabią. Mama się uparła, więc musiał ustąpić. Zastanawiał się jednak, czy to był pomysł lorda Stanmore, czy jego też zmuszono do spędzenia z nim godziny dziennie.

Rzecz w tym, że nie wiedział, co o nim sądzić. Nie chciał go lubić. I nie potrzebował ojca. Jednocześnie wiele razy słyszał, jak personel Solgrave go wychwala, więc hrabia nie mógł być złym człowiekiem.

„Tylko lord Stanmore może coś zmienić”, powiedział pan Clarke, kiedy Jamey zapytał go o niewolników z Melbury Hall.

Przypomniał sobie rozmowę z Israellem i jego pytanie: „Jeśli jest taki dobry, to dlaczego nie chcesz go za ojca?”

Pogrążony w rozmyślaniach zaczął siodłać kuca. Nie wiedział, od czego zacząć, jak zrobić pierwszy krok, żeby

hrabia go polubił. Nie miał pojęcia, w jaki sposób syn może przekonać do siebie ojca.

- Cieszę się, że jesteś rannym ptaszkiem.

Jamey odwrócił się i zobaczył stojącego we wrotach lorda Stanmore. Zgodnie ze zwyczajem nic nie odpowiedział, tylko skinął mu głową na powitanie. Potem przyjrzał mu się uważnie. Hrabia wyglądał dziś inaczej. Miał taki wyraz oczu, jakby naprawdę na niego patrzył. Następnie przeniósł wzrok na Pana Truskawkowego.

- To kuc z temperamentem. Trzeba nieustraszonego chłopca, żeby sobie z nim poradził, zwłaszcza jeśli dopiero nauczył się jeździć.

Jamey bez słowa odwrócił oczy, ale poczuł dumę.

- Przypuszczam, że jeszcze nie jadłeś śniadania?

Chłopiec potrząsnął głową.

- Ja też nie. I jestem bardzo głodny, ale ostra przejażdżka pomoże zrzucić trochę sadła, co?

Jamey spojrział na niego z powątpiewaniem; lord Stanmore był szczupły, wysoki i muskularny.

- Oszczędzaj mnie dzisiaj, dobrze? - poprosił hrabia, gdy stajenny przyprowadził jego czarnego ogiera.

Odwrócił się, Jamey ukrył nieoczekiwany uśmiech.

Kiedy wyszli na podwórzec przed stajnią, zjawił się Porsen i przez chwilę rozmawiał z hrabią o postępach syna w nauce jazdy konnej.

- Pomyślałem sobie, że pojedziemy dzisiaj do domku gajowego - zagaił lord Stanmore, gdy ruszyli stępą ścieżką biegnącą wokół jeziora. - Nieczęsto jeżdżę w tamtym kierunku, ale kiedy ostatnio kilka razy cię szukałem, stwierdziłem, że to niezła trasa. Dobrze sobie radzisz z tym żywym konikiem.

Chłopcu przyszło do głowy, żeby poruszyć temat Melbury Hall i Izraela, ale czuł się skrępowany. Im dłużej milczał jak głaz w obecności hrabiego, tym trudniej było mu zacząć.

- Staraj się prowadzić go lekką ręką - poradził Stan-

more. - Mocniej, kiedy chcesz, żeby odpowiednio zareagował, ale bez przesady. Właśnie tak! Masz dryg, Jamesie.

Chłopiec uśmiechnął się nieśmiało i poczuł, że twarz mu płonie. Na szczęście hrabia na niego nie patrzył. Chwilę później ścieżka skręciła w las.

- Zdziwiające, że od razu po przybyciu do Solgrave odkryłeś tę chatę. Kiedy byłem w twoim wieku, mnie również służyła jako kryjówka.

On też potrzebował schronienia? Jamey łypnął na niego z ukosa. Lord Stanmore zdecydowanie wyglądał dziś inaczej. Na jego twarzy malowały się uczucia, a w dodatku był niezwykle rozmowny.

- Bawiliśmy się w „szturmowanie twierdzy”. Zwykle było nas sześcioro z Sołgrave: dwóch synów drwała, trzech pani Trent i ja, przeciwko sześciu chłopcom z okolicznych farm, a czasami jeszcze z Melbury Hall.

- Czy ci z Melbury Hall też byli wtedy niewolnikami?

Jamey nie zdawał sobie sprawy, że spytał na głos, póki Stanmore nie zerknął na niego zaskoczony. Hrabia czym prędzej wrócił spojrzeniem do leśnego duktu, ale chłopiec poprawił się niespokojnie na grzbiecie kucyka. To były pierwsze słowa, jakie do niego powiedział.

- Wtedy nie - odparł lord Stanmore i jego twarz nagle przybrała twardy wyraz. - Poprzedni właściciel Melbury Hall nie trzymał Afrykanów jako niewolników. - Po chwili milczenia stwierdził: - Zauważyłem, że w domku ktoś naprawił parę rzeczy.

Chłopiec postanowił milczeć, żeby nie ściągnąć na Israela kłopotów.

- Cieszę się - dodał hrabia, jakby czytał w jego myślach. - Jeśli wiesz, kim jest ta osoba, i jeśli przypadkiem ją spotkasz, przekaż jej moje podziękowania, dobrze?

- Tak - bąknął Jamey z ulgą.

Przez jakiś czas jechali w ciszy, a on zastanawiał się, jak poruszyć temat niewolników. Obiecał Israelowi nikomu nie mówić o chłostach, ale interesowały go również inne spr-



wy. Na przykład, dlaczego Wentworth stał się taki okrutny? I czy Afrykanie mogli uciec, żeby stać się wolnymi ludźmi?

Gdy wyjechali z lasu na skraj łąki, Jamey ujrzał w oddali dach chaty i postanowił, że zaczeka z pytaniami, aż tam dojadą. Pokaże hrabiemu, jakie prace wykonał Israel, a następnie spróbuje uzyskać od niego jakiegoś odpowiedzi.

- Widząc, jak dobrze sobie radzisz z kucem, przypuszczam, że pani Ford nie będzie miała z tobą kłopotów, kiedy...

Ostry krzyk przeszył powietrze i trafił Jameya prosto w serce.

- Israel! - wyszeptał przerażony, wbił pięty w boki kucyka i popędził w stronę chaty. - Israel! - zawołał głośniej, gdy rozległ się drugi krzyk.

Stanmore dotarł na miejsce przed nim, zeskoczył z konia i wpadł do domku gajowego.

- Nikogo tam nie ma - powiedziała, wracając do Jameya.

Przeszukał wzrokiem leśną gęstwinę. Gdy rozbrzmiał kolejny wrzask, wbiegł między drzewa.

Chłopiec czym prędzej zsiadł z kuca, zarzucił wodze na niską gałąź i popędził za nim. Na widok hrabiego, wymierzającego potężny cios pięścią zwalistemu mężczyźnie, zatrzymał się w pół kroku.

Gdy zobaczył, że gigant z całej siły odpycha hrabiego i rzuca się na niego, podniósł z ziemi gruby kij. Tymczasem Stanmore zrobił błyskawiczny unik i pchnął przeciwnika na drzewo, a kiedy ten osunął się na ziemię, skoczył na leżącego i wdusił jego twarz w ściółkę.

Jamey widział wiele bójek na nabrzeżach Filadelfii i sam w kilku brał udział. Raz nawet, przed kapitanatem, był świadkiem walki na noże. Zwykle jednak kończyło się na przepychaniu, kilku ciosach i wyzwiskach.

Teraz jednak miał nadzieję, że zobaczy, jak lord Stanmore przerabia brutala na papkę.

Mocniej ścisnął w ręce kij, gotowy w każdej chwili ruszyć mu na ratunek, i w tym momencie dostrzegł Israela.

Przyjaciel leżał skulony na ziemi, a jego koszula i plecy

stanowiły jedną krwawą miazgę. Jamey krzyknął, podbiegł do niego i ukląkł. Israel miał zmasakrowaną twarz, zamknięte oczy i wydawało się, że nie oddycha.

- Nie! - ryknął z furją. - Zabiłeś go! Zabiłeś!

Jego dusza domagała się zemsty. Bez namysłu rzucił się na wielkoluda, którego Stanmore zdążył dźwignąć na kolana.

Łzy przesłaniały mu wzrok, ale poczuł, że trafił mężczyznę w ramię. Gdy uniósł kij do drugiego ciosu, hrabia chwycił go w pasie silnymi rękami i unieruchomił. Olbrzym wykorzystał ten moment, wstał z ziemi i chwiejnym krokiem uciekł w las.

- Puść mnie! - Jamey przez chwilę szarpał się w stalowym uścisku, ale hrabia trzymał go mocno. - On go zabił! Zabił Israela.

Gniew i smutek ścisnęły jego pierś niczym żelazna obręcz, tak że nie mógł złapać oddechu. Łzy płynęły mu po twarzy, ale o to nie dbał.

- Nie ujdzie mu to na sucho. - Głos Stanmore'a był spokojny, ale brzmiała w nim determinacja. - Obaj tego dopilnujemy.

Jameyowi wydawało się, że minęły wieki, nim zaczerpnął tchu. Silne ramiona przytulały go teraz, kołły ból. W końcu hrabia postawił go na ziemi i przykazał:

- Zostań tutaj, a ja zobaczę, co z chłopcem!

Jamey wytarł oczy i potrząsnął głową.

- Nie! Israel to mój przyjaciel!

Stanmore spojrział na niego z powagą. Na brodzie miał rozcięcie, które trochę krwawiło, kostki podrapane i spuchnięte. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, a następnie razem podeszli do leżącego. Jamey ukląkł obok Israela, a hrabia przytknął palce do jego szyi.

- Jeszcze żyje - stwierdził. - Zdaje się, że cios w głowę pozbawił go przytomności. Niewykluczone również, że ma jakieś złamanie. Musimy sprowadzić lekarza.

- Nie możemy zanieść go z powrotem do Melbury Hall! Tam się nim nie zajmą. Proszę, milordzie! Israel nie pierw-

szy raz został pobity. W zeszłym tygodniu też zauważyłem u niego siniaki...

- Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

Pod surowym spojrzeniem hrabiego Jameyowi znowu łzy napłynęły do oczu.

- Źle zrobiłem, ale Israel kazał mi obiecać, że nic nie powiem. Mówił, że innym będzie potem jeszcze gorzej. Widziałem w Grove dwóch mężczyzn wychłostanych i zakutych w dyby, ale o tym też wolałem milczeć.

- Byłeś w Melbury Hall?

- Tak, milordzie. Nie miałem pojęcia, co robić... jak im pomóc... chciałem porozmawiać z waszą lordowską mością, ale nie wiedziałem, jak zacząć, i...

- Wystarczy! - Hrabia zacisnął dużą dłoń na jego ramieniu. - To nie twoja wina. Mężczyzna, który właśnie uciekł, to Mickleby, rządcą w Melbury Hall. Wielebny Trimble twierdzi, że wszyscy, którzy tam pracują, boją się go śmiertelnie. Teraz rozumiem, dlaczego. Ale tym również się wkrótce zajmiemy. Na razie zabierzmy Israela do Solgrave.

Jamey wytarł twarz.

- Czy to znaczy, że go nie oddamy?

- Nie ma mowy, chłopcze. Twój przyjaciel zostanie z nami i otrzyma wszelką pomoc.

- Wyjdź. Zawołam cię, jak skończymy.

Służąca zerknęła na starszą kobietę, stojącą z niepewną miną na środku pokoju, który lady Nisdale wynajęła w gospodarstwie, po czym wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

Louisa zmierzyła wzrokiem kucharkę pani Stockdale i spytała, nie wstając z krzesła:

- Zdobyłaś dla mnie jakieś nazwisko?

Kobieta obejrzała się na drzwi, a następnie pokazała w uśmiechu zepsute zęby.

- Tak, madam. Wymagało to sporo trudu, ale dowiedziałam się, że panna Rebeka pojechała do pewnego domu

w Londynie. - Ściszyła głos do szeptu. - I już nigdy więcej o niej nie usłyszeliśmy.

- Nazwisko! - warknęła Louisa z irytacją.

- To będzie kosztować dwa suwereny.

Lady Nisdale wstała, podeszła do kucharki i błyskawicznym ruchem chwyciła ją za szyję, wbijając ostre paznokcie w pomarszczoną skórę.

- Nazwisko!

Zaskoczona kobieta syknęła z bólu i wykrztusiła:

- H-H-Hartington! Sir Charles Hartington, baronet!

Tam wysłano pannę Neville!

Jamey pogalopował przed lordem Stanmore do Solgrave, żeby zaalarmować domowników. Parę minut później hrabia oddał Israela w ramiona Daniela i Philipa i natychmiast wysłał stajennego do St. Albans po lekarza.

Ledwo rannego zaniesiono do pokoju, a pani Trent i Rebeka troskliwie się nim zajęły, w progu stanął Daniel, czerwony na twarzy.

- Przybył dziedzic Wentworth, milordzie - oznajmił.

- Nie pozwolimy mu zabrać Israela! - oświadczył Jamey, stojący u boku hrabiego. - Powiedz mu, żeby sobie poszedł do diabła.

Majordomus z aprobatą pokiwał głową, ale Rebeka odwróciła się szybko i zmierzyła wzrokiem wszystkich trzech.

- Hm. No, tak - bąknął Daniel. - Esquire Wentworth rozsiadł się w pańskiej bibliotece i żąda widzenia z panem, ale z radością zawałam kilku stajennych i wyrzucę go z domu.

- Nie, Danielu. - Stanmore zacisnął dłoń na ramieniu Jameya, uciszając jego protest, a następnie ruszył do drzwi. - Zostawię tę przyjemność dla siebie.

- Zaczekaj! - wysapała Rebeka, doganiając go na schodach. - Pozwolisz mi pójść ze sobą?

Stanmore zatrzymał się i z czułością dotknął jej policzka.

- To sprawa między Wentworthem a mną.

- Koszmarny człowiek - powiedziała Rebeka cicho, zerkając w kierunku biblioteki. - Poznałam go w piątek, kiedy szukałam Millicent. Nie tylko rządca jest bestią. Dziezic jest jeszcze gorszy.

- Znam go dość dobrze, najdroższa. - Gdy na niego spojrzęła, w jej oczach dostrzegł niepokój. - Nie obawiaj się. Nie pierwszy raz mam do czynienia z moim sąsiadem i potrafię sobie z nim radzić.

Wyglądało na to, że Rebeka trochę się uspokoiła, ale tylko na chwilę. Gdy ruszył w dół po schodach, chwyciła go za ramię.

- Poczekaj! Jeśli Wentworth wspomni coś o kradzieży chusteczki, to powinienes wiedzieć, że sama dałam ją w piątek Israelowi. Był wtedy ze mną pan Cunningham. A Jamey niedawno mi wyznał, że tamtego dnia, kiedy pływał przy starym młynie, dał przyjacielowi mój szal.

Stanmore nakrył ręką jej dłoń.

- Słyszałaś, co mówił James. Nie pozwolimy zabrać Israela.

Rebeka z wdzięcznością skinęła głową, a hrabia ujął jej dłoń i złożył na niej pocałunek.

- Ale bądź tak dobra i powstrzymaj swojego gniewnego rycerza. Nie chcę, żeby spieszył mi na ratunek.

- Jeszcze nie widziałam, żeby z kogoś był tak dumny jak z ciebie teraz.

- Po prawdzie to ja jestem z niego dumny. Ten rządca jest z dziesięć razy większy od niego, ale James nie okazał strachu, tylko rzucił się na draba z kijem, żeby pomóc Israelowi. - Stanmore niechętnie puścił jej rękę. - Wychowałaś świętego chłopaka, Rebeko. Chyba powinnaś zostać w Solgrave... i w Londynie, by mieć pewność, że go nie zepsują.

Mieszanie zaskoczenia i tęsknoty w jej oczach była dokładnie tym, na co liczył.

- Nie proszę o odpowiedź już teraz, ale bardzo bym chciał, żebyś zastanowiła się nad moją propozycją.

Stojącego piętro wyżej na podeście sir Nicholasa bardzo poruszyła czuła rozmowa, której właśnie był świadkiem.

Spencer naturalnie pragnął, żeby przyjaciel wreszcie znalazł szczęście. Zrobiłby wszystko, żeby jego stosunek do kobiet choć trochę się zmienił. Sam przez ostatnich

dziesięć lat próbował zainteresować go właściwymi damami, ale bez powodzenia.

Wiele razem z nim przeżył. Widział, jak Stanmore ulega żądaniom ojca i żeni się z niekochaną osobą. Też był w Quebecu, kiedy dotarła do nich wieść, że Elizabeth uciekła z dwumiesięcznym dzieckiem. A po powrocie do Anglii pomagał mu otrząsnąć się z głębokiego przygnębienia.

I wyglądało na to, że Samuel Wakefield w końcu doszedł do siebie. Działalność filantropijna, praca w parlamencie, Solgrave tak go pochłaniały, że zepchnął ból w odległe zakamarki serca.

Gdyby zechciał się ożenić, czekały na niego najlepsze partie w Anglii. Dziedziczki wielkich fortun, piękności, damy wykształcone i światowe... wszystkie były na jego skinienie. Lecz żeby wybrać kogoś takiego jak pani Ford, o nieznanym pochodzeniu, bez *rodziny i* majątku! Nicholas obawiał się, że przyjaciel jest bliski popełnienia kolejnego błędu. To prawda, że Rebeka była czarująca, ale przecież Stanmore mógł po przestać na romansie? Po co, u licha, prosić ją o rękę?

Spencer zmarszczył brwi, zastanawiając się nad tym, co przed chwilą usłyszał. Jeśli to nie była propozycja małżeństwa, to niech go diabli!

Wrócił myślami do pani Ford. Wyczuwał w niej jakieś wahanie, płochliwość, która budziła jego niepokój. Może gdyby trochę poszperał w jej przeszłości... tylko dla pewności. Niewątpliwie jej podobieństwo do Jenny Greene było dobrym punktem zaczepienia. Wprawdzie zaraz się opanowała, lecz w pierwszej chwili aż podskoczyła, kiedy wymienił to nazwisko.

Odwrócił się i wpadł na Philipa, który właśnie schodził na dół.

- Hrabia jest dzisiaj bardzo zajęty.

- Istotnie, sir.

- Byłbyś taki dobry i powiedział lordowi Stanmore, że całkiem zapomniałem o kolacji, na którą się już dawno umówiłem, i że musiałem wrócić do Londynu.

- Dobrze, sir.

- I uprzedź go z łaski swojej, Philipie, że zamierzam przyjechać do Solgrave za kilka dni, więc tak łatwo się mnie nie pozbędzie.

- Nie omieszkać przekazać mu złej wiadomości, sir.

Majordomus ukłonił się lekko i ruszył do holu, a Nicholas, który został na podeście, odprowadził go wzrokiem, zastanawiając się, skąd raptem wzięło się u niego poczucie humoru.

Twarz hrabiego równie dobrze mogłaby być wyrzeźbiona z lodu, bo jej wyraz nie zmienił się przez całą tyradę gościa.

Wentworth miał ochotę chwycić Stanmore'a za kłapy dobrze skrojonego surduta, poderwać go z krzesła i zdziełić pięścią, ale opanował się z trudem i położył zaciśnięte dłonie na biurku.

- Słuchał pan tego, co mówiłem? I nie ma pan nic do powiedzenia na swoją obronę? Zaprzeczy pan, że ukrywa tutaj, w Solgrave, mojego niewolnika, moją własność? Sądzi pan, że pobicie mojego rządcy, bez żadnego powodu, nie zostanie uznane za poważne naruszenie prawa i zasad przyzwoitości?

- Niczemu nie zaprzeczam, Wentworth, lecz nie będę tolerował okrucieństwa wobec niewinnych ludzi - oświadczył hrabia lodowatym tonem. - Trzeba wreszcie położyć kres pańskim barbarzyńskim praktykom. I uprzedzam, że już poinstruowałem moich strażników, by bez ostrzeżenia strzelali do Mickleby'ego. Może pan sobie zatrudniać tę bestię, ale jeśli chodzi o Israela, pozostanie moim gościem w Solgrave, jak długo uznam za stosowne.

- Wy wielec i potężni myślicie, że stoicie ponad prawem!

- Może mnie pan oskarżyć o przestępstwo, jeśli pan chce. - Stanmore pochylił się do przodu. - Ale wtedy pana zniszczę.

Wentworth aż zatrząsł się z furii, lecz dobrze wiedział, że jako par Anglii hrabia odpowiada wyłącznie przed Izbą



Lordów, a żaden z nich nie wystąpi w obronie zwykłego esquire przeciwko jednemu ze swoich. Nagle zamarzył mu się duży kielich trunku.

- Niech pan lepiej spojrzy na dowody! - ryknął. - Ten mały brudas jest złodziejem! Pana też okradł.

Stanmore zerknął na szal i chusteczkę, leżące na krześle.

- Już panu mówiłem, że te rzeczy dali Israelowi mój syn i pani Ford.

- Pański syn i pani Ford! Ha! Kaleki bękart i dziwka!

Pięść hrabiego trafiła go w szczękę z taką siłą, że pociemniało mu w oczach. Oszołomiony potrząsnął głową, ale drugi cios, tym razem w ucho, powalił go na kolana.

- Jeśli jeszcze kiedyś wyrazi się pan w ten sposób o mojej rodzinie albo przyjaciółach, dopadnę pana i zabiję!

Jak przez mgłę Wentworth zobaczył, że Stanmore otwiera drzwi biblioteki i daje znak lokajom.

- Odprowadźcie naszego gościa do konia. Danielu, przyjdź do mnie zaraz potem, bo muszę wysłać list do Londynu. - Hrabia spojrział na sąsiada, gramolącego się z podłogi. - Mój prawnik ustali z panem cenę za Israela. A żeby wszystko było jasne, chłopiec tu zostaje.

- Drogo pan zapłaci...

- Jest tego wart. Danielu, wyrzuć tę kreaturę.

Stanmore zaczekał, aż wierni rozejdą się po niedzielnej mszy, i odciągawszy pastora i Williama Cunninghama na bok, opowiedział im o wydarzeniach poranka.

- Israel był przytomny, kiedy wyjeżdżaliśmy do wioski. Lekarz mówi, że doznał wstrząsu mózgu i ma kilka złamanych żeber.

- Widziałem go w piątek - przypomniał sobie nauczyciel. - Już wtedy był posiniaczony. Teraz pewnie wygląda strasznie.

- Można się przerazić - odparł hrabia ponuro.

- Biedak. - Trimble potrząsnął głową.

- Lepiej nie doprowadzać Wentwortha do ostateczności

i na razie nie wchodzić mu w drogę - powiedział Stanmore. - Williamie, przez kilka dni trzymaj się z dala od Melbury Hall. Wielebny również. Niech emocje opadną.

- Ale tamci ludzie oczekują naszych wizyt - zaprotestował Cunningham.

- Rozumiem, ale na pewno woleliby, żebyś był żywy niż martwy!

Pastor z powagą spojrzął na hrabiego.

- Sądzi pan, że jest aż tak źle, milordzie?

- Niestety. - Widząc marsową minę nauczyciela, dodał: - Wkrótce znowu zaczniesz tam jeździć, oczywiście z eskortą jednego z moich stajennych.

- Ale...

- Posłuchaj mnie, Williamie. Nie chcę mieć twojej krwi na rękach.

Cunningham uroczyście pokiwał głową.

- Jak pan sobie życzy, milordzie.

Stanmore zadał jeszcze kilka pytań na temat wsi i szkoły, a następnie wrócił do faetonu, przy którym Rebecka gawędziła z panią Trimble.

Mógłby zostać tutaj cały dzień, żeby tylko podziwiać jej urodę i sposób, w jaki rozmawiała z mieszkańcami Knebworth, ale tego popołudnia chciał mieć Rebeckę Neville tylko dla siebie. Uspokojona przez lekarza, że Israel jest pod dobrą opieką i nic mu nie grozi, w końcu zgodziła się pojechać na niedzielną mszę, więc hrabia nie zamierzał zmarnować okazji.

Chwilę później jechali traktem wijącym się wzdłuż rzeki.

- Przyznaję, że nie jest to najkrótsza droga do Solgrave, ale nie chcę słyszeć żadnych sprzeciwów - zapowiedział od razu. - Daniel i Philip są gotowi do obrony naszej siedziby. Doktor i pani Trent doglądają Israela, a James nie odchodzi od jego łóżka. - Zerknął na nią z ukosa. - Możesz wykroić dla siebie wolną godzinę.

Spojrziała na niego z czułością.

- Naprawdę jesteś zdecydowany zatrzymać Israela w Solgrave?

- Jak najbardziej! - odparł z przekonaniem i z wprawą przejechał przez bród w miejscu, gdzie rzeka rozlewała się szeroko. - Wentworth wie, że nie może mnie zmusić do oddania chłopca, więc zażąda za niego skandalicznej ceny.

- I zapłacisz ją?

- Oczywiście. Z radością.

Wzruszona Rebeka przytuliła głowę do jego ramienia.

- Jest pan najlepszym i najbardziej prawym człowiekiem, jaki stąpa po angielskiej ziemi, milordzie - powiedziała cicho.

- Nie uważałabyś mnie za prawego, gdybyś wiedziała, co mi teraz chodzi po głowie - szepnęła jej do ucha.

- Co? - spytała, rumieniąc się uroczo.

Pochylił się i sięgnął do jej ust. Od razu rozchyliła wargi, a Stanmore wsunął w nie język i rozpoczął uwodzicielski taniec. Słyszając głośne westchnienie, przełożył wodze do jednej ręki, a drugą dotknął jędrnych piersi, po czym opuścił ją na uda. Kiedy się cofnął, policzki Rebeki płonęły, oczy były zamglone.

- Już zmieniłaś opinię o mnie?

Potrząsnęła głową.

- Ani trochę.

- W takim razie muszę cię przekonać w inny sposób, skoro nie zostawiasz mi wyboru.

Gdy dziesięć minut później powozik wjechał na szczyt wzniesienia, w oddali ukazał się stary młyn, a za nim lśniąca tafla jeziora. Stanmore zatrzymał faeton, pomógł Rebecce wysiąść i ściągnął koc z siedzenia.

- Nie masz nic przeciwko temu, że stąd pójdziemy na piechotę?

- Oczywiście, że nie - odparła z uśmiechem.

Wystawiła twarz do słońca i zamknęła oczy, rozkoszując się jego ciepłem. Hrabia objął długim spojrzeniem niebieską suknię, kapelusz takiego samego koloru, skromny dekolt obszyty białą koronką, długie rękawy. Podobało mu się to, co zobaczył, ale tęsknił za tym, co kryło się pod war-

stwami materiału. Pragnął jej ciała i duszy. Oczami wyobraźni widział długie i smukłe nogi, pełne piersi o różowych brodawkach, które szybko twardniały pod dotykiem jego ust. Chciał ją ujrzeć zupełnie nagą i rozpaloną, sycić się jej widokiem.

Zacisnął szczęki, odpędzając te obrazy. Namiętność, jaką w nim wzbudzała ta kobieta, przyprawiała go o zawrót głowy. Zesłej nocy, choć bardzo jej pragnął, pohamował się na myśl, że wkrótce zniknie z jego życia. Ale teraz...

Gdyby panna Rebeka Neville przejrzała jego zamiary, uznałaby go za człowieka pozbawionego zasad.

Rozpostarł koc na trawie przy kamiennym murze młyńska i podszedł do niej wolno. Zauważył, że jej oczy się rozszerzają.

- Sądysz, że mogłam wczoraj obrazić twojego przyjaciela? - spytała.

Zatrzymał się tak blisko, że czuł zapach lawendy.

- Nicholas nigdy się nie obraża na kobiety.

Unióśł ręce do jej podbródka, rozwiązał wstążki kapełusza i rzucił go na ziemię. Wyjął szpilki z włosów i patrzył, jak złociste pukle przyćmiewają blask słońca.

- Więc dlaczego tak nagle wyjechał?

Przez chwilę bawił się jej splotami, przesiewał przez palce jedwabiste pasma, a następnie zagarnął je na bok, odsłaniając szyję.

- Taki jest Nicholas. Niczego nie planuje. Przychodzi i odchodzi, kiedy chce.

Rebeka wsunęła dłonie pod jego surdut.

- Czy to znaczy, że może nas tu zaskoczyć?

- Obawiam się, że zabiłbym każdego, kto przeszkodziłby mi w tym, co na dzisiaj uknułem.

Musnął wargami jej szyję i poczuł, że przebiega ją dreszcz.

- Byłbyś tak łaskawy i zdradził mi, co dokładnie zaplanowałeś?

- Cóż, zamierzam się z tobą kochać.

Wydawało się, że przestała oddychać, kiedy oparł ją o kamienny mur i zaczął rozpinać jej suknię.

- Pamiętasz nasz pierwszy pocałunek, tutaj przy młynie?

Skinęła głową, uniosła się na palcach i wpiła w jego usta. Stanmore przywarł do niej całym ciałem, poruszył biodrami. Rebeka odchyliła głowę na ścianę i spojrzała na niego oszłamiona. W jej oczach nie było strachu, tylko oczekiwanie.

- Od tamtego dnia marzyłem, żeby się z tobą kochać nad jeziorem, pod tym murem, na trawie. - Objął jej pierś przez materiał, a ona zamknęła oczy. Słyszając jej westchnienie, lekko potarł wargami jej usta. - Co ty na to, Rebeko?

- Jestem twoja! - wyszeptła z żarem. - Całą duszą, sercem i ciałem! Twoja na...

Stanmore uciszył ją pocałunkiem. Nie chciał tego słuchać. Liczyła się tylko obecna chwila...

A teraz jedynie chciał, żeby oszalała z pożądania. Nie przestając jej całować, wziął jej rękę i skierował w dół. W pierwszej chwili przestraszyła się jego twardej męskości, bo cofnęła dłoń, lecz zaraz sama go dotknęła, nieśmiało, powoli. Głuchy jęk, który wyrwał się z jego gardła, dodał jej odwagi.

- Powiedz mi, jeśli coś robię źle.

- Nic nie możesz zrobić źle. - Rozpiął do końca guziki i zsunął jej z ramion suknię i koronkową halkę. - Ale wolno ci przestać dopiero wtedy, gdy padnę nieprzytomny u twoich stóp.

Gdy usłyszał jej cichy śmiech, pomyślał o latach, które mogliby razem spędzić, czerpiąc radość z własnej bliskości.

Schylił głowę i wziął w usta słodką pierś, ale Rebeka najwyraźniej postanowiła, że tym razem nie będzie sama przeżywać rozkoszy. Przyciągnęła do siebie jego twarz i zaczęła go całować, wydając ciche pomruki. Nim się zorientował, rozpięła mu spodnie.

Był zgubiony już w chwili, kiedy go dotknęła. W nocy jakoś zdołał się opanować, ale nie teraz. Ręce mu drżały, kiedy kładł ją na kocu i podciągał jej spódnice.

- Za szybko - jęknął, gdy rozchyliła nogi.

- Nie! - wyszeptała z całkowitą pewnością.

Wsunął się w nią jednym ruchem i znieruchomiał. Nie krzyknęła, ale w jej oczach dostrzegł ból. Zwalczył pragnienie, żeby zanurzyć się w niej głębiej, i czekał cierpliwie, całując jej usta i piersi, aż zaczęła się pod nim wić. Wtedy przetoczył się na plecy, pociągając ją za sobą. Spojrzała na niego zaskoczona.

- Możemy się kochać w taki sposób?

- Zdziwisz się, kiedy poznasz wszystkie.

Był oszołomiony jej widokiem. Gorset sukni miała rozpięty, piersi wystawione na pieszczoty wiatru i słońca. Szeroka spódnica zakrywała ich złączone ciała. Uśmiechnął się, widząc wahanie Rebeki. Wsunął dłonie pod halki, chwycił ją za pośladki i uniósł, rozpoczynając podróż ku spełnieniu. Z zachwytem patrzył, jak wypręża się w tańcu miłości, z radością chłonał jej krzyki ekstazy.

Gdy chwilę później usłyszał wypowiedziane zdyszaniem szeptem wyznanie, sam poszybował ku niebu.

Poczuła, że jego koszula jest wilgotna na plecach, i przytuliła go mocno. Zeszłej nocy po raz pierwszy poznała rozkosz, ale dopiero teraz zrozumiała, jak to jest, kiedy ziemia przestaje się obracać, a czas dla kochanków zatrzymuje w miejscu. W ciągu tych kilku cennych chwil Samuel otworzył drzwi do krainy cudów i pozwolił jej zobaczyć, jakie życie czeka dwoje ludzi oddanych sobie na wieki. O takim szczęściu nigdy nie śmiała nawet marzyć.

Ze ściśniętym gardłem musnęła ustami jego włosy. Czowała na sobie jego ciężar, dudnienie serca, płynącą od niego siłę. Skupiła się na obecnej chwili, usiłując nie myśleć o przyszłości.

- Nic nie rozumiem. Umarłem i poszedłem do nieba?
- Jeśli, to razem ze mną. - Jamey wskoczył na łóżko i usiadł ze skrzyżowanymi nogami. - Jesteś w Solgrave.
- Przyjdą i mnie stąd zabiorą!

Israel z niepokojem zerknął na drzwi, którymi przed chwilą wyszła młoda służąca z pustym talerzem. Od momentu, gdy się obudził, otaczali go ludzie. Biali ludzie. Zajmowali się nim, karmili. Doktor, pani Ford. Miła stara ochmistrzyni sama opatrywała mu twarz i plecy. A rano przyszedł nawet hrabia Stanmore, spytał go o zdrowie i zabrał panią Ford. Właściwie dopiero teraz zostali sami z Jameyem.

- Nikt cię nie zabierze. Wentworth już tu był i mój ojciec go odprawił.

Israel spojrział na niego przez Zapuchnięte powieki.

- Rządca chyba mnie śledził do naszego domku. Przyłapał mnie tam z szalem twojej mamy i postanowił zatłuc. - Żebra bolały go tak bardzo, że chciało mu się płakać, ale mruganiem odpędził łzy. - Kiedy bił tą swoją pałką i na dokładkę jeszcze kopał, zobaczyłem hrabiego. Usłyszałem, jak krzyczy na Mickleby'ego, a potem dostałem cios w głowę i już nic więcej nie pamiętam. Obudziłem się tutaj. - Z wahaniem dotknął miękkiej pościeli. - Nigdy w życiu nie spałem w prawdziwym łóżku. - Czuł tylko pulsujący ból w całym ciele, ale wiedział, że pościel jest miękka jak puch. A ludzie, którzy się nim opiekowali, byli miłsi od aniołów. - Jego lordowska mość uratował mi życie. Miałeś rację. Hrabia Stanmore jest inny.

- Powinieneś widzieć mojego ojca. Sprzął tego psa rządzącą aż miło. Chyba by go zabił, gdyby ten tchórzliwy knur nie uciekł.

Jamey już dwa razy powiedział słowo „ojciec”. Israel miał ochotę zwrócić mu na to uwagę, ale pewnie przyjaciel sam wiedział, że już inaczej patrzy na hrabiego. Poza tym, za bardzo go wszystko bolało, żeby mógł się uśmiechnąć.

- Od tej pory będziesz mieszkał ze mną w Solgrave. Słyszałem, jak Daniel mówi pani Trent, że mój ojciec zapłaci ci za ciebie Wentworthowi, tak że już nikt nie będzie miał nad tobą władzy.

Israel powędrował wzrokiem ku sufitowi, który znajdował się tak wysoko jak niebo. Gdyby mocno się wpatrywał, może nawet by zobaczył, jak gwiazdy do niego mrugają.

- Wiem, że jego lordowska mość będzie dobrym panem. Pan Cunningham i wielebny Trimble wciąż go wychwalali. Postaram się być pracowitym niewolnikiem.

- Żadnym niewolnikiem, Israelu - dobiegł od drzwi męski głos. - Teraz będziesz wolny, chłopcze. - Lord Stanmore podszedł do łóżka. - Tak samo jak James. - Zmierzył synowi włosy i usiadł na krześle. - I wyrośniesz na wolnego człowieka.

Hrabia był dużo większy od dziedzica Wentwortha. Wyglądał nawet na silniejszego niż Mickleby, ale Israel wcale się go nie bał. Choć lord Stanmore miał surową twarz i przeszywające spojrzenie, w jego oczach nie dostrzegł śladu podłości. Po prawdzie czuł się przy nim bezpiecznie.

- Nie wiem, gdzie się urodziłem ani kim byli moi rodzice, milordzie. Nie wiem, co to znaczy być wolnym - powiedział cicho.

Hrabia zmarszczył czoło i opuścił wzrok na swoje dłonie.

- Wiem, Israelu, i bardzo mi przykro z tego powodu. Ale urodziłeś się tak samo jak James i ja. Bóg uczynił nas wszystkich wolnymi, a to oznacza, że nikt nie ma prawa źle cię traktować. - Dotknął koca. - Kiedy dorośniesz, sam



wyberzesz, gdzie chcesz mieszkać, jak ciężko pracować i na co wydawać zarobione pieniądze.

- Ale ja nie mam swojego domu, milordzie!

- Będziesz mieszkał w Solgrave. A kiedy James pojedzie jesienią do Eton... - Gdy spojrział na syna, na jego twarzy nie było buntu, tylko szacunek. Wrócił spojrzeniem do Israela. - Pójdiesz do szkoły w wiosce. Jak na kogoś tak młodego już się dużo w życiu napracowałeś. Wierzę, że teraz z przyjemnością się pouczysz.

- Będę musiał zarabiać na utrzymanie, milordzie.

- Oczywiście, chłopcze! Daniel pilnuje, żeby nikt w Solgrave nie próżnował, ale nie będziesz bity i dostaniesz pieniądze za swoją pracę. - Stanmore spojrział na obu chłopców i wstał. - Pewnie chcecie trochę czasu spędzić sami. Jak znam panią Trent, zjawi się tu lada chwila i skrzyczy nas, że nie dajemy ci odpocząć.

Po jego wyjściu Jamey powiedział:

- Nie chcę jechać do tej szkoły, ale pojedę, bo hrabia uważa, że powinienem.

- Będę na ciebie czekał.

Jamey uśmiechnął się i położył rękę na dłoni przyjaciela.

- Teraz jest dobrze, prawda?

Israel zamrugał, próbując nie myśleć o innych niewolnikach z Grove, o chłostach i jeszcze gorszych rzeczach, z którymi tamci musieli żyć na co dzień. Odpędzał od siebie obraz Mosesa, wielkoluda, który płakał co noc i moczył się na sam widok bata.

- To raj - odparł z powagą. - Prawdziwy raj.

Tego wieczoru scena kołysała się pod nią jak morze, a twarze widzów były zamazane, ale za to słyszała ich aż za dobrze. Do diabła, hałasowali jak nigdy! Rzeczywiście po południu trochę za dużo wypija i nie pamiętała kilku kwestii... no, może więcej, lecz ten motłoch i tak niczego nie zauważył. Gromkie wybuchy śmiechu i wulgarne okrzyki całkiem zagłuszały jej słowa.

Jenny Greene chwiejnym krokiem wróciła do małej wspólnej garderoby za kulisami. Wieśniacy! Durnie! W pierwszym akcie wprawdzie potknęła się dwa razy i upadła, ale to nie powód, żeby tak się zachowywać przez całą sztukę! Ten tłum z Covent Garden z roku na rok stawał się coraz gorszy, bardziej prostacki. Nie to, co w dawnych czasach, kiedy grała Ofelię, Rozamundę i lady Makbet w Drury Lane.

- Przyślij go do mnie, kiedy z nim skończysz, Jenny.

- Co?

- Nigdy go tu nie widziałam. A ty?

- Jest cudowny, Jenny!

Oparła się ręką o ścianę i ze zdziwieniem spojrzała na trzy aktorki, które przepychając się, wychodziły z garderoby.

- Proszę, kochana. Masz pokój tylko dla siebie! - Czwar-ta dziewczyna mrugnęła do niej znacząco.

Boże, pomyślała Jenny. Więc jeszcze przychodzą!

Po długiej walce z falującymi deskami sceny na myśl o kolejnym adoratorze zakręciło się jej w głowie, ale próżność wkrótce zwyciężyła nad chwilową słabością. Minęło wiele czasu, odkąd jakiś wielbiciel czekał na nią za kulisami. Może choć na niego spojrzy. Sięgnęła w wycięcie sukni i poprawiła ciężkie piersi. Przy okazji zauważyła długie rozdarcie z boku stanika. Pewnie szew rozszedł się przy jej pierwszym upadku. Miło ze strony koleżanek, że jej o tym powiedziały. Nic dziwnego, że widzowie z parteru się śmiali.

Najpierw zobaczyła butelkę dzinu i kieliszki, a dopiero potem kwiaty i dżentelmena, który je przyniósł.

- Pani Greene, jest pani wspaniała.

Trudno jej było oderwać wzrok od butelki, ale zmusiła się, żeby spojrzeć na przystojnego mężczyznę, stojącego pośrodku garderoby. Był młodszy niż ci, których ostatnio widywała, i dużo lepiej ubrany.

- Występ zawsze trochę wysusza gardło - stwierdziła i niedbałym krokiem zbliżyła się do stolika. - Jak się pan nazywa?

- Sir Nicholas Spencer do usług, madam.

Sięgnęła po dzin i próbowała nalać sobie drinka, ale kieliszek się przesunął. Ostatnio coraz częściej zdarzały się jej takie dziwne rzeczy.

Kiedy gość wyjął jej butelkę z ręki i napełnił dwa kieliszki, czujnie obserwowała jego pewne ruchy. Wyglądał dobrze, pachniał dobrze i na pewno smakował dobrze. Już od dawna nikomu nie udało się pobudzić jej apetytu. Powędrowała wzrokiem ku jego spodniom. Imponujące, rzeczywiście.

- To nie jest odpowiednie miejsce na zawarcie bliższej znajomości - zaszcebiotała kokieteryjnym tonem, biorąc od niego kieliszek. - Pozwoli pan, że wypiję, a potem pójdziemy do mnie. Zgoda?

- Ja też skończę drinka.

Zrzucił stos kostiumów scenicznych z dwóch krzeseł i jedno jej podsunął. Jenny mocno się skupiła i udało się jej usiąść przy pierwszej próbie. Pociągnęła długi łyk i zmierzyła wzrokiem muskularne uda gościa.

- Lubi pan teatr, Nicholasie?

- Owszem, madam. Choć niezbyt mnie interesuje ambitny repertuar.

- Często pan chodzi na przedstawienia?

- Tak często, jak mi na to pozwala czas. - Nachylił się ku niej, a kiedy Jenny spojrzała w dół, stwierdziła, że jej kieliszek znowu jest pełny. - Ale prawdę mówiąc, przeważnie oglądam sztuki, w których występują moje ulubione aktorki.

Naczynie ciążyło jej w dłoni, ale nie chciała się z nim rozstać, więc opróżniła je do połowy... żeby zmniejszyć jego wagę.

- A ma pan dużo faworytek?

- Jeśli mogę być śmiały, madam, to żadnej nie cenię tak wysoko jak niezrównanej Jenny Greene.

Jenny poczuła dawno zapomniany dreszcz, dużo silniejszy i przyjemniejszy niż ten, który mógł wywołać dzin. Patrząc w pełne uwielbienia niebieskie oczy młodego mężczyzny, widziała legiony adoratorów, którzy kiedyś czekali na

nią po opadnięciu kurtyny. Prezenty, bale, względy, zazdrośne spojrzenia innych kobiet, które wiedziały, że nie mogą rywalizować z królową scen.

- Kiedy pierwszy raz zobaczył mnie pan na scenie? W Drury Lane? W Haymarket?

Gość za długo milczał, więc ze zdenerwowania uniosła kieliszek do ust, lecz trunek już nie smakował tak przyjemnie. Mimo to wychyliła go do dna i sama sięgnęła po butelkę.

- Szczerze mówiąc, najpierw zobaczyłem pani portret, madam.

Jenny zauważyła, że mężczyzna patrzy na jej rękę zaciśniętą na butelce. A może drań zerkał na jej piersi?

- Nigdy w życiu nie widziałem piękniejszego. Pamiętam, jak stałem przed obrazem chyba całą wieczność i patrzyłem na kobietę, która wyglądała jak nowe wcielenie Wenus.

Ten przystojny dżentelmen był nią oczarowany. Jej niegdyśszą urodą. Nie zwracała sobie głowy kieliszkiem, tylko przystawiła butelkę do ust. Rozlała trochę dżinu na kostium i wytarła go niedbale. Podarta szmata! Łypnęła na gościa.

- Gdzie wisiał ten portret? - zapytała z dostojną miną. Mężczyzna sięgnął po butelkę, ale przytuliła ją do piersi. - Gdzie?

Chyba krzyknęła, bo aż zadzwoniło jej w uszach. Sir Nicholas niczego po sobie nie pokazał, tylko cień przemknął po jego twarzy, kiedy próbowała znowu się napić. Do diabła z nim!

Wzruszył szerokimi ramionami i położył rękawiczki na kolanach.

- Zobaczyłem portret, kiedy byłem chłopcem. Wisiał w pewnej willi w Hampton. Mój ojciec zabrał mnie tam z wizytą do swojego przyjaciela, wielkiego aktora Davida Garricka.

- David! - Jenny oklapła na krześle, gdy ból przeszył jej serce. - Mój piękny, słodki, niewierny David.

- Zdaje się, że przez wiele lat razem występowaliście na scenie.

- Tak - szepnęła z rozmarzeniem. - On mnie odkrył, wie pan. Był we mnie zakochany.

- Nic dziwnego.

- To prawda - wymamrotała. - Wszyscy się we mnie kochali.

- Kiedy namalowano ten obraz, pani Greene? - Chyba musiała wypuścić butelkę z rąk, bo zobaczyła, że sir Nicholas bierze ją z jej kolan i odstawia na stolik obok kieliszka. - Wyglądała pani na nim bardzo młodo i niewinnie.

- Młodo, tak, ale niewinnie... - Z uśmiechem potrząsnęła głową. Pokój zawirował przyjemnie. - David zamówił mój portret, kiedy oddałam dziecko. To była nagroda, wie pan... za to, że słusznie postąpiłam... że powzięłam właściwą decyzję.

- Oddała pani dziecko Garricka?

- Nie! Nie! Nie! Już nosiłam w łonie dziecko innego, kiedy pierwszy raz ujrzałam Davida. Grał Ryszarda III w Drury Lane. Zakochałam się w nim... a on we mnie.

- I poprosił, żeby pozbyła się pani dziecka?

- To nie było tak! - Wyciągnęła rękę po kieliszek, ale znajdował się poza jej zasięgiem. - Proszę mi nalać drinka, sir... sir... Jak się pan nazywa?

- Nicholas Spencer - odparł, podając jej naczynie. - Co pani miała na myśli, mówiąc, że to nie było tak?

- Miałam na myśli, że... David próbował zrobić właściwą rzecz, ale nie dla siebie, tylko dla tego głupca Guilforda... i dla mnie. - Wzięła od niego pełen kieliszek. - Tak, ojcem był Guilford... i kochał mnie, ale miał żonę. Uparł się jednak, że będzie dawał na utrzymanie dziecka. Lecz kiedy zakochałam się w Davidzie, już nic od tamtego nie chciałam... ani od jego rodziny... żadnej pomocy. A potem David namówił mnie, żebym oddała dziecko ojcu i umyła ręce.

- I zrobiła to pani? Oddała pani dziecko?

- Z radością! I wszyscy byli szczęśliwi. - Uniosła kieliszek do ust, pociągnęła duży łyk i natychmiast wypluła go na cały pokój. - Co to jest, do licha?!

- Woda - odparł gość spokojnie, z powrotem siadając na krześle. - Wie pani, co się stało z dzieckiem?

Jenny zmarszczyła czoło i cisnęła naczynie na podłogę.

- Nie chcę o niej rozmawiać. Proszę pytać o Davida i o mnie, o scenę, teatr. I o to, jak się bawiliśmy, póki... mnie nie oszukał i nie ożenił się z tą suką... wiedeńską ladcnicą... tą tancerką.

- Wszyscy dobrze znają tę część pani życia. - Głos sir Nicholasa był łagodny, kojący dla ucha. Jenny nagle poczuła się bardzo zmęczona. - Ale nie sądzę, żeby ludzie coś wiedzieli o pani tajemniczej córce.

- Oczywiście, że nie! - Nagle krzesło stało się bardzo niewygodne. - Ludzie nic o niej nie wiedzą... i nie ma powodu, żeby wiedzieli. Z wyjątkiem jednego dżentelmena... Heartfelta... Hartingtona, właśnie. Oprócz Hartingtona jest pan jedynym człowiekiem, który się tą sprawą zainteresował. - Łypnęła na niego podejrzliwie. - Zna go pan?

- Hartingtona?

- Tak. Kiedy to było? Zatrudnił ją... dawno temu. Odwiedził mnie kiedyś. Mówił, że mu się podobam. Mieliśmy mały romans. I wtedy się dowiedziałam, że moja Rebeka pracuje u niego. - Sięgnęła po butelkę, ale ta zniknęła ze stołu. - Muszę się napić... Nie, zaczekaj! Pójdziemy do mnie i... poznamy się lepiej.

Sir Nicholas wstał, a Jenny z przykrością stwierdziła, że na jego twarzy nie widać entuzjazmu.

- Innym razem, pani Greene - powiedział lekkim tonem. - Każę panią zawieźć do domu moim powozem. Nie wiem, czy o tej porze złapie pani dorożkę?

- Pańskim powozem? - prychnęła. - Co za zuchwalstwo! Nie potrzebuję niczyjej litości!

- Moja propozycja nie wynika z litości. Naprawdę będę zaszczycony, jeśli pani skorzysta z mojego powozu. - Ujął jej dłoń i pomógł wstać. - Pani Greene, uważam panią za najpiękniejszą aktorkę wszech czasów.

W gardle jej zaschło. Była zmęczona. Potrzebowała je-

go siły, żeby zrobić chociaż krok. I podtrzymywał ją przez całą drogę do karocy, która stała przed teatrem.

- Żałuje pani czegoś? - spytał, nim zamknął drzwi powozu. - Czy kiedykolwiek pani żałowała, że nie zatrzymała córki?

Zerknęła na wygodne, ale puste wnętrze pojazdu i pomyślała o czekającym na nią zimnym łóżku. A potem oczami wyobraźni zobaczyła tłum wiwatujący pod sceną. Rzędy wielbicieli. Usłyszała swoje skandowane imię.

- Nie! - odparła wyniośle. - Tylko głupiec zamieniłby to, co miałam, na jakieś tam dziecko.

Niebo za oknem przybrało jaśniejszy odcień. Zbliżał się świt. Rebeka ostrożnie zdjęła z siebie ramię ukochanego i wstała z łóżka. Gdy poruszył się przez sen, ogarnęła ją pokusa, żeby wrócić w jego objęcia.

Wypolerowane drewno było ciepłe i gładkie pod jej bosymi stopami. Przeszła cicho przez pokój i, otulając się kołdrą, wyjrzała przez okno. Księżyc wiszący nisko nad ziemią oblewał dziedziniec i drogę do St. Albans niesamowitą poświatą. Przeniosła wzrok na posrebrzoną taflę jeziora.

Chciała utrwalić w pamięci ten widok: księżycowy blask, ławkę schodzącą do wody, mostek. Prócz obrazu mężczyzny i chłopca, których kochała ponad życie, ale których musiała zostawić, pragnęła mieć jakieś wspomnienie z Solgrave w czekających ją pustych latach.

- Dlaczego wstałaś?

Zaparło jej dech, gdy usłyszała szept i poczuła obejmujące ją ramiona. Nie potrafiła się zmusić do wyznania smutnej prawdy, że musi go opuścić.

- Nie mogłam spać.

Delikatnie zdjął z niej kołdrę i nagi przytulił się do jej pleców.

- Więc trzeba było mnie obudzić.

Gdy musnął ustami wrażliwą skórę za jej uchem, zarżała z podniecenia.

- Chciałam, ale... krępowałam się po tym... co robiliśmy w nocy.

Jedną dłonią objął jej pierś, drugą przesunął po brzuchu... i jeszcze niżej. Skubnął zębami płatek ucha.

- Nie wiesz, że nigdy nie mam ciebie dość? - wyszeptał ochryple. - Możesz mnie nazwać egoistą, ale świadomość, że cierpisz na tę samą przypadłość co ja, czyni mnie bardzo szczęśliwym mężczyzną, ukochana.

Gdy wplotła palce w jego włosy i pocałowała go namiętnie, w jednej chwili ogarnęła go żądza, mimo że tej nocy kochali się już kilka razy. Odwrócił ją do lustra stojącego przy oknie i wszedł w nią powoli, nie przestając pieścić. Wzrokiem zamglonym z pożądania Rebeka patrzyła na dwoje ludzi unoszonych falami namiętności aż do ostatecznego spełnienia.

Oszołomiona widokiem, zamknęła oczy i utrwaliła sobie w pamięci również to wspomnienie.



Kościół był pusty, nie licząc dwóch kobiet, które cicho rozmawiały przy starej krypcie.

- Wszyscy się boją. Od wczorajszego ranka nawet jego siepacze przed nim czmychają. Przez cały czas pije i chyba w ogóle nie śpi. To już nie jest zwykły gniew, tylko szaleństwo. Dziś rano zbił pomywaczkę, bo nie wiedziała, kiedy wraca lady Nisdale. A potem kazał przyprowadzić jedną z pokojówek, Vi, młodą, niewinną istotę. - Millicent zdrząła. - Musieliśmy ukryć przerażoną dziewczynę w jednej z niewolniczych chat w Grove, a potem kłamać, że pojechała do St. Albans, żeby się zająć chorą matką. Mam nadzieję, że o niej zapomni.

Rebeka położyła dłoń na ramieniu przyjaciółki.

- A ty? Będiesz bezpieczna do końca tygodnia?

Millicent miała uniesioną woalkę, tak że widać było dokładnie jej posiniaczoną twarz.

- Jestem potulniejsza niż kiedykolwiek - odparła zdławionym głosem. - Zresztą już uznał mnie za pokonaną. Teraz próbuje stłamsić tych, w których jeszcze tli się życie.

- A rządcą?

- Pogłoski, że lord Stanmore kazał go zastrzelić bez ostrzeżenia, wyraźnie go przestraszyły, ale nadrabia miną. Słyszałam, jak jedna z pokojówek mówiła, że od razu popłynąłby na Jamajkę, gdyby pan go zwolnił i wypłacił mu zaległą pensję. Na razie wciąż jeszcze jest w Melbury Hall. A co z Israelem?

Rebeka powiedziała przyjaciółce o złamanych żebrach,

ale uspokoiła ją, że chłopiec ma się dużo lepiej już po jednym dniu pobytu w Solgrave, a Jamey przez cały czas czuwa przy jego łóżku.

- Nadal zamierzasz wyjechać?

Rebeka czym prędzej odsunęła od siebie wszystkie smutki i przywołała uśmiech na twarz..

- Obie wyruszamy w piątek. Już poprosiłam jednego ze stajennych, żeby wynajął dla nas powóz. Spotkamy się wcześniej rano na końcu sadu, przy drodze do Melbury Hall.

- Na pewno przyjdę! - zapewniła Millicent, ściskając jej rękę. - Zabiorę trochę pieniędzy, biżuterii i ubranie, które na siebie włożę. Ale to nie ma znaczenia, nic nie ma znaczenia. Najważniejsze, że wreszcie będę wolna i szczęśliwa!

Chwyliła przyjaciółkę w objęcia i uściskała mocno, a Rebeka poklepała ją po plecach. Walczyła z łzami, starając się nie myśleć o tym, co sama zostawia, o Jameyu, o lordzie Stanmore. Millicent miała rację. Wszystko jest bez znaczenia.

- Będę na ciebie czekać w sadzie.

Prawnik z niedowierzaniem spojrzął na gościa.

- I jego lordowska mość nie wie o tym, co pan zamierza?

- Nie próbuj mnie zniechęcać, Birch. To najszlachetniejsza rzecz, jaką w życiu zrobię. Prawdę mówiąc, po namyśle dochodzę do wniosku, że właśnie tak postąpiłby Stanmore.

- Spencer pokręcił głową. - Niedobrze ze mną. Tylko niech pan nikomu o tym nie mówi. Proszę mieć wzgląd na moją reputację!

Sir Oliver zaczął chodzić po gabinecie.

- Nie sądzę, żeby jego lordowska mość był zadowolony, kiedy dowie się o pańskim zaangażowaniu w tę sprawę.

- O ile mu pan powie, że to ja odkryłem największą tajemnicę pani Ford.

- Panny Neville - sprostował Birch. - Z wczorajszego listu jego lordowskiej mości wynika, że potwierdziła wszystko, czego sam wcześniej się dowiedziałem. - Przystanął

i zmierzył Spencera wzrokiem. - Nazywa się Rebeka Neville, nigdy nie miała męża i nie znała Elizabeth przed wejściem na statek odpływający do Ameryki.

- Więc sekretem pozostaje...

- Przyczyna ucieczki i powód zmiany nazwiska przed dziesięciu laty.

- Co sprowadza nas do lat spędzonych przez nią w Anglii i... do ewentualnego pracodawcy?

Prawnik znowu się zatrzymał.

- Nie podważam znaczenia pańskich odkryć, sir Nicholasie, ale sprawa jest bardzo delikatnej natury...

- Jak delikatnej?

- Jego lordowska mość zamierza się z nią ożenić... - Birch zerknął na list leżący na biurku. - Wkrótce. Może jeszcze w tym tygodniu.

Spencer opadł na *krzesło*.

- Tego właśnie się obawiałem.

- Zapewniam pana, że nie ma się czego obawiać. Pani Ford, to znaczy panna Neville jest wzorem uczciwości, osobą bez skazy... mimo reputacji swojej matki. Oczywiście musimy odszukać tego pana Guilforda, kimkolwiek jest.

Nicholas zagwizdał cicho.

- Więc na panu też zrobiła wrażenie. I nie tylko. Również na Danielu, pani Trent i tym starym ponuraku Philipie. Wygląda na to, że wszyscy padają ofiarą jej uroku.

- Nie sądzę, żeby „padać ofiarą” było dobrym określeniem. Szczerze mówiąc, to z panem jest coś nie tak, sir Nicholasie, skoro pozostaje pan całkowicie obojętny na zalety tej wyjątkowej i cudownej kobiety, pod każdym względem o niebo przewyższającej damy z wyższych sfer.

- Bez wątplenia. Ale kto mówi, że mnie nie oczarowała? Ja tylko martwię się dość pochopną decyzją Stanmore'a. Ani pan, ani ja nie chcielibyśmy, żeby znowu się sparzył.

Prawnik przesunął ręką po twarzy.

- Oczywiście.

Spencer zerwał się z krzesła.

- Zatem ustalone. Będziemy postępować zgodnie z moim planem.

- Nadal uważam, że najlepiej byłoby, gdyby pozwolił mi pan odwiedzić tego Hartingtona samemu.

- Nic z tego, Birch - rzeki sir Nicholas, biorąc kapelusz i rękawiczki. - Podoba się to panu czy nie, jestem zaangażowany w tę sprawę i nie zrezygnuję, póki ta kobieta nie zostanie ogłoszona świętą albo potępiona na wieki.

Prawnik przeszedł za biurko, wyraźnie niezadowolony z obrotu sytuacji.

- Wyślę swoją wizytówkę do sir Charlesa Hartingtona i poproszę go o spotkanie. Najlepiej jutro.

- Proszę nie zwracać sobie głowy sir Charlesem, tylko posłać wizytówkę bezpośrednio do lady Hartington.

- Dlaczego?

- Bo obecny baronet nie ma jeszcze dwudziestu lat.

- Dwudziestu?

- Jego ojciec, sir Charles, został przed laty zamordowany. Jeśli ktoś może nam udzielić wiarygodnych informacji o naszej tajemniczej panie Neville, to tylko jego matka.

Starali się zachować dyskrecję. Stanmore przychodził do jej sypialni późno w nocy, gdy wszyscy domownicy już spali. Rano niechętnie opuszczał ją przed świtem i wracał do swojego apartamentu, żeby się umyć i przebrać na poranną przejażdżkę z Jamesem. Lecz schodząc rano na śniadanie, Rebeka odnosiła wrażenie, że mimo tej ostrożności wszyscy przejrzeliby ją na wylot.

Co prawda, po niedzielnym popołudniu nad jeziorem i po dwóch miłosnych nocach na jej twarzy malowało się błogie rozmarzenie. Samuel wiedział, jak sprawić, żeby płonęła z pożądania i szeptała mu słowa miłości. I nic dziwnego, bowiem hrabia Stanmore był jedynym mężczyzną, jakiego w życiu kochała i miała kochać.

Idąc po schodach, odpędziła smutek, od którego ścisnęła ją w gardle, a w oczach wzbierały łzy. Wiedziała, że

w koloniach będzie dość czasu na zastanawianie się nad pustką własnej egzystencji i opłakiwanie dwóch najukochańszych osób na świecie.

W jadalni już czekał Philip, jak zawsze dla niej miły. Tego dnia był wyjątkowo ożywiony i od razu podzielił się z nią wielką nowiną.

- Lord North, premier, przyjedzie do nas w czwartek!

Rebeka próbowała wykrzesać z siebie choć trochę entuzjazmu, ale w głębi serca wolałaby, żeby nikt nie składał wizyt w Solgrave, póki ona i Millicent nie wyjadą. Nie miała oczywiście nic przeciwko dostojnemu gościowi. Po prostu żał jej było cennego czasu, który mogła spędzić z ukochanym. Przyjęła od majordomusa filiżankę herbaty i skarciła się w duchu za samolubstwo.

- Pamiętam, że w Filadelfii czytałam o nowym premierze. Objął urząd w tym roku, prawda?

- Tak, madam. - Philip skinął na jednego ze służących. - Jego lordowska mość jest wielkim faworytem króla. Znają się chyba od dzieciństwa. Jeśli mogę pozwolić sobie na śmiałość... - Umilkł na chwilę, czekając, aż lokaj ją obsłuży. Potem ściszył głos i dodał konfidencjonalnym tonem: - Między premierem a królem jest takie podobieństwo jak między krewnymi. Lucy Montague, matka lorda Northa, była bardzo atrakcyjną kobietą i w swoim czasie łączyły ją zażyłe stosunki z ojcem obecnego króla, przynajmniej tak szeptano.

Rebeka zamarła z filiżanką uniesioną do ust i ze zdziwieniem spojrzała na majordomusa. Nigdy by nie przypuszczała, że Philip jest plotkarzem.

- Oczywiście to tylko domysł oparty na... nieznacznym podobieństwie między tymi dwoma mężczyznami i na dworskich plotkach, którym w żadnym razie nie należy ufać!

Skrywając uśmiech, Rebeka doszła do wniosku, że Philip byłby wielce rozczarowany, gdyby zmieniła temat.

- Ojciec lorda Northa jeszcze żyje?

- Oczywiście. Stary hrabia jest już mocno zaawansowany w latach. Większość czasu spędza we Wroxtton Abbey,

niedaleko Branbury. Właśnie stamtąd jedzie premier. Wbrew tym wszystkim skandalicznym plotkom lord North bardzo lubi staruszkę.

Pojawienie się Jamesa i Stanmore'a uratowało Rebekę przed wymyślaniem dalszych pytań. Chłopiec uściskał ją mocno i od razu rzucił się na jedzenie, a ona uśmiechnęła się do hrabiego. Choć siliła się na obojętność, jego spojrzenie natychmiast ją rozpaliło.

- Kto jej powie?

Rebeka przeniosła wzrok na Jameya.

- Chyba ty powinienes - odparł Stanmore.

- W sierpniu wybieramy się na cały miesiąc do Szkocji - oznajmił chłopiec cały rozpromieniony. - To wcześniej niż jego lordowska mość zwykle tam jeździ, ale w tym roku zmienił plany, żebyśmy mogli pojechać razem, nim zacznę naukę w Eton.

Rebeka posłała hrabiemu uśmiech wdzięczności. Wiedziała, że Jamey będzie potrzebował jego uwagi, kiedy ona wyjedzie.

- Czy to nie jest świetna nowina? I możemy zabrać również Izraela.

- Będziecie się doskonale bawić - stwierdziła z przekonaniem.

- Ty też! Jego lordowska mość uważa, że nie trzeba się bać lady Meg... to znaczy mojej babci. Mówi, że ona tylko warczy, ale... nie ma zębów? - Zerknął pytająco na hrabiego.

- Warczy, ale nie gryzie.

- Właśnie! I na pewno cię pokocha. Tak samo, jak my wszyscy cię kochamy. - Jamey spojrział na nią błagalnie. - Pojedziesz z nami? Obiecuj, że tak.

Rebeka poczuła się, jakby ktoś zacisnął pięść wokół jej serca. W jadalni zapadła niezręczna cisza. Wszyscy patrzyli tylko na nią.

- Mamo?

Nadal tak się do niej zwracał. W jego oczach lśniły łzy.

- Muszę najpierw porozmawiać o tym z jego lordowską

mością - odparła w końcu i niepewnie zerknęła na hrabiego.

Na twarzy lorda Stanmore malowało się rozczarowanie nie mniejsze niż u Jameya.

Birch należał do ludzi, którzy do wszystkiego starannie się przygotowują. Dlatego też, kiedy razem z sir Nicholasem Spencerem wchodził po kilku stopniach do ładnej miejskiej rezydencji, to i owo wiedział o rodzinie Hartingtonów.

Choć minęło osiem lat od chwili, kiedy nieznany osobnik zamordował sir Charlesa Harringtona w Vauxall Gardens, jego żona nadal stawała się nieprzystępna na wzmiankę o tamtym wydarzeniu. Prawnikowi dano do zrozumienia, że awersja lady Hartington do rozmowy o śmierci męża wynika przede wszystkim z jego trybu życia. Sir Charles był znanym rozpustnikiem, który napastował każdą spotkaną kobietę niezależnie od klasy, wieku czy stanu cywilnego. Na domiar złego szeptano, że nóż w żebra baroneta wbił niezadowolony mąż, przewoźnik czy ktoś taki.

Nie taka znowu rzadkość, pomyślał Birch, ale wystarczający powód, żeby szanująca się kobieta unikała tego tematu.

Po przybyciu do jej domu on i sir Nicholas zostali zaprowadzeni do saloniku, gdzie gospodyni przyjęła ich uprzejmie, lecz chłodno. Sir Oliver z zaskoczeniem stwierdził, że lady Hartington jest młodsza i ładniejsza, niż się spodziewał.

- Dziwne, że już drugi raz w tym tygodniu przyjmuję gości, wpytujących o tę samą osobę.

Birch zerknął na Spencera i na jego twarzy również dostrzegł zaskoczenie. Przeniósł wzrok z powrotem na panią domu.

- Mówi pani, że ktoś już w tym tygodniu pytał o pannę Rebekeę Neville?

- Tak! - Lady Hartington złożyła ręce na kolanach, który to gest prawnik uznał za niezwykle czarujący. - Lady Louisa Nisdale. Zjawiła się w poniedziałek. Twierdziła, że jest dawną przyjaciółką panny Neville i chciałyby się do-

wiedzieć, co teraz u niej słyszeć, bo od lat nie miała z nią kontaktu.

- Ach, tak. Lady Nisdale. - Prawnik zmarszczył brwi na myśl o hrabim mordującym Louise, ale kiedy zauważył wściekłość w oczach Nicholasa, zaczął się zastanawiać, który dopadnie ją pierwszy. - Czy ta dama wyjaśniła, dlaczego zwraca się akurat do pani?

- Twierdziła, że jest szkolną koleżanką Rebeki i że ich dawna nauczycielka wymieniła w rozmowie moje nazwisko. - Na policzki gospodyni wypłynął rumieniec gniewu. - Oczywiście od razu się zorientowałam, że nie mówi prawdy. Długo znam dyrektorkę oksfordzkiej akademii i do dziś z nią koresponduję, ponieważ moja córka Sara, która ma teraz szesnaście lat, jest uczennicą tej świetnej szkoły. Wiem, że pani Stockdale nikomu nie zdradziłaby takich szczegółów. Swoją renomę zyskała między innymi dzięki uczciwości i dyskrecji. Nie muszę dodawać, że odprawiłam lady Nisdale, nie odpowiadając na jej pytanie.

Birch stłumił westchnienie ulgi. Miał w tym tygodniu dość na głowie, żeby jeszcze martwić się knowaniami Louisy.

- A czy mogę zapytać, jak pan dowiedział się o mojej znajomości z panną Neville?

Lady Hartington czekała cierpliwie, ale przeciwiczone odpowiedzi Bircha nie nadawały się do wykorzystania w tej akurat sytuacji. Z kłopotu wybawiła go szybka reakcja sir Nicholasa.

- Pani nazwisko podała nam matka panny Neville. Jest... była znaną aktorką londyńskich scen. Nieżyjący baronet, który odwiedzał ją za kulisami, wspomniał kiedyś, że pani zatrudniła Rebeke.

Kobieta spochmurniała.

- Przepraszamy za wzmiankę o pani zmarłym mężu, miłady, ale koniecznie musimy się dowiedzieć, w jakim charakterze i jak długo panna Neville była tutaj zatrudniona, a także poznać okoliczności jej odejścia - wyjaśnił Birch łagodnym tonem.



Zauważył, że kostki łady Hartington zbieleły, a na policzki znowu *wypęłzył* rumieniec. Gdyby nie przyszli do niej w imieniu hrabiego Stanmore, znanego i szanowanego członka Izby Lordów, zapewne odprawiliby ich w tym momencie. Podniosła jednak oczy i utkwiała w nim opanowane spojrzenie.

- Panna Neville przyjechała do nas dziesięć lat temu prosto z Akademii dla Dziewcząt. Zatrudniłam ją jako nauczycielkę moich trojga dzieci, które w tamtym czasie miały lat sześć, osiem i dziesięć. Mój najstarszy syn jesienią rozpoczął naukę w Eton. Reбекę bardzo gorąco poleciła mi dyrektorka, pani Stockdale.

- Słyszałem, że to doskonała i ekskluzywna szkoła - wtrącił Nicholas. - Młode kobiety, które do niej uczęszczają, zwykle nie wybierają się później do pracy.

- *Istotnie. Dlatego byłam bardzo szczęśliwa., że zgodziła się uczyć moje dzieci, ale jednocześnie od początku przeczuwałam, że długo u nas nie zostanie.*

Gdy lady Hartington umilkła, Birch niespokojnie poprawił się na krześle. Nie mógł jej naciskać, a musiał zdobyć potwierdzenie, że słusznie ocenił Reбекę, biorąc ją za osobę krystalicznie uczciwą. Chciał pewności, że Stanmore postępuje właściwie, biorąc ją za żonę. Ona też zasługiwała na więcej, niż jakakolwiek inna kobieta.

- I? - Sir Nicholas nie był tak cierpliwy jak on.

- Rebeka była u nas miesiąc. I muszę powiedzieć, że pani Stockdale słusznie ją wychwalała. Moje dzieci jeszcze nigdy nie miały lepszej nauczycielki.

- Ale odeszła po miesiącu - zauważył Spencer.

- Tak.

- Dlaczego?

- Nie wiem.

- Prosiła o referencje?

Lady Hartington dotknęła czoła nerwowym gestem.

- Nie.

- Złożyła wymówienie?

- Nie.

- Wzięła wynagrodzenie, które się jej należało?

Birch z większym szacunkiem spojrzął na sir Nicholasa. Ten człowiek wyraźnie minął się z powołaniem.

- Nie sądzę, żeby...

- Zabrała swoje rzeczy?

- Nie miała ich wiele.

- Zabrała je?

- Nie. - Odpowiedź była bardzo cicha.

- Twierdzi pani, że Rebeka nie odeszła, tylko po prostu zniknęła pewnego dnia?

Gdy milczenie się przedłużyło, Spencer wstał, ściągając na siebie spłoszony wzrok lady Hartington.

- Sir Nicholasie... - zaprotestował prawnik.

- I nie obchodziło pani, że coś mogło się jej stać? Nie czuła się pani za nią odpowiedzialna?

Kobieta opuściła wzrok.

- Była pani w domu tamtego dnia lub nocy, kiedy panna Neville odeszła? - zapytał Birch dużo łagodniejszym tonem.

Lady Hartington potrząsnęła głową i wstała z krzesła.

- A pani mąż był wtedy w domu?

Gospodyni zbliżyła się do drzwi, chwyciła za klamkę i nie patrząc na gości, oświadczyła na pożegnanie:

- Powiedziałam wam już wszystko, panowie. A teraz proszę mi wybaczyć, nie czuję się dobrze. Kamerdyner panów odprowadzi.

Po jej wyjściu mężczyźni spojrzeli po sobie.

- Celu nie osiągnęliśmy - stwierdził Birch.

- Ale przynajmniej wiemy, że to sprawka męża! - Spencer aż poczerwieniał z gniewu. - Jest oczywiste, że ten obłeśny drań zrobił, co chciał!

- Albo próbował, sir Nicholasie. Nie wyciągajmy pochopnych wniosków.

- Racja. Może po prostu uciekła przed jego lubieżnymi łąpskami.

- Lady Hartington nie była z nami całkiem szczerą -

orzekł prawnik z przekonaniem. - Jeszcze jedno spotkanie, i wszystko z niej wyciągnę.

Spencer zmierzył go wzrokiem, uśmiechając się zagadkowo.

- Co ma znaczyć pańskie spojrzenie, jeśli mogę zapytać?

- Jako stary kawaler, sir Oliverze, jest pan zręczny niczym słoń w składzie porcelany, gdy jakaś kobieta wpadnie panu w oko. - Ruszyli do drzwi. - I nie sądzę, żeby Stanmore miał dziesięć lat do stracenia, podczas gdy pan będzie zajmował się amatorami.

- Amorami... - obruszył się Birch, lecz zaraz umilkł, bo w progu stanął rosły kamerdyner.

Gdy tylko wyszli na korytarz, Nicholas położył dłoń na muskularnym ramieniu sługi.

- Czy to nie ciebie widziałem w zeszłym tygodniu boksującego w Wetherby?

- Tak, sir. To całkiem możliwe.

- Sporo dzięki tobie zarobiłem, człowieku. Rozegrałeś niezłą walkę. Masz zabójczy prawy prosty.

Idąc w dół po schodach, sir Oliver z rozbawieniem słuchał ożywionej dyskusji o zeszłotygodniowych walkach i o zakładach, które w tym tygodniu będą stawiane w klubach bokserkich. Nie mógł się nadziwić, że sir Nicholas, człowiek wykształcony i brylujący w najwyższych kręgach, równie swobodnie czuje się w towarzystwie osób skromnego pochodzenia. Zaraz jednak porzucił te rozważania i skupił się na ważniejszych sprawach. Przez chwilę zastanawiał się, czy już poinformować hrabiego w liście o dotychczasowych ustaleniach.

- A ostatni kamerdyner, ten przed tobą...

- Robert.

Prawnika ponownie zainteresował się rozmową. Wszyscy trzej stali teraz w otwartych drzwiach frontowych.

- Właśnie, Robert. Przekażesz mu moją wiadomość, tak, George?

Mężczyzna obejrzał się przez ramię, po czym dyskretnie skinął głową.

- Oczywiście, sir.

- W przyszłym tygodniu postawię na ciebie, George. Możesz mnie wyglądać.

- Dobrze, sir.

Oliver poczekał, aż obaj wsiądą do karocy, i dopiero wtedy zadał pytanie. Jego towarzysz rozparł się na siedzeniu i uśmiechnął szeroko.

- Lepiej, żeby pan przestał myśleć o spódnicach, Birch

- Sir Nicholasie!

Spencer wybuchnął śmiechem, ale szybko spoważniał.

- Mój nowy przyjaciel George jest kamerdynerem u Hartingtonów dopiero od dziesięciu lat. Natomiast jego poprzednik Robert pracował u nich chyba od upadku Troi.

- I przypuszczalnie właśnie wtedy panna Neville była tam nauczycielką.

- Tak. Ze słów George'a wynika, że Robert został zwolniony za podbieranie domowych pieniędzy na hazard. Ale podobno żywi wielką urazę do swojego dawnego pana, nieżyjącego sir Charlesa Hartingtona.

Oliver zatarł ręce.

- Więc kiedy się z nim spotkamy?

- Robert ma przyjść jutro wieczorem do pańskiej kancelarii w Middle Tempie. George uważa, że nie istnieje taki sekret Hartingtonów, którego były kamerdyner chętnie nie wyjawia... oczywiście za stosowne wynagrodzenie.

Kolacja podana przez panią Trimble była pyszna, ale William Cunningham nie mógł nic przełknąć, zdenerwowany tematem rozmowy prowadzonej przy stole. Choć obaj z wielebnym trzymali się z dala od Melbury Hall, do pastora docierały niepokojące wieści z różnych źródeł. Wszystkie świadczyły, że dzieją się tam złe rzeczy.

Gdy wyszedł z domu sąsiadów, wioskę otuliła nieprzenikniona ciemność. Niebo było czarne, nie świeciła ani jedna gwiazda. W pewnym momencie spod muru szkoły dobiegł znajomy gwizd. Nauczyciel ruszył ostrożnie w stronę dźwięku.

- Co słysząc, przyjacielu? Jak lady Wentworth?

Przeszli na tyły budynku, gdzie mogli swobodniej rozmawiać.

- Lady Wentworth prosi, żeby pan przybył do Grove jutro o świcie i żeby pan wziął powóz.

- Ktoś jest ranny? Możemy jechać od razu.

Mężczyzna potrząsnął głową.

- Strażnicy pana zabiją. Rano będzie bezpieczniej. Tak uważa lady Wentworth.

- Mam kogoś stamtąd zabrać?

- Tak - odparł Jonasz. - Pokojówkę lady Wentworth, Vi. Wpadła w oko dziedzicowi i teraz tak się boi, że jest gotowa się zabić. Od dwóch dni ukrywamy ją w Grove. Muszę już iść, sir.

- Dobrze, Jonaszu. Dziękuję, że przyszedłeś.

- Będzie pan o świcie?

- Tak - obiecał Cunningham.

Chwilę później niewolnik rozpląnął się w ciemności.

- Dokąd mnie prowadzisz? - zapytała Rebeka, idąc za hrabią do skrzydła Solgrave, w którym jeszcze nigdy nie była.

- Żadnych pytań, po prostu chodź ze mną - powiedział Stanmore, mocniej ściskając ją za rękę; w drugiej niósł świecznik.

Po drodze mijali liczne zamknięte drzwi. Rebeka niemal czuła stęchły zapach pokoiów nie wietrzonych od długiego czasu. Zerknęła na obrazy wiszące na ścianach, gdy na chwilę padał na nie blask świecy. Wreszcie zatrzymali się na końcu długiego korytarza, przed dębowymi podwojami.

- Co tam jest? - zapytała cicho, rzucając spojrzenie na kamienną twarz hrabiego.

- Pokoje mojego ojca - odparł krótko i po chwili wahania otworzył ciężkie drzwi.

Rebeka przekroczyła próg, nie odrywając wzroku od gospodarza. Lord Stanmore umieścił świecznik na skrzyni stojącej w nogach wielkiego łóża z baldachimem. Na jego twarzy malowało się napięcie, oczy błędziły po amfiladzie pomieszczeń.

- To było jego więzienie przez prawie osiem lat. - Głęboki głos odbił się echem od ścian. - A łóżo najpierw służyło jako miejsce rozpusty, a potem kary.

Rebeka miała ochotę podejść, utulić go i pocieszyć w jedyny sposób, jaki znała: obdarzając miłością. Ale nie mogła ludzić go nadzieją, składać obietnic bez pokrycia.

- Przez osiem lat ojciec nie opuszczał tej sypialni. Przepędzał wszystkich, którzy chcieli mu pomóc. Po prostu leżał i użalał się nad własnym nieszczęściem. Aż pewnego dnia wezwał mnie i wyjawiał swoje grzechy.

Rebeka zobaczyła, że Samuel chce mówić, więc mu nie przerywała.

- James nie jest moim synem. Ale pewnie już domyśliłaś się prawdy, widząc, jak go traktuję.

Zdobyła się jedynie na skinięcie głową.

- Jest owocem romansu, który Elizabeth i mój ojciec nawiązali wkrótce po moim wyjeździe. Opowiedział mi o dniach i nocach, które razem spędzali. O tym, że nie była ze mną szczęśliwa w małżeństwie, i może dlatego ją oczarował, a ona jego. Cięża była wstrząsem dla nich obojga. - Spojrzał na puste łóżce. - Lecz on wiedział, jak uniknąć skandalu. Zaplanował wszystko tak, żeby dziecko uchodziło za moje. Dwa miesiące różnicy między moim wyjazdem a poczęciem nie stanowiły żadnej przeszkody dla człowieka takiego jak on.

Rebeka oparła się o drzwi i słuchała w milczeniu.

- Odizolował Elizabeth pod pozorem, że źle znosi swój stan. Oczywiście dzięki temu mogli swobodniej oddawać się namiętności. - Zerknął na portret wiszący na ścianie. - W terminie tak wybranym, żeby dziecko mogło zostać uznane za moje, powiadomił o narodzinach dziecka. Ogłosił nawet, że to chłopiec, tak był pewny siebie. - Hrabia przesunął rękami po twarzy. - Wyznał, że gdyby urodziła się dziewczynka, pozbyłby się jej i po prostu oświadczył, że umarła. Elizabeth zgodziła się na wszystko. Była chętną współniczką... do dnia porodu. Gdy się dowiedziała, że z powodu zdeformowanej ręki mój ojciec zamierza oddać Jamesa, w końcu się zbuntowała. Widzisz, dla niego każda skaza stanowiłaby ujmę na honorze rodu. - Odszedł od łóżka. - Wtedy, chyba po raz pierwszy w życiu, Elizabeth wykazała się odwagą. Musiał się w niej obudzić instynkt macierzyński. Wzięła Jamesa i uciekła, żeby móc go zatrzymać, żeby go uratować. - W jego oczach zalśniły łzy. - Do tej pory z nikim nie rozmawiałem o przeszłości. Nie pozwalałem, żeby mnie wypytywano o Elizabeth ani o ojca. Nie dopuszczałem do tego, żeby ktokolwiek zobaczył moją słabość, moją porażkę.

Rebeka zapomniała o swoim postanowieniu. Zbliżyła się do ukochanego i otoczyła go ramionami. Stanmore przytulił ją mocno.

- Nie chcę niczego przed tobą ukrywać, Rebeko. Chcę, żebyś знаła całą prawdę o mnie. Mam swoje wady. Pod wieloma względami jestem podobny do ojca. Nigdy nie szukałbym Jamesa ani Elizabeth, gdyby na łożu śmierci nie błagał mnie o wybaczenie i nie wymógł obietnicy, że sprowadzę jego syna. To dlatego wysłałem Bircha do Ameryki. I dobrze się stało, bo dzięki temu poznałem ciebie.

Pocałowała go wzruszona, z trudem hamując szloch.

- Kocham cię, Rebeko, i twoja przeszłość nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Nie pozwolę ci odejść. - Ujął w dłonie jej twarz. - Potrzebuję cię tak samo jak James. Dałaś nam obu drugą szansę w życiu. - Wargami spił łyzy z jej policzków. - Pragnę, żebyś została i wyszła za mnie.

Rebeka ukryła twarz na jego piersi.

- Zabiłam człowieka - powiedziała stłumionym głosem. - Uderzyłam go w samoobronie, a potem uciekłam. Teraz znowu muszę wyjechać, bo to tylko kwestia czasu, kiedy zostanę zdemaskowana. - Bała się podnieść wzrok i zobaczyć jego reakcję na straszne wyznanie. - Wiem, że to tchórzliwe z mojej strony, ale nie mogę pozwolić, żeby mnie złapano, póki jestem w jakikolwiek sposób związana z tobą lub Jamesem. Nie mogę okryć hańbą twojego nazwiska.

- Do diabła z moim nazwiskiem - rzucił szorstko, odsunął ją i spojrzał jej w oczy. - Kocham cię, Rebeko. Wiem, że nie skrzywdziłabyś nawet muchy. Użyję wszystkich wpływów, żeby wyjednać dla ciebie uniewinnienie. Pójdę do samego króla...

- Nie! - Potrząsnęła głową. - Nie wolno ci ryzykować, narzącać na szwank swojego dobrego imienia. Muszę wyjechać.

- Więc pojedę z tobą.

Łzy znowu popłynęły jej po twarzy, ciałem wstrząsnął szloch. Hrabia delikatnie ujął ją pod brodę.

- Zanim cię spotkałem, nigdy nie zaznałem prawdziwego szczęścia. Dzięki Jamesowi ród przetrwa, czego tak bardzo pragnął mój ojciec. Natomiast my wyjedziemy razem do kolonii i tam zaczniemy...



- Przestań! - Rebeka położyła dłoń na jego ustach. - Nie możesz go zostawić. On ciebie potrzebuje. Poza tym masz bardzo ważną pracę, robisz wiele dobrych rzeczy...

Stanmore zmusił ją, żeby na niego spojrzała.

- Ty i ja jesteśmy sobie przeznaczeni. Szkoda czasu na spory. Mówię ci, że będziemy razem, do końca życia i za wszelką cenę.

Rebeka zajrzała mu głęboko w oczy i zrezygnowała z dalszej dyskusji. Wiedziała, że ich losy, ich przyszłość, są od siebie tak oddalone jak niebo i ziemia. Nie chciała jednak psuć ostatnich chwil szczęścia, jakie im pozostały.

Gdy Samuel sięgnął do jej ust, odwzajemniła pocałunek. Po dłuższej chwili odsunął się od niej niechętnie i wziął świecznik ze skrzyni.

- Nie spuszcze cię z oczu ani na chwilę - zapowiedział. - I do diabła z przywoitością! Będę się sycił twoim widokiem aż do upojenia. Jutro rano wybierzesz się z Jamesem i ze mną na poranną przejażdżkę. Po południu pójdziemy do wsi, żeby się spotkać z wielebny i z panem Cunninghamem...

Mówił dalej, a ona tylko słuchała, oszołomiona żarem jego uczuć.

Gdy opuścili zatęchłe pokoje, w których zamknięto niesławną przeszłość, starała się myśleć tylko o teraźniejszości i o jego czułych objęciach. Wiedziała, że w przyszłości będzie jeszcze dużo czasu na łyzy, bo decyzje, które miały ich rozdzielić, już zostały powzięte.

Jeszcze nie wstał dzień nad Melbury Hall, kiedy Millicent wymknęła się z domu i w ciemnościach pobiegła do Grove. Na polanie już na nią czekali Jonasz i Violet.

- Pan Cunningham wkrótce nadjedzie - stwierdziła lady Wentworth, patrząc na leśną drogę. - Może powinniśmy wyruszyć mu na spotkanie.

Młoda pokojówka zadrzała w chłodzie przedświt.

- Zdamę pobiec na chwilę do domu, milady?

- Chyba żartujesz! A jeśli cię nakryją?

- Szybko wróć - zapewniła dziewczyna. - Zostawiłam w pokoju medalionik od mamy i szal, który zrobiła dla mnie babcia, kiedy byłam mała. Tylko te dwie rzeczy chcę ze sobą zabrać.

W tym momencie z lasu dobiegł cichy tętent końskich kopyt, a chwilę później na dukcie ukazał się powóz. Kierował nim człowiek z latarnią. Millicent wybiegła mu naprzeciw.

- Panie Cunningham - szepnęła. - Nigdy nie odwdzięczę się panu za to, co pan robi.

- Lady Wenworth!

Nauczyciel nawet nie próbował ukryć konsternacji. Millicent cofnęła się odruchowo, gdy sobie przypomniała, że nie ma woalki, która zakryłaby brzydkie siniaki.

- Co się stało, Millicent? - zapytał William Cunningham łagodniejszym tonem. - Kto ci to zrobił... jakbym musiał pytać.

- Mogę już iść, milady?

- Idź, Vi. Ale pospiesz się, błagam!

Dziewczyna uniosła spódnicę i pobiegła w stronę Melbury Hall. Drzwi kuchenne już były otwarte, więc wśliznęła się przez nie bezszelestnie i cicho ruszyła po schodach na poddasze. W domu niedługo miał się zacząć ruch.

Gdy zbliżała się do podestu, usłyszała za sobą ciężkie kroki. Skuliła się i przywarła do ściany. Zdawała sobie sprawę, że jeśli ten ktoś wejdzie na samą górę, na pewno ją nakryje.

Nikt nie wiedział, że Lady Wentworth wywozi ją tego ranka. Nikt oprócz samej pani, Jonasza i czterech czarnych kobiet, które ukrywały ją w swojej chacie.

Na szczęście mężczyzna niosący świecę skręcił w korytarz prowadzący do sypialni pana i pani. Vi odetchnęła z ulgą i spojrzała w górę, ale nie ruszyła się z miejsca, ogarnięta złym przeczuciem. Po krótkim wahaniu zeszła piętro niżej i skradając się poszła za tamtym człowiekiem.

Stała w pół kroku, gdy nocną ciszę zmaćniło niecierpliwe pukanie do drzwi, a zaraz po nim drugie. Chwilę później rozległo się skrzyknięcie i na podłodze ukazał się

jaśniejszy prostokąt. Na dworze już chyba wstawał świt, bo w sypialni pana było widniej niż na korytarzu.

- O co chodzi? - Burkliwy głos poniósł się po całym domu.

- Cunningham przyjechał powozem! Pani pewnie zamierza z nim uciec.

Przerażona Violet oderwała plecy od ściany i zaczęła się cofać do schodów.

- Nie chciałem wcześniej tego mówić, ale pani zadzierwała dla niego spódnicę - ciągnął dalej rządca. - Widziałem ich w Grove niecały tydzień temu. Z kolei w poniedziałek pobiegła do wsi, żeby się spotkać z gachem. A teraz z nim wyjeżdża.

- Nie sądzę. Zabiję ich oboje! Przynieś mi strzelbę!

Słyszac ryk Wentwortha, Violet zbiegła do holu, wypadła z domu i oszalała ze strachu popędziła przez ogrody.

Musiała ich ostrzec i ściągnąć pomoc, bo nawet gdyby *od razu wyruszyli, nie* odjechaliby daleko. Zresztą *lady* Wentworth wcale nie zamierzała uciekać.

- Jonaszu - wysapała, chwytając go za ramię. - Dziedzic myśli, że pani ucieka z nauczycielem. Już tu idzie ze strzelbą. Biegnij i ją ostrzeż. Pospiesz się! Ja lecę do Solgrave po pomoc!

## 31

Gdy zeszli na brzeg rzeki, Millicent obejrzała się przez ramię na czarnych wyrobników, którzy stali gromadką na polanie. Ogarnął ją strach, że jeśli Violet szybko nie wróci, niewolnicy nie wyjdą w pole, a wtedy zjawi się rozsierdzony rządca.

- Ty również musisz ze mną jechać. - Cunningham delikatnie ujął ją pod brodę. - Nie mogę dłużej patrzeć na to, co on z tobą robi. Niszczy cię, po trochu zabija twoją duszę i ciało.

- Nie, Williamie. Moja dusza należy do mnie. - W jej oczach zalśniły łzy. - Nie mogę z tobą uciec. On prędzej czy później nas znajdzie.

- Możemy ukryć się w Szkocji. Znam miejsca, gdzie nigdy nas nie dopadnie. Jedź ze mną, Millicent!

Ścisnęła jego dłoń.

- Jesteś moim najdroższym przyjacielem. Odwieź Vi do rodziny. Poprosiłabym cię również, żebyś zabrał pozostałych, gdybym wiedziała, gdzie będą bezpieczni. Nikt nie zasługuje na tak okrutne traktowanie.

- Nikt oprócz ciebie? - rzucił z gniewem Cunningham. - Zostając tutaj, nie ulżysz ich losowi. Wentworth wcale nie zżęca się nad nimi mniej, gdy na tobie się wyładuje.

- Proszę, Williamie. - Błagalnym gestem położyła dłoń na jego ustach i ściszyła głos. - Niedługo stąd wyjeżdżam.

- Naprawdę? Dokąd?

- Lepiej nie pytaj! Po prostu uwierz, że tam mnie nigdy nie znajdzie. Ale martwię się o tych ludzi. Muszę coś zrobić.

Chwycił ją za ramiona, przyciągnął do siebie.

- A co ze mną? Z nami? Nie rozumiesz, że cię kocham?

Po raz pierwszy pozwoliła się przytulić i musnęła policzkiem jego twarz.

- Wiele dla mnie znaczysz.

W tym momencie usłyszeli krzyk Jonasza biegnącego w dół po zboczu. Lady Wentworth uwolniła się z objęć Cunninghama i oboje czym prędzej wrócili do powozu.

- On tu idzie, milady! - wysapał niewolnik. - Dziedzic. Ma strzelbę. Myśli, że pani ucieka z nauczycielem.

Millicent z przerażeniem spojrzała w stronę domu.

- Gdzie jest Vi?

- Pobiegnę do Solgrave po pomoc. Mówi, że pan jest gotowy kogoś zabić, milady. Lepiej niech pani odjedzie.

Lady Wentworth odwróciła się do nauczyciela.

- Ruszaj już, błagam! On cię zabije, jeśli cię tu zobaczy.

- Musisz jechać ze mną.

Millicent potrząsnęła głową.

- Nie mogę! Muszę mu udowodnić, że się myli, albo... - Obejrzała się na krąg niewolników. - Albo nie wiadomo, co mu wpadnie do głowy. Proszę, uciekaj. Szybko!

- Nie - rzekł Cunningham zdecydowanym tonem, gdy próbowała pchnąć go w stronę powozu. - Ten potwór zemści się na tobie. Zostanę i wyjaśnię mu, że przyjechałem, bo... ktoś zachorował. Nie pierwszy raz się zjawiam w takiej sytuacji.

- Nic nie rozumiesz! Proszę! - Szlochając, oglądała się co chwilę ku ścieżce, która prowadziła do domu. - Wentworth nie będzie słuchał żadnych wyjaśnień. Od dawna szukał powodu, żeby cię zabić... i mnie. Nie pozwól, żeby zastał nas razem. Jedź!

Cunningham trzymał dłonie na jej ramionach i próbował ją uspokoić, kiedy na polanę wmaszerował esquire. Tuż za nim podążał Mickleby. Millicent krzyknęła cicho i obróciła się w objęciach Williama, zasłaniając go własnym ciałem.

Wstawał świt, kiedy troje jeźdźców opuściło stajnie Solgrave i wyruszyło na poranną przejażdżkę.

- A mówiłaś, że nie jeździsz konno - rzekł Stanmore, podziwiając jej wdzięczną postawę w siodle.

Rebeka spojrzała na niego z uśmiechem.

- I nie kłamałam. Nie siedziałam na koniu od czasów, gdy uczyłam się w akademii pani Stockdale w Oxfordzie.

- Więc to ona jest odpowiedzialna za wszystkie twoje wady. Słyszałem o jej szkole.

- Wady? - szepnęła Rebeka z udawanym gniewem i zerknęła na Jamesa, który jechał na kucu w bezpiecznej odległości przed nimi. - O ile sobie przypominam, jeszcze godzinę temu uważałeś mnie za chodzącą doskonałość.

Hrabia nachylił się do niej. Jego czarne oczy błyszczały.

- A nie byłaś wtedy całkiem naga?

Rebeka zaczerwieniła się jak piwonia i odwróciła twarz, ale Stanmore ściągnął na siebie jej uwagę, dotykając kolana.

- Jesteś absolutną doskonałością, najdroższa... w ubraniu czy bez. A jeśli chodzi o wady? Nie masz żadnych. Muszę oddać pani Stockdale, że pomogła ukształtować kobietę, którą kocham.

Rebeka położyła dłoń na jego ręce, a on rozgrzał ją zmysłowym pocałunkiem.

Gdy Jamey zwolnił i odwrócił się do nich, natychmiast rozłaczyli dłonie i wyprostowali się w siodłach z minami winowajców. Chłopiec spojrzał najpierw na jedno, potem na drugie, a w końcu zapytał:

- Możemy pojechać do starego domku gajowego? Obiecałem Israelowi, że zajrzę tam dziś rano.

- Prowadź nas, gdzie chcesz.

Chłopiec uśmiechnął się, słysząc ton hrabiego, i zadowolony ruszył przed siebie.

- To tam znalazłeś Israela? - spytała Rebeka, patrząc na szablę, którą Stanmore zabierał na przejażdżki.

- Tak. I chyba również tam poznali się chłopcy. To blisko Melbury Hall...

Zmrużył oczy, a w tym samym momencie Jamey ściągnął wodze. Z drugiej strony łąki pędziła ku nim młoda kobieta i krzyczała coś nieskładnie. Gdy do nich podbiegła, hrabia zsiadł z wierzchowca i chwycił ją za ramię.

- On ma strzelbę, milordzie. Zabije pana Cunninghama i milady. Niech się pan pospieszy, milordzie, Proszę!

- Kto ma strzelbę?

- Esquire Wentworth. On myśli, że pani ucieka z nauczycielem. Ale to nieprawda. Mickleby go okłamał. Nauczyciel przyjechał, żeby mnie odwiedzić do rodziny. Dziezdzic chciał mnie skrzywdzić...

- James, wracaj szybko do Solgrave i powiedz Porsonowi, żeby wziął ludzi i przyjechał do Melbury Hall. - Gdy chłopiec zawrócił kuca i pogalopował do domu, hrabia wskoczył na konia i rzucił: - Rebeko, weź dziewczynę...

- Jadę z tobą. Millicent to moja przyjaciółka.

Stanmore zmarszczył brwi, ale skinął głową.

- Dobrze, ale trzymaj się za mną i zachowaj bezpieczną odległość. Wentworth jest dostatecznie głupi, żeby zrobić krzywdę każdemu, kto stanie mu na drodze.

- Obiecuję, że będę uważać. Ruszaj.

Gdy hrabia puścił się galopem przez łąkę, Rebeka spojrzała na płaczącą dziewczynę.

- Idź do Solgrave i spytaj o panią Trent. Ona się tobą zajmie, póki nie wrócimy.

- Martwię się o moją panią. Ona...

- Jego lordowska mość ją obroni. Poradzi sobie z dziezdzicem. No, biegnij.

Rebeka popędziła konia i ruszyła za hrabią, raptem sama zdjeta niepokojem. Gdyby ukochanemu coś się stało, byłaby gotowa zabić Wentwortha.

Millicent przywarła plecami do Williama i nie pozwoliła mu się odepchnąć.

- Puść go, Wentworth. Nie jest tak, jak myślisz.

- Dziwka, jej gach i świta. - Dziezdzic zaśmiał się urągli-

wie, patrząc na zebranych wokół niej niewolników. - Nareszcie wiem, co robiłem źle przez ostatnich pięć lat i dlaczego mnie odtrącałaś. Pani lubi widownię. A może kilku naraz?

- Jesteś odrażający, Wentworth. Nie waż się tak do niej mówić. - Cunningham odsunął Millicent i zrobił krok do przodu. - Sam okrywasz się hańbą i przynosisz wstyd...

Strzał zaskoczył i ogłuszył wszystkich, odbił echem od ściany lasu. Koń zaprzężony do powozu rzucił się do panicznej ucieczki i zatrzymał dopiero nad wodą.

Nauczyciel, odrzucony w tył przez kulę, siedział na ziemi i z niedowierzaniem patrzył na dziurę w piersi. Przycisnął dłoń do krwawiącej rany, spojrzął na Millicent i runął na plecy.

- Nie! - krzyknęła lady Wentworth i opadła przy nim na kolana.

Spod nieruchomego ciała wypływała czerwona strużka i rozlewała się po ziemi. Millicent próbowała zatamować krew, ale jej wysiłki na nic się zdały.

- Nie! Proszę, nie umieraj, Williamie. Proszę!

Dotknęła jego twarzy, zostawiając krwawe smugi na czole, policzkach i rozchylonych wargach. Oczy Cunninghama były otwarte, ale patrzyły w niebo szklistym wzrokiem.

Tymczasem Wentworth oddał strzelbę Mickleby'emu i wyciągnął szablę.

- Kto zginie następny, Millicent? - zapytał, podchodząc do kręgu niewolników, którzy stali w milczeniu wokół niej. Żaden nie stchórzył. Żaden się nie cofnął.

- Zabij mnie! - krzyknęła ze szlochem żona, pochylając się nad martwym nauczycielem.

- Wszystko w odpowiednim czasie, skarbie. - Powiódł wzrokiem po wrogich twarzach. Nikt nie uciekł spojrzeniem. - Umrzesz dziś rano, ale nim spełnię twoje życzenie, powinnaś zobaczyć, jak to było płacić za twoje postęпки.

Millicent patrzyła przez łyż, jak mąż przykładła ostrze szabli do piersi najbliższej stojącej osoby. Krzyknęła, gdy



przeciął skórę do krwi. Mężczyzna nawet nie drgnął. Wentworth ruszył wzdłuż szeregu, przyglądając się twarzom.

- Musimy to zrobić we "właściwej kolejności, moja droga.

Millicent wstrzymała oddech, przerażona szaleństwem, które najwyraźniej go ogarnęło. Kiedy zatrzymał się przed Jonaszem i przytknął czubek szabli do jego gardła, zerwała się z kolan.

- Nie zabijaj go, proszę - powiedziała, szlochając. - Błagam, Wentworth. Miej litość!

Nie zdążyła do niego dobiec, bo esquire uśmiechnął się drwiąco i przymierzył do śmiertelnego pchnięcia. Nagle szyderczy grymas zniknął z jego twarzy, zastąpiony przez wyraz osłupienia. Szabla upadła na ziemię. Esquire otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale osunął się na kolana, a następnie runął jak długi, wijąc się w agonii. Wtedy Millicent ujrzała, że z jego pleców sterczy rękojeść noża, a Moses odwraca się powoli do przyjaciela i szepcze:

- Jonasz. - Po jego pomarszczonej twarzy płynęły łzy.

W tym momencie z tyłu dobiegł dziki wrzask:

- Ty brudny śmieciu! Zabiję was wszystkich!

Millicent obejrzała się i zobaczyła, że pędzi na nich rządca z szablą w ręce.

- Nie! Uciekaj, Mosesie! Stój, Mickleby! - Próbowała rzucić się na olbrzyma, ale przytrzymały ją jakieś ręce. - Jonaszu, uciekaj! **Skan Anula43, przerobienie pona.**

Żaden z nich nie ruszył się z miejsca, natomiast ją odciągnięto do tyłu. Słyszała własny krzyk, widziała, że atakujący jest tuż-tuż. Linia niewolników wolno zaczęła się cofać razem ze swoją panią. Nagle powietrze rozdarł grzmot końskich kopyt. Rządca zatrzymał się z uniesioną bronią i zanim odwrócił głowę, lady Wentworth dostrzegła błysk strachu w jego oczach.

Tyle właśnie czasu potrzebował lord Stanmore. Spiał ostrogami czarnego ogiera, zamachnął się szablą i w pełnym galopie zadał Mickleby'emu śmiertelny cios.

Millicent zachwiała się, gdy niewolnicy ją puścili. Pa-

trzyła oszołomiona, jak hrabia zsiada z konia i, rzuciwszy na nią szybkie spojrzenie, idzie do leżącego bez ruchu Williama Cunninghama.

Chwilę później Stanmore drżącą ręką zamknął oczy młodego nauczyciela. Wentwortha i jego siepacza zbadał krótko i bez emocji.

Tymczasem na polanę dotarła Rebeka. Szybko zsunęła się z siodła i podbiegła do przyjaciółki. Millicent pozwoliła jej się objąć, ale oczy miała utkwione w Mosesie, który nadal stał nad jej martwym mężem.

- Zabiłem go! - powiedział stary niewolnik spokojnym tonem, wskazując na ciało. - On zabił nauczyciela. Chciał zabić Jonasza. Zabiłem go. Zabiłem go tym. - Ukucnął i wskazał na rękojęć sterczącą z pleców dziedzica.

- Mosesie! - krzyknęła lady Wentworth.

Stanmore spojrział na nią z powagą, a następnie położył dłoń na ramieniu Afrykanina. Millicent wstrzymała oddech.

- Obecni, którzy wszystko widzieli, potwierdzą, że się mylisz, Mosesie. Nie zabiłeś Wentwortha. Ja to zrobiłem. - Pochylił się, wyciągnął nóż, wytarł go do czysta i oddał niewolnikowi, mówiąc łagodnie: - Zapamiętasz? Nikogo nie zabiłeś.

Moses zerknął na Jonasza. Ten skinął głową i zwrócił się do hrabiego:

- On zapamięta, milordzie.

Stanmore powiódł wzrokiem po czarnych twarzach i wskazał na Cunninghama.

- Ten wspaniały człowiek, nasz przyjaciel, nie żyje, ale tamci dwaj zasłużyli na to, co ich spotkało. Będzie lepiej, jeśli wszyscy zapomniecie o tym, co się dziś wydarzyło. - Niewolnicy pokiwali głowami. - Dobrze. Jonaszu, wyślij kogoś do miasteczka, żeby ściągnął pomoc. Musimy też sprowadzić z Knebworth wielebnego Trimble.

Gotowość starego kamerdynera, żeby odpowiedzieć na każde ich pytanie, wyraźnie świadczyła o zapiekłej urazie do dawnego pana oraz jego rodziny.

- Miał moralność kocura i powściągliwość kozła. Nie dbał o to, z kim, kiedy i jak. - Robert siedział na krześle naprzeciwko prawnika, Spencer stał przy oknie. - Brał dziewczynę ze Strandu, zawoził ją do teatru Haymarket, a potem wychodził z nią u jednego boku i jakąś ładną aktorką u drugiego. Szli do tawerny Rose albo do Ranelagh Gardens, a o świcie, w drodze do domu, sir Charles wołał jeszcze dziewczkę z St. James Park. - Sługa z niesmakiem pokręcił głową. - Wszyscy w domu wiedzieli, kiedy łąpał choróbko. Dziewczęta modliły się wtedy, żeby za szybko nie wyzdrowiał, bo póki go piekło, trzymał się od nich z daleka.

- Lady Harrington godziła się na to wszystko?

Robert wzruszył ramionami.

- A co mogła zrobić? Mieli troje małych dzieci, a poza tym pewnie była szczęśliwa, że mąż zaspokaja swoje żądze z innymi kobietami, a jej daje spokój. Nie, panowie. Myślę, że nie protestowała, póki zachowywał minimum dyskrecji... i nie odwiedzał jej w łozu.

- Przypuszczam, że sir Charlesowi spodobała się Rebeka Neville.

Stary kamerdyner spojrział na młodszego mężczyznę. George bardzo dobrze się o nim wyrażał, a on teraz rozumiał, dlaczego. Choć wysoko urodzony, sir Nicholas zachowywał się całkiem zwyczajnie.

- Tak, lecz ona od początku go unikała. Widzą, panowie, panna Rebeka nie była służącą. Lady Hartington traktowała ją jak równą sobie. - Robert zmierzył wzrokiem dwóch dżentelmenów. Przez te wszystkie lata, które pracował u Hartingtonów, sir Charles nigdy nie traktował go choć w połowie tak uprzejmie jak ci dwaj. - Jak już mówiłem, najpierw narzucał się jej z pomocą, ale ona się nie ugięła. Pewnej nocy, kiedy żony nie było, w końcu się zniecierpliwiał. Kazał mi ją przyprowadzić.

- I co? - zapytał prawnik z konsternacją.

- Ten stary cap mi płacił, ale nie byłem jego alfonsem  
- odparł z godnością kamerdyner. - Przekazałem jedynie

jego polecenie pannie Neville. Reszta zależała od niej.

- Poszła do niego?

- Kazała mu powtórzyć, że odchodzi. Nie miała gdzie się podziać, ale była gotowa raczej w środku nocy opuścić dom, niż dać się wykorzystać panu. - Robert pokręcił głową na to wspomnienie. - Sir Charlesa omal nie trafiła apopleksja, kiedy mu o tym powiedziałem.

- I co zrobił?

- Dopadł ją na schodach i oskarżył o kradzież biżuterii i sreber. Potem zaciągnął ją do biblioteki i zarygłował drzwi. - Żaden z dżentelmenów się nie odezwał. Obaj patrzyli na niego w napięciu. Wiedział, że myślą o najgorszym. - Nie dostał tego, czego chciał. Panna Rebeka zdziełliła go w głowę pogrzebaczem i uciekła.

- Co działo się dalej? - ponaglił go prawnik niecierpliwym tonem.

- Chyba myślała, że go zabiła. To znaczy, wszyscy tak pomyśleliśmy, widząc krew na dywanie. Panna Neville wybiegła z domu i popędziła przed siebie ulicą. Później ktoś nam mówił, że wsiadła do przejeżdżającego powozu. Już nigdy jej nie zobaczyliśmy.

Dwaj mężczyźni spojrzeli po sobie.

- Elizabeth - rzucił sir Nicholas.

Prawniki ponownie zwrócił się do kamerdynera.

- A sir Charles?

Robert zaśmiał się niewesoło.

- Napytał sobie wstydu i kłopotów. Był nieprzytomny, póki jego żona nie wróciła do domu i nie posłała nas po lekarza. Z pewnością nie uszczęśliwił jej widok męża, panowie rozumieją, leżał na podłodze, z raną na głowie, z rozpiętymi spodniami i... cóż, jego intencje były oczywiste.

- I to koniec historii?

- Bynajmniej! - Stary sługa zachichotał. - Sir Charlesowi została na skroni blizna, której nie mogła zakryć nawet peruka. I mimo sprzeciwu żony domagał się ścigania panny Neville. Chciał, żeby ją powieszono za to, co mu zro-

biła. Oczywiście zmienił wersję wydarzeń. Według niego panna Rebeka była złodziejką i morderczynią. Ale kiedy narobił hałasu, spadło na niego niebo.

- Co to znaczy? - zapytał sir Nicholas.

- Odezwała się rodzina panny Neville.

- Rodzina?

Robert skinął głową.

- Najpierw zjawili się prawnicy i oskarżyli go o chyba wszystko oprócz wielkiego pożaru Londynu. Potem przybyli dwaj lordowie w karocy, o jakiej sir Charles nawet nie śmiałyby marzyć. Nam nic nie mówiono, ale zorientowaliśmy się, że ta dziewczyna to naprawdę ktoś, tylko że z jakiegoś powodu nie utrzymuje kontaktu z rodziną. Gdy zniknęła bez śladu, Hartingtonom zarzucono, że nie dość się o nią troszczyli. - Mężczyzna uśmiechnął się z satysfakcją. - Pan miał potem dużo nieprzyjemności.

- Jak się nazywa ta rodzina? - spytał prawnik.

- North. Wszyscy zostaliśmy zobowiązani do dochowania tajemnicy, ale panom mogę powiedzieć. Panna Rebeka to córka hrabiego Guilforda. No wiecie, panowie, lorda Guilforda z Wroxton Abbey. Tylko pomyśleć, nasza panna Neville siostrą lorda Northa, premiera jego królewskiej mości!

- Nie mogę wyjechać dziś ani w piątek. Nie mogę teraz opuścić Melbury Hall.

Od chwili, kiedy Rebeka wczesnym rankiem zjawiała się w Grove i zobaczyła przyjaciółkę stojącą nad ciałem męża, wiedziała, jaka będzie jej decyzja.

- William nie powinien był zginąć. - Millicent spuściła wzrok i otarła łzę z twarzy. - Ale sytuacja wygląda tak, że on nie żyje, a Wentworth nie zostawił dziedzica, więc ja dziedziczę Melbury Hall, plantacje na Jamajce, niewolników. Tyle jest do zrobienia i ja muszę wszystkim się zająć. Ale nie boję się po raz pierwszy w życiu.

Rebeka dotknęła jej kolana.

- Na pewno doskonale sobie poradzisz. Nawet nie wiesz, jaka jestem z ciebie dumna.

- Więc się na mnie nie gniewasz?

- Za to, że zrezygnowałaś z ucieczki? - Rebeka z uśmiechem potrząsnęła głową. - Chciałabym mieć połowę twojej odwagi. Nie, nie gniewam się na ciebie, tylko cieszę, że jestem twoją przyjaciółką.

- A ty naprawdę musisz jechać? Sądysz, że ktoś odkryje twój sekret? Możesz zamieszkać u mnie i razem...

Millicent umilkła, gdy do pokoju wrócił lord Stanmore.

- Wszystko załatwione, milordzie? - spytała Rebeka.

Obie słuchały uważnie, podczas gdy hrabia opowiadał, co zostało zrobione. Już wcześniej zaproponował, że na kilka dni przyśle do Melbury Hall Philipa, żeby zajął się poszukiwaniem nowego majordomusa, rządcy i lokajów. Lady Wentworth z wdzięcznością przyjęła jego ofertę, bo

od razu postanowiła, że zwolni wszystkie osoby do niedawna całkowicie lojalne wobec jej męża.

Gdy się żegnali, serdecznie uściskała przyjaciółkę i szepnęła jej do ucha:

- Zobaczymy się jeszcze kiedyś?

- Oczywiście - zapewniła Rebeka zduszonym głosem.

Bała się, że jeśli powie prawdę, straci panowanie nad sobą i odwagę.

Salony pałacowej rezydencji lady Mornington przy Grosvenor Square jak zwykle były pełne mężczyzn i kobiet, próbujących szczęścia przy stolikach karcianych.

- Nigdy nie sądziłam, że tak łatwo się poddasz, Louiso. - Gospodyni zerknęła z ukosa na przyjaciółkę, siedzącą obok niej na sofie. - Nie do twarzy ci z tą ponurą miną.

Lady Nisdale powiodła wzrokiem po eleganckim tłumie.

- Żeby ponieść porażkę, trzeba najpierw wydać wojnę! Uznałam, że o Stanmore'a nie warto toczyć bojów.

- Pani Ford okazała się groźniejszą przeciwniczką, niż początkowo sądziłyśmy!

- Kto? - zapytała Louisa lekkim tonem.

Gospodyni pochyliła ku niej głowę.

- Sprytnie zrobiłaś, opuszczając pole bitwy. Stanmore jest znany z tego, że niezbyt mile traktuje kobiety, które bez zaproszenia zjawiają się u niego po tym, jak je odtrącił.

Nie ma już żadnych świętości, pomyślała Louisa. Ta mała dziwka zapewne wygadała się hrabiemu o liście.

- Nie pojechałam do Solgrave - skłamała. - Złożyłam wizytę staremu przyjacielowi z Melbury Hall.

- O tym też słyszałam - powiedziała z uśmiechem lady Mornington. - Jak się miewa Wentworth? Nadal się zabawia biciem żony?

- Nie wiem. - Louisa poprawiła upudrowany pukiel i odęła usta.

- Powinnaś obracać się w lepszym towarzystwie, moja droga. Zważywszy na jego reputację, nawet taka sprytna osóbką

jak ty niewiele z nim osiągnie. - Gospodyni omiotła wzrokiem gości. - Mam dla ciebie kogoś na oku. Pewnego dystyngowanego dżentelmena, który wynagrodzi ci stratę hrabiego. I przywróci cię do zdrowia... pod każdym względem.

Lady Nisdale nawet nie próbowała ukryć zainteresowania.

- O, jest tam. - Lady Mornington pomachała do dobrze ubranego mężczyzny, stojącego po drugiej stronie pokoju. Dżentelmen ruszył w ich stronę. - Augustus Fitzroy, diuk Grafton. Obrzydliwie bogaty i niedawno rozwiedziony.

Louisa z podziwem patrzyła na zbliżającego się mężczyznę.

- Lady Mornington, pani jest najlepszym lekarzem. Właśnie wynalazła pani lek na melancholię.

Rebeka obudziła się, słysząc turkot kół na podjeździe. Spojrzała w bok i zobaczyła, że hrabia już wstał. Przez okna wpadało dzienne światło. Zerknęła na zegar stojący na kominku i stwierdziła, że spała dłużej niż zwykle.

Samuel chciał, żeby rano towarzyszyła jemu i Jamesowi na konnych przejażdżkach, ale nie wiedziała, czy dzisiaj się nie rozmyślili po tragicznych wydarzeniach poprzedniego dnia.

Odrzuciła kołdrę, wstała z łóżka i włożyła brokatowy szlafrok. Podeszła do okna w samą porę, żeby zobaczyć ostatnich gości wchodzących do domu. Kilkunastu stan-gretów, lokajów i stajennych odprowadzało karoce i zaprzęgi do wozowni i stajni.

- O, nie! - jęknęła. - Premier!

Philip uprzedził ją o wizycie dostojnego gościa. Cóż, pomyślała, po prostu zostanie w swoim pokoju. Im mniej osób pozna, tym lepiej. Kiedy już wyjedzie, hrabia przynajmniej nie będzie zmuszony co chwilę wyjaśniać jej nieobecności.

Po południu zamierzała jeszcze spędzić trochę czasu z Jameyem i pożegnać się przed rozstaniem.

Ledwo zdążyła obmyć twarz, gdy rozległo się natarczywe pukanie do drzwi. Mocniej zawiązała pasek szlafroka



i poszła otworzyć. Na korytarzu stała pani Trent i cztery pokojówki.

- Tak się cieszę, że pani już wstała, moja droga - powiedziała zdyszana ochmistrzyni. - Musimy panią przygotować.

Nie dając jej czasu na odpowiedź, skinęła na służące i wmaszerowała do pokoju. Dwie pokojówki rozłożyły na łóżku jej najlepszą suknię, zaś pani Trent i pozostałe dwie kobiety usadziły ją przed lustrem, a same stanęły za nią ze szczotkami i grzebieniami w rękach.

- Po co to wszystko? - udało się jej spytać, gdy ochmistrzyni niestrudzenie wydająca polecenia zamilkła na chwilę.

- Lord North już czeka, aż pani zostanie mu przedstawiona. W domu panuje kompletne zamieszanie. Sir Nicholas i sir Oliver zjawili się przed świtem i jego lordowska mość spędził z nimi godzinę za zamkniętymi drzwiami. Nawet nie zdążył wypić kawy! Ledwo skończył naradę, i kto zajeżdża pod dom... premier ze swiątą! - Pani Trent osobiście wybrała bieliznę. - Hrabia jeszcze nie jadł śniadania, a sama wie pani, jaki wtedy jest...

Wygłodniały, pomyślała Rebeka, skrywając uśmiech.

- Widziałam go przez chwilę, kiedy przechodził z jednego pokoju do drugiego, i właściwie nie wyglądał na głodnego, raczej... jakby to określić... - Ochmistrzyni trąkotała na jednym oddechu, jednocześnie popędzając służące. - Gdyby pani nie była taka uparta w kwestii nowej garderoby, zamówiłabym jeszcze tamtą koloru kości słoniowej, ze złotymi wstążkami. Ale chyba jeszcze to zrobię. Przed nami całe lato.

Rebeka uciekła myślami do hrabiego i zaczęła modlić się w duchu, żeby nie sprowokował skandalu, próbując oczyścić ją z zarzutu morderstwa. Swoją drogą to dziwne, że sir Oliver i sir Nicholas zjawili się w środku nocy!

- Piękniejsza niż letni kwiat. - Pani Trent z aprobatą poikiwała głową, dokonując ostatnich poprawek.

Rebeka przez krótką chwilę zastanawiała się nad buntem. Gdyby postanowiła nie schodzić na dół, Stanmore nie

czułyby się zmuszony wyjawiać jej przeszłości obcemu człowiekowi i nie naraziłby się na...

- Gotowe!

Zanim Rebeka zdążyła obmyślić jakiś plan, gospodyni wzięła ją pod rękę i pociągnęła do drzwi.

Trzeba było uciec już wczoraj. Niepotrzebnie podawała mu dokładną datę wyjazdu. Mogła przewidzieć, że zrobi wszystko, by ją zatrzymać. Sam tak powiedział.

O dziwo, nie była zła, tylko przerażona. Pewnie tak się czuje człowiek prowadzony na szubienicę. Nogi miała jak z ołowiu.

W którymś momencie pani Trent i pokojówki zostały z tyłu, więc sama ruszyła w dół po schodach. Na podeście zobaczyła sir Nicholasa i sir Olivera i nie mogła zrozumieć, dlaczego aż tak się rozpromienili na jej widok. Tego ranka chyba wszyscy postradali rozum.

Gdy zeszła z ostatniego stopnia, prawnik podszedł i wziął ją za rękę.

- Pragnę, żeby pani wiedziała, że miło było pani służyć, milady!

Rebeka chciała zapytać, o co mu chodzi, ale w tym momencie otworzyły się drzwi gabinetu i w progu stanął hrabia. Serce zabiło jej mocno, gdy spostrzegła, jak raptownie zmienił się wyraz jego twarzy. Oczy ukochanego mężczyzny wyrażały miłość i nadzieję.

Kiedy ruszył w jej stronę, wyciągnęła rękę, bo potrzebowała jego siły, żeby postąpić choć jeden krok naprzód.

- Dzień dobry, Rebeko! Już dzisiaj mówiłem, że cię Kocham?

Musnął wargami jej dłoń, a potem, nie zważając na świadków, pocałował ją w usta z takim uczuciem, że z trudem się pohamowała, by nie zarzucić mu ramion na szyję.

Gdy się odsunął, ledwo stała na nogach.

- Nie zabiłaś Hartingtona - szepnął jej do ucha.

W pierwszej chwili nie zrozumiała jego słów, mimo że wyraźnie je słyszała.

- Drań przeżył i zdążył jeszcze napastować wiele niewinnych kobiet, nim przed ośmiu laty zamordował go jakiś rozgniewany mąż.

Rebeka popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Jej żołądek zacisnął się w bolesny supeł.

- Nie żartuj ze mnie, proszę.

- Nigdy nie żartowałbym z tak poważnej sprawy.

Przeniósł spojrzenie na Bircha.

- Jego lordowska mość powiedział prawdę, milady. Sir Nicholas i ja złożyliśmy wizytę lady Hartington i wypytaaliśmy Roberta, kamerdynera, który u nich służył dziesięć lat temu. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że tak właśnie przedstawiają się fakty.

- Boże! - Rebeka zakryła usta ręką; do oczu napłynęły jej łzy.

- Nie płacz! - Stanmore wziął ją w ramiona i pocałował w czoło.

- Czyżbym był jedynym człowiekiem pozbawionym zaszczytu przywitania się z panną Neville?

Gdy Rebeka usłyszała za sobą nowy głos, szybko wytarła oczy. Hrabia wypuścił ją z objęć, ale trzymał za rękę, kiedy razem odwrócili się do gościa.

- Lordzie North, czy mogę przedstawić...

- To niepotrzebne. Poznałbym tę damę zawsze i wszędzie. Szkoda, że los na tak długo nas rozdzielił.

Rebeka dygnęła z szacunkiem, przekonana, że nigdy w życiu nie spotkała tego człowieka.

Gdy premier ujął jej dłoń i ruszył w stronę biblioteki, obejrzała się i rzuciła pytające spojrzenie na hrabiego, który został u stóp schodów.

- Idziesz, Stanmore? - zawołał North. - Jako przyszły mąż mojej siostry chyba masz prawo poznać zawiązaną historię naszej rodziny.

W tym momencie Rebeka upewniła się, że wszyscy tego ranka poszaleli.

## Epilog

Jeden miesiąc zmienił wszystko.

Jeszcze miesiąc, i hrabia Guilford wróciłby z kontynentu i wprowadził w świat swoją córkę Reбекę Neville, noszącą imię po jego matce. Miesiąc, i Rebeka nie pojechałaby do Hartingtonów jako nauczycielka. Miesiąc, i nie uciekłaby od nich, przekonana, że popełniła morderstwo. Miesiąc, i nigdy nie spotkałaby Elizabeth Wakefield, nie rozpoczęła nowego życia w koloniach.

Miesiąc, i nigdy nie poznałaby Jameya... ani lorda Stanmore.

Właściwie ten miesiąc, choć całkowicie odmienił jej los, w rezultacie przyniósł szczęście, o jakim nawet nie śmiała marzyć.

Lista weselnych gości była bardzo długa. Rebeka zauważyła, że Samuel dopisał do niej nazwisko jej matki. Gest ją wzruszył, choć Jenny Greene przysłała skreślony nierównym pismem list, w którym z żalem odrzucała zaproszenie „z powodu wcześniejszych zobowiązań”. Ale ta odmowa nie zepsuła radosnego nastroju Rebeki, bo ona sama już pogodziła się z własną przeszłością. Dla niej liczył się tylko ten dzień i wszystkie następne.

Więść o ślubie hrabiego Stanmore z panną Neville, odnalezioną po latach krewną premiera, została rozgłoszona przez wszystkie gazety i dokładnie oplotkowana przez londyńską śmietankę. Uroczystość zapowiadała się na wydarzenie sezonu.

Sam dzień ceremonii wstał szary i mglisty, ale kiedy do

Knebworth zaczęły zjeżdżać powozy, chmury się rozeszły i kropelki wilgoci załśniły na drzewach i trawie niczym diamenty. Teraz letnie słońce uśmiechało się do tłumu gości i młodej pary, która właśnie skończyła wymieniać przysięgi na stopniach starego kościoła.

Kiedy wielebny Trimble szerokim gestem pobłogosławił ich związek, rozległy się gromkie wiwaty, ale Rebeka słyszała tylko zapewnienie męża o dozgonnej miłości i widziała mgłę w jego rozkochanych oczach.

- Jestem najszcześliwszym mężczyzną na świecie.

Dotknął ustami jej ust w czułym pocałunku, ale zebrani nie pozwolili im długo cieszyć się tą wzruszającą chwilą. Zaraz podszedł do nich hrabia Guilford, a po nim lord North oraz jego żona i dzieci. Lady Meg, matka pana młodego, uśmiechała się do nich ciepło. Odbyła podróż ze Szkocji, żeby poznać przyszłą synową, i obie od razu przypadły sobie do gustu. Teraz czekała w kolejce, żeby powitać nową córkę w rodzinie.

Lecz choć wokół nowożeńców tłoczyli się dorośli, ich uwagi pierwszy doczekał się James. Gdy opuścił swoje miejsce przy boku lady Meg, hrabia wziął go na ręce i przez jakiś czas we trójkę przyjmowali gratulacje i życzenia.

- Gotowa, milady? - zapytał Stanmore, gdy Jamey wrócił do babci, a tłum się rozstał, żeby mogli dojść do czekającej na nich karocy.

Rebeka zdołała jedynie skinać głową. Przyjęła ramię męża i oboje powoli zeszli po stopniach kościoła, a następnie ruszyli szpalerem gości.

Gdy jechali do Solgrave, ludzie stojący po obu stronach drogi pozdrawiali ich serdecznie.

- Jesteś szczęśliwa?

Na twarzy młodej żony odmalowało się wzruszenie.

- Dziękuję, najdroższy. Za miłość, za zaszczyt, za obietnicę przyszłości...

- Bez ciebie nie miałem żadnej przyszłości. - Otoczył ją ramieniem, pocałował. - Bez ciebie nie istniałem. Dopiero teraz poczułem, że żyję.

Rebeka uśmiechnęła się figlarnie.

- Mów tak dalej, a chyba zacznę cię namawiać, żebyśmy pojechali do Solgrave okrężną drogą.

- Możemy zrobić sobie dłuższy postój przy starym młynie. - Jego oczy się zaiskrzyły. - Albo zostawimy zabawianie gości mojej matce, a sami od razu wyruszymy do Szkocji.

Już miał wydać polecenie stangretowi, ale Rebeka ujęła go pod brodę i przyciągnęła do siebie.

- Propozycja brzmi bardzo nieprzyzwoicie i kusząco, ale niestety nie...

Urwała w pół słowa, bo w tym momencie dostrzegła starszą, modnie ubraną kobietę, siedzącą w otwartym powozie, który stał na poboczu drogi. Gdy go mijali, zobaczyła jej twarz, dziwnie znajomą. Czując ściskanie w gardle, z wahaniem pozdrowiła ją gestem ręki. Kobieta też uniosła dłoń w rękawiczce, ale nie pomachała nowożeńcom, tylko wytarła łzę i odwróciła wzrok.

Rebeka przez chwilę oglądała się na dumną postać Jenny Greene.

- Zatrzymać karocę? - spytał mąż. - To doskonała pora, żebyśmy wszyscy się poznali.

Lady Stanmore potrząsnęła głową.

- Nie sądzę, żeby moja matka była gotowa na spotkanie.

W chwili gdy wypowiedziała te słowa, powóz Jenny ruszył w przeciwną stronę.

- Wybacz! - szepnął hrabia. - Przykro mi, że ten dzień nie jest doskonały.

Rebeka rozpozgodziła się i spojrzała w kochające oczy męża.

- Jest doskonały - zapewniła go z przekonaniem. - Mam wszystko, czego pragnęłam. Wszystko, o czym marzyłam przez całe życie. Nie mogłoby być lepiej.